



ASSASSIN'S CREED

TAJEMNA KRUCJATA

Nieznana historia mistrza asasynów – Altaïra



OLIVER BOWDEN

Oliver Bowden

Assassin's Creed

TAJEMNA KRUCJATA

przełożył
Michał Strąkow

Tytuł oryginału
Assassin's Creed: The Secret Crusade

First published in English in 2011 by Penguin Group
Penguin Books Ltd, 80 Strand, London WC2R 0RL, England
www.penguin.com

Copyright © Ubisoft Entertainment. All Rights Reserved.
Assassin's Creed, Ubisoft, Ubi.com
and the Ubisoft logo are trademarks of
Ubisoft Entertainment in the U.S. and/or other countries.

Przekład
Michał Strąkow

Redakcja
Danuta Porębska
Tomasz Porębski
Tomasz Brzozowski

Redakcja i korekta
Lidia Kowalczyk
Dominika Pycińska

Copyright © for this edition
Insignis Media, Kraków 2012. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN: 978-83-61428-77-0



Insignis Media

ul. Sereno Fenna 6/10, 31-143 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

Spis treści

Prolog

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

[Rozdział 21](#)
[Rozdział 22](#)
[Rozdział 23](#)
[Rozdział 24](#)
[Rozdział 25](#)
[Rozdział 26](#)
[Rozdział 27](#)
[Rozdział 28](#)
[Rozdział 29](#)
[Rozdział 30](#)
[Rozdział 31](#)
[Rozdział 32](#)
[Rozdział 33](#)

CZEŚĆ TRZECIA

[Rozdział 34](#)
[Rozdział 35](#)
[Rozdział 36](#)
[Rozdział 37](#)
[Rozdział 38](#)
[Rozdział 39](#)
[Rozdział 40](#)
[Rozdział 41](#)
[Rozdział 42](#)
[Rozdział 43](#)
[Rozdział 44](#)
[Rozdział 45](#)
[Rozdział 46](#)
[Rozdział 47](#)

CZEŚĆ CZWARTA

[Rozdział 48](#)
[Rozdział 49](#)
[Rozdział 50](#)
[Rozdział 51](#)
[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Epilog](#)

[Dramatis personae](#)

[Podziękowania](#)

Prolog

Majestatyczny statek skrzypiał i pojękiwał; jego żagle prężyły się, wypełniane wiatrem. Oddalony od lądu o całe dni żeglugi, przedzierał się przez ocean w kierunku wielkiego miasta na zachodzie, niosąc swój drogocenny ładunek: mężczyznę, o którym załoga wiedziała tylko tyle, że jest Mistrzem.

Towarzyszył im teraz, stojąc samotnie na pokładzie dziobowym. Opuścił kaptur swej szaty, wystawiając się na smagnięcia mokrej bryzy i zlizując jej krople z ust, zwrócony twarzą do wiatru. Robił to każdego dnia. Wynurzał się ze swojej kajuty, przemierzał pokład i wybierał miejsce, z którego następnie przyglądał się morzu, a potem wracał do siebie. Czasem stawał na dziobie, czasem na rufie. Zawsze jednak wpatrywał się w pokryte białymi falami morze.

Członkowie załogi obserwowali go codziennie. Pracowali na pokładzie i przy takielunku, pokrzykując do siebie wzajemnie; każdy z nich miał robotę do wykonania, ale przez cały czas rzucali ukradkowe spojrzenia na samotną, zamyśloną postać. I zachodzili w głowę, co to za człowiek? Cóż za człowiek znalazł się pośród nich?

Dyskretnie badali go wzrokiem także teraz, gdy odsunął się od otaczającego pokład relingu i naciągnął kaptur. Przystanął tam jeszcze na chwilę, z pochyloną głową i swobodnie opuszczonymi ramionami, a załoga wciąż mu się przyglądała. Kilku mężczyzn poblądło, gdy mijał ich na pokładzie zamaszystym krokiem, zmierzając do swojej kajuty. A kiedy drzwi

już się za nim zamknęły, wszyscy uświadomili sobie, że do tej pory wstrzymywali oddech.

W kajucie asasyn usiadł przy stole. Nalał kubek wina, po czym sięgnął po księgę i przyciągnął ją ku sobie. Potem zaś ją otworzył. I zaczął czytać.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

19 czerwca 1257

Maffeo i ja nadal jesteśmy w Masjafie i zostaniemy tu jeszcze przez jakiś czas. Przynajmniej dopóki jedna lub dwie – jak by to powiedzieć? – niepewne sprawy nie zostaną wyjaśnione. Do tego czasu pozostaniemy na rozkazach Mistrza, Altaïra Ibn-La’Ahada. Taka rezygnacja z podążania własnymi ścieżkami jest irytująca, zwłaszcza gdy trzeba się podporządkować przywódcy Zakonu, który w podeszłym wieku posługuje się niejasnościami z taką samą bezwzględną precyzją, z jaką niegdyś władał mieczem i ostrzem – ja jednak zostałem przynajmniej wtajemniczony w jego historię. Natomiast Maffeo, który nie miał tego szczęścia, robi się coraz bardziej niecierpliwy. To zresztą zrozumiałe. Ma już dość Masjafu. Nie lubi przedzierania się przez strome zbocza, jakie dzielą fortecę asasynów od położonej w dole wioski, a górską okolicą niezbyt go pociąga. Jak mówi, należy do rodu Polo, i po sześciu miesiącach spędzonych w tym miejscu zamiłowanie do podróży odzywa się w nim niczym wołanie przyzywającej go ponętnej kobiety – jest przekonujące, kuszące i niedające się ignorować. Nie może się doczekać, by złapać wiatr w żagle i wyruszyć ku nowym lądom, odwracając się do Masjafu plecami.

Szczerze mówiąc, przez jego zniecierpliwienie tylko niepotrzebnie się denerwuję. Altaïr jest o krok od wyjawienia nam wszystkiego; czuję to.

Dlatego dzisiaj oznajmiłem:

– Maffeo, opowiem ci pewną historię.

Maniery tego człowieka... Czy my naprawdę jesteśmy spokrewnieni? Zaczynam w to wątpić. Zamiast przyjąć moją zapowiedź z entuzjazmem, na jaki wyraźnie zasługiwała, usłyszałem westchnienie – mógłbym przysiąc, że tak było, choć może rzeczywiście po prostu zabrakło mu tchu w słonecznym skwarze – a następnie dość poirytowanym tonem zażądał:

– Zanim to zrobisz, Niccolò, może byś mi powiedział, o czym jest ta historia?

Też mi coś.

Tak czy inaczej:

– To bardzo dobre pytanie, bracie – odpowiedziałem i zastanowiłem się nad tym w czasie naszej wspinaczki po majestatycznym zboczu. Ponad nami na wzniesieniu majaczyła ponuro cytadela, sprawiając wrażenie wyciosanej w wapiennej skale. Uznałem, że do opowiedzenia mojej opowieści potrzebuję idealnej scenerii, a nie istniała lepsza od fortecy Masjaf. Imponujący zamek o licznych wieżach, otoczony przez połyskujące rzeki, górujący nad znajdującą się poniżej, tętniącą życiem wioską, ulokowany w najwyższym punkcie doliny Orontesu. Oaza spokoju. Raj.

– Powiedziałbym, że to opowieść o wiedzy. – Zdecydowałem w końcu. – Jak wiesz, *assasseen* oznacza po arabsku „strażnika”. Asasyni są strażnikami tajemnic, a strzeżone przez nich tajemnice dotyczą wiedzy, zatem tak... – z pewnością zabrzmiałem jak ktoś nadzwyczaj z siebie zadowolony – ... będzie to opowieść o wiedzy.

– W takim razie obawiam się, że jestem umówiony.

– Doprawdy?

– Bez dwóch zdań z przyjemnością oderwałbym się od moich studiów, Niccolò. Ale nie mam ochoty na ich mimowolne poszerzanie.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Historie, które opowiedział mi Mistrz, na pewno chciałbyś usłyszeć.

– To zależy. W twoich ustach nie brzmią szczególnie porywająco. Sam

mówiłeś, że gdy idzie o twoje opowieści, najbardziej lubię w nich to, co krwawe.

– Tak.

Maffeo uśmiechnął się półgębkiem.

– No cóż, masz rację, tak właśnie jest.

– Tego również ci nie zabraknie. Koniec końców są to opowieści o wielkim Altaïrze Ibn-La’Ahadzie. To historia jego życia, bracie. Uwierz mi, nie pomija ona żadnych wydarzeń, a podczas wielu z nich dochodziło do rozlewu krwi, o czym się z radością przekonasz.

W tym czasie dotarliśmy do barbakanu w zewnętrznej części fortecy. Przeszliśmy podcieniami bramy, minęliśmy posterunek straży i ponownie zaczęliśmy wspinaczkę, zmierzając do wewnętrznego zamku. Przed nami znajdowała się wieża, w której kwaterował Altaïr. Odwiedzałem go tam przez wiele tygodni i spędziłem niezliczone godziny, słuchając, urzeczony, podczas gdy on siedział ze splecionymi dłońmi, z łokciami opartymi na poręczach wysokiego krzesła, i snuł swe opowieści, a jego oczy były ledwo widoczne pod kapturem. Ja zaś miałem coraz silniejsze poczucie, że nie opowiada mi tych historii bez przyczyny. Że z jakiegoś niepojętego jeszcze dla mnie powodu zostałem wybrany, by ich wysłuchać.

Kiedy Altaïr nie był zajęty opowieściami, pogrążał się w księgach i we wspomnieniach; czasem długimi godzinami spoglądał przez okienko swojej baszty. Pomyślałem, że teraz także tam będzie. Kciukiem przesunąłem do tyłu mój kaptur i ocieniłem oczy, by móc spojrzeć w górę, na wieżę. Nie dostrzegłem jednak niczego poza wyblakłymi od słońca kamieniami.

– Czy on nas teraz przyjmie? – Przerwał moje rozmyślenia Maffeo.

– Nie, nie dziś – odparłem i wskazałem na basztę na prawo od nas. – To tam się wybieramy.

Maffeo skrzywił się. Wieża obronna była jedną z najwyższych w całym zamku, a na jej szczyt wiódł przyprawiający o zawrót głowy ciąg drabin, z których większość wyglądała tak, jakby potrzebowała gruntownej naprawy.

Uparłem się jednak i zatknąwszy koniec mojej tuniki za pas, poprowadziłem Maffea na pierwsze piętro, potem na kolejne, aż wreszcie dotarliśmy na samą górę. Stamtąd rozejrzeliśmy się po okolicy. Mile skalistego terenu. Rzeki przypominające naczynia krwionośne. Wysepki ludzkich osad. Następnie spojrzeliśmy na Masjaf: na fortecę, na plac i zabudowania wioski położonej poniżej, na drewnianą palisadę, stanowiącą zewnętrzną linię fortyfikacji oraz na stajnie.

– Jaka to wysokość? – zapytał Maffeo, nie mogąc zapanować nad drzeniem głosu. Niewątpliwie odczuwał silne porywy wiatru, a ziemia z tej perspektywy wydawała się bardzo, bardzo odległa.

– Ponad trzydzieści sążni – odpowiedziałem. – Wystarczająco wysoko, by asasyni znaleźli się poza zasięgiem wrogich łuczników na dole oraz by sami wciąż mogli zasypywać ich strzałami i innymi pociskami.

Pokazałem mu otaczające nas z każdej strony otwory.

– Dzięki tym hurdyccjom mogli zrzucać na wroga kamienie albo olej. Wystarczyło użyć tego...

Drewniane platformy wystawały poza zewnętrzną linię muru. Podeszliśmy do jednej z nich i trzymając się wsporników po obu stronach, pochyliliśmy się, by przez otwór w platformie spojrzeć w dół. Dokładnie pod nami mur baszty dochodził do samej krawędzi klifu. Poniżej zaś lśniła rzeka.

Krew odpłynęła z twarzy Maffea, cofnął się o krok ku bezpiecznej podłodze baszty. Zaśmiałem się i zrobiłem to samo (prawdę powiedziawszy, uczyniłem to tym chętniej, że sam czułem lekki zawrót głowy i mdłości).

– Właściwie po co nas tu sprowadziłeś? – spytał Maffeo.

– Bo to tutaj zaczyna się moja opowieść – odrzekłem. – I to na wiele sposobów. To właśnie stąd strażę dostrzegły wojska najeźdźców.

– Wojska najeźdźców?

– Tak. Armię Saladyna. Przybył tu, aby oblegać Masjaf i pokonać asasynów. Było to osiemdziesiąt lat temu, w pogodny sierpniowy dzień. Zupełnie taki jak dziś...

2

Pierwsze, co zauważył obserwator, to ptaki.

Każda wędrująca armia przyciąga padlinożerców. Przede wszystkim tych skrzydlatych, gotowych runąć z przestworzy na wszelkie ochłapy, jakie wojsko zostawi za sobą: jedzenie, odpadki i padlinę, zarówno końską, jak i ludzką.

Następnie dostrzegł kurz. W końcu zaś rozległą, ciemną plamę na horyzoncie, która posuwała się szybko do przodu, ogarniając wszystko w zasięgu wzroku.

Armia zaludnia, zaburza i niszczy krajobraz; jest gigantyczną, wygłodniałą bestią, która pożera wszystko, co tylko stanie jej na drodze. Saladyn doskonale zdawał sobie sprawę, że najczęściej już sam taki widok wystarczy, by skłonić wroga do kapitulacji.

Jednak nie tamtym razem. Nie wtedy, gdy jego wrogiem byli asasyni.

Przywódca Saracenów zgromadził na tę kampanię skromne siły w postaci dziesięciu tysięcy piechurów, jeźdźców oraz ciurów obozowych. Zamierzał z ich pomocą zmiażdżyć asasynów, którzy już dwukrotnie próbowali go zgładzić – trzeci zamach na pewno zakończyłby się powodzeniem. Saladyn postanowił przynieść wojnę do ich własnego domu i dlatego przywiódł swą armię w góry An-Nusayriyah, gdzie stało dziewięć asasyńskich cytadel.

Do Masjafu dotarły wieści, że ludzie Saladyna co prawda plądrują okolicę, ale żadna z fortec nie upadła. I że Saladyn podąża na Masjaf, nosząc się z zamiarem zdobycia twierdzy oraz pozbawienia głowy przywódcy

asasynów, Al Mualima.

Saladyn uchodził za powściągliwego oraz obiektywnego w sądach wodza, ale asasynom udało się go rozgniewać i wytrącić z równowagi. Jak donoszono, jego wuj, Shihab Al'din, doradzał mu wystąpienie z propozycją zawarcia pokoju. Shihab argumentował, że asasynów lepiej mieć po swojej stronie niż przeciwko sobie. Nie zdołał jednak wpłynąć na żadnego zemsty sułtana – i tak oto w pogodny sierpniowy dzień roku 1176 armia Saladyna pełzła w kierunku Masjafu, a obserwator czuwający na obronnej wieży cytadeli dostrzegł stada ptaków, wielkie obłoki kurzu oraz czarną plamę na horyzoncie. Wtedy też podniósł do ust róg i dał sygnał na alarm.

Mieszkańcy podgrodzia, zgromadziwszy zapasy, przenieśli się w bezpieczny obręb cytadeli, zapełniając zamkowe dziedzińce; na twarzach malował się strach, lecz i tak wielu uchodźców rozstawiało tam swoje kramy, by dalej prowadzić handel. W tym czasie asasyni zaczęli umacniać zamek; przygotowywali się na spotkanie wrogiej armii i obserwowali zarazem, jak po pięknej zielonej okolicy rozprzestrzenia się ciemna plama i jak wielka bestia pożywia się na tej ziemi, zagarniając horyzont.

Słyszeli dźwięki rogów, bębnow i czyneli. Wkrótce byli już w stanie rozróżnić postaci, które wyłaniały się z rozedrganego od upału powietrza: widzieli ich tysiące. Widzieli piechotę: włóczników, oszczepników i łuczników, Ormian, Nubijczyków oraz Arabów. Widzieli kawalerię: Arabów, Turków i Mameluków, dzierżących szable, buzdygany, lance i długie miecze, jednych odzianych w kolczugi, innych zaś w skórzane pancerze. Widzieli lektyki należące do kobiet wielmożów, widzieli świętych mężów oraz chaotyczną ciżbę obozową na tyłach: rodziny, dzieci oraz niewolników. Przyglądali się, jak wojownicy wroga docierają do zewnętrznej linii umocnień i podpalają je, podobnie jak stajnie, przy akompaniamencie ryku rogów i łoskotu czyneli. Wewnątrz cytadeli rozległ się płacz kobiet z pobliskiej wsi, które spodziewały się, że następne na pastwę płomieni zostaną wydane ich domy. Zabudowania pozostawiono jednak nietknięte,

a armia zatrzymała się w wiosce, nie dbając wcale o zamek – tak przynajmniej mogło się zdawać.

Najeźdźcy nie wysłali żadnego poselstwa, nie przekazali żadnej wiadomości; po prostu rozbili obóz. Większość ich namiotów była czarna, ale w centrum obozu powstało skupisko większych pawilonów – były to kwatery wielkiego sułtana Saladyna oraz najbliższych mu generałów. Tam też powiewały haftowane flagi, czubki masztów namiotów zdobiły złoczone owoce granatów, a ściany pawilonów wykonane były z barwnego jedwabiu.

W cytadeli asasyni głowili się nad taktyką. Czy Saladyn zaatakuje fortecę, czy też spróbuje wziąć ich głodem? Gdy zapadła noc, poznali odpowiedź. Armia u stóp zamku zaczęła budować maszyny oblężnicze. Ogniska w obozie paliły się do późnej nocy. Odgłosy pił i młotów dobiegały nie tylko do uszu strażników na murach cytadeli, ale też do wieży Mistrza, w której Al Mualim zwołał naradę asasyńskich mistrzów.

– Saladyn wpadł prosto w nasze ręce – powiedział Fahim al-Sayf, mistrz asasynów. – Takiej okazji nie możemy zaprzepaścić.

Al Mualim pogrążył się w rozmyślności. Spoglądał przez okno, myśląc o wielobarwnym pawilonie, w którym Saladyn snuł w tej właśnie chwili plany doprowadzenia do upadku przywódcy asasynów – oraz całego Zakonu. Myślał o wielkiej armii sułtana i o tym, jak szybko obróciła ona w perzynę całą okolicę. A także o tym, że w razie swej porażki sułtan będzie w stanie zgromadzić jeszcze większe siły.

Saladyn dysponuje niezrównaną potęgą, pomyślał. Lecz asasyni mają swój spryt.

– Po śmierci Saladyna armie Saracenów rozpiezchną się – stwierdził Fahim.

Al Mualim pokręcił jednak głową.

– Nie sądzę. Shihab zajmie jego miejsce.

– On byłby zaledwie cieniem wodza, jakim jest Saladyn.

– Byłby zatem mniej skuteczny w odpieraniu chrześcijan – odparł ostro Al

Mualim. Jastrzębie zapędy Fahima czasem go męczyły. – Czy chcemy znaleźć się na ich łasce? Czy chcemy wbrew naszej woli stać się ich sojusznikami w walce z sułtanem? Jesteśmy asasynami, Fahimie. Mamy własne cele. Nie należymy do nikogo.

W przesyconym słodkimi wonnościami pokoju zapanowało milczenie.

– Saladyn ma się przed nami na baczności, tak samo jak my przed nim – rzekł po namyśle Al Mualim. – Powinniśmy dopilnować, by stał się jeszcze ostrożniejszy.

Następnego ranka Saraceni wtoczyli taran i wieżę oblężniczą po głównym zboczu, a następnie w asyście tureckich konnych łuczników, doskakujących raz po raz do cytadeli i zasypujących ją deszczem strzał, zaatakowali machinami oblężniczymi zewnętrzny mur, dostając się przy tym pod ostrzał asasyńskich łuczników oraz pod grad kamieni i wodospad wrzącego oleju, którymi rażono ich z zamkowych baszt. Wieśniacy przyłączyli się do walki, bombardując wroga kamieniami oraz gasząc pożary, podczas gdy asasyni urządzali wypadki przez furty w murze i odpierali nieprzyjacielskich piechurów, usiłujących podłożyć ogień. Gdy dzień dobiegł końca, po obu stronach było już wielu poległych; Saraceni zawrócili w dół wzgórza, rozpalili na noc ogniska i zajęli się naprawą machin oblężniczych oraz budową nowych.

Owej nocy w obozie Saracenów wszczęło się wielkie zamieszanie, a o poranku jaskrawy pawilon wielkiego Saladyna zwinięto; on sam zaś odjechał, zabierając ze sobą skromną eskortę.

Wkrótce po tym Shihab Al'din wspiał się po zboczu, by rozmówić się z Mistrzem Zakonu asasynów.

3

– Jego Wysokość Saladyn otrzymał twoją wiadomość i najłaskawiej ci za nią dziękuje – zawołał emisariusz. – Ważne sprawy w innym miejscu zmusiły go do odjazdu, poinstruował jednak Jego Ekszelencję Shihaba Al'dina, by przystąpił do rozmów.

Emisariusz stał obok ogiera Shihaba i trzymał przy ustach dłoń zwiniętą w trąbkę, aby jego głos dotarł do Mistrza i jego generałów, zebranych w obronnej baszcie.

Oddział, który wspiął się na wzgórze, był niewielki: około dwustu ludzi, do tego lektyka, postawiona teraz na ziemi przez nubijskich tragarzy. Była to zaledwie straż przyboczna Shihaba, który sam wciąż siedział na koniu. Twarz miał pogodną, jakby nie martwił się przesadnie o wynik negocjacji. Ubrany był w luźne, białe spodnie, kamizelkę i czerwoną, poskręcaną szarfę. Do jego dużego, olśniewająco białego turbanu przyczepiony był połyskujący klejnot. Przypatrujący mu się ze szczytu wieży Al Mualim pomyślał, że klejnot na pewno nosi jakąś wspaniałą nazwę. Nazywają go pewnie „Gwiazdą czegoś tam” albo „Różą czegoś tam”. Saraceni lubowali się w nadawaniu imion swoim błyskotkom.

– Zaczynaj zatem – zawołał Al Mualim i uśmiechnął się na myśl o owych „ważnych sprawach w innym miejscu”. Przypomniawszy sobie wydarzenia sprzed zaledwie kilku godzin, kiedy to w jego komnatach zjawił się asasyn, wrywając go ze snu i wzywając do sali tronowej.

– Witaj, Omarze – powiedział Al Mualim i owinał się ściślej szatą,

poczuwszy w kościach chłód wczesnego poranka.

– Mistrzu – odrzekł cicho Omar, skłoniwszy głowę.

– Przyszedłeś opowiedzieć mi o swojej misji? – spytał Al Mualim. Zapalił zawieszoną na łańcuszku lampkę oliwną, po czym odszukał krzesło i wygodnie się w nim umościł. Na podłodze zatańczyły cienie.

Omar potwierdził skinieniem. Al Mualim zauważył krew na jego rękawie.

– Czy informacje naszego szpiega były poprawne?

– Tak, Mistrzu. Dotarłem do ich obozowiska i było dokładnie tak, jak nam powiedziano: krzykliwy pawilon stanowił przynętę. Namiot Saladyna znajdował się w pobliżu. Jego kwatery była znacznie mniej okazała.

Al Mualim uśmiechnął się:

– Doskonale, doskonale. W jaki sposób udało ci się go rozpoznać?

– Zabezpieczono go dokładnie tak, jak zapowiedział to nasz szpieg. Wokoło rozsypano kredę i węgielki, tak aby dało się usłyszeć moje kroki.

– Lecz ich nie usłyszano?

– Nie, Mistrzu. Zdołałem dostać się do namiotu sułtana i zostawić w nim pióro, tak jak mi kazano.

– A list?

– Przybity sztyletem do posłania sułtana.

– Co dalej?

– Wymknąłem się z namiotu...

– I?

Nastała cisza.

– Sułtan obudził się i wszczął alarm. Ledwie zdołałem ujść z życiem.

Al Mualim wskazał na poplamiony krwią rękaw odzienia Omara.

– A to?

– Aby ucieczka się powiodła, musiałem poderznąć komuś gardło, Mistrzu.

– Strażnikowi? – zapytał z nadzieją Al Mualim.

Omar ponuro pokręcił głową.

– Nosił turban i kamizelkę wielmoży.

Słyszając to, Al Mualim przymknął zmęczone, smutne oczy.

– Czy nie było innego wyjścia?

– Zachowałem się nieostrożnie, Mistrzu.

– Poza tym jednak twoja misja zakończyła się powodzeniem?

– Tak, Mistrzu.

– Zatem przekonamy się, co teraz się stanie.

Saladyn odjechał, a następnie przybył z wizytą Shihab. Al Mualim, stojąc na zamkowej wieży z dumnie podniesioną głową, odważył się teraz uwierzyć w zwycięstwo asasynów. W to, że jego plan się powiódł. Ich wiadomość stanowiła dla sułtana ostrzeżenie, że powinien zakończyć wyprawę przeciw asasynom, gdyż następny sztylet może zostać wbity nie w jego posłanie, lecz w genitalia. Zdoławszy zostawić tamten sztylet, dowiedli monarsze, jak bardzo w istocie był bezbronny i jak niewiele znaczyła jego wielka armia w obliczu samotnego asasyna, który był w stanie obejść pułapki, przechytrzyć strażników i z taką łatwością przedostać się do namiotu pogrążonego we śnie sułtana.

Być może Saladyn wyżej cenił sobie własne przyrodzenie niż kontynuowanie długiej, kosztownej i wyniszczającej wojny z przeciwnikiem, którego interesy rzadko stawały w sprzeczności z jego interesami. Być może tak było, ponieważ Saladyn oszczędł.

– Jego Wysokość Saladyn przystaje na waszą propozycję pokoju – oznajmił poseł.

Na wieży Al Mualim wymienił rozbawione spojrzenia ze stojącym u jego boku Omarem. Nieco dalej stał Fahim. Jego usta pozostawały zaciśnięte.

– Czy Jego Wysokość poręczy, że nasze Bractwo będzie mogło działać bez dalszych aktów wrogości i bez dalszych ingerencji w nasze poczynania? – zapytał Al Mualim.

– Dopóki nie ucierpią na tym nasze interesy, dopóty macie taką porękę.

– Zatem przyjmuję ofertę Jego Wysokości – zawołał zadowolony Al Mualim. – Możecie wycofać ludzi spod Masjafu. Gdybyście jeszcze byli tak

dobrzy i naprawili naszą palisadę, zanim odejdziecie...

Usłyszawszy to, Shihab gwałtownie podniósł wzrok ku wieży, a Al Mualim nawet z tak znacznej wysokości dostrzegł błysk gniewu w jego oczach. Shihab pochylił się w siodle, by powiedzieć coś swemu heroldowi, który słuchał go, potakując, po czym przytknął dłoń do ust, by raz jeszcze zwrócić się do stojących na wieży.

– Kiedy dostarczaliście waszą wiadomość, jeden z zaufanych generałów Saladyna został zamordowany. Jego Wysokość żąda zadośćuczynienia. Głowy winowajcy.

Uśmiech zniknął z twarzy Al Mualima. Omar zastygł u jego boku.

Zapadła cisza. Słysząc było jedynie parsknięcia koni i świergot ptaków. Wszyscy czekali na odpowiedź Al Mualima.

– Możesz przekazać sułtanowi, że odrzucam to żądanie.

Shihab lekceważąco wzruszył ramionami. Ponownie nachylił się ku posłowi, który po chwili zwrócił się do Al Mualima.

– Jego Ekscelencja życzy sobie poinformować was, że jeśli nie zgodzicie się wypełnić jego żądania, wojsko pozostanie pod Masjafem. Mamy więcej cierpliwości niż wy zapasów. Czy traktat pokojowy tak mało dla ciebie znaczy? Czy pozwolisz swoim wieśniakom i swoim ludziom głodować? Wszystko, aby ocalić głowę jednego asasyna? Jego Ekscelencja ma szczerą nadzieję, że tak się nie stanie.

– Pójdę – szepnął Omar do Al Mualima. – To był mój błąd. Godzi się, żebym to ja za niego zapłacił.

Al Mualim zignorował go.

– Nie poświęcę życia jednego z moich ludzi – zawołał do emisariusza.

– A zatem Jego Ekscelencja ubolewa nad twoją decyzją. Uprasza też, byś zechciał być świadkiem sprawy, która wymaga rozwiązania. Odkryliśmy w naszym obozie szpiega i musimy go stracić.

Al Mualim zamarł, kiedy Saraceni wywlekli asasyna z lektyki. Następnie wyniesiono katowski pieniek, który dwóch Nubijczyków ustawiło na ziemi

przed ogierem Shihaba.

Szpieg nosił imię Ahmed. Został pobity. Jego głowa – poraniona, posiniaczona i pokryta zakrzepłą krwią – bezwładnie opadała na piersi; brutalnie doprowadzono go na miejsce stracenia, rzucono na kolana, po czym rozciągnięto na katowskim pniaku gardłem do góry. Wtedy do przodu wystąpił kat, Turek dzierżący błyszczący bułat. Oparł sztych broni o ziemię, a obie dłonie wsparł na wysadzanej klejnotami rękojeści. Dwóch Nubijczyków przytrzymało ramiona Ahmeda, który lekko pojękiwał – jego głos uniósł się wysoko ku obronnej baszcie i dotarł do zaskoczonych asasynów.

– Pozwól swojemu człowiekowi zająć jego miejsce, a szpieg ocali życie, zaś traktat pokojowy będzie honorowany – zawołał poseł. – Inaczej szpieg zginie, zacznie się oblężenie, a twoi ludzie będą głodować.

Nagle sam Shihab podniósł głowę i wykrzyknął:

– Czy chcesz mieć to na swym sumieniu, Omarze Ibn-La’Ahadzie?

Wszyscy asasyni jak jeden mąż wstrzymali oddech. Więc Ahmed wszystko wyznał. Naturalnie, zrobił to na torturach. Niemniej jednak wszystko wyjawiał.

Ramiona Al Mualima opadły.

Omar zaś wychodził z siebie.

– Pozwól mi pójść – nalegał. – Mistrzu, proszę cię.

W dole kat rozstawił szeroko stopy. Dwiema rękami wznosił szablę nad głowę. Ahmed naparł nieznacznie na przytrzymujące go ramiona. Jego wyprężona szyja wystawiona była na pastwę ostrza. Na wzgórzu zaległa cisza, przerywana tylko pojękiwaniami szpiega.

– Twoja ostatnia szansa, asasynie – zawołał Shihab.

Głównia bułata załśniła.

– Mistrzu – błagał Omar – pozwól mi tam iść.

Al Mualim skinął głową.

– Stać! – ryknął Omar. Skoczył w kierunku wystającej z wieży platformy

i krzyknął do Shihaba:

– Ja jestem Omar Ibn-La’Ahad. To moje życie powinieneś zabrać.

Szeregi Saracenów zafalowały z podniecenia. Shihab uśmiechał się, kiwnął głową. Dał znak katu i ten cofnął się, ponownie opierając swoją szablę o ziemię.

– Bardzo dobrze – rzucił do Omara. – Przyjdź tu i zajmij miejsce na pniu.

Omar odwrócił się do Al Mualima, który podniósł głowę i spojrzał na niego zaczerwienionymi oczami.

– Mistrzu – odezwał się Omar – proszę cię o ostatnią przysługę. Zatrósz się o Altaïra. Przyjmij go jako nowicjusza.

Al Mualim skinął głową.

– Oczywiście, Omarze – powiedział. – Oczywiście.

Cała cytadela zamilkła, gdy Omar zszedł po drabinach z wieży, przemierzył zbudowany na opadającym zboczu barbakan, po czym pod łukowym sklepieniem doszedł do głównej bramy. Wartownik postąpił naprzód i otworzył furtę. Omar pochylił się, by przekroczyć próg.

Nagle zza pleców dobiegł go okrzyk „ojcze!” oraz odgłos biegnących stóp. Zamarł.

– Ojcze.

Omar usłyszał rozpacz w głosie syna i zacisnął powieki, by zatrzymać łzy, które cisnęły mu się do oczu, gdy wychodził za bramę. Wartownik zatrzasnął za nim furtę.

Ahmeda ściągnięto z katowskiego pieńka. Omar chciał spojrzeniem dodać mu otuchy, lecz Ahmed nie mógł już tego zauważyć. Powleczono go pod furtę w głównej bramie twierdzy i tam ciśnięto na ziemię. Ktoś otworzył drzwi, wciągnął leżącego do środka, a następnie zamknął je z powrotem. Omar poczuł, jak liczne ręce chwytają go, ciągną ku pniakowi i rozciągają na nim tak, jak wcześniej rozciągnięty leżał tu Ahmed. Nadstawił gardło i spojrzał na górującego nad nim kata. Za jego plecami widział niebo.

– Ojcze! – Krzyk z cytadeli doleciał do niego w tej samej chwili, w której

lśniące ostrze runęło w dół.

Kilka dni później pod osłoną ciemności Ahmed opuścił fortecę. Rankiem, gdy odkryto jego zniknięcie, jedni zastanawiali się, jak mógł porzucić swego syna – którego matka zmarła dwa lata wcześniej na febrę – podczas gdy inni twierdzili, że nie mógł znieść wstydu, jakim się okrył, i dlatego musiał odejść.

Prawda była jednak zupełnie inna.

4

20 czerwca 1257

Dziś rano obudził mnie Maffeo, potrząsając moim ramieniem – muszę zaznaczyć, że robił to niezbyt delikatnie. Ta natarczywość spowodowana była jednak ciekawością, jaką wzbudziła w nim moja opowieść. Powinienem być mu wdzięczny przynajmniej za to.

– No więc? – zagadnął.

– No więc co? – Mój głos był zaspany, ale Maffeo zdawał się tym nie przejmować.

– No więc, co stało się z Ahmedem?

– To, mój bracie, odkryłem dopiero w nieco późniejszym czasie.

– Opowiedz mi zatem.

Zastanowiłem się nad tym pokrótce, próbując jednocześnie przyjąć na łóżku pozycję siedzącą.

– Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli opowiem ci te historie tak, jak mnie samemu je opowiadano – powiedziałem wreszcie. – Altaïr, choć się starzeje, jest doskonałym gawędziarzem. Myślę, że powinienem trzymać się jego sposobu narracji. Większa część mojego pierwszego spotkania z Altaïrem poświęcona została właśnie tym zdarzeniom, o których opowiedziałem ci wczoraj. Temu jednemu epizodowi, który wydarzył się, gdy Altaïr miał zaledwie jedenaście lat.

– Traumatyczne przeżycie dla dziecka – zauważył Maffeo. – A co z jego

matką?

- Zmarła podczas porodu.
- Jedenastoletni Altaïr został sierotą?
- Istotnie.
- Co się z nim stało?
- Cóż, wiesz, co się stało. Siedzi w swojej wieży i...
- Nie, chodzi mi o to, co wtedy się z nim stało?
- To także będzie musiało poczekać, bracie. Gdy po raz kolejny spotkałem się z Altaïrem, skoncentrował się na wydarzeniach, które miały miejsce piętnaście lat później. W swojej opowieści przeskoczył do dnia, w którym skradał się przez mroczne, ociekające wodą katakumby, rozciągające się pod Jerozolimą...

Był rok 1191, a od zdobycia Jerozolimy przez Saladyna i jego Saracenów minęły ponad trzy lata. W odpowiedzi chrześcijanie zazgrzytali zębami, tupnęli nogami i wprowadzili w swych krajach dodatkowe podatki, by zdobyć fundusze na trzecią krucjatę – i tak raz jeszcze mężowie w kolczugach pomaszerowali do Ziemi Świętej i oblegli tamtejsze miasta.

Król Anglii, Ryszard, którego zwano Lwim Sercem – człowiek równie okrutny, jak odważny – zdobył niewiele wcześniej Akre, ale jego największym marzeniem pozostawało odzyskanie Jerozolimy, świętego miejsca. W samej zaś Jerozolimie nie było miejsca świętszego od Wzgórza Świątynnego oraz ruin Świątyni Salomona, do której usiłowali się właśnie przekraść Altaïr, Malik oraz Kadar.

Poruszali się szybko, ale ostrożnie, trzymając się blisko ścian tuneli; ich miękkie buty ledwie zostawiały ślady na piasku. Pierwszy szedł Altaïr, kilka kroków za nim podążali Malik i Kadar. Zmysły każdego z nich dostrojone były do otoczenia, a tętno przyspieszało, w miarę jak zbliżali się do wzgórza. Katakumby liczyły sobie tysiące lat i na tyleż właśnie wyglądały. Altaïr widział, jak z chwiejnych drewnianych wsporników osypuje się piasek i kurz; ziemia pod stopami była miękka, a pokrywający ją piach był wilgotny od

wody, która nieprzerwanie kapłała skądś z góry – gdzieś blisko musiał przebiegać jakiś ciek wodny. Powietrze było ciężkie od zapachu siarki, wydobywającego się z napełnionych olejem skalnym kaganków, zawieszonych na ścianach tunelu.

Pierwszy kapłana usłyszał Altaïr. Nie bez powodu został przecież wybrany dowódcą, asasyńskim mistrzem; jego umiejętności były większe, jego zmysły bardziej wyostrzone. Przystanął. Dotknął ucha, po czym uniósł rękę i wszyscy trzej zastygli w bezruchu niczym zjawy, które nawiedziły korytarz. Altaïr rzucił okiem za siebie: pozostali dwaj czekali na jego następną komendę. Oczy Kadara płonęły z niecierpliwości; spojrzenie Malika pozostało czujne i skupione.

Cała trójka wstrzymała oddech. Wokół nich kapłała woda. Altaïr z uwagą nasłuchiwał mamrotania kapłana.

Fałszywa chrześcijańska pobożność templariusza.

Altaïr przesunął ręce za plecy i szybko poruszył nadgarstkiem, by wysunąć ukryte ostrze. Poczul przy tym znajome szarpnięcie mechanizmu połączonego z pierścieniem, jaki nosił na małym palcu. Należycie dbał o swe ostrze, dzięki czemu odgłos, jaki wydawało w momencie uwolnienia, był niemal niesłyszalny – aby mieć pewność, wysunął je dokładnie w chwili, w której na ziemię spadła kolejna kropla wody.

Kap... kap... klik.

Przesunął ramiona do przodu, a ostrze na jego lewej ręce zalśniło w migotliwym świetle, spragnione krwi.

Altaïr przylgnął plecami do ściany tunelu i ruszył ostrożnie naprzód, posuwając się przez łagodny zakręt, dopóki nie dostrzegł klęczącego w przejściu kapłana; miał na sobie szaty templariuszy, co mogło oznaczać, że dalej, zapewne gdzieś w ruinach świątyni, znajdują się także i inni. Altaïr nie wątpił, że szukają tam ich skarbu.

Serce zabiło mu szybciej. Było tak, jak przypuszczał. To, że miasto znajdowało się pod kontrolą Saladyna, nie powstrzymało mężów spod znaku

czerwonego krzyża. Oni także mieli swoje sprawy do załatwienia na wzgórzu. Jakże? Altaïr rzecz jasna zamierzał się tego dowiedzieć, ale najpierw...

Najpierw należało zająć się kapłanem.

Przykucnął nisko i podkradł się od tyłu do klęczącego mężczyzny, który nadal się modlił, nieświadomy bliskości śmierci. Altaïr przeniósł ciężar ciała na wysuniętą nogę i ugiął nieco kolana, po czym wzniósł ostrze i cofnął do tyłu zgiętą w łokciu rękę, gotów do zadania ciosu.

– Czeka! – syknął za jego plecami Malik. – Musi być inny sposób... On nie musi umierać.

Altaïr zignorował go. Jednym płynnym ruchem chwycił księdza prawą ręką za ramię, a lewą wbił ostrze w jego kark, trafiając między czaszkę a pierwszy kręg i przerywając tym samym kręgosłup.

Kapłan nie zdążył krzyknąć: śmierć była prawie natychmiastowa. Prawie. Ciało szarpnęło się i wyprężyło, ale Altaïr przytrzymał je pewnym chwytem. Przytknąwszy palec do arterii szyjnej duchownego, poczuł, jak uchodzi z niego życie. Ciało rozluźniło się powoli i Altaïr pozwolił mu cicho opaść na ziemię, gdzie legło w kałuży wsiąkającej w piach krwi.

Cała rzecz rozegrała się szybko i bezgłośnie. Kiedy jednak Altaïr wyciągał z powrotem swoje ostrze, podchwycił oskarżycielskie spojrzenie Malika. Wszystko, co mógł zrobić, to stłumić cisnący mu się na usta szyderczy uśmieszek, który wywołała okazywana przez Malika słabość. Z drugiej strony brat Malika, Kadar, wciąż wpatrywał się w ciało kapłana z mieszaniną zachwyty i respektu.

– Doskonałe zabójstwo – powiedział podekscytowany. – Fortuna sprzyja twemu ostrzu.

– To nie fortuna – odparł chełpliwie Altaïr. – To umiejętności. Obserwuj dalej, a może się czegoś nauczysz.

Mówiąc to, spojrział uważnie na Malika i zauważył, jak oczy asasyna zapłonęły gniewem i zazdrością; nie było wątpliwości, że wywołało ją

uznanie, jakim Kadar darzył Altaïra.

I rzeczywiście Malik zwrócił się do swego brata.

– Tak... Nauczysz się lekceważyć wszystkie nauki naszego Mistrza.

Altaïr raz jeszcze uśmiechnął się ironicznie.

– A jak ty byś to załatwił?

– Nie ściągałbym na nas uwagi. Nie odbierałbym życia niewinnemu.

Altaïr westchnął.

– Nie jest ważne to, jak wypełnimy zadanie, byle zostało ono wykonane.

– Ale to nie są metody... – zaczął Malik.

Altaïr utkwiał w nim swoje spojrzenie.

– Moje metody są lepsze.

Przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Nawet w tym wilgotnym, zimnym i ciekącym tunelu Altaïr zdołał dostrzec w oczach Malika zuchwalstwo oraz urazę. Wiedział, że musi na niego uważać. Wyglądało na to, że młody Malik jest przeciwnikiem, który tylko czyha na odpowiednią okazję.

Jednak nawet jeśli planował rzucić Altaïrowi wyzwanie, to najwidoczniej uznał, że teraz nie pora.

– Pójdę na zwiady – oświadczył. – Spróbuj nie zhańbić nas bardziej.

Kara za to wyjątkowe nieposłuszeństwo także będzie musiała poczekać, zdecydował Altaïr, patrząc za Malikiem, który ruszył tunelem w kierunku świątyni.

Kadar popatrzył za oddalającym się bratem, po czym obrócił się do Altaïra.

– Jakie właściwie jest nasze zadanie? – zapytał. – Mój brat nie powiedział mi nic poza tym, że powinienem czuć się zaszczycony, że mnie do niego wybrano.

Altaïr przyjrzał się pełnemu zapału młodzikowi.

– Mistrz sądzi, że templariusze znaleźli coś pod Wzgórzem Świątynnym.

– Skarb? – wyrzucił z siebie Kadar.

– Nie wiem. Najważniejsze, że Mistrz uważa to za istotne. Inaczej nie

rozkazałby mi tego czegoś odzyskać.

Kadar skinął głową i na znak dany mu ręką przez Altaïra podążył szybko w ślad za bratem. Altaïr został sam. W zamyśleniu patrzył na zwłoki księdza; na piasku wokół jego głowy utworzyła się krwawa aureola. Malik mógł mieć rację. Z pewnością istniały inne sposoby na uciszenie kapłana. A jednak Altaïr go zabił, ponieważ...

Ponieważ mógł.

Ponieważ był Altaïrem Ibn-La'Ahadem, synem asasyna. Najlepiej wyszkolonym w całym Zakonie. Był mistrzem wśród asasynów.

Ruszył przed siebie i dotarł do ciągu głębokich dziur w ziemi – w czeluściach unosiła się mgła. Bez trudu wskoczył na pierwszą poprzeczną belkę nad przepaścią. Wylądował gibko na ugiętych nogach, niczym kot, oddychając spokojnie i napawając się własną siłą i sprawnością.

Przeskoczył na kolejną belkę, a potem na następną, aż wreszcie dotarł do miejsca, w którym czekali na niego Malik oraz Kadar. Nie zwróciwszy na nich uwagi, przemknął obok; odgłos jego stóp był cichy niczym szept, a na piasku nie zostawał po nich niemal żaden ślad. Nagle wyrosła przed nim wysoka drabina, na którą wskoczył z rozpędu, pokonał ją szybko i cicho, zwalniając dopiero tuż przed samym szczytem, gdzie zatrzymał się, nasłuchując oraz wciągając w nozdrza powietrze.

Następnie bardzo powoli wysunął głowę i jego oczom ukazała się wysoka komnata, a w niej, tak jak się tego spodziewał, strażnik. Stał obrócony do Altaïra plecami. Ubrany był w strój templariuszy: pikowany kaftan, zwany gambesonem, nogawice, kolczugę; u biodra zwisał mu miecz.

Altaïr, cichy i nieporuszony, przyglądał mu się przez chwilę, zwracając uwagę na jego posturę i sposób, w jaki trzymał ramiona. Dobrze. Strażnik był zmęczony i nieobecny. Uciszenie go będzie proste.

Altaïr powoli podciągnął się; znalazł się na podłodze komnaty. Przez chwilę trwał tam skulony, starając się wyrównać oddech, cały czas uważnie obserwując templariusza. Wreszcie podkraść się do niego, wyprostował

i uniósł ręce: lewa stała się jego pazurem, prawa zaś gotowa była pochwycić i uciszyć strażnika.

Wtedy zaatakował. Poruszył nadgarstkiem, by uwolnić ostrze, które wbił w kręgosłup strażnika w tej samej chwili, w której się wysunęło; jednocześnie sięgnął prawą ręką, by zdławić okrzyk mężczyzny.

Przez krótki moment stali razem, zespoleni w makabrycznym uścisku, aż Altaïr poczuł na swej dłoni łaskotanie – stłumiony ostatni krzyk, jaki wydała z siebie ofiara. Strażnik zwiotczał i Altaïr opuścił go delikatnie na ziemię, nachylając się jeszcze, by zamknąć mu powieki. Poniósł karę za to, że zawiódł jako wartownik, pomyślał ponuro Altaïr, po czym wyprostował się i dołączył do Malika i Kadara. Ostrożnie ruszyli łukowo sklepionym przejściem, które przed chwilą okazało się tak nędznie strzeżone.

Znaleźli się na górnym poziomie olbrzymiej sali. Altaïr ogarnął ją wzrokiem i nagle poczuł się onieśmielony. Był w ruinach legendarnej świątyni, o której powiadano, że w 960 roku przed Chrystusem zbudował ją sam król Salomon. Jeśli Altaïr się nie mylił, spoglądali teraz na największy budynek świątyni, na jej Miejsce Najświętsze. Wczesne zapiski mówiły o ścianach wyłożonych drewnem cedrowym, o wyrzeźbionych postaciach cherubinów, o drzewach palmowych oraz o kwiatach wytłoczonych w złocie, lecz obecnie świątynia była ledwie cieniem swojej dawnej świetności. Zniknęło ozdobne drewno, cherubiny i złote wykończenia – Altaïr dobrze wiedział, co się z nimi stało – nie miał najmniejszych wątpliwości, że wpadły w łapy templariuszy. Jednak nawet odarta ze swych złotych ozdób Świątynia pozostawała miejscem czci. Altaïr niejako wbrew sobie poczuł, że widok tego miejsca napełnia go zachwytem.

Stojący za nim dwaj towarzysze byli jeszcze bardziej oniemiałi.

– Tam... To musi być Arka – rzekł Malik, wskazując na przeciwległy koniec sali.

– Arka Przymierza!... – wydał stłumiony okrzyk Kadar, który zauważył to samo, co brat.

Altaïr otrząsnął się i spojrzął na obu mężczyzn. Przypominali mu w tamtej chwili parę ogłupiałych handlarzy, zaślepionych widokiem świecidełek.

Arka Przymierza?

– Nie bądźcie śmieszni – zbeształ ich. – Nic takiego nie istnieje. To tylko legenda.

Ale przyglądając się dokładniej, sam nie był już tego do końca pewien. Skrzynia niewątpliwie miała wszelkie cechy legendarnej Arki. Wyglądała dokładnie tak, jak opisywali ją prorocy: cała powleczona złotem, ze złotym wiekiem przyozdobionym figurami cherubinów oraz ze złotymi pierścieniami, do których wkładano drążki do jej przenoszenia. Altaïr uświadomił sobie po chwili, że w tym przedmiocie było coś jeszcze.

Otaczała go aura...

Oderwał oczy od skrzyni. Znacznie ważniejsze sprawy wymagały jego uwagi – ludzie, którzy właśnie pojawili się na dolnym poziomie sali. Ich buciory zachrzęściły po podłożu, niegdyś wyłożonym jodłowymi deskami, a obecnie gołym kamieniem. Templariusze. Ich przywódca już wyszczeniwał rozkazy.

– Do rana ma być wyniesiona przez tę bramę – oznajmił, niewątpliwie mając na myśli Arkę. – Im szybciej zdołamy ją osiąść, tym prędzej będziemy mogli zająć się szakalami w Masjafie.

Mówił z francuskim akcentem, a gdy wszedł w obręb światła, asasyni dostrzegli jego charakterystyczny płaszcz – płaszcz wielkiego mistrza zakonu templariuszy.

– Robert de Sablé – powiedział Altaïr. – Jego życie należy do mnie.

Malik natarł na niego gwałtownie.

– Nie! Kazano nam odzyskać skarb, a z Robertem rozprawić się tylko w razie konieczności.

Altaïr, który miał już dosyć ciągłego nieposłuszeństwa Malika, odwrócił się ku niemu.

– On stoi między nami a skarbem – syknął gniewnie. – Ja bym to nazwał

koniecznością.

– Dyskrecja, Altaïrze – nalegał Malik.

– Masz na myśli tchórzostwo. Ten człowiek to nasz największy wróg, a teraz mamy szansę się go pozbyć.

Malik jednak nie dawał za wygraną.

– Złamałeś już dwie zasady naszego Creda. Teraz chcesz złamać trzecią. Nie narażaj naszego Bractwa.

– Przewyższam cię i tytułem, i umiejętnościami – warknął Altaïr. – Nie masz prawa podważać moich decyzji. – To powiedziawszy, odwrócił się i śpiesznie zszedł po drabinie na znajdujący się poniżej balkon, a następnie na podłogę. Znalazłszy się tam, pewnym krokiem ruszył w stronę grupy rycerzy.

Zauważyli go i zwrócili się ku niemu, z dłońmi na rękojeściach mieczy i z zaciśniętymi szczękami. Altaïr wiedział, że będą się mu przyglądać, że będą wpatrywać się w asasyna maszerującego ku nim z twarzą ukrytą pod kapturem, z powiewającą za plecami szatą i czerwoną szarfą, z dużym mieczem u boku i z rękojeściami krótkich, wystających zza jego prawego ramienia. Wiedział, jaki strach ich wówczas ogarnie.

On z kolei przyglądał im się, by ocenić w myślach możliwości i cechy każdego z nich: który był praworęczny, a który walczył z mieczem w lewej ręce; który wyróżniał się szybkością, a który był najsilniejszy. Szczególnie uważnie obserwował ich wodza.

Robert de Sablé górował nad pozostałymi posturą i siłą. Głowę miał ogoloną, a na jego twarzy odcisnęły piętno lata doświadczeń, które zapewniły mu sławę rycerza równie biegle władającego mieczem, jak okrutnego i bezwzględnego. Altaïr nie miał cienia wątpliwości, że ze wszystkich obecnych w tej sali osób, to Robert de Sablé był zdecydowanie najniebezpieczniejszy; jego też musiał unieszkodliwić w pierwszej kolejności.

Usłyszał, jak Malik i Kadar zeskakują z drabin, i zerknąwszy za siebie, zobaczył, że obaj podążają za nim: Kadar, przełykający nerwowo ślinę, oraz

Malik z błyskiem dezaprobaty w oczach. Widok dwóch kolejnych asasynów jeszcze bardziej rozdrażnił templariuszy – siły po obu stronach stały się teraz bardziej wyrównane. Czterech templariuszy zgromadziło się wokół de Sablé – byli skupieni, a powietrze z każdą chwilą gęstniało od strachu i napięcia.

– Wolnego, templariusze! – zawołał Altaïr, gdy tylko podszedł wystarczająco blisko pięciu rycerzy. Zwrócił się ku Robertowi de Sablé, który stał z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, a na jego ustach malował się wąski uśmiech. W przeciwieństwie do swoich gotujących się do walki towarzyszy, de Sablé sprawiał wrażenie odprężonego, zdystansowanego, tak jakby obecność trzech asasynów nie miała dla niego większego znaczenia. Altaïr zamierzał odpłacić mu za tę arogancję.

– Nie tylko wy macie tu coś do załatwienia – dorzucił.

Obaj mężczyźni taksowali się spojrzeniami. Altaïr przesunął prawą rękę tak, jakby przygotowywał się do uchwycenia rękojeści miecza, który wisiał u jego pasa. Chciał, by tam właśnie skupiła się uwaga templariusza, podczas gdy śmierć z łagodnym kliknięciem nadeszłaby z lewej strony. Tak, podjął decyzję. Finta z prawej, cios z lewej. Wystarczy uporać się z Robertem de Sablé za pomocą ukrytego ostrza, a jego ludzie umkną, asasynom zaś pozostanie już tylko odzyskać skarb. Wszyscy będą mówić o wspaniałym zwycięstwie Altaïra nad wielkim mistrzem templariuszy. Zamknie tym sposobem usta tchórzliwemu Malikowi, po raz kolejny olśni jego brata, a po powrocie do Masjafu będzie się cieszyć czcią braci zakonnych. Al Mualim osobiście go uhonoruje i tym samym przyszła droga Altaïra do stanowiska Mistrza Zakonu będzie zabezpieczona.

Altaïr spojrzał swemu przeciwnikowi w oczy. Niezauważalnie poruszył lewą ręką, sprawdzając napięcie mechanizmu zwalnającego ostrze. Był gotów.

– Czegóż to wam potrzeba? – zapytał de Sablé z tym samym beztroskim uśmiechem.

– Krwi – odparł krótko Altaïr i uderzył.

Z ponadludzką szybkością skoczył ku Robertowi de Sablé, wysuwając jednocześnie ukryte ostrze. Zamarkował cios prawą ręką i uderzył, szybko i zabójczo, niczym kobra, lewą.

Lecz wielki mistrz templariuszy okazał się szybszy i sprytniejszy, niż Altaïr się spodziewał. Pochwycił asasyna podczas jego ataku; zdawało się, że uczynił to z wielką łatwością. Osadził Altaïra w miejscu, unieruchomił i uczynił nagle przerażająco bezradnym.

W tamtej chwili Altaïr uświadomił sobie, że popełnił poważny błąd. Śmiertelny błąd. Zdał sobie sprawę z tego, że to nie de Sablé był arogancki, lecz on sam. W mgnieniu oka przestał się czuć jak Altaïr, mistrz wśród asasynów. Poczul się jak słabe i bezsilne dziecko. Gorzej – jak chełpliwe dziecko.

Próbował się szamotać, ale ledwo mógł się poruszyć. De Sablé przytrzymał go bez wysiłku. Na myśl, że Malik i Kadar są świadkami jego upokorzenia, poczuł ostre ukłucie wstydu. Dłoń de Sablé zaciskała się na gardle Altaïra, który z trudem łapał powietrze. Templariusz zbliżył do niego swoją twarz. Na czole pulsowała mu żyła.

– Nie wiesz, w co się mieszasz, asasynie. Oszczędzę cię tylko po to, byś wrócił do swego Mistrza i doręczył mu wiadomość: Ziemia Święta jest stracona dla niego i dla jego ludzi. Powinien uciekać, póki jeszcze może. Jeśli tu zostanieie, zginiecie wszyscy.

Altaïr krztusił się i charczał, z wolna ciemniało mu przed oczami; walczył ze sobą, by nie stracić przytomności. Tymczasem de Sablé obrócił go z taką łatwością, jakby miał do czynienia z noworodkiem, i cisnął nim ku tylnej ścianie sali. Altaïr zgruchotał wiekowy kamienny mur i wpadł do znajdującego się za nim przedsionka. Przez moment leżał oszołomiony na ziemi, słysząc tylko hałas spadających belek i walących się olbrzymich filarów komnaty. Gdy podniósł głowę, zobaczył, że droga do świątyni jest zablokowana.

Z drugiej strony dobiegały krzyki, wśród których wyróżniał się głos

Roberta de Sablé: „Do broni, ludzie! Zabić asasynów!”. Altaïr zerwał się na nogi i doskoczył do rumowiska, bezskutecznie usiłując znaleźć jakieś przejście. Trawiony wstydem i bezsilnością, słuchał nawoływań Malika i Kadara, a potem krzyków, jakie wydawali, konając. Wreszcie odwrócił się i ze spuszczoną nisko głową wyruszył w drogę powrotną ze świątyni. Czekąca go podróż do Masjafu, gdzie miał przekazać Mistrzowi wieści.

Wieści o tym, że zawiódł. O tym, że on, wielki Altaïr, okrył hańbą siebie i Zakon.

Kiedy w końcu wynurzył się z trzewi Wzgórza Świątynnego, na zewnątrz świeciło słońce, a Jerozolima tętniła życiem. Altaïr jednak nigdy nie czuł się równie samotny.

5

Altaïr dotarł do Masjafu po pięciu wyczerpujących dniach jazdy, podczas których miał aż nadto czasu, by przemyśleć swój błąd. U bram Masjafu pojawił się z ciężkim sercem; gdy tylko wartownicy wpuścili go do środka, od razu udał się do stajni.

Zsiadł z konia i poczuł, jak napięte mięśnie nareszcie się rozluźniają. Oddał wodze chłopcu stajennemu, a sam przystanął przy studni, by zaczerpnąć nieco wody – najpierw sączył ją powoli, by po chwili pić już pełnymi haustami, a wreszcie ochlapać się nią i z błogością zmyć z twarzy kurz. Nadal jednak czuł na ciele podróżny, lepki brud, którym przesiąknięte były jego szaty. Nie mógł się doczekać, kiedy zażyje kąpieli w błyszczących wodach Masjafu, ukryty przed światem w zagłębieniu w ścianie klifu. Samotność była wszystkim, czego teraz pragnął.

Znalazłszy się na skraju wioski, skierował wzrok ku górze, gdzie za stajennymi barakami i ruchliwym targowiskiem ciągnęły się omiatane wiatrem ścieżki, wiodące ku murom asasyńskiej fortecy. To tam żył i trenował Zakon pod przywództwem Al Mualima, którego kwatery znajdowały się w środkowej wieży bizantyjskiej cytadeli. Często widywano, jak zatopiony w myślach spogląda przez okno swej baszty; Altaïr wyobraził sobie, że Al Mualim jest tam także teraz, wpatrzony w położoną w dole wioskę. Pełną życia, słońca i głosów targujących się kupców, tę samą, z której Altaïr przed dziesięcioma dniami wyruszył z Malikiem i Kadarem do Jerozolimy i do której planował powrócić triumfalnie jako zwycięzca.

Nigdy, nawet w najczarniejszych myślach, nie dopuszczał porażki, a jednak...

Gdy przechodził przez targowisko, usłyszał czyjeś pozdrowienie. Wziął się w garść, wyprostował ramiona i podniósł głowę, próbując odnaleźć w sobie tamtego wspaniałego asasyna, który opuścił Masjaf, zamiast głupca powracającego tu z pustymi rękami.

Tym, który go pozdrowił, był asasyn Rauf. Na jego widok serce Altaïra zamarło – czy w ogóle wcześniej biło, szczerze wątpił. Ze wszystkich ludzi, którzy mogli powitać go po powrocie, musiał to być akurat Rauf, żywiący dla niego nabożne wręcz uwielbienie. Najwyraźniej ten młodszy od Altaïra mężczyzna czekał tu na niego, zabijając czas przy fontannie tryskającej ze ściany. Teraz poderwał się, a jego szeroko otwarte oczy zdradzały przejęcie. Był zupełnie nieświadomy aury porażki, której obecność aż nazbyt dobrze odczuwał wokół siebie Altaïr.

– Wróciłeś, Altaïrze. – Rozpromieniony Rauf przypominał szczeniaka, cieszącego się na widok pana.

Altaïr powoli skinął głową. Obserwował, jak za plecami Raufa stary kupiec odświeża się przy fontannie, a potem wita z młodą kobietą, która podeszła, niosąc wazę ozdobioną wizerunkami gazeli. Postawiła ją na niskim murku otaczającym wodotrysk i oboje pograżyli się w rozmowie, w czasie której kobieta gestykulowała z przejęciem. Altaïr zazdrościł im. Tak bardzo im zazdrościł.

– Dobrze cię widzieć całego i zdrowego – ciągnął Rauf. – Ufam, że twoja misja się powiodła.

Altaïr zignorował to pytające stwierdzenie, w dalszym ciągu obserwując dwójkę przy fontannie. Z trudem spojrzął w oczy Raufa.

– Czy Mistrz jest w swojej wieży? – zapytał wreszcie, odwracając wzrok.

– Tak... – Rauf zmrużył oczy, jakby próbował dojrzeć powód dziwnego zachowania Altaïra. – Zaczytany w swych księgach, jak zwykle zresztą. Na pewno cię oczekuje.

– Dzięki ci, bracie.

To powiedziawszy, opuścił Raufa oraz trajkoczących przy fontannie mieszkańców wioski i ruszył w drogę, przechodząc pomiędzy zastawionymi straganami, ławkami i wózkami wyładowanymi sianem. Bruk na ścieżce urywał się w miejscu, w którym sucha i pylista okolica zaczęła pięć się ostro w górę. Wokół prażyły się w słońcu kępy suchej trawy. Wszystkie drogi nieubłaganie prowadziły do zamku.

Nigdy wcześniej nie czuł się tak przytłoczony jego widokiem. Przemierzając płaski odcinek terenu, zdał sobie sprawę, że bezwiednie zaciskał pięści. U wejścia do fortecy powitali go strażnicy – ich ręce spoczywały na rękojeściach mieczy, a oczy rzucały czujne spojrzenia.

Dotarł do wielkiej bramy, która prowadziła do barbakanu. Jego serce zamarło po raz kolejny, kiedy rozpoznał postać w bramie: był to Abbas.

Abbas stał pod pochodnią, która rozpraszała panujący w podcieniach bramy półmrok. Opierał się o chropowaty ciemny kamień, głowę miał odkrytą, a ręce skrzyżowane na piersi; u jego pasa zwisał miecz. Altaïr przystanął i przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Mijający ich wieśniacy nie zdawali sobie sprawy, że właśnie odżywa na nowo zadawniona wrogość między dwoma asasynami. Był co prawda czas, kiedy jeden nazywał drugiego bratem. Ale czas ów dawno już przeminął.

Na twarzy Abbasa zakwitł powoli szyderczy uśmiech.

– Proszę, oto nareszcie powrócił. – Spojrzał wymownie ponad ramieniem Altaïra. – Gdzie są pozostali? A może pojechałeś przodem, żeby wrócić jako pierwszy? Dobrze wiem, że niechętnie dzielisz się chwałą.

Altaïr nie odpowiedział.

– Milczenie to tylko inna forma potwierdzenia – dodał Abbas, który w dalszym ciągu próbował sprowokować Altaïra, ale robił to z finezją godną byle wyrostka.

– Nie masz nic lepszego do roboty? – westchnął Altaïr.

– Przynoszę ci wiadomość od Mistrza. Czeka na ciebie w bibliotece –

powiedział Abbas. Zrobił Altaïrowi przejście. – Lepiej się pośpiesz. Na pewno nie możesz się doczekać, żeby dotknąć językiem jego buta.

– Jeszcze jedno słowo – odparował Altaïr – a dotknę ostrzem twojego gardła.

– Na to będzie jeszcze mnóstwo czasu, bracie – rzucił Abbas.

Altaïr minął Abbasa, potrąciwszy go ramieniem, przeszedł przez dziedziniec oraz plac ćwiczeń, po czym ruszył ku drzwiom do wieży Al Mualima. Strażnicy pochyłili przed nim głowy w geście szacunku, na jaki zasługiwał mistrz asasynów; pozdrowił ich, zdając sobie sprawę, że już niedługo – gdy tylko wieści się rozejdą – po ich szacunku pozostanie mu tylko wspomnienie.

Najpierw jednak musiał dostarczyć wiadomości Al Mualimowi. Wspiął się po schodach wieży i skierował do komnaty Mistrza. W środku było ciepło, a w powietrzu wisiał ciężki, słodkawy zapach. Drobiny kurzu tańczyły w snopach światła, wpadających do środka przez wielkie okno w przeciwległym końcu sali. Tam też, z dłońmi splecionymi za plecami, stał Mistrz. Jego mistrz. Jego mentor. Człowiek, którego Altaïr otaczał czcią większą niż kogokolwiek innego.

I którego zawiódł.

Ze stojącej w narożniku komnaty klatki dobiegało ciche gruchanie gołębi pocztowych Mistrza. Należące do niego księgi i manuskrypty, na kartach których spisano tysiące lat asasyńskiej literatury i wiedzy, stały na półkach bądź spoczywały ułożone w chwiejne, pokryte kurzem stosy. Mistrz ubrany był w pyszne, powłóczyste szaty, a długie włosy opadały mu na ramiona. Jak zwykle pogrążony był w zadumie.

– Mistrzu – odezwał się Altaïr, przerywając napiętą ciszę. Opuścił głowę.

Al Mualim bez słowa odwrócił się i podszedł do stołu, pod którym walały się zwoje papieru. Obrzucił Altaïra ostrym, zimnym spojrzeniem swojego jedyne go oka. Jego usta, ukryte w szarobiałej brodzie, nie zdradzały żadnych emocji, dopóki w końcu nie przemówił, przywołując jednocześnie ucznia

gestem.

– Podejdz. Opowiedz mi o swojej misji. Wierzę, że odzyskałeś skarb templariuszy...

Altaïr poczuł, jak strużka potu spływa mu po czole i policzku.

– Były pewne trudności, Mistrzu. Robert de Sablé nie był sam.

Al Mualim zbył to stwierdzenie machnięciem ręki.

– Czy nasze dzieło kiedykolwiek przebiegało zgodnie z planem? To nasza zdolność dostosowania się czyni nas tymi, kim jesteśmy.

– Tym razem to nie wystarczyło.

Al Mualim przez chwilę przetrawiał słowa Altaïra. Odszedł od stołu, a w końcu ostrym głosem zapytał:

– Co masz na myśli?

– Zawiodłem cię, Mistrzu – Altaïr zmusił się, by wykrztusić to zdanie.

– Skarb?

– Przepadł.

Atmosfera w komnacie zmieniła się. Napięcie było tak wyraźne, że wydawało się, iż powietrze trzeszczy w szwach. Po chwili Al Mualim ponownie się odezwał:

– A Robert?

– Uciekł.

Słowo to było niczym niespodziewane uderzenie kamieniem. Al Mualim zbliżył się do Altaïra. Jego jedyne oko gorzało gniewem, głos mu drżał, a furia wypełniała całe pomieszczenie.

– Wysłałem ciebie, najlepszego z moich ludzi, żebyś wykonał zadanie ważniejsze od tych, z którymi się dotąd mierzyliśmy, a ty przychodzisz do mnie z przeprosinami i wykrętami?

– Ja...

– Milcz. – Głos Al Mualima ciął niczym bicz. – Ani słowa więcej. Nie tego oczekiwałem. Będziemy musieli wysłać nowe siły, żeby...

– Przysięgam, że go dostaniesz. Znajdę go i... – zaczął Altaïr, który

desperacko pragnął ponownie spotkać się z Robertem de Sablé. Tym razem wynik takiego spotkania byłby już całkiem inny.

Wówczas Al Mualim rozejrzył się, jakby właśnie przypomniał sobie, że Altaïr opuścił Masjaf wraz z dwoma towarzyszami.

– Gdzie są Malik i Kadar? – zażądał odpowiedzi.

Druga kropla potu pociekła po skroni Altaïra, gdy rzekł:

– Nie żyją.

– Nie. – Głos dobiegł gdzieś z tyłu. – To nieprawda.

Al Mualim i Altaïr odwrócili się i ujrzeli ducha.

6

W drzwiach do komnaty Mistrza stał Malik – chwiejąca się na nogach, poraniona, wyczerpana, zboczona krwią postać. Na jego białych niegdyś szatach widniały teraz krwawe plamy, widoczne zwłaszcza wokół lewego ramienia, które wyglądało na poważnie zranione: pokryte poczerniałymi strupami dyndało bezwładnie wzdłuż ciała.

Gdy wszedł do komnaty, ranna ręka zwisała, a on sam lekko utykał. Jednak nie było wątpliwości, że w tym pokiereszowanym ciele wciąż zamieszkuje niezłomny duch: wzrok Malika płonął bowiem gniewem i nienawiścią. Wrogie spojrzenie, jakim obrzucił Altaïra, było tak przejmujące, że ten musiał wyteńczyć wszystkie siły, by się nie cofnąć z przerażenia.

– Przynajmniej ja wciąż żyję – warknął Malik, wbijając w Altaïra pełne wściekłości, przekrwione oczy. Jego oddech był krótki i nierówny. Na odsłoniętych zębach widać było krew.

– A twój brat? – zapytał Al Mualim.

Malik pokręcił głową.

– Zginął.

Na chwilę utkwiał oczy w podłodze, po czym w nagłym porywie gniewu podniósł głowę, zmrużył oczy i wycelował drążący palec w Altaïra.

– Przez ciebie – syknął.

– Robert wypchnął mnie z komnaty. – Usprawiedliwienie Altaïra zabrzmiało nieprzekonująco nawet w jego własnych uszach. Zwłaszcza w jego uszach. – Nie miałem drogi powrotu. Nic nie mogłem zrobić...

– Bo nie posłuchałeś mojego ostrzeżenia! – wykrzyknął ochrypłym głosem Malik. – Tego wszystkiego można było uniknąć. A mój brat... Mój brat by żył! Twej arogancji niemalże nie przypłaciliśmy porażką.

– Niemalże? – rzekł ostrożnie Al Mualim.

Malik uspokoił się i skinął głową, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu – uśmiechu, którego adresatem był Altaïr. Przywołał gestem innego asasyna, który wystąpił do przodu, niosąc na tacy pudełko.

– Mam to, czego nie potrafił odnaleźć twój ulubieniec – powiedział Malik. W jego głosie słychać było wysiłek, zdradzający krańcowe osłabienie, ale nic nie mogło mu popsuć chwili triumfu nad Altaïrem.

Gdy asasyn postawił tacę na stole Al Mualima, Altaïr poczuł, że ziemia ucieka mu spod nóg. Pokryta starożytnymi runami kasetka miała w sobie coś – aurę. W środku z pewnością znajdował się skarb. Musiał tam być. Skarb, którego Altaïr nie zdołał odzyskać.

Zdrowe oko Al Mualima było szeroko rozwarte i błyszczało, a język gwałtownie oblizywał rozchylone wargi. Mistrz był urzeczony widokiem kasetki i myślą o jej zawartości. Nagle z zewnątrz dobiegł ich jakiś harmider. Krzyki. Tupot biegnących stóp. Niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym brzęk stali uderzającej o stal.

– Zdaje się, że przyniosłem ze sobą coś więcej niż skarb – zauważył Malik.

Do sali wpadł posłaniec i niepomny wszelkiego protokołu zawołał zdyszczanym głosem:

– Mistrzu, zaatakowano nas! De Sablé oblega wioskę!

Oderwany od swych myśli Al Mualim zareagował ochoczo na perspektywę konfrontacji z Robertem de Sablé.

– A więc pragnie bitwy? Bardzo dobrze. Nie odmówię mu jej. Idź, powiadom innych. Forteca musi być gotowa.

Następnie skierował uwagę na Altaïra. Jego oczy miały płomień, gdy powiedział:

– Jeśli idzie o ciebie, Altaïrze, to nasza rozmowa będzie musiała poczekać.

Teraz ruszaj do wioski. Zetrzyj w proch napastników. Przepędź ich z naszego domu.

– Tak się stanie – odrzekł Altaïr z uczuciem ulgi, jaką przyniósł mu niespodziewany rozwój wypadków. Atak na wioskę był lepszy niż konieczność dalszego znoszenia upokorzeń. W Jerozolimie okrył się hańbą. Teraz będzie miał szansę to naprawić.

Zeskoczył z półpiętra za komnatą Mistrza i wylądował na gładkiej kamiennej podłodze, po czym wybiegł z wieży. Pędząc przez plac ćwiczeń i główną bramę, zastanawiał się, czy gdyby teraz zginął, to czy nie byłaby to właśnie upragniona przez niego ucieczka? Czy byłaby to dobra śmierć? Śmierć zaszczytna i wspaniała?

Wystarczająco wspaniała, by go oczyścić?

Dobry miecz. Odgłosy bitwy były teraz bliżej. Mógł już dostrzec asasynów i templariuszy, walczących na wyżynie u podnóża zamku; u stóp wzgórza widział mieszkańców wioski, rozproszonych przez siły napastników. Zbocze zdążyły już pokryć ciała zabitych.

Chwilę później sam został zaatakowany. Rycząc, pędził na niego rycerz templariuszy. Altaïr obrócił się w jego stronę, pozwalając, by zawładnął nim instynkt. Uniósł broń na spotkanie chrześcijanina, który natarł szybko i mocno; gdy jego szeroki miecz uderzył w klingę Altaïra, rozległ się szcęk stali. Altaïr był jednak na to przygotowany: rozstawił szeroko stopy i przyjął idealną postawę, dzięki czemu atak templariusza ledwie zdołał go poruszyć. Następnie obrócił przeciw rycerzowi znaczny ciężar jego własnego miecza – odbił jego ostrze na bok, przez co ramię templariusza wykonało trwający mgnienie oka bezużyteczny wymach. Altaïr natychmiast wykorzystał to do zrobienia wypadu i wbicia ostrza w brzuch wroga.

Templariusz zaatakował go, przekonany, że Altaïr będzie łatwą ofiarą. Taką jak wieśniacy, których wcześniej wyżywał. Pomylił się. W jego wnętrznościach tkwiła teraz stalowa klinga, a on sam kaszlał krwią; oczy zrobiły mu się okrągłe z bólu i zdziwienia, gdy Altaïr szarpnął ostrzem

w górę, rozcinając tors na pół. Rycerz upadł na plecy, a jego trzewia wylały się na ziemię.

Altaïr walczył teraz przepelniony czystym jadem – cała jego frustracja znalazła ujście w zadawanych mieczem ciosach, jakby za własne zbrodnie mógł zapłacić krwią nieprzyjaciół. Następny templariusz parował ciosy, usiłując stawić czoła spychającemu go do tyłu asasynowi. Postawa templariusza cały czas się zmieniała: zaczął od ataku, potem przeszedł do defensywy, która wreszcie przerodziła się w desperacką obronę. Nawet kiedy udawało mu się sparować uderzenie Altaïra, skamlał, oczekując niechybnej śmierci.

Altaïr zamarkował cios, zakręcił młynka mieczem i ostrze przecięło szyję chrześcijanina. Z otwartego gardła chlusnęła krew, plamiąc cały strój templariusza na kolor równie czerwony jak krzyż na jego piersi.

Templariusz opadł na kolana, potem runął do przodu. Stało się to w tej samej chwili, w której na Altaïra natarł kolejny żołnierz; jego uniesiony miecz lśnił w promieniach słońca. Altaïr usunął się na bok, po czym zatopił stal głęboko w plecach przeciwnika – przez chwilę ciało mężczyzny wyprężyło się, a usta otworzyły w niemym krzyku. Z przebitej klatki piersiowej wystawało ostrze. Altaïr pozwolił ciału opaść na ziemię, po czym wyszarpnął z niego swój miecz.

Chwilę później zaatakowało go jednocześnie dwóch napastników, zapewne w nadziei, że przewaga liczebna pozwoli im powalić asasyne. Nie wzięli jednak w rachubę jego gniewu. Altaïra przepelniała nie zwykła, zimna pewność siebie, lecz płomienny zapał. Zapał wojownika, który za nic ma własne bezpieczeństwo. Taki wojownik jest najniebezpieczniejszy.

Wokół ujrzał więcej zwłok mieszkańców wioski i gniew w nim zawrzał, a jego ciosy stały się jeszcze straszliwsze. Kolejnych dwóch zbrojnych padło pod jego mieczem; zostawił ich, wijących się konwulsyjnie na ziemi. Jednak pod naporem coraz to nowych napastników zarówno asasyni, jak i ludzie z wioski wycofywali się pospiesznie w górę zbocza. Altaïr zauważył, jak

Abbas nakazuje im odwrót do zamku.

– Nacierać na pogańską fortecę – wrzasnął w odpowiedzi jeden z rycerzy. Biegł pod górę w stronę Altaïra, po drodze zamachnąwszy się jeszcze mieczem na uciekającą kobietę. – Dopaść asasyn...

Altaïr ciął w gardło chrześcijanina, którego ostatnie słowo ugrzęzło w bulgocie.

W ślad za uchodzącymi asasynami oraz mieszkańcami wsi nadciągali kolejni templariusze. Altaïr zawahał się; czy oto nadeszła chwila, by uczynić z tego wzgórze swą ostatnią redutę – i zginąć, broniąc swoich ludzi i tak umykając przed okrywającym go wstydem?

Nie. Wiedział, że taka daremna śmierć nie była honorowym wyjściem, i dlatego dołączył do uciekających w kierunku fortecy. Dopadł do niej w chwili, gdy zamykano już bramę. Obrócił się jeszcze i spojrzął na krwawą jatkę, jaka rozegrała się pod murami. Piękno Masjafu zostało skalane okrwawionymi ciałami mieszkańców, żołdaków i asasynów.

Obrzucił wzrokiem swoje szaty – były obryzgane krwią templariuszy, ale on sam nie odniósł żadnych ran.

– Altaïrze! – Okrzyk wyrwał go z zamyślenia. To znowu był Rauf. – Chodź!

Altaïr poczuł się nagle bardzo znużony.

– Dokąd idziemy?

– Mamy niespodziankę dla naszych gości. Rób to, co ja. Zaraz wszystko się wyjaśni... – Rauf wskazał na pnące się wysoko w górę mury. Altaïr schował miecz do pochwy i podążył za Raufem, wspinając się po kolejnych drabinach, aż na szczyt jednej z baszt, gdzie, jak się okazało, zebrali się przywódcy asasynów. Wśród nich był sam Al Mualim. Altaïr zerknął na Mistrza, ale ten zupełnie go zignorował. Jego usta były zaciśnięte. Rauf zbliżył się do jednej z drewnianych platform, które wystawały poza obręb wieży, i dał Altaïrowi znak, by uczynił to samo. Wziąwszy głęboki oddech, Altaïr ostrożnie podszedł do krawędzi platformy.

Teraz, gdy stał na samym szczycie zamku Masjaf, mógł ogarnąć wzrokiem całą dolinę. Czuł, jak owiewa go wiatr, a jego podmuchy targają mu szaty. Widział stada ptaków szybujących i pikujących w zstępujących prądach powietrznych. Od wysokości zakreśliło mu się w głowie, a widok zaparł mu dech w piersiach: pofałdowane wzgórza, pokryte bujną zielenią, połyskujące wody rzeki, na zboczach martwe ciała, z tej odległości przypominające małe kropki.

I templariusze.

Oddziały najeźdźców zebrały się na wzniesieniu przed wieżą strażniczą, opodal bramy fortecy. Przewodził im Robert de Sablé, który wystąpił do przodu i spoglądając w stronę murów obronnych, gdzie stali asasyni, zwrócił się do Al Mualima.

– Poganinie! – zaryczał. – Oddaj, co mi ukradłeś!

Skarb.

Myśli Altaïra natychmiast poszybowały ku niezwyklej kasetce na stole Al Mualima. Zdawało mu się, że otacza ją poświata...

– Nie masz do tego prawa, Robercie – odparł Mistrz, a jego głos odbił się echem w dolinie. – Zabieraj się stąd, zanim będę zmuszony jeszcze bardziej przzerzedzić wasze szeregi.

– Grasz w niebezpieczną grę – rzucił de Sablé.

– Zapewniam cię – to nie gra.

– Niech zatem będzie i tak – padła odpowiedź.

W tonie głosu templariusza było coś, co nie spodobało się Altaïrowi. W rzeczy samej – de Sablé wydał jednemu ze swych ludzi rozkaz:

– Przeprowadzić zakładnika.

Spomiędzy zgromadzonych w dole najeźdźców wyciągnięto związanego i zakneblowanego asasyna. Miotał się w więzach, gdy brutalnie wleczono go przed szeregi templariuszy. Jego stłumione jęki dobiegły do stojącego na platformie Altaïra.

De Sablé bez żadnych ceregieli kiwnął głową stojącemu obok żołdakowi.

Ten zaś szarpnął asasy na włosy, odsłaniając szyję, a następnie przesunął po niej ostrzem i otworzył ofierze gardło. Po wszystkim pozwolił ciału upaść na trawę.

Przyglądający się temu asasyni wstrzymali oddech.

De Sablé podszedł do konającego mężczyzny i oparł jedną stopę na jego plecach, skrzyżowawszy ramiona na piersi niczym triumfujący gladiator. Wśród asasynów na blankach fortecy rozległ się pomruk odrazy. Tymczasem de Sablé zawołał do Al Mualima:

– Twoja wioska leży w gruzach, a wasze zapasy nie są niewyczerpane. Ile czasu trzeba, żeby twoja forteca zaczęła rozpadać się od środka? Jak posłuszni będą twoi ludzie, kiedy studnie wyschną i zabraknie im jedzenia? – Templariusz nie zadawał sobie trudu, by ukryć chępliwy ton.

Odpowiedź Al Mualima była jednak spokojna:

– Moi ludzie nie lękają się śmierci, Robercie. Pragną jej oraz nagród, jakie z sobą niesie.

– Dobrze więc! – krzyknął de Sablé. – Będą jej tu mieli pod dostatkiem!

Oczywiście miał rację. Templariusze mogli oblegać Masjaf i odciąć asasynów od zaopatrzenia. Ile czasu będzie musiało minąć, zanim załoga zamku osłabnie na tyle, by de Sablé mógł bezpiecznie przypuścić szturm? Dwa tygodnie? Miesiąc? Altaïrowi pozostawało tylko mieć nadzieję, że plan, jaki powstał w głowie Al Mualima, pomoże im wybrnąć z sytuacji bez wyjścia.

Stojący na platformie po lewej stronie Rauf, jakby potrafił czytać w myślach, wyszeptał:

– Rób to, co ja. I nie wahaj się.

Trzeci asasyn znajdował się za Raufem. Wszyscy trzej pozostawali niewidoczni dla Roberta de Sablé oraz jego ludzi. Spojrzawszy w dół, Altaïr dostrzegł strategicznie rozmieszczone sterty siana, wystarczające, by zamortyzować upadek. Zaczynał pojmować, co miał na myśli Rauf. Mieli skoczyć, niezauważeni przez templariuszy.

Tylko po co?

Jego szaty łopotały na wietrze, owijając się wokół kolana. Dźwięk ten poprawił mu samopoczucie, niczym szum fal albo odgłos deszczu. Raz jeszcze spojrzął w dół i wyrównał oddech. Skoncentrował się. Zajrzał w głąb siebie.

Do jego uszu dobiegały słowa wypowiedane przez Al Mualima i de Sablé, ale nie wsłuchiwał się w nie, myśląc wyłącznie o skoku, szykując się do niego. Zamknął oczy. Opanował się, wyciszył.

– Teraz – powiedział Rauf i skoczył, a w ślad za nim uczynił to towarzyszący im asasyn. Nadeszła kolej na Altaïra.

Skoczył.

Kiedy spadał z rozpostartymi rękoma, czas zatrzymał się. Jego pozbawione napięcia ciało wyrysowało w powietrzu łuk. Altaïr poczuł, że oto osiągnął swoistą doskonałość – czuł, jakby oderwał się od samego siebie. A potem idealnie wylądował na stogu siana, który zamortyzował upadek.

Raufowi także się udało, w przeciwieństwie do trzeciego asasyna, który, zbyt sztywno wpadając w siano, złamał nogę. Mężczyzna krzyknął, a Rauf podbiegł natychmiast, by go uciszyć. Nie chciał, by usłyszeli ich templariusze – aby podstęp się udał, rycerze musieli być przekonani, że skok trzech asasynów zakończył się dla nich śmiercią.

Rauf obrócił się do Altaïra.

– Zostanę z tyłu i zaopiekuję się nim. Będziesz musiał iść dalej bez nas. Tamte liny zaprowadzą cię do pułapki. Uruchom ją i ześlij śmierć na naszych wrogów.

Oczywiście. Teraz Altaïr zrozumiał. Przez myśl przemknęło mu pytanie, w jaki sposób asasynom udało się zastawić tę pułapkę bez jego wiedzy. Jak wiele stron działalności Bractwa pozostaje dla niego tajemnicą? Korzystając z rozwieszonych lin, zwinnie pokonał przepaść, a następnie obrócił się i przeszedł ponad czeluścią wąwozu, docierając do ściany klifu. Znajdował się teraz na tyłach wieży obserwacyjnej. Rozpoczął wspinaczkę, intuicyjnie

wybierając drogę. Jego ruchy były szybkie i sprężyste; czuł, że mięśnie ramion zaczynają drżeć, w miarę jak wspinał się coraz to wyżej i wyżej po stromym murze wieży. Wreszcie dotarł na szczyt. Pod drewnianym dachem znajdowała się gotowa do uruchomienia pułapka: ciężkie, nasmarowane tłuszczem drewniane kłody, ułożono je na pochyłej platformie.

Altair podszedł cicho na skraj wieży i spojrzał w dół na szeregi templariuszy; większość z nich była odwrócona do niego plecami. Jego wzrok padł na liny powstrzymujące kłody przed osunięciem się w dół. Wyciągnął miecz i, po raz pierwszy od wielu dni, uśmiechnął się.

7

Zebrani na zamkowym dziecińcu asasyni wciąż jeszcze delektowali się triumfem.

Kłody zwały się z wieży obserwacyjnej prosto na stojących pod nią rycerzy. Większość z nich zmiażdżyła już pierwsza fala lawiny drewna; pozostałych pogrzebał drugi z przygotowanych w wieży stosów kłód. Chwilę wcześniej ludzie ci byli pewni zwycięstwa. Teraz ich ciała zostały roztrzaskane, kończyny pogruchotane, a cała armia pogrążyła się w chaosie. Robert de Sablé nakazał swym ludziom odwrót, zaś asasyńscy łucznicy wykorzystali okazję i zasypali wrogów deszczem strzał.

Teraz jednak Al Mualim nakazał zgromadzonym ciszę i dał Altaïrowi znak, by dołączył do niego na podium przy wejściu do jego wieży. Wzrok Mistrza był surowy. Gdy Altaïr zajął wskazane mu miejsce, Al Mualim przywołał gestem dwóch strażników i polecił im stanąć po bokach Altaïra.

Niedawne gratulacje ustąpiły miejsca milczeniu. Zwrócony plecami do reszty asasynów, Altaïr czuł na sobie ich spojrzenia. Do tej pory zdążyli się już zapewne dowiedzieć, co wydarzyło się w Jerozolimie; Malik i Abbas na pewno tego dopilnowali. Wysiłki Altaïra w trakcie bitwy, a potem uruchomienie pułapki – to wszystko przestanie teraz mieć znaczenie. Mógł tylko mieć nadzieję, że Al Mualim okaże miłosierdzie.

– Dobrze się spisałeś, odpierając Roberta – rzekł Mistrz, a w jego głosie dała się wyczuć nuta dumy. To wystarczyło, by obudzić w Altaïrze nadzieję, że uzyskał przebaczenie; że odkupił swoje winy czynami, których dokonał od

powrotu z Jerozolimy. Al Mualim tymczasem ciągnął dalej: – Jego siła została złamana. Minie wiele czasu, zanim znowu sprawi nam kłopoty. Powiedz, czy wiesz, dlaczego ci się to udało?

Altaïr nie odpowiedział; jego serce waliło niczym młot.

– Udało ci się, ponieważ usłuchałeś – rzekł z naciskiem Al Mualim. – Gdybyś posłuchał także w Świątyni Salomona, tego wszystkiego można byłoby uniknąć, Altaïrze.

Ręka Mistrza zatoczyła koło, wskazując na dziedziniec oraz teren poza nim – wciąż jeszcze uprzątno stamtąd ciała poległych asasynów, templariuszy i mieszkańców wioski.

– Zrobiłem to, co mi kazano – powiedział Altaïr. Starł się ostrożnie dobierać słowa, ale z marnym skutkiem.

– Nie! – gwałtownie zaprzeczył Mistrz. Jego oczy zapłonęły. – Zrobiłeś to, na co miałeś ochotę. Malik opowiedział mi o twojej arogancji. O lekceważeniu naszych zwyczajów.

Dwaj strażnicy stojący obok Altaïra postąpili o krok do przodu i chwycili go za ramiona. Mięśnie Altaïra napięły się. Zaparł się, ale nie próbował się im wyrwać.

– Co robicie? – zapytał niespokojnie.

Na policzki Al Mualima wystąpiły rumieńce.

– Istnieją pewne reguły. Jesteśmy niczym, jeśli nie przestrzegamy Creda Asasynów. Tych trzech prostych zasad, o których najwyraźniej zapomniałeś. Przypomnę ci je. Pierwsza i najważniejsza: powściągnij swoje ostrze...

To miał być wykład. Altaïr odprężył się. Nie mógł ukryć rezygnacji w swoim głosie, kiedy kończył zdanie rozpoczęte przez Al Mualima:

– ...niech nie dotknie ciała niewinnego. Wiem.

Odgłos uderzenia dłoni Al Mualima w twarz Altaïra odbił się echem od kamiennych ścian dziedzińca. Altaïr poczuł palący ból.

– I powściągnij swój język, dopóki nie pozwolę ci go używać – zaryczał Al Mualim. – Skoro tak dobrze znasz tę zasadę, dlaczego zabiłeś starca

w świątyni? Był niewinny. Nie musiał ginąć.

Altaïr nic nie odrzekł. Cóż mógł powiedzieć? Że zachował się nierozważnie? Że zabicie starca było aktem arogancji?

– Twoja bezczelność nie zna granic – zagrmiał Al Mualim. – Naucz swoje serce pokory, dziecko, albo przysięgam, że wyrwę je z ciebie własnymi rękami.

Zamilkł. Jego pierś unosiła się i opadała, gdy usiłował opanować swój gniew.

– Druga zasada jest źródłem naszej siły – podjął. – Ukrywaj się w widocznym miejscu. Niech inni ludzie będą twoją maską. Wtop się w tłum. Pamiętasz tę zasadę? Bo z tego, co mi powiedziano, wolałeś ujawnić się i ściągnąć na siebie uwagę, zanim zdążyłeś uderzyć.

Altaïr nadal nic nie mówił. Czuł, jak wypełnia go wstyd.

– Trzecia i ostatnia zasada – rzekł Al Mualim. – I najgorsza z twoich zrad: nigdy nie narażaj Bractwa. Znaczenie tej reguły powinno być oczywiste. Twoje czyny pod żadnym pozorem nie mogą nam szkodzić, ani pośrednio, ani bezpośrednio. A jednak twoje egoistyczne zachowanie pod Jerozolimą naraziło nas na niebezpieczeństwo. Co gorsza, sprowadziłeś wroga do naszego domu. Każdy człowiek, którego dziś straciliśmy, zginął z twojej winy.

Altaïr nie mógł patrzeć na Mistrza. Jego głowa po uderzeniu pozostawała odwrócona, a twarz nadal piekła od wymierzonego mu policzka. Kiedy jednak usłyszał, że Al Mualim wyciąga sztylet, w końcu na niego spojrział.

– Przykro mi. Naprawdę mi przykro – rzekł Al Mualim – ale nie mogę tolerować zdrady.

Nie. Tylko nie to. Nie śmierć zdrajcy.

Oczy Altaïra rozwarły się szeroko, gdy spoczęły na ostrzu w ręce Mistrza – tej samej ręce, która prowadziła go od dzieciństwa.

– Nie jestem zdrajcą – wyjąkał.

– Twoje czyny świadczą o czymś innym. Nie zostawiłeś mi wyboru. – Al

Mualim cofnął swój sztylet. – Pokój z tobą, Altaïrze.
To powiedziawszy, wbił ostrze w jego brzuch.

8

Słowa Mistrza spełniły się. Przez kilka drogocennych chwil po swej śmierci Altaïr zaznał spokoju.

A potem... potem zaczął odzyskiwać przytomność. Stopniowo wracała mu samoświadomość i poczucie tego, gdzie się znajduje.

Stał na własnych nogach.

Jakim cudem? Czy to właśnie była śmierć, życie pozagrobowe? Czy znajdował się w raju? Jeśli tak, to raj nad wyraz przypominał komnatę Al Mualima. Co więcej, był tam nawet sam Al Mualim. Przyglądał się Altaïrowi nieprzeniknionym wzrokiem.

– Czy ja żyję? – Dłoń Altaïra powędrowała do miejsca, gdzie trafił nóż. Spodziewał się, że znajdzie tam dziurę o postrzępionych brzegach i poczuje wilgoć krwi, tymczasem – nic. Żadnej rany, żadnej krwi. Mimo że wcześniej to zobaczył. Poczował to. Poczował ból...

A może nie?

– Przecież widziałem, jak pchnąłeś mnie nożem – wykrztusił. – Poczuję uścisk śmierci.

Odpowiedź Al Mualima była zagadkowa.

– Widziałeś to, co chciałem, żebyś zobaczył. Potem spałeś snem umarłych. Trafiłeś do łona. Wszystko po to, byś mógł się obudzić i odrodzić.

Altaïr próbował uspokoić zamęt, jaki panował w jego głowie.

– W jakim celu?

– Czy pamiętasz, o co walczą asasyni, Altaïrze?

– O pokój powszechny – odparł Altaïr, który wciąż starał się dojść do siebie.

– Tak. Powszechny. Nie wystarczy położyć kres przemocy jednego człowieka wobec innych. Nasza walka toczy się także o spokój wewnętrzny. Nie można uzyskać jednego bez drugiego.

– Tak powiadają.

Al Mualim pokręcił głową, a na twarz wystąpiły mu rumieńce. Powiedział podniesionym głosem:

– Bo tak jest! Ale ty, mój synu, nie odnalazłeś wewnętrznego spokoju. Jego brak dość szpetnie daje o sobie znać. Jesteś arogancki i zbyt pewny siebie. Brakuje ci samokontroli i mądrości.

– Co więc się ze mną stanie?

– Powinienem cię zabić za cierpienia, które na nas sprowadziłeś. Według Malika to jedyne sprawiedliwe wyjście: twoje życie za życie jego brata. – Al Mualim przerwał, pozwalając Altaïrowi w pełni zrozumieć znaczenie tej chwili. – Byłaby to jednak strata mojego czasu i twoich talentów.

Altaïr uspokoił się nieco. Zostanie oszczędzony. Dostanie szansę odkupienia.

– Zostałeś pozbawiony swego dobytku – kontynuował Al Mualim. – A także swej rangi. Ponownie stałeś się nowicjuszem, dzieckiem. Tak jak w dniu, w którym trafiłeś do Zakonu po raz pierwszy. Daję ci możliwość odpokutowania. Zapracujesz na swój powrót do Bractwa.

Oczywiście, pomyślał Altaïr.

– Przypuszczam, że już coś zaplanowałeś.

– Po pierwsze, musisz mi udowodnić, że wciąż pamiętasz, co to znaczy być asasynem. Prawdziwym asasynem – odparł Al Mualim.

– Każesz mi więc odebrać komuś życie? – spytał Altaïr, zdając sobie przy tym sprawę, że jego kara będzie o wiele surowsza.

– Jeszcze nie. Najpierw musisz zaakceptować fakt, że ponownie staniesz się uczniem.

- Nie ma takiej potrzeby. Jestem mistrzem asasynów.
- Byłeś mistrzem asasynów. Dotąd to inni tropili dla ciebie twoje ofiary, ale z tym koniec. Od dziś sam będziesz je znajdując.
- Jeśli takie jest twoje życzenie.
- Takie właśnie jest.
- Powiedz mi zatem, co mam zrobić.
- Mam tu listę. Jest na niej dziewięć nazwisk. Tych dziewięciu ludzi musi umrzeć. To nosiciele zarazy, siewcy wojny. Ich władza i wpływy rujnują tę ziemię i sprawiają, że krucjaty nie ustają. Znajdziesz ich i zabijesz. Zasiejesz tym sposobem ziarno pokoju: zarówno dla tej ziemi, jak i dla samego siebie. Tak możesz uzyskać odkupienie.

Altaïr wziął długi, głęboki oddech. Tego zadania mógł się podjąć. Chciał, wręcz musiał to zrobić.

- Dziewięć istnień w zamian za moje własne – powiedział ostrożnie.
- Al Mualim uśmiechnął się.
- Myślę, że to nader hojna oferta. Chcesz o coś zapytać?
 - Gdzie powinienem zacząć?
 - Jedź do Damaszku. Odszukaj handlarza imieniem Tamir. Niech on padnie jako pierwszy.

Al Mualim podszedł do klatki z gołębiami pocztowymi, wyciągnął jednego i delikatnie przytrzymał go w dłoni.

- Gdy przybędziesz do miasta, nie zapomnij odwiedzić siedzibę asasynów. Poślę ptaka, by uprzedzić tamtejszego rafiqę o twoim przyjeździe. Porozmawiaj z nim. Przekonasz się, że ma ci wiele do zaoferowania.

Mistrz otworzył dłoń i ptak w mgnieniu oka zniknął w otwartym na oścież oknie, zupełnie jakby został przez nie wessany.

- Skoro uważasz, że tak będzie najlepiej... – odrzekł Altaïr.
- Tak uważam. Poza tym nie możesz rozpocząć misji bez jego przyzwolenia.

Altaïr zachnął się:

– Co to za bzdura? Nie potrzebuję jego zgody. To strata czasu.

– To cena, jaką płacisz za popełnione błędy – powiedział ostro Mistrz. – Odpowiadasz teraz nie tylko przede mną, ale przed całym Bractwem.

– Niech i tak będzie. – Altaïr ustąpił, odczekawszy najpierw chwilę, by w ten sposób zmanifestować swoje niezadowolenie.

– Jedź więc – rzekł Al Mualim. – Dowiedź, że nie jesteś dla nas stracony.

Sięgnął pod blat stołu i wyciągnął stamtąd przedmiot, który pchnął w stronę Altaïra.

– Weź to – polecił.

Altaïr ochoczo pochwycił ostrze, zapiął klamry na nadgarstku i założył pętelkę zwalniającą na mały palec. Wypróbował działanie mechanizmu.

Znów poczuł się asasynem.

9

Altaïr przemierzył palmowy zagajnik, minął stajnie oraz stragany kupców handlujących pod murami miasta i dotarł do olbrzymich, imponujących bram Damaszku. Znał go dobrze. To tutaj, w największym i najświętszym z syryjskich miast, mieszkały dwa cele jego zeszłorocznych ataków. Obrzucił spojrzeniem otaczające miasto mury i blanki na ich szczycie. Do jego uszu dobiegły odgłosy życia, jakie toczyło się w obrębie kamiennych ścian. Można by pomyśleć, że to kamień wydaje swoje pomruki.

Przede wszystkim należało dostać się do środka. Powodzenie jego zadania wymagało poruszania się po rozległych ulicach *incognito*. Zatrzymanie go przez strażę podczas wjazdu do miasta nie byłoby dobrym początkiem misji. Zsiadł więc z konia i uwiązał go, przyglądając się jednocześnie pilnie strzeżonej przez saraceńskich strażników bramie. Musiał spróbować innej drogi. Łatwiej pomyśleć niż wykonać: Damaszek słynął ze swych zabezpieczeń, a jego mury – Altaïr raz jeszcze zerknął w ich kierunku i poczuł się mały – były zbyt wysokie i strome, by można było wspiąć się na nie z zewnątrz.

Nagle dostrzegł grupkę uczonych i uśmiechnął się. Sam Saladyn zachęcał uczonych mężów, by odwiedzali Damaszek i oddawali się tu studiom – w mieście znajdowały się rozliczne medresy – dlatego też cieszyli się oni specjalnymi przywilejami i mogli poruszać się bez żadnych przeszkód. Altaïr podbiegł i dołączył do grupki, przyjmując możliwie najbardziej pobożną postawę. W towarzystwie uczonych bez kłopotu przeszedł przez bramę.

Pustynia została za jego plecami. Znalazł się we wspaniałym mieście.

Szedł z pochyloną nisko głową, starając się przemierzać ulice szybko, ale i ostrożnie, aż wreszcie dotarł do minaretu. Uważnie rozejrzał się dookoła, po czym doskoczył do parapetu, podciągnął się i zaczął wspinać, wyszukując w rozgrzanym kamieniu kolejnych punktów podparcia dla rąk. Choć nie poruszał się jeszcze tak szybko i pewnie jak niegdyś, zauważył, że jego dawne umiejętności wracają. Czuł, że wracają. A raczej – budzą się na nowo. A wraz z nimi dawne uczucie radosnego podniecenia.

Kiedy znalazł się na samym wierzchołku minaretu, przykucnął. Był teraz niczym drapieżny ptak, unoszący się wysoko ponad miastem; patrzył na zwieńczone kopułami meczety i strzeliste minarety, wyrastające z nierównej powierzchni rozciągającego się w dole morza dachów. Widział targowiska, dziedzińce i kapliczki, a także wieżę, po której rozpoznał położenie asasyńskiej kwatery.

Ponownie wpadł w zachwyty.

Zdążył już zapomnieć, jak pięknie wyglądają miasta z tej wysokości. Nie pamiętał, jak czuł się, oglądając je z wież i dachów.

W takich chwilach czuł powiew wolności.

Al Mualim miał rację. Przez lata to inni namierzali dla Altaïra jego cele. Informowano go, gdzie i kiedy ma się udać, a jego zadanie sprowadzało się wyłącznie do zabicia ofiary. Wówczas nie zdawał sobie z tego sprawy, ale omijał go przez to dreszcz emocji, jaki wywołuje autentyczne bycie asasynem – polegające nie na przelewaniu krwi ani zadawaniu śmierci, lecz na czymś ulotnym, czymś, co można odnaleźć wyłącznie w sobie.

Niezgrabnie przesunął się o krok do przodu i spojrzał w dół na wąskie uliczki. Rozległy się wezwania na modlitwę i tłum zaczął się przerzedzać. Altaïr lustrował baldachimy i dachy, szukając odpowiedniego miejsca do miękkiego lądowania; wreszcie dostrzegł wózek wyładowany sianem. Utkwił w nim wzrok, wziął kilka głębokich oddechów i stanął wyprostowany. Czuł powiew wiatru i słyszał bicie dzwonów. Postąpił krok do przodu, z gracją

wykonał w powietrzu salto i trafił prosto w cel. Lądowanie nie okazało się tak miękkie, jak się spodziewał, ale było bezpieczniejsze od skoku na postrzępiony baldachim; to mogłoby się skończyć rozerwaniem płótna i upadkiem na stragany poniżej. Wyteżył słuch i odczekał, aż ulica ucichnie, po czym wygramolił się z wózka i ruszył ku siedzibie asasynów.

Dostał się do niej przez dach, opuściwszy się prosto do ocienionego westybulu, w którym pluskała fontanna, a rośliny tłumiły odgłosy dobiegające z ulicy. Miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie. Ogarnął się i wszedł do środka budynku.

Rafiq siedział rozparty za kontuarem. Nie poruszył się, gdy pojawił się Altaïr.

– Dobrze cię widzieć, Altaïrze. I to w jednym kawałku.

– Ciebie także, przyjacielu. – Altaïr przyjrzał się mężczyźnie; niezbyt mu się spodobał. W zachowaniu rafiq'a wyczuwał bezczelność i ironię. Nie miał wątpliwości, że doszły go słuchy o ostatnich... trudnościach. Sądząc z jego zachowania, zamierzał zrobić użytek z władzy, jaką dała mu obecna sytuacja.

Rzeczywiście, gdy ponownie się odezwał, nie starał się nawet ukryć uśmiešku.

– Przykro mi z powodu twoich problemów.

– Nie zawracaj sobie nimi głowy.

Rafiq przybrał maskę fałszywego zatroskania:

– Kilku twoich braci było tu przed tobą...

A więc to dlatego jest tak dobrze poinformowany, pomyślał Altaïr.

– Gdybyś tylko słyszał, co mówili – ciągnął jak gdyby nigdy nic rafiq. – Jestem pewien, że zabiłbyś ich na miejscu.

– Nic się nie stało – powiedział Altaïr.

Na twarzy rafiq'a rozkwitł szeroki uśmiech:

– Tak... Nigdy nie przepadałeś za naszym Credem, co?

– Czy to już wszystko? – Altaïr poczuł nagłą potrzebę starcia bezczelnego uśmiechu z pyska tego psa. Albo użycia ostrza, by trochę ten uśmiech

poszerzyć...

– Wybacz mi – powiedział rafiq, czerwieniąc się. – Czasem się zapominam. Co sprowadza cię do Damaszku?

Mężczyzna wyprostował się nieco, przypomniawszy sobie wreszcie, gdzie jest jego miejsce.

– Człowiek imieniem Tamir – odparł Altaïr. – Al Mualimowi nie podobają się jego poczynania, a ja mam położyć im kres. Powiedz mi, gdzie go znaleźć.

– Będziesz musiał go wytropić.

Altaïr zachnął się.

– Takie zadania są dobre dla... – Ugryzł się w język, przypomniawszy sobie rozkazy Al Mualima. Miał znowu stać się nowicjuszem. Samemu przeprowadzać śledztwa. Samemu znajdować cele. Samemu zabijać. Skinął głową, akceptując zadanie.

Rafiq kontynuował:

– Przeszukaj miasto. Dowiedz się, co planuje i gdzie pracuje. Przygotowanie to klucz do zwycięstwa.

– W porządku, ale co możesz mi o nim powiedzieć? – zapytał Altaïr.

– Tamir zarabia krocie, zajmując się pokątnym handlem. Powinieneś więc udać się do dzielnicy, w której znajduje się suk.

– Rozumiem, że gdy już wytropię handlarza, mam do ciebie wrócić?

– Tak. Wtedy dostaniesz ode mnie znak Al Mualima. Ty zaś dasz nam życie Tamira.

– Jak sobie życzysz.

Altaïr z ulgą opuścił kwaterę i ruszył w drogę po dachach zabudowań. Ponownie chłonał atmosferę miasta, przyglądając się jednej z jego wąskich uliczek. Lekka bryza kołysała baldachimami; wokół straganu z polerowanymi lampkami oliwnymi kłębił się tłum trajkoczących zapamiętałe kobiety, nieopodal zaś stało dwóch kłócących się mężczyzn. Altaïr nie słyszał, co było powodem sprzeczki.

Przeniósł wzrok na budynek naprzeciwko, a potem jeszcze dalej, ponad dachy. Z tego miejsca mógł dostrzec Meczet Paszy, a także drobiazgowo zaprojektowane ogrody, rozciągające się w południowej części miasta. On jednak musiał odnaleźć...

I właśnie wtedy go zauważył: olbrzymi suk al-Silaah, gdzie, według rafiqa, powinien zacząć zbieranie informacji o Tamirze. Sam rafiq wiedział rzecz jasna więcej, niż ujawnił; usta zamykały mu jednak surowe instrukcje, by nie dzielił się tą wiedzą z Altairem. Altair to rozumiał: „nowicjusz” musi odebrać trudną naukę.

Cofnął się o dwa kroki, strząsnął napięcie z ramion, wziął głęboki oddech i skoczył.

Znalazłszy się bezpiecznie po drugiej stronie, przykucnął na chwilę i wsłuchał się w gwar z alejki poniżej. Dostrzegł grupę strażników, którzy prowadzili osiołka zaprzęzonego do uginającego się pod ciężarem licznych beczek wózka.

– Z drogi! – krzyczeli strażnicy, rozpychając przechodniów. – Z drogi, wieziemy zapasy do pałacu wezyra! Jego Ekscelencja Abu’l Nuqoud wydaje przyjęcie!

Zepchnięci na boki mieszczanie ukrywali grymasy niezadowolenia.

Altair przyjrzał się przechodzącym tuż pod nim żołdakom. Słyszał już wcześniej to imię – Abu’l Nuqoud. Należało do człowieka, którego zwano Królem Kupców Damaszku. A te beczki... Altair mógł się mylić, ale zdaje się, że było w nich wino.

To było zresztą bez znaczenia. Altair miał swoje sprawy do załatwienia gdzie indziej. Wyprostował się i ruszył truchtem, przystając tylko po to, by przeskakiwać z jednego domu na drugi. Z każdym skokiem czuł przypływ energii i siły. Znowu robił to, co dobrze znał.

Suk widziany z góry przypominał postrzępioną dziurę ziejącą w morzu dachów, łatwo więc było go odnaleźć. Ten największy ośrodek handlowy w całym Damaszku, położony na północnym wschodzie miasta, w samym

sercu dzielnicy biedoty i ze wszystkich stron otoczony przez zabudowania z błota i drewna (to dlatego w czasie deszczu Damaszek zmieniał się w trzęsawisko), był niczym mozaika ułożona z wózków, kramów i straganów. Słodkie wonie perfum i olejków, przypraw i ciastek docierały nawet do siedzącego wysoko ponad targowiskiem Altaïra. Klienci, kupcy i handlarze trajkotali lub szybkim krokiem poruszali się w panującym tu tłoku. Mogło wydawać się, że mieszkańcy miasta potrafią wyłącznie stać i rozmawiać, albo też gnać z jednego miejsca do drugiego – i że nie umieją robić niczego innego, przynajmniej nie w tym miejscu. Altaïr przyglądał im się jeszcze przez chwilę, po czym zszedł z dachu i wtopiwszy się w tłum, zaczął się przysłuchiwać.

Nasłuchiwał jednego słowa.

Tamir.

Dostrzegł trzech kupców, którzy przystanęli w cieniu i rozmawiali ściszonymi głosami, zawzięcie przy tym gestykulując. Wypowiedzieli to imię. Altaïr zbliżył się ostrożnie, upewniając się, że jest do nich odwrócony plecami. W myślach słyszał nauki Al Mualima: „Nigdy nie nawiązuj kontaktu wzrokowego; zawsze wyglądaj na zajętego; bądź odprężony”.

– Wyznaczył kolejne spotkanie – usłyszał Altaïr, lecz nie umiał określić, do którego z mężczyzn należał głos. Czy ten, o którym rozmawiali, to Tamir? Altaïr słuchał dalej, starając się zanotować w pamięci szczegóły dotyczące miejsca spotkania.

– Co tym razem? Kolejne ostrzeżenie? Kolejna egzekucja?

– Nie. Ma dla nas robotę.

– To znaczy, że nam nie zapłaci.

– On nie dba już o zasady gildii kupieckiej. Teraz robi to, na co ma ochotę...

Mężczyźni zaczęli omawiać jakiś duży interes – największy do tej pory, jak stwierdził jeden z nich – ale nagle umilkli. Nieopodal stanął na podwyższeniu uliczny mówca z czarną, krótko przyszywoną brodą. Jego ciemne oczy

o opadających powiekach wpatrywały się teraz w kupców. W tym spojrzeniu czaiła się groźba.

Ukryty pod naciągniętym kapturem Altaïr zauważył, jak trzech mężczyźni pobledli. Jeden zaczął wiercić sandałem dziurę w ziemi, podczas gdy pozostali dwaj odeszli szybkim krokiem, tak jakby nagle przypomnieli sobie, że mają coś ważnego do załatwienia. Spotkanie było skończone.

Mówca... Być może był to jeden z ludzi Tamira. Handlarz najwyraźniej rządził sukkiem twardą ręką. Kiedy zaczął przemawiać, ściągając na siebie uwagę publiczności, Altaïr przysunął się bliżej.

– Nikt nie zna Tamira lepiej ode mnie – oznajmił donośnym głosem. – Podejdźcie bliżej. Wysłuchajcie mojej opowieści. Historii księcia kupców, który nie ma sobie równych...

Dokładnie tę opowieść chciał usłyszeć Altaïr. Przybliżył się jeszcze bardziej, wcielając się w postać zainteresowanego słuchacza. Dookoła kłębił się tłum.

– Zdarzyło się to tuż przed bitwą pod Hattin – ciągnął mówca. – Saracenom kończyła się żywność i rozpaczliwie potrzebowali zaopatrzenia. Jednak znikąd nie było widać ratunku. Tamir prowadził w tamtym czasie karawanę z Damaszku do Jerozolimy. Okazało się jednak, że nikt w całej Jerozolimie nie potrzebuje towarów, jakie miał do zaoferowania, czyli warzyw i owoców z okolicznych upraw. Tamir opuścił więc miasto i wyruszył na północ, zastanawiając się, co się stanie z jego zapasami. Wkrótce musiały się zepsuć. Tu moja opowieść powinna się skończyć, podobnie jak życie owego biedaka... Los chciał jednak inaczej. Podążając na północ, Tamir natknął się na wodza Saracenów oraz jego głodujących ludzi. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności każda ze stron dysponowała czymś, czego potrzebowała druga. Tamir oddał Saracenom swoją żywność, a kiedy bitwa dobiegła końca, przywódca Saracenów dopilnował, by kupcowi odpłacono po tysiackroć. Niektórzy twierdzą, że gdyby nie Tamir, ludzie Saladyna mogliby się zwrócić przeciw swemu wodzowi. Możliwe więc, że zwycięstwo w tamtej bitwie

zawdzięczamy właśnie Tamirowi...

Orator zakończył swoją przemowę, a jego słuchacze zaczęli się rozchodzić. Z delikatnym uśmiechem zszedł z trybuny i ruszył przez targowisko. Być może podążał do następnej mównicy, by wygłosić z niej taką samą sławiącą Tamira przemowę. Altaïr ruszył jego tropem, utrzymując przy tym bezpieczny dystans; w głowie dźwięczały mu słowa nauczyciela: „Zadbaj, by między tobą a twoją zwierzyną zawsze znajdowała się jakaś przeszkoda. Nie daj się zdemaskować choćby jednym spojrzeniem do tyłu”.

Altaïr rozkoszował się odzyskiwanymi umiejętnościami. Napawał się tym, że potrafi odciąć się od zgiełku dnia i skoncentrować wyłącznie na ściganej zwierzynie. Nagle stanął jak wryty. Mówca wpadł bowiem na kobietę niosącą wazon, który rozbił się o ziemię. Właścicielka wazonu zaczęła protestować, wyciągając dłoń po zapłatę, jednak winowajca wydał tylko wargi w okrutnym grymasie i zamachnął się na kobietę.

Przez ciało Altaïra przetoczyła się fala napięcia, lecz kobieta cofnęła się przerażona i mówca z szyderczym uśmiechem opuścił rękę. Wreszcie ruszył naprzód, kopiąc po drodze kawałki potłuczonego naczynia. Altaïr poszedł za nim, mijając po drodze rozpaczającą i miotającą przekleństwa kobietę, która kucnęła na piasku i próbowała zbierać skorupy swego naczynia.

Mówca skręcił z głównej ulicy, nadal śledzony przez Altaïra. Znaleźli się w wąskiej, niemal pustej alejce; ściany z ciemnego błota zdawały się napierać na przechodniów. Prawdopodobnie był to skrót prowadzący do miejsca, gdzie miała zostać wygłoszona kolejna oracja. Altaïr obejrzał się przez ramię, po czym zrobił kilka szybkich kroków do przodu, złapał mówcę za ramię, obrócił go i wbił mu czubki palców tuż pod klatkę piersiową.

Mężczyzna w jednej chwili zgiął się wpół i zatoczył do tyłu, łapiąc chciwie powietrze – jego usta poruszały się zupełnie jak u wyrzuconej na brzeg ryby. Altaïr raz jeszcze się rozejrzył, by mieć pewność, że w pobliżu nie ma świadków, a potem z obrotu kopnął mówcę w gardło.

Ten runął w tył, a jego galabija okręciła mu się wokół nóg. Ręce

powędrowały do miejsca, w które kopnął go asasyn, i mówca potoczył się po ziemi. Uśmiechnięty Altaïr postąpił do przodu. Łatwo poszło, pomyślał. Zbyt łatwo...

Uliczny orator poruszał się z szybkością kobry. Zerwał się błyskawicznie i wierzgnął nogą, trafiając Altaïra prosto w pierś. Zaskoczony asasyn cofnął się chwiejnie, tymczasem jego przeciwnik parł przed siebie, zaciskając zęby i wymachując pięściami. Oczy mu rozbłyły – zdawał sobie sprawę, że zdołał wstrząsnąć Altaïrem, który zrobił unik przed zamaszystym ciosem pięścią tylko po to, by się przekonać, że mówca jedynie zamarkował tamto uderzenie i dosięgnął szczęki Altaïra drugą ręką.

Niewiele brakowało, by Altaïr upadł; czuł smak krwi i przeklinał się w duchu za to, że zlekceważył przeciwnika. Błąd godny nowicjusza. Mówca rozejrzał się gorączkowo, jakby szukał najlepszej drogi ucieczki. Altaïr strząsnął ból z twarzy i podniósłszy wysoko pięści, ruszył do ataku, chcąc trafić mówcę w skroń, zanim ten zdąży się wymknąć. Na kilka chwil alejka stała się areną zażartej wymiany ciosów. Mówca był mniejszy i szybszy, dzięki czemu udało mu się trafić Altaïra w grzbiet nosa. Asasyn zatoczył się i zamrugał, aby pozbyć się łez, które zniekształcały mu pole widzenia. Tymczasem mówca, przeczuwając zwycięstwo, po raz kolejny natarł na Altaïra, z furią wymachując pięściami. Asasyn zrobił krok w bok, pochylił się, podciął przeciwnikowi nogi i obalił go. Mówca uderzył plecami o ziemię, a z jego piersi ze świstem uszło powietrze. Altaïr obrócił się i runął na leżącego, wbijając kolano prosto w jego krocze. Z satysfakcją usłyszał przy tym rozdzierający jęk, jaki wydał z siebie mówca. Altaïr wstał. Jego pierś ciężko falowała; zaczynał powoli dochodzić do siebie. Mówca zwijał się, teraz już bezgłośnie, na ziemi: usta miał rozwarte w niemym krzyku, a dłonie przyciskał kurczowo do krocza. Kiedy wreszcie zdołał złapać potężny haust powietrza, Altaïr przykucnął i zbliżył do niego swoją twarz.

- Zdaje się, że sporo wiesz o Tamirze – syknął. – Powiedz mi, co planuje.
- Wiem tylko to, o czym opowiadam – wyjęczał mówca. – Nic więcej.

Altaïr nabrał pełną garść ziemi i pozwolił jej przesypanywać się powoli między palcami.

– Szkoda. Nie ma powodu, żebym darował ci życie, skoro nie masz do zaoferowania nic w zamian.

– Czekaj! Czekaj! – mówca uniósł drżącą rękę. – Jest jedna rzecz...

– Mów dalej.

– Ostatnio jest dość zajęty. Nadzoruje produkcję olbrzymiej ilości broni...

– Co z tego? Ta broń przeznaczona jest pewnie dla Saladyna. To mi nie pomaga, co znaczy, że nie pomaga też tobie... – Altaïr wykonał gest, jakby sięgał po sztylet.

– Nie! Stój! Posłuchaj. – Uliczny orator przewracał oczami, a na jego czoło wystąpił pot. – Nie dla Saladyna. Ta broń jest dla kogoś innego. Herby na niej... Ja ich nie znam... Wydaje się, że Tamir wspiera kogoś innego... Ale nie wiem kogo.

Altaïr skinął głową.

– To wszystko?

– Tak! Tak. Powiedziałem ci wszystko, co wiem.

– Zatem już czas, żebyś odpoczął.

– Nie... – zaczął mówca, ale w tej samej chwili rozległ się metaliczny szczęk. Dźwięk ten rozbrzmiał w alejce tak głośno, jakby ktoś właśnie rozbił porcelanowy talerz. To Altaïr zwolnił ukryte ostrze i wbił je w mostek ofiary. Przytrzymał konającego, który szarpał się konwulsyjnie, przyszpilony ostrzem. Z kącików ust pociekła mu krew, a oczy zaszklily się. Szybka śmierć. Czysta śmierć.

Altaïr ułożył martwego mężczyznę na piasku, zamknął mu powieki, po czym wstał. Ostrze wślizgnęło się z powrotem na swoje miejsce, a jego właściciel zaciągnął zwłoki za stertę cuchnących beczek. Potem odwrócił się i opuścił alejkę.

10

– Altaïrze, witaj. Witaj. – Rafiq uśmiechnął się złośliwie ma widok wchodzącego asasyna. Altaïr zmierzył rafiqa badawczym spojrzeniem. Zauważył, jak tamten kurczy się pod jego wzrokiem. Czyżby przyniósł ze sobą zapach śmierci? Być może rafiq go wyczuł.

– Zrobiłem, co kazałeś. Teraz daj mi znak.

– Po kolei. Najpierw powiedz mi, co wiesz.

Altaïr, noszący w sobie jeszcze świeże wspomnienie zadanej śmierci, pomyślał, że drobnostką byłoby poszerzenie bilansu dnia o jeszcze jedno odebrane życie. Korciło go, by pokazać temu człowiekowi, gdzie jest jego miejsce. Lecz nie. Musiał dalej grać swoją rolę, bez względu na to, jak bardzo kojarzyła mu się z farsą.

– Tamir rządzi sukkiem al-Silaah – rzekł Altaïr, mając w pamięci dyskutujących ściszoną głosem kupców i strach, jaki odmalował się na ich twarzach, gdy dostrzegli ulicznego mówcę Tamira. – Zbija fortunę na sprzedaży broni i zbroi. Pomaga mu w tym wielu: kowale, kupcy, finansiści. Jest największym handlarzem śmiercią na tej ziemi.

Rafiq kiwnął głową; nie usłyszał niczego, o czym by już wcześniej nie wiedział.

– A czy znalazłeś sposób, by pozbyć się tej zarazy? – zapytał wyniośle.

– Na suku al-Silaah zaplanowano spotkanie, by przedyskutować pewną ważną transakcję. Mówi się, że to największy interes, jaki Tamir zrobił w całym swoim życiu. Będzie zaprzątnięty pracą. Wtedy uderzę.

– Twój plan wydaje się rozsądny. Masz moje pozwolenie, by wyruszyć.

To mówiąc, rafiq sięgnął pod stół i wyciągnął znak Al Mualima: było nim pióro jednego z ukochanych ptaków Mistrza. Położył je na blacie.

– Niechaj stanie się wola Al Mualima – rzekł, Altaïr zaś wziął pióro i starannie schował je w swej szacie.

Wkrótce po wschodzie słońca Altaïr opuścił siedzibę i udał się z powrotem na suk al-Silaah. Kiedy przybył na miejsce, wszystkie oczy skierowane były na położony w lekkim zagłębieniu ceremonialny dziedziniec na środku targowiska.

Szybko przekonał się, dlaczego: to właśnie tam stał handlarz Tamir, któremu towarzyszyło dwóch łypiących spode łba członków straży przybocznej. Wydawał się górować nad całym dziedzińcem, w tym także nad drżącym przed jego obliczem człowiekiem. Miał na sobie kraciasty turban i szykowną tunikę, na nogach zaś nosił owijacze. Jego zęby błyskały spod czarnych wąsów.

Altaïr okrążył tłum gapiów, przyglądając się jednocześnie wydarzeniom na dziedzińcu. Okoliczni kupcy wyszli zza swoich straganów, by lepiej widzieć całe zajście. Damaszek, w którym albo pędziło się z jednego miejsca do drugiego, albo stało się w miejscu, oddając się konwersacji, zastygł teraz w bezruchu.

– Gdybyś tylko zechciał spojrzeć – powiedział kulący się przed Tamirem mężczyzna.

– Nie obchodzą mnie twoje kalkulacje – burknął Tamir. – Te liczby niczego nie zmieniają. Twój ludz nie zrealizowali zamówienia, a ja zawiodłem przez to mojego klienta.

Klienta, powtórzył w myśli Altaïr. Kim on jest?

Kupiec przełknął ślinę. Obejrzał się na zgromadzony wokół tłum, jak gdyby szukał tam ocalenia. Nie znalazł go jednak. Strażnicy targowi stali z obojętnym wyrazem twarzy i niewidzącym wzrokiem, a przygodni obserwatorzy po prostu gapili się na widowisko z widoczną ekscytacją. Altaïr

poczuł obrzydzenie do nich wszystkich: do gapiów, przypominających mu sępy, i do strażników, którzy ani myśleli kiwnąć palcem. Najbardziej jednak brzydził się Tamirem.

– Potrzebujemy więcej czasu – błagał kupiec. Być może zdał już sobie sprawę, że jego jedyną szansą było przekonanie Tamira, by okazał litość.

– To wymówka ludzi leniwych albo niekompetentnych – stwierdził król handlarzy. – Do których ty się zaliczasz?

– Do żadnych – odpowiedział kupiec, załamując ręce.

– Widzę co innego – oświadczył Tamir, stawiając stopę na niskim murku i opierając się na kolanie. – A teraz powiedz mi, jak zamierzasz rozwiązać nasz problem? Ta broń potrzebna jest nam teraz!

– Nie widzę rozwiązania – wyjąkał kupiec. – Moi ludzie pracują dzień i noc, ale twój... klient wymaga tak wiele. Jeszcze to miejsce dostawy... Trudno tam dotrzeć.

– Gdybyś tylko produkował broń tak samo umiejętnie, jak produkujesz wymówki. – Tamir zaśmiał się. Publiczność nagrodziła go chichotem, choć bardziej przyczynił się do tego lęk niż poczucie humoru Tamira.

– Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy – upierał się starzec. Spod jego turbanu ciekły stróżki potu, a siwa broda drżała.

– To za mało.

– Może więc to ty prosisz o zbyt wiele – spróbował innej strategii kupiec.

To było ryzykowne posunięcie. Łaskawy uśmiech, jakim Tamir obdarzył tłum, zniknął teraz z jego twarzy, a zimne oczy wpatrywały się w starca.

– Zbyt wiele? – powiedział, a z jego głosu powiało chłodem. – Dałem ci wszystko. Beze mnie dalej zaklinałbyś węże za garść miedziaków. W zamian prosiłem tylko, żebyś realizował moje zamówienia. I ty mówisz mi, że proszę o zbyt wiele?

Zalśniła głównia wyciągniętego przez Tamira sztyletu. Obserwatorzy drgnęli niespokojnie. Altaïr zerknął na strażników: stali z założonymi rękami, ich szable beczynn timer wisiły u pasa, a twarze nie wyrażały żadnych emocji.

Nikt na całym suku nie odważył się ruszyć z miejsca, jakby na wszystkich rzucono zaklęcie.

Kupiec zajęczał. Upadł na kolana, składając ręce w błagalnym geście. Na jego twarzy malowała się niema prośba, oczy lśniły od łez.

Tamir spojrział na żalospną kreaturę u swych stóp i splunął. Kupiec zamrugął, strząsając płwocinę z powiek.

– Śmiesz mnie znieważać?

– Pokój z tobą, Tamirze – jęknął starzec. – Nie chciałem cię obrazić.

– Powinieneś zatem trzymać gębę na kłódkę! – warknął Tamir.

Altaïr widział w jego oczach rządę krwi i wiedział dokładnie, co za chwilę się stanie. I rzeczywiście, Tamir ciął kupca czubkiem sztyletu; w tunice starca pojawiła się dziura, a materiał natychmiast zabarwił się na czerwono. Kupiec przechylił się do tyłu, wydając z siebie piskliwy wrzask, który dało się słyszeć na całym targowisku.

– Nie! Przestań! – zaskomlał.

– Przestać? – zadrwił Tamir. – Dopiero zaczynam.

Postąpił krok naprzód, wbił sztylet głęboko w brzuch mężczyzny i przygniótł go do ziemi. Leżący kwiczał jak zarzynane zwierzę, podczas gdy Tamir dźgał go raz za razem.

– Przyszedeś na mój suk! – wrzeszczał.

Dźgnięcie.

– Stałeś przed moimi ludźmi!

Dźgnięcie. Czwarte z kolei. Towarzyszył mu dźwięk przypominający ubijanie mięsa tłuczkiem. Starzec wciąż krzyczał.

– I ośmielasz się mnie obrażać?

Dźgnięcie.

Tamir każde słowo kontrapunktował kolejnym ciosem:

– Musisz. Się. Nauczyć. Gdzie. Jest. Twoje. Miejsce.

Stary kupiec przestał krzyzczeć. Na dziedzińcu leżało już tylko skatowane, zakrwawione ciało, którego głowa przekrzywiona była pod dziwnym kątem.

Jeden ze strażników Tamira podszedł, by uprzątnąć zwłoki.

– Nie – rzucił zasapany Tamir i otarł brodę wierzchem dłoni. – Zostaw to.

Odwrócił się w stronę tłumu gapiów i rzekł:

– Niech to będzie dla was nauką. Zastanówcie się dwa razy, zanim powiecie mi, że czegoś nie da się zrobić. A teraz wracać do pracy.

Zostawiwszy ciało starca tam, gdzie leżało – jakiś ciekawski pies właśnie zaczynał je obwąchiwać – gapie zajęli się swoimi sprawami; ruch na suku stopniowo się wzmagał, tak iż po chwili wyglądał, jakby nic tam nie zaszło. Zupełnie jakby już wszyscy zapomnieli o starym kupcu.

Lecz nie Altaïr. Rozluźnił zaciśnięte pięści i powoli wypuścił powietrze z płuc, starając się okiełznać swój gniew. Lekko pochylił głowę, skrywając oczy pod kapturem, i zaczął ostrożnie przekradać się przez tłum w ślad za Tamirem, który przechadzał się po targu w towarzystwie nieodstępujących go na krok ludzi z obstawy. Gdy Altaïr podszedł bliżej, podsłuchał, co Tamir mówi do handlarzy, z których każdy wpatrywał się w niego szeroko otwartymi z przerażenia oczami, zgadzając się przy tym gorliwie ze wszystkim, co tylko usłyszeli.

– Nie mogę tego sprzedać – warknął Tamir. – Przetop to i spróbuj jeszcze raz. A jeśli znowu pójdzie ci tak kiepsko, to następnym razem przetopimy ciebie.

Szeroko rozwarte oczy. Trzy szybkie skinienia głową.

– Nie pojmuję, co robisz całymi dniami. Twój stragan jest pełen towarów. Twoja sakiewka powinna być pełna monet. Dlaczego nie potrafisz sprzedać tych rzeczy? To nic trudnego. Być może nie starasz się wystarczająco? Potrzeba ci motywacji?

Kupiec potakiwał, aż nagle uświadomił sobie, o co został zapytany. Natychmiast zaczął kręcić przecząco głową, robiąc to z taką samą stanowczością, z jaką przed chwilą potakiwał. Tamir ruszył dalej. Tłumy kłębiły się wokół niego. A jego ochrona... Altaïr zastanowił się, czy oto nie nadarza mu się okazja... Cały targ drżał przed Tamirem, co sprawiało, że

czuwający nad jego bezpieczeństwem mężczyźni rozluźnili się. Zostali w tyle, zatrzymawszy się przy jednym z kramów. Domagali się towarów, które mogliby potem dać w podarunku swym żonom. Tamir wypatrywał tymczasem nowe ofiary, które zamierzał zastraszyć.

Altaïr wślizgnął się pomiędzy Tamira a dwóch ochroniarzy. Napiął mięśnie; na małym palcu poczuł opór mechanizmu ukrytego ostrza. Odwrócony plecami Tamir zajęty był właśnie łajaniem kolejnego handlarza.

– Błagałeś mnie o to stanowisko. Przysięgałeś, że nikt nie sprawdzi się tu lepiej od ciebie. Powinienem...

Altaïr postąpił do przodu; rozległ się odgłos wysuwającego się ostrza. Asasyn jedną ręką otoczył Tamira, drugą zaś wbił broń głęboko w jego ciało.

Pchnięty ostrzem wydał z siebie zduszony głos, ale nie krzyknął. Złapał go trwający ledwie mgnienie oka skurcz, po czym jego mięśnie zwiotczały. Altaïr spojrział ponad ramieniem Tamira prosto w zatrwożone oczy kupca; wiedział, że toczy on teraz wewnętrzną walkę: wszcząć alarm czy też... Ostatecznie kupiec odwrócił się i odszedł.

Altaïr opuścił Tamira na ziemię pomiędzy dwoma straganami, poza polem widzenia strażników, nieświadomych tego, co się właśnie wydarzyło.

Powieki Tamira zatrzepotały.

– Spoczywaj w pokoju – rzekł łagodnie Altaïr.

– Zapłacisz za to, asasynie – wychrypiał Tamir. Z nosa sączyła mu się cienka strużka krwi. – Ty i pozostali z was.

– Wygląda na to, że teraz to ty płacisz, mój przyjacielu. Nie będziesz więcej czerpać zysków z cierpienia.

Tamir zareagował płytkim, chrapliwym śmiechem:

– Masz mnie za zwyczajnego handlarza śmiercią, ssącego pierś wojny? Zatem wybrałeś dziwny cel, nieprawdaż? Dlaczego akurat ja, skoro tylu ludzi robi to samo?

– Uważasz, że się od nich różnisz? – spytał Altaïr.

– Ależ różnię się! Ponieważ służę sprawie znacznie szlachetniejszej niż

zwykły zysk. Tak samo jak moi bracia...

– Bracia?

Tamir raz jeszcze wydał z siebie zdławiony śmiech.

– Ha! Jemu się zdaje, że działałem sam. Ale ja jestem tylko pionkiem. Człowiekiem, który miał do odegrania swoją rolę. Wkrótce poznasz innych. Nie spodoba im się to, co zrobiłeś.

– Dobrze. Czekam z utęsknieniem, by zakończyć również ich życie.

– Cóż za pycha. Ona cię zniszczy, dziecko – powiedział Tamir. I skonał.

– Ludzie muszą umierać, żeby coś mogło się zmienić – wyrecytował monotonnym głosem Altaïr, zamykając nieboszczykowi oczy.

Wyjął z głębi swych szat pióro Al Mualima i umoczył je we krwi Tamira. Następnie rzucił jeszcze okiem na ochroniarzy i oddalił się, znikając w tłumie. Kiedy skądś zza jego pleców dobiegł krzyk, on sam był już tylko cieniem.

11

Tamir. Pierwszy z dziewięciu. Al Mualim wyglądał na zadowolonego, gdy podnosił wzrok znad unurzanego we krwi pióra, które leżało na jego stole, i popatrzył na Altaïra. Pochwalił go, a następnie powierzył mu kolejne zadanie.

Altaïr skłonił głowę na znak posłuszeństwa, po czym opuścił komnatę Mistrza. Następnego dnia zgromadził zapasy i ponownie wyruszył w drogę, tym razem do Akki – miasta, które krzyżowcy trzymali w garści równie mocno, jak ludzie Saladyna Damaszek. Miasta, którego nie oszczędziła wojna.

Za zdobycie Akki zapłacono wysoką cenę. Chrześcijanie odbili ją po krwawym i długim oblężeniu, trwającym prawie dwa lata. Dużą rolę odegrał podczas niego sam Altaïr, dzięki któremu zdołano powstrzymać zatrucie miejskich zasobów wody przez templariuszy.

Nie był już jednak w stanie zaradzić kolejnemu zatruciu, kiedy to gnijące w wodzie zwłoki wywołały zarazę, szerzącą się zarówno wśród muzułmanów, jak i chrześcijan – wewnątrz i na zewnątrz murów miasta. Gdy zapasy zgromadzone w Akce wyczerpały się, głód pochłonął tysiące istnień. Wkrótce potem nadciągnęli kolejni krzyżowcy i zbudowali jeszcze więcej maszyn oblężniczych, za pomocą których udało im się zrobić wyłomy w murach miasta. Saraceni skutecznie odpierali wroga, naprawiając jednocześnie ubytki w obwarowaniach; ostatecznie jednak armia Ryszarda Lwie Serce złamała opór muzułmańskich obrońców, którzy skapitulowali.

Krzyżowcy zajęli miasto, biorąc jego załogę jako zakładników.

W sprawie ich zwolnienia rozpoczęły się negocjacje między Ryszardem a Saladynem; na tych trudnych rokowaniach cieniem położył się spór Ryszarda z Francuzem, Konradem z Montferratu, który nie zgadzał się na wypuszczenie jeńców wziętych do niewoli przez francuskie wojska.

Konrad powrócił do Tyru, Ryszard zaś ruszył do Jaffy, gdzie jego armia miała zmierzyć się z siłami Saladyna. Akkę pozostawiono pod komendą brata Konrada, Wilhelma.

To właśnie Wilhelm z Montferratu nakazał stracić muzułmańskich zakładników. Pod katowski topór powędrowało wówczas niemal trzy tysiące ludzi.

Altaïrowi przypadło więc w udziale prowadzić śledztwo w mieście okrutnie okaleczonym przez jego niedawną historię. W mieście, którego mieszkańcy aż nazbyt dobrze poznali smak cierpienia, pośród ludzi, w oczach których skrywał się smutek, i których barki pochyliły się pod ciężarem niedoli. Na największy rozmiar cierpienia natknął się Altaïr w najbiedniejszych dzielnicach Akki. Ciała owinięte w muślin zalegały tam na ulicach, a w portach panoszyła się przemoc i pijaństwo. Jedyłą częścią miasta wolną od fetoru rozpachy i śmierci była dzielnica, w której rozlokowali się krzyżowcy – tam mieściła się cytadela Ryszarda oraz kwatery Wilhelma. Stamtąd ogłoszono Akkę stolicą Królestwa Jerozolimy; magazynowano tam również zapasy przed wymarszem Ryszarda do Jaffy. Po opuszczeniu Akki przez króla Anglii władzę objął Wilhelm, którego rządy przysporzyły miastu aż nadto widocznych problemów – przemierzając ulice Akki, Altaïr miał okazję naocznie się o tym przekonać. Gdy tylko ukończył swe dochodzenie, z ulgą udał się do kwatery asasynów. Zastał tam rafiqą Jabala, zajętego pieśczośliwym przemawianiem do trzymanego w rękach gołębia.

– O, Altaïr – odezwał się Jabal miłym głosem. – Pewien ptaszek zapowiedział, że złożysz mi wizytę...

Uśmiechnął się, zadowolony z własnego żartu, po czym otworzył dłonie,

uwalniając gołębia. Ptak, zamiast odlecieć, usiadł na kontuarze i nastroszywszy piórka na piersiach, zaczął przechadzać się w tę i we w tę, niczym pełniący służbę ptasi wartownik. Jabal przyjrzał mu się z rozbawieniem, po czym poprawił się na krześle i zajął gościem.

– Kimże jest biedny nieszczęśnik, którego Al Mualim skazał na posmakowanie twojego ostrza, Altaïrze? – zagadnął.

– Al Mualim nakazał egzekucję Garniera de Naplouse.

Jabal drgnął.

– Wielkiego mistrza zakonu szpitalników?

Altaïr wolno skinął głową.

– W istocie. I wiem już, kiedy i jak uderzę.

– Podziel się więc ze mną tą wiedzą. – Wyglądało na to, że Jabal był pod wrażeniem. I miał ku temu powody.

– De Naplouse mieszka i pracuje w zakonnym szpitalu, na północny wschód stąd – zaczął Altaïr. – Krążą pogłoski o potwornościach, jakie się tam popełnia.

Altaïr zrelacjonował Jabalowi wyniki swego śledztwa, ten zaś kiwał z namysłem głową, rozważając to, co usłyszał. Wreszcie zapytał:

– Jaki masz plan?

– Garnier zwykle nie odstępuje swojej kwatery w szpitalu, choć od czasu do czasu wychodzi zbadać chorych. Uderzę, kiedy uda się na obchód.

– Niewątpliwie należycie to wszystko przemyśleć. Masz moje pozwolenie, możesz iść. – To powiedziawszy, wręczył Altaïrowi znak Al Mualima. – Usuń tę skazę Akki, Altaïrze. Być może tym sposobem pozbędziesz się własnej.

Altaïr wziął znak, przygwoździł Jabala złowrogim spojrzeniem – czy naprawdę już wszyscy asasyni wiedzieli o jego hańbie? – po czym wyszedł. Poruszając się po dachach budynków, przemierzał miasto, aż wreszcie ujrzał szpital. Zatrzymał się na chwilę, by złapać oddech i zebrać myśli, spoglądając przy tym na leżący w dole cel swojej wędrówki.

To, co opowiedział Jabalowi, było jedynie częścią informacji, które zdołał zebrać; zataił przed rafiqem obrzydzenie, jakim napełniła go zdobyta w toku śledztwa wiedza. De Naplouse piastował stanowisko wielkiego mistrza joannitów. Założony w Jerozolimie zakon miał nieść pomoc chorym pielgrzymom i obrał sobie na siedzibę jedną z najuboższych części Akki.

A jednak, zgodnie z tym, czego udało się Altaïrowi dowiedzieć, de Naplouse zajmował się wszystkim, tylko nie zapewnianiem opieki potrzebującym.

W dzielnicy szpitalników Altaïr podsłuchał dwóch członków zakonu rozmawiających o tym, jak ich wielki mistrz odprawia z kwitkiem zgłaszających się do szpitala zwykłych mieszkańców Akki, oraz że potraktowani w ten sposób ludzie są bliscy buntu. Jeden z podsłuchiwanym przez Altaïra mężczyzną wyznał, że obawia się powtórki skandalu, jaki wcześniej wydarzył się w Tyrze.

– Jakiego skandalu? – spytał drugi.

Szpitalnik nachylił się ku swemu towarzyszowi i Altaïr musiał solidnie wyteńczyć słuch.

– Kiedyś Garnier czuł się w Tyrze jak u siebie w domu – rzekł szpitalnik – ale został stamtąd wypędzony. Chodzą słuchy, że za eksperymenty na tamtejszych mieszkańcach.

Jego towarzysz wyglądał, jakby nagle źle się poczuł.

– Co za eksperymenty?

– Nie znam szczegółów, ale martwię się... Czy on aby znowu ich nie zaczął? Czy to nie dlatego zamyka się w zakonnej fortecy?

Nieco później Altaïr przeczytał zwój, który ukradł jednemu ze współpracowników Garniera de Naplouse. Dowiedział się z niego, że szpitalnik nie zamierzał leczyć swych pacjentów. Na zlecenie mistrza, którego imienia treść zwoju nie ujawniała, Garnier przeprowadzał na dostarczanych mu z Jerozolimy obiektach doświadczenia w celu wywołania u nich szczególnych stanów. Tamirowi – temu samemu Tamirowi, który

niedawno przeniósł się na tamten świat – wyznaczono zadanie zapewnienia broni na potrzeby całej operacji.

Uwagę Altaïra przykuło zwłaszcza jedno zdanie: „Powinniśmy dołożyć wszelkich starań, by odzyskać to, co nam zabrano”. Co to mogło oznaczać? Zastanawiając się, kontynuował swoje śledztwo. Dowiedział się, że wielki mistrz szpitalników zezwolił „szaleńcom” na swobodne poruszanie się po szpitalu; poznał też pory, w jakich łucznicy trzymający straż na szczycie szpitalnego budynku opuszczali swe posterunki; dowiedział się wreszcie, że de Naplouse lubi robić obchód bez ochrony oraz że na teren szpitala swobodnie mogą wejść jedynie mnisi.

Dopiero po zgromadzeniu wszystkich niezbędnych informacji Altaïr złożył wizytę Jabalowi i odebrał od niego znak Al Mualima.

12

Altaïr przesuwiał się wzdłuż zewnętrznych ścian nadbudówki na dachu budynku sąsiadującego z fortecą szpitalników. Tak jak się spodziewał, na szczycie fortecy znajdował się łucznik. Mężczyzna przechadzał się miarowym krokiem i choć od czasu do czasu zerkał na znajdujący się poniżej dziedziniec, to jego wzrok omiatał przede wszystkim okoliczne dachy. Asasyn spojrział na słońce. To już lada moment, pomyślał i uśmiechnął się do siebie, gdy po chwili łucznik rzeczywiście podszedł do drabiny i zszedł po niej na dół.

Altaïr dalej miał się na baczności. Przeskoczył z dachu domu prosto na opuszczony przez strażnika posterunek na szczycie fortecy i po cichu podbiegł do miejsca, z którego mógł się przedostać na położony w dole dziedziniec. Otoczony był on wysokimi ścianami z matowego, szarego, sprawiającego posępne wrażenie kamienia; poza umieszczoną na środku dziedzińca studnią, nie było tam niczego, co urozmaicałoby pustą przestrzeń – miejsce w niczym nie przypominało bogato zdobionych budynków, jakie dominowały w architekturze Akki. Na dziedzińcu stało kilku strażników w tradycyjnych uniformach rycerzy szpitalników, czyli czarnych pikowanych płaszczach z białym krzyżem na piersi, a także grupka mnichów. Pomędzy nimi kręciły się bose i pozbawione koszul istoty, wyglądające na chorych: nieszczęśnicy o twarzach bez wyrazu i szklistych spojrzeniach snuli się bez celu.

Altaïr ściągnął brwi. Nawet teraz, gdy dach fortecy pozostawał

niestrzeżony, niemożliwe było opuszczenie się na dziedziniec, tak by nikt tego nie zauważył. Asasyn zbliżył się do ściany, w której znajdowała się brama wejściowa do szpitala; z tego miejsca mógł obserwować ulicę. Na bruku, zabarwionym na biało promieniami słońca, stali w towarzystwie rodzin chorzy mieszkańcy miasta, błagając wartowników, by wpuścili ich do środka. Inni, zapewne niespełna rozumu, krążyli w tłumie, wyrzucając ramiona w górę i wznosząc obsceniczne lub pozbawione jakiegokolwiek sensu okrzyki.

Nagle Altaïr zauważył grupę uczonych i uśmiechnął się na ich widok. Szli przez tłum tak, jakby go tam w ogóle nie było, obojętni na otaczające ich cierpienie i tumult. Wydawało się, że zmierzają w kierunku szpitala. Altaïr, wykorzystując zamieszanie, niepostrzeżenie opuścił się na ulicę i wmieszał pomiędzy uczonych, pochylił głowę i wbił wzrok w swoje szurające stopy. Od czasu do czasu ryzykował ukradkowe spojrzenie, by rozeznąć się w położeniu – zgodnie z jego przewidywaniami, uczeni udali się do szpitala; wartownicy w bramie rozstąpili się, przepuszczając ich na dziedziniec.

Asasyn zmarszczył nos. Na ulicy czuć było typową dla miasta mieszaninę zapachów piekarni, perfum i korzennych przypraw, tymczasem tutaj unosił się odór cierpienia, śmierci i ludzkich nieczystości. Zza zamkniętych drzwi usłyszał serię okrzyków bólu, a następnie ciche zawodzenie. Przyszło mu na myśl, że tam właśnie muszą znajdować się główne pomieszczenia szpitala. Jego przypuszczenia potwierdziły się, gdy jedne z drzwi rozwarły się gwałtownie i na dziedziniec wpadł chory.

– Nie! Pomocy! Pomóżcie mi! – krzyczał, a jego twarz wykrzywił grymas przerażenia; oczy miał okrągłe niczym spodki. – Pomóżcie mi, proszę! Musicie mi pomóc!

Za nim nadbiegł strażnik. Cierpiał na przypadłość zwaną leniwym okiem i sprawiał wrażenie, jakby mięśnie jego powieki zostały kiedyś przecięte. Dopadł uciekającego szaleńca i pochwycił go. Potem z pomocą drugiego strażnika zaczął okładać go pięściami i kopać, dopóki poskromiony

mężczyzna nie upadł w końcu na kolana.

Altaïr obserwował całe zajście. Kiedy strażnicy bili tamtego człowieka, czuł, jak jego szczęki zaciskają się, a dłonie składają w pięści. Pozostali chorzy podeszli bliżej, by mieć lepszy widok na rozgrywający się spektakl; kołysali się lekko, a ich twarze wyrażały umiarkowane zainteresowanie.

– Litości! – zawył szaleniec, uginając się pod gradem ciosów. – Błagam, litości! Dosyć!

Nagle umilkł. Zdawało się, że zapomniał o bólu w chwili, gdy drzwi wiodące do wnętrza szpitala otworzyły się i stanął w nich mężczyzna, który nie mógł być nikim innym jak tylko Garnierem de Naplouse.

Był niższy, niż spodziewał się Altaïr. Nie nosił brody, a białe włosy miał krótko przycięte. Zapadnięte oczy i okrutne usta o opadających w dół kącikach nadawały mu wynędzniały wygląd. Na obu ramionach naszyte miał białe krzyże szpitalników, zaś na jego szyi wisiał krucyfiks – jednak Altaïr wiedział, że bez względu na to, jakiego Garnier czcił Boga, ten już go opuścił. Oprócz krzyży Garnier nosił bowiem także fartuch. Brudny, poplamiony krwią fartuch.

Teraz przyglądał się ponuro szaleńcowi, który klęczał przed nim, przytrzymywany przez Leniwe Oko oraz drugiego strażnika. Leniwe Oko uniósł pięść, by zadać kolejny cios.

– Wystarczy, moje dziecko – rozkazał de Naplouse. – Prosiłem, byś go odnalazł, a nie zabił.

Leniwe Oko niechętnie opuścił rękę, a de Naplouse podszedł do szaleńca, który jęknął i szarpnął się do tyłu, niczym spłoszone zwierzę.

De Naplouse uśmiechnął się i nagle cała jego surowość zniknęła.

– No już, już – niemal z czułością zwrócił się do pacjenta. – Wszystko będzie dobrze. Podaj mi rękę.

Szalony mężczyzna pokręcił głową.

– Nie. Nie! Nie dotykaj mnie. Nigdy więcej...

De Naplouse zmarszczył brwi, tak jakby poczuł się zraniony reakcją

mężczyzny.

– Porzuć swój strach, bo inaczej nie będę w stanie ci pomóc – powiedział spokojnie.

– Pomóc mi? Tak jak pomogłeś innym? Zabrałeś im dusze. Ale mojej nie zabierzesz. Nie. Mojej nie dostaniesz. Nigdy, nigdy, nigdy... Mojej nie, mojej nie, mojej nie, mojej nie...

De Naplouse wymierzył szaleńcowi policzek. W jego głosie nie było już śladu łagodności, gdy rzucił opryskliwie:

– Weź się w garść.

Jego zapadnięte oczy płonęły. Głowa szaleńca opadła na pierś.

– Myślisz, że sprawia mi to przyjemność? Myślisz, że chcę ci zadawać ból? To ty nie pozostawiasz mi wyboru...

Niespodziewanie szaleniec wyrwał się strażnikom i próbował umknąć w kierunku otaczającego ich tłumu.

– Każdemu życzliwemu słowu towarzyszy cios jego dłoni... – zapiszczał, przebiegając obok Altaïra, ścigany przez dwóch strażników. – Wszystko to kłamstwa i podstęp. Nie spocznie, dopóki nie rzuci wszystkich na kolana.

Leniwe Oko złapał go wreszcie i zaciągnął przed oblicze Garniera. Szaleniec zaskamlał pod zimnym spojrzeniem wielkiego mistrza.

– Nie powinieneś był tego robić – wycedził de Naplouse.

Następnie wydał rozkaz Leniwemu Oku:

– Odstaw go do jego kwatery. Przyjdę, gdy skończę robić obchód.

– Nie możesz mnie tam trzymać! – wykrzyknął szaleniec. – Znowu wam ucieknę!

De Naplouse przystanął.

– Nie uciekniesz – odrzekł spokojnym tonem i zwrócił się do Leniwego Oka. – Połamcie mu nogi. Obie.

Leniwe Oko uśmiechnął się szeroko, a szalony mężczyzna raz jeszcze spróbował się wyrwać. W następnym momencie rozległy się dwa odrażające trzaski, przypominające odgłos łamanych drewnienek – to potężnie

zbudowany rycerz nadepnął najpierw na jedną, a potem na drugą nogę szaleńca. Ofiara wrzasnęła, Altaïr postąpił do przodu, nie potrafiąc opanować gniewu, który kipiał w nim na widok tego bezrozumnego okrucieństwa.

Ale oto chwila minęła: mężczyzna zemdlał – ból okazał się najwidoczniej nie do zniesienia – i dwaj strażnicy wywlekali go już z dziedzińca. De Naplouse odprowadził ich wzrokiem. Wyraz współczucia powrócił na jego twarz.

– Tak mi przykro, moje dziecko – powiedział, na poły do siebie. Potem odwrócił się w stronę świadków całego zdarzenia.

– Nie macie nic lepszego do roboty, ludzie? – warknął i spojrzał posępnie na mnichów i chorych, którzy rozchodzili się teraz powoli. Odwracając się plecami do Garniera, Altaïr spostrzegł, jak wielki mistrz uważnie lustruje wzrokiem tłumek na dziedzińcu, zupełnie jakby szukał osoby przysłanej tu, aby go zgładzić.

Dobrze, pomyślał Altaïr, gdy rozbrzmiał dźwięk zamykających się za wielkim mistrzem drzwi. Niech się boi. Niech poczuje namiastkę tego, co sam wzbudza w innych.

Ta myśl rozgrzała go, gdy dołączył do uczonych, którzy skierowali się ku drugim drzwiom. Prowadziły one do głównej sali; rozrzucona na podłodze słoma nie była w stanie ukryć wypełniającego pomieszczenie smrodu ludzkich fekaliiów i cierpienia. Altaïr zwalczył odruch wymiotny; zauważył, jak kilku mnichów zasłania nos rąbkiem szat, by powstrzymać odór. To stąd dobiegało słyszane wcześniej przez Altaïra zawodzenie. W szpitalnych łóżkach leżeli pojękujący, a od czasu do czasu krzyżący z bólu chorzy. Altaïr obserwował otoczenie spod naciągniętego na pochyloną głowę kaptura i w końcu dostrzegł Garniera de Naplouse, który zbliżył się do łóżka zajmowanego przez wychudzonego mężczyznę, unieruchomionego za pomocą skórzanych pasów.

– I jak się czujesz? – zapytał de Naplouse.

Cierpiący pacjent wyrzeźbił:

– Co ty mi... zrobiłeś?

– A tak. Ten ból. Nie będę cię okłamywał, na początku będzie bolało. To jednak niewielka cena. Za jakiś czas przyznasz mi rację.

Mężczyzna spróbował unieść głowę:

– Jesteś... potworem...

De Naplouse uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nazywano mnie już gorzej.

Następnie podszedł do drewnianej klatki, wewnątrz której stało inne łóżko i przyjrzał się... nie choremu czy pacjentowi; dopiero teraz Altaïr to sobie uświadomił. Ci nieszczęśnicy byli obiektami. Stanowili eksperymenty. Asasyn kolejny raz stoczył wewnętrzną walkę, by okiełznać swój gniew. Rozejrzał się szybko dookoła. Większość strażników zgromadziła się na przeciwległym końcu sali. Oprócz straży po sali krążyło także (podobnie jak na dziedzińcu) kilku zdezorientowanych, zataczających się chorych. Altaïr zwrócił też uwagę na grupkę mnichów, którzy wydawali się wsłuchiwać w każde wypowiedziane przez Garniera słowo, zachowując przy tym pełen szacunku dystans wobec wielkiego mistrza i wymieniając między sobą uwagi podczas wykonywanego przez niego obchodu.

Jeśli Altaïr miał spełnić swoją powinność – co do której nie żywił żadnych wątpliwości – musiał zrobić to szybko.

Wtedy jednak de Naplouse podszedł do kolejnego łóżka, uśmiechając się do leżącego w nim człowieka.

– Powiedziano mi, że możesz już chodzić – odezwał się życzliwie. – Imponujące.

Mężczyzna sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Minęło już... tyle czasu. Prawie zapomniałem... jak.

Wyglądało na to, że de Naplouse jest zadowolony. Szczerze zadowolony.

– To wspaniale – rzekł, obdarzając mężczyznę promiennym uśmiechem.

– Ja... nie rozumiem. Dlaczego mi pomogłeś?

– Ponieważ nikt inny by tego nie zrobił – odrzekł de Naplouse, ruszając

dalej.

– Zawdzięczam ci życie – powiedział z kolei mężczyzna w następnym łóżku. – Jestem na twoje rozkazy. Dzięki ci. Dzięki za uwolnienie mnie.

– To ja tobie dziękuję: za to, że mi na to pozwoliłeś – odparł de Naplouse.

Altaïr zawahał się. Coś tu się nie zgadzało. Czyżby de Naplouse nie był potworem? Altaïr szybko odegnał te wątpliwości – przywołał w myślach spazmatyczny krzyk szalonego mężczyzny, któremu połamano nogi, pomyślał o cierpiących, snujących się bez życia po szpitalu. Nawet jeśli natknął się w tym miejscu na przypadki wyleczenia, to bez wątpienia było ich o wiele mniej niż aktów barbarzyństwa.

De Naplouse doszedł tymczasem do ostatniego już łóżka. Za kilka chwil opuści salę i Altaïr straci swoją szansę. Asasyn podjął decyzję. Obejrzał się za siebie: strażnicy wciąż byli zajęci na drugim końcu sali. Wsunął się z grupy uczonych i podszedł od tyłu do Garniera, który pochylił się właśnie nad chorym.

Ukryte ostrze wystrzeliło i Altaïr ugodził nim swój cel, chwytając jednocześnie Garniera i dławiąc okrzyk, jaki z siebie wydał. Pod wpływem nagłego bólu Garnier wygiął kręgosłup w łuk. Altaïr niemal delikatnie opuścił na podłogę nabitego na ostrze medyka.

– Porzuć swoje brzemie – wyszeptał.

De Naplouse zamrugął i podniósł wzrok – spojrzał prosto w twarz swego zabójcy. W gasnących oczach nie było jednak widać strachu; Altaïr dostrzegł w nich jedynie zatroskanie.

– A teraz... odpocznę – rzekł. – Wzywa mnie niekończący się sen. Ale zanim zamknę oczy, muszę wiedzieć: co stanie się z moimi dziećmi?

Dziećmi?

– Masz na myśli tych, którym kazałeś cierpieć podczas swoich okrutnych doświadczeń? – Altaïr nie krył odrazy. – Będą mogli powrócić do domów.

– Do domów? – zaśmiał się szyderczo de Naplouse. – Jakich domów? Do rynsztoków? Do burdeli? Do więzień, z których ich wyciągnęliśmy?

– Porywałeś tych ludzi wbrew ich woli – odrzekł Altaïr.

– Tak. Wbrew tym resztkom woli, jakie posiadali – wydyszał z trudem de Naplouse. – Czy naprawdę jesteś aż tak naiwny? Czy zawsze zaspokajasz zachcianki płaczącego dziecka tylko dlatego, że głośno zawodzi? „Ojcze, chcę pobawić się ogniem”. Co byś mu odpowiedział? „Jak sobie życzysz”? Dobrze... Lecz wtedy to ty byłbyś odpowiedzialny za jego oparzenia.

– To nie są dzieci – powiedział Altaïr, próbując zrozumieć tego umierającego człowieka. – To w pełni dojrzały mężczyźni i kobiety.

– Dojrzały ciałem, być może. Ale nie umysłem. I ten właśnie ubytek próbowałem naprawić. Przyznaję, że bez artefaktu, tego, który nam ukradliście, moje postępy uległy spowolnieniu. Są jednak pewne zioła. Mikstury i ekstrakty. Moi strażnicy są tego dowodem. Byli szaleńcami, zanim ich znalazłem i uwolniłem z więzień, jakimi były ich własne umysły. Wraz z moją śmiercią znowu popadną w szaleństwo...

– Naprawdę wierzysz, że im pomagałeś?

De Naplouse uśmiechnął się; światło w jego oczach zaczynało gasnąć.

– To nie jest kwestia wiary. Ja to wiem.

Skonał. Altaïr ułożył jego głowę na kamiennej posadzce i sięgnął po pióro Al Mualima, które umoczył we krwi.

– Śmierci, bądź łaskawa – wyszeptał.

W tej samej chwili któryś ze stojących nieopodal mnichów podniósł krzyk. Altaïr wyprostował się nad ciałem Garniera i zobaczył strażników, biegnących ociężale w jego kierunku. Gdy wyciągnęli miecze, Altaïr nie czekał dłużej – zerwał się na równe nogi i popędził w stronę odległych drzwi, mając przy tym nadzieję, że prowadzą na dziedziniec.

Gdy drzwi się otworzyły, z radością zobaczył, że tak właśnie było.

Znacznie mniej ucieszył go natomiast widok Leniwego Oka, stojącego w drzwiach z szerokim mieczem w dłoni.

Altaïr także dobył miecza. Mając jedną rękę uzbrojoną w ostrze, a drugą w miecz, asasyn zważył się ze strażnikiem; rozległ się szcęk stali. Przez

moment obaj mężczyźni stali twarzą w twarz tak blisko siebie, że Altaïr mógł przyjrzeć się bliznom na powiece rycerza. Nagle Leniwe Oko odepchnął asasyna i natychmiast zrobił wypad, próbując pchnięcia; napotkał na swej drodze miecz Altaïra, ale spróbował raz jeszcze – tym razem tak szybko, że mało brakowało, by Altaïr nie zdążył się zastawić. Asasyn odskoczył, aby zwiększyć dystans do przeciwnika, który okazał się lepszym szermierzem, niż można było przypuszczać. W dodatku był prawdziwym olbrzymem. Na jego szyi wyraźnie rysowały się masywne ścięgna – efekt wielu lat posługiwania się szerokim mieczem. Za plecami Altaïr usłyszał nadciągających pozostałych strażników, którzy zatrzymali się jednak na znak dany im przez olbrzyma.

– Chcę go dla siebie – zamruczał groźnie.

Był arogancki i zbyt pewny siebie. Altaïr uśmiechnął się, dostrzegając w tym ironię losu. Następnie ruszył naprzód, wyprowadzając jednocześnie zamaszysty cios ostrzem. Leniwe Oko zaśmiał się i sparował uderzenie. Tymczasem Altaïr uskoczył w lewo i natarł na wroga od drugiej strony – tej, po której osadzone było uszkodzone oko, słaby punkt rycerza – i ciął go w szyję.

Krew pociekła z otwartego gardła strażnika, który zwałił się na kolana. Zza pleców Altaïra dobiegł okrzyk zaskoczenia; asasyn ruszył pędem przed siebie, roztrącając po drodze grupkę szaleńców, którzy zgromadzili się, by przyjrzeć się walce. Chyżo pokonał dziedziniec i wypadł przez bramę na ulicę Akki.

Dopiero tam przystanął i obrzucił uważnym spojrzeniem linię dachów. Wreszcie przesadził jednym susem uliczny stragan, wspiął się na ścianę, zostawiając za sobą wygrażającego pięściami handlarza, i znalazł się na dachu. Biegł i przeskakiwał między budynkami, stopniowo oddalając się od koszmarnego szpitala; wreszcie wtopił się w miasto. Przez cały czas myślał jednak o ostatnich słowach Garniera de Naplouse. O wspomnianym przez tamtego artefakcie. Pomyślał o skrzyneczce na stole Al Mualima, ale to nie

mogło być to. Co bowiem wspólnego mogliby z nią mieć szpitalnicy?
Jeśli jednak nie chodziło o tamten przedmiot, to o co?

13

– Garnier de Naplouse nie żyje – oznajmił Altaïr Al Mualimowi kilka dni później.

– Wyśmienicie. – Mistrz pokiwał głową z aprobatą. – Nie mogło nam pójść lepiej.

– A jednak... – zaczął Altaïr.

– O co chodzi?

– Ten medyk upierał się, że jego praca była czymś szlachetnym – rzekł Altaïr. – A wielu spośród tych, którzy mieli być jego więźniami, najwyraźniej odczuwało wobec niego wdzięczność. Nie wszyscy, ale wystarczająco wielu, żeby zacząć się zastanawiać... W jaki sposób ten człowiek zmienił swych wrogów w przyjaciół?

Al Mualim zaśmiał się głucho.

– Przywódcy zawsze znajdą sposób, by nakłonić innych do posłuszeństwa. To właśnie czyni ich przywódcami. Kiedy zawiodą słowa, sięgają po monety. Jeśli i one nie pomogą, uciekają się do bardziej niegodziwych środków: łapówek, gróźb i wszelkich innych podstępów. Istnieją rośliny, Altaïrze, pewne zioła z dalekich krajów, pod wpływem których można postradać zmysły. Przyjemności, jakich dostarczają, są tak wielkie, że człowiek staje się czasem ich niewolnikiem.

Altaïr skinął głową; przyszli mu na myśl pacjenci o szklanym wzroku, szaleńcy ze szpitala.

– Sądzisz, Mistrzu, że tamtych ludzi odurzono? Otruto?

– Tak, jeśli wyglądało to tak, jak opisałeś – odparł Al Mualim. – Nasi wrogowie oskarżali mnie zresztą o to samo.

Następnie powierzył Altaïrowi kolejne zadanie. Altaïra zastanowił wówczas uśmiech, z jakim Mistrz nakazał mu, by po zakończonym zwiadzie zgłosił się do rafiqa w Jerozolimie.

Jednak gdy tylko wkroczył do jerozolimskiej kwatery asasynów, przyczyna tamtego uśmiechu stała się jasna. Mistrza bawiła perspektywa ponownego spotkania Altaïra z Malikiem.

Asasyn podniósł się zza stołu na widok wchodzącego Altaïra. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem; obaj nie ukrywali wzajemnej pogardy. Po chwili Malik obrócił się niespiesznie, tak by Altaïr mógł zobaczyć puste miejsce, gdzie niegdyś znajdowało się jego ramię.

Altaïr pobladł. Wszystko jasne. Najlepsi chirurdzy w Masjafie nie zdołali więc ocalić uszkodzonej podczas walki z ludźmi Roberta de Sablé lewej ręki asasyna i zmuszeni byli ją amputować.

Usta Malika wykrzywiły się w zaprawionym goryczą uśmiechu zwycięstwa, za które przyszło zapłacić zbyt wysoką cenę. Altaïr opamiętał się. Uświadomił sobie, że nie powinien traktować Malika w sposób pozbawiony pokory i szacunku. Pochylił głowę w geście uszanowania dla strat, jakie poniósł stojący przed nim człowiek. Stracił swego brata. Swoje ramię. Swoją pozycję.

– Pokój i bezpieczeństwo, Maliku – odezwał się w końcu.

– Twoja obecność tutaj odbiera mi i jedno, i drugie – rzucił ostro Malik; on zaś miał wszelkie prawo traktować Altaïra z pogardą i najwyraźniej zamierzał z niego skorzystać. – Czego chcesz?

– Al Mualim polecił...

– Żebyś wykonał jakieś zadanie i postarał się tym odkupić swoje winy? – przerwał mu szyderczo Malik. – No więc, dalej. Mów, czego się dowiedziałeś.

– Oto, co wiem – rozpoczął Altaïr. – Celem jest Talal, handlarz ludzkim

życiem, porywający mieszkańców Jerozolimy i sprzedający ich w niewolę. Jego siedziba mieści się w magazynie na terenie barbakanu, na północ stąd. W tej chwili szykuje karawanę do wyjazdu. Uderzę, kiedy będzie dokonywał inspekcji swojego inwentarza. Jeśli tylko uda mi się uniknąć jego ludzi, sam Talal powinien stanowić niewielkie wyzwanie.

Malik wydał wargi.

– Niewielkie wyzwanie? Posłuchaj siebie. Ileż w tobie arogancji.

Altaïr zganił się w myślach. Malik miał rację. Przypomniał sobie mowę z Damaszku, którego niewłaściwie ocenił i który niemal go pokonał.

– Skończyliśmy już? – zapytał, nie dając po sobie poznać, o czym naprawdę myślał. – Zadowala cię to, czego się dowiedziałem?

– Nie – odparł Malik, wręczając Altaïrowi pióro – ale musi mi to wystarczyć.

Altaïr skinął głową. Spojrzał raz jeszcze na zwisający luźno rękaw Malika i już miał coś rzec, gdy uzmysłowił sobie, że żadne słowa nie naprawią jego błędów. Cena, jaką zapłacił za nie Malik, była tak wielka, że Altaïr nie mógł mieć nadziei, że kiedykolwiek zasłuży na jego przebaczenie.

Odwrócił się więc i wyszedł. Kolejny cel miał wkrótce poczuć pocałunek jego ostrza.

14

Niedługo potem Altaïr wślizgnął się do magazynu, w którym przygotowywano transport do wysyłki. Rozejrzał się dookoła i to, co zobaczył, wzbudziło jego niepokój.

W środku nie było żadnych strażników. Żadnych sług.

Postąpił dwa kroki do przodu, po czym zatrzymał się. Nie. Co też strzeliło mu do głowy? Z tym magazynem wyraźnie było coś nie w porządku. Już miał obrócić się na pięcie i odejść, gdy nagle drzwi zatrzęsły się i rozległ się odgłos, którego nie można było pomylić z żadnym innym – dźwięk zasuwanego rygla.

Altaïr zaklął i sięgnął po miecz.

Zaczął się skradać, a jego zmysły stopniowo przyzwyczajały się do panującego tu mroku, wilgoci, zapachu pochodni i...

Czegoś jeszcze. W powietrzu unosił się zapach żywego inwentarza, który wydał się Altaïrowi bardziej ludzki niż zwierzęcy.

Rachityczne płomienie pochodni pozwalały dostrzec zarysy ciemnych, gładkich ścian; gdzieś w pobliżu kropla za kroplą kapała woda. Chwilę później Altaïr usłyszał cichy jęk.

Szedł dalej, mijając skrzynki i beczki, aż jego oczom ukazała się... klatka. Zbliżył się i wzdrygnął pod wpływem tego, co zobaczył. W klatce zamknięty był człowiek. Wzbudzający litość, trzęsący się więzień siedział z nogami pod brodą i przyglądał się Altaïrowi załzawionymi oczyma. Uniósł drżącą dłoń.

– Pomóż mi – powiedział.

Wtem gdzieś z tyłu rozległ się inny dźwięk i Altaïr, obróciwszy się gwałtownie, ujrzał kolejnego człowieka. Wisiał przykuty do ściany, a jego nadgarstki i kostki skuwały kajdany. Głowę zwiesił na piersi, a brudne włosy opadły mu na twarz; Altaïr zdołał jednak zauważyć, jak wargi mężczyzny poruszają się niczym w modlitwie.

Gdy asasyn zbliżył się do niego, usłyszał głos dobiegający z dołu; spojrzął pod nogi i spostrzegł żelazną kratę osadzoną w kamiennej podłodze. Zza kraty wyglądała przestraszona twarz jeszcze jednego niewolnika, który przez pręty wyciągnął do asasyna swe kościste place w geście niemej prośby. W głębi zakratowanej dziury zamajaczyły inne ciemne kształty; dobiegały stamtąd dźwięki szurania i ludzkie głosy. Przez chwilę Altaïrowi wydawało się, jakby błagalne prośby uwięzionych wypełniły szczelnie całe pomieszczenie:

– Pomóż mi, pomóż mi...

Ich natarczywy, błagalny ton sprawiał, że Altaïr miał ochotę zatkać uszy. Nagle usłyszał głos donioślejszy niż tamte:

– Nie powinieneś być tu przychodzić, asasynie.

Talal, to na pewno on.

Obrócił się w stronę, z której dobiegły słowa – na balkonie powyżej dostrzegł ruch cienia. Czyżby to łucznik? Altaïr przykucnął, by stanowić możliwie najmniejszy cel; jego mięśnie były napięte, miecz gotowy.

Gdyby jednak Talal chciał mieć go martwego, Altaïr już by nie żył. Wszedł prosto w zastawioną przez handlarza niewolników pułapkę – błąd zaiste godny głupca, nowicjusza – choć pętla nie zacisnęła się jeszcze do końca.

– Ale tacy jak ty nie słuchają rad – zadrwił Talal. – Za bardzo boicie się sprzeniewierzyć swemu Bractwu.

Altaïr skradał się powoli, w dalszym ciągu próbując dojrzeć Talala. Na pewno znajdował się gdzieś na górze. Tylko gdzie?

– Sądziłeś, że nie będę się ciebie spodziewał? – ciągnął bezcielesny głos. – Wiedziałem o tobie od chwili, gdy przekroczyłeś bramy miasta. Moje

wpływy sięgają daleko.

Z dołu ponownie dobiegły do uszu Altaïra szlochy. Widział kolejne kraty, a za nimi, w mroku, kolejne wpatrzone w niego brudne twarze, po których spływały łzy.

– Pomóż mi... Ocal mnie...

W tej części magazynu znajdowało się więcej klatek i więcej niewolników, zarówno mężczyzn, jak i kobiet: byli wśród nich żebracy i prostytutki, pijacy i szaleńcy.

– Pomóż mi. Pomóż mi.

– Więc to tutaj trzyma się niewolników – zawołał Altaïr. – A gdzie są ci, którzy nimi handlują?

Talal zignorował go.

– Podziwiał moje dzieło w całej okazałości – oznajmił.

Na te słowa magazyn rozświetlił blask nowych pochodni, wydobywając z ciemności jeszcze więcej przerażonych, patrzących błagalnie twarzy.

Przed Altaïrem rozwarła się druga brama, otwierając mu drogę do kolejnego pomieszczenia. Wspiął się po kilku stopniach i znalazł się w dużej sali; wysoko w górze znajdowała się galeria, opasująca całe pomieszczenie. Na niej Altaïr zauważył ukryte w cieniu postaci i mocniej ścisnął rękojeść miecza.

– Co teraz, handlarzu niewolników?! – krzyknął.

Talal usiłował go przestraszyć. Były rzeczy, które budziły w Altaïrze strach, to prawda – jednak nie zaliczało się do nich nic, na co było stać tego sprzedawcę niewolników.

– Nie nazywaj mnie tak! – wrzasnął Talal. – Chcę im tylko pomóc. Tak jak i mnie ktoś kiedyś pomógł.

Altaïr nadal słyszał przyciszone jęki niewolników, dobiegające z poprzedniej sali. Szczerze wątpił, czy działania Talala uznawali za pomoc.

– Więząc ich w taki sposób, nie wyświadczasz im przysługi – zawołał w ciemność.

Talal nadal pozostawał w ukryciu.

– Wiążąc ich? Zapewniam im bezpieczeństwo, przygotowuję ich do nadchodzącej podróży.

– Jakiej podróży? – kpiącym tonem zapytał Altaïr. – Czeka na nich życie w niewoli.

– Ty nic nie pojmujesz. Postąpiłem głupio, ściągnając cię tutaj. Myślałem, że gdy zobaczysz, zrozumiesz.

– Rozumiem wystarczająco wiele. Brakuje ci odwagi, żeby stawić mi czoła, i dlatego wolisz ukrywać się w cieniu. Dostyc gadania. Pokaż się.

– O... Chcesz zatem ujrzeć człowieka, który cię tu wezwał?

Altaïr usłyszał ruch na galerii.

– Nie wezwałeś mnie. Przyszedłem tu z własnej woli.

Śmiech odbił się echem od otaczających salę balkonów.

– Czy aby na pewno? – zadrwił Talal. – A kto zdjął rygle z drzwi? Kto oczyścił ci drogę? Czy musiałeś wznieść ostrze przeciw choćby jednemu z moich ludzi? Nie. To ja zrobiłem to wszystko dla ciebie.

Coś poruszyło się na suficie ponad galerią i snop światła padł na kamienną podłogę.

– Stań więc w świetle – zawołał z góry Talal – a wyświadczę ci jeszcze jedną, ostatnią przysługę.

Altaïr ponownie pomyślał, że gdyby Talal chciał jego śmierci, łucznicy już dawno naszpikowaliby go strzałami; z tą myślą wszedł w obręb światła. Gdy tylko to uczynił, zamaskowani mężczyźni zeskoczyli z galerii i bezgłośnie go otoczyli. Mierzyli go beznamiętnym wzrokiem. Miecze wisiały u ich boków, a ich piersi falowały miarowo w rytm oddechów.

Altaïr przełknął ślinę. Naliczył ich sześciu. Z pewnością nie było to „niewielkie wyzwanie”.

Tymczasem na galerii rozległy się kroki i Altaïr spojrział w górę: Talal wynurzył się z półmroku i wpatrywał się teraz w asasyna. Miał na sobie pasiastą tunikę i gruby pas. Przez jego ramię przewieszony był łuk.

– Oto staję przed tobą – rzekł, uśmiechając się przy tym i rozpościerając szeroko ręce, jakby serdecznie witał gościa, który nawiedził jego dom. – Czego sobie życzysz?

– Byś zszedł tu do mnie. – Altaïr wskazał mu drogę mieczem. – Załatwmy to honorowo.

– Dlaczego zawsze musi się to kończyć przemocą? – zapytał Talal, a w jego głosie pobrzmiwało niemal rozczarowanie postawą Altaïra. – Wygląda na to, że nie zdołam ci pomóc, asasynie, skoro ty nie chcesz pomóc samemu sobie – ciągnął. – Nie mogę pozwolić, by coś zagroziło mojemu dziełu. Nie zostawiasz mi więc wyboru: musisz umrzeć.

Dał ręką znak swoim ludziom.

Ci dobyli mieczy.

A potem zaatakowali.

Altaïr stęknął z wysiłku, odpierając atak dwóch napastników naraz; gdy tylko udało mu się odepchnąć ich do tyłu, natychmiast zwrócił się ku trzeciemu. Pozostali czekali w tym czasie na swą kolej. Asasyn szybko zorientował się, że ich strategia polega na atakowaniu go dwójkami.

Z taką liczbą przeciwników mógł jeszcze sobie poradzić w pojedynkę. Pochwycił najbliższego stojącego mężczyznę – z satysfakcją zauważył, jak jego widoczne ponad maską oczy zrobiły się nagle okrągłe ze zdziwienia – a następnie cisnął nim w kierunku innego napastnika. Obaj wpadli na rusztowanie, które zważyło się prosto na nich. Altaïr poszedł za ciosem i pchnął mieczem jednego z rozciągniętych na kamiennej podłodze mężczyzn. Krzyk ugodzonego przeszedł po chwili w agonalne rżenie.

Napastnicy przegrupowali się, po czym zerkając na siebie, zaczęli powoli okrążyć asasyna. Altaïr obracał się wraz z nimi, trzymając miecz w wyciągniętej ręce. Uśmiechał się przy tym i mogłoby się wydawać, że dobrze się bawi. Pięciu zamaskowanych, wyszkolonych zabójców przeciw jednemu asasynowi. Jeszcze niedawno byli przekonani, że będzie dla nich łatwą ofiarą – widział to w ich oczach. Wystarczyło jedno starcie i nie byli

już tak pewni swego.

Altaïr upatrzył sobie jednego z przeciwników. To stary trik, którego nauczył go Al Mualim – przydatny, gdy trzeba było stawić czoła wielu wrogom jednocześnie.

Celowo utkwiał wzrok w strażniku znajdującym się bezpośrednio przed nim...

Nie ignoruj pozostałych, lecz mierz tylko w tego jednego. Uczyn go swoim celem. Daj mu do zrozumienia, że to właśnie on nim jest.

Asasyn uśmiechnął się. Strażnik jęknął.

A potem go wykończ.

Altaïr uderzył niczym wąż. Doskoczył do strażnika, który okazał się zbyt wolny, by w ogóle zareagować – najpierw gapił się tylko w dół na ostrze Altaïra, które wbiło mu się w pierś, a potem zacharczał, opadając na kolana. Asasyn wyszarpnął ostrze – towarzyszył temu odgłos rozrywanego mięsa – a następnie skoncentrował się na kolejnym wrogu.

Wybierz jednego z przeciwników...

Strażnik wyglądał na przerażonego, a jego miecz zaczął drżeć. W niczym nie przypominał teraz zabójcy. Krzyknął coś w niezrozumiałym dla Altaïra dialekcie, potem ruszył chaotycznie do przodu, mając najwyraźniej nadzieję, że uda mu się dopaść asasyna – ten jednak przesunął się w bok, wykonał cięcie w brzuch i chwilę później mógł się napawać widokiem połyskujących wnętrzności, wylewających się z rany, jaką zadał napastnikowi. Dobiegający z góry głos Talala zachęcał jego ludzi do ataku nawet wtedy, gdy kolejny z nich zwałił się na ziemię; pozostałych dwóch natarło na Altaïra jednocześnie. Pomimo swoich masek nie sprawiali już tak groźnego wrażenia, jak na początku. Wyglądali teraz na przerażonych, jakby lada moment mieli stracić życie.

Altaïr położył kolejnego przeciwnika, z którego szyi wytrysnęła fontanna krwi. Ostatni ze strażników odwrócił się i zaczął biec, łudząc się, że znajdzie schronienie na galerii. Altaïr schował miecz do pochwy i wziął do ręki dwa

noże do rzucania. Noże zawirowały w powietrzu i chwilę później oba załśniły w karku uciekającego mężczyzny, który zwałił się z drabiny na ziemię. Ucieczka się nie powiodła.

Na galerii rozległy się przyspieszone kroki. To Talal wziął nogi za pas. Altaïr pochylił się, aby odzyskać swoje noże, po czym zaczął wspinać się po drabinie. Dotarł na galerię w samą porę, by zauważyć, jak Talal wdrapuje się po stopniach wiodących na dach magazynu.

Asasyn ruszył za nim. Gdy wychylił się przez właz w dachu, tylko gwałtowne cofnięcie się ocaliło go przed strzałą, która z trzaskiem wbiła się w drewno i dygotała teraz tuż obok jego głowy. W oddali spostrzegł stojącego na dachu łucznika, zakładającego na cięciwę kolejną strzałę. Altaïr podciągnął się i wy dostał przez właz na dach, po czym przetoczył się do przodu i cisnął w przeciwnika oba noże, których klingi wciąż jeszcze spływały krwią poprzedniej ofiary.

Łucznik krzyknął i upadł – jeden nóż tkwił w jego szyi, drugi zaś wbił się w pierś. Talal tymczasem przebiegł po kładce łączącej budynki, a następnie wskoczył na rusztowanie i po chybotliwej konstrukcji zsunął się na ulicę. Tam obejrzał się za siebie i zauważywszy, że asasyn podąża w ślad za nim, puścił się biegiem.

Altaïr był coraz bliżej. Był szybki i, w przeciwieństwie do Talala, nie oglądał się ciągle przez ramię i nie wpadał co rusz na niespodziewających się niczego przechodniów. Talal natomiast potraçał kobiety i mężczyzn; te pierwsze piszczały i głośno go rugały, mężczyźni zaś klęli i odpychali intruza.

Wszystko to spowalniało handlarza, przedzierającego się przez ulice i place targowe. Po niedługim czasie niemal zupełnie zaprzepaścił przewagę, jaką początkowo zyskał nad Altaïrem. Gdy teraz oglądał się za siebie, asasyn mógł już dostrzec białka jego oczu.

– Uciekaj, póki jeszcze możesz! – wrzasnął Talal przez ramię. – Moi strażnicy zaraz tu będą!

Altaïr zaśmiał się tylko i biegł dalej.

– Przestań mnie ścigać, a daruję ci życie – zapiszczał Talal. Asasyn nie odpowiedział. Kontynuował pościg. Zwinnie lawirował w tłumie i przeskakiwał nad towarami, które Talal strącał ze straganów, usiłując zatrzymać swego prześladowcę. Dystans między nimi zmniejszył się jeszcze bardziej i pościg mógł się w każdej chwili zakończyć.

Talal tymczasem obejrzał się po raz kolejny i przekonawszy się, że odległość dzieląca go od asasyna wciąż maleje, raz jeszcze spróbował przekonać Altaïra.

– Zatrzymaj się i wysłuchaj mnie! – krzyknął z desperacją w głosie. – Moglibyśmy się dogadać!

Altaïr i tym razem nie odpowiedział, przyglądał się tylko, jak Talal ponownie się odwraca. Za chwilę zderzy się z kobietą, której twarz zasłaniały niesione przez nią butle. Ani ona, ani handlarz niewolników nie patrzyli, gdzie idą.

– Nic ci nie zrobiłem! – wrzasnął Talal, zapominając najwidoczniej, że ledwie kilka minut wcześniej nasłał na Altaïra sześciu zabójców. – Dlaczego ścigasz mnie z takim uporem...

W tej samej chwili wypuścił ze świstem powietrze i wraz z kobietą niosącą butle stworzył istną plątaninę rąk i nóg; oboje zgodnie runęli na ziemię. Wokół nich leżały porozbijane naczynia.

Talal spróbował jeszcze niezdarnie się podnieść, ale ruszał się zbyt wolno. Altaïr stanął nad nim i rozległ się dźwięk otwieranego ostrza. Gdy tylko nienasycony brzeszczot zdążył się wysunąć, asasyn przykłęknął i zatopił go w ciele handlarza niewolników. Z nosa i ust Talala od razu puściła się krew. Przewróconej przez niego kobiecie udało się w tym czasie stanąć na nogi i teraz, czerwona z oburzenia, zamierzała najwyraźniej nawrzeszczeć na winowajcę wypadku. Spojrzawszy jednak na Altaïra, jego ostrze i broczącego krwią Talala, zmieniła zdanie i szybko się oddaliła, lamentując przy tym głośno. Pozostali przechodnie omijali ich z daleka, wyczuwając, że dzieje się

coś niedobrego. Mieszkańcy Jerozolimy, miasta, w którym nie brakowało konfliktów, woleli nie zatrzymywać się w pobliżu podobnych awantur w obawie, by nie stać się ich uczestnikami.

Altaïr pochylił się nisko nad Talalem.

– Nie masz już dokąd uciekać – powiedział. – Wyznaj mi swoje sekrety.

– Moja rola jest skończona, asasynie – odrzekł Talal. – Bractwo nie jest na tyle słabe, by moja śmierć mogła powstrzymać jego dzieło.

Altaïr przypomniał sobie Tamira. On również mówił przed śmiercią o innych. I także wspominał o braciach.

– Jakie bractwo? – naciskał.

Talal uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Nie tylko Al Mualim ma plany co do Ziemi Świętej. Więcej się ode mnie nie dowiesz.

– Skończyliśmy zatem. Teraz błagaj swego Boga o przebaczenie.

– Boga nie ma, asasynie. – Handlarz niewolników zaśmiał się słabo. – A jeśli nawet kiedyś był, to dawno już nas opuścił. Porzucił kobiety i mężczyzn, których ja przygarnąłem.

– Co masz na myśli?

– Żebraków. Dziwki. Ofiary nałogów i trądu. Czy oni wydają ci się materiałem na niewolników? Nie nadają się do najpośledniejszych nawet prac. Nie... Przygarnąłem ich nie po to, by ich sprzedać, ale by ich ocalić. A ty mimo to pozabijałbyś nas wszystkich. Tylko dlatego, że tak ci kazano.

– Nie – odparł zdeorientowany nagle Altaïr. – Czerpiesz zyski z wojny. Ze zniszczonych i złamanych istnień.

– W swojej ignorancji możesz tak właśnie myśleć. Zbudowałeś wokół swojego umysłu mur, prawda? To właśnie potraficie najlepiej, ty i tobie podobni. Czy nie dostrzegasz w tym wszystkim ironii?

Altaïr wpatrywał się w leżącego mężczyznę. Tak samo było z Garnierem de Naplouse. Słowa umierającego podważały wszystko, co Altaïr wiedział o celu swojej misji – czy też raczej to, co on sam uważał za wiedzę.

– Nie, wygląda na to, że jeszcze nie. – Talal pozwolił sobie na ostatni uśmiech, powiększając tylko zakłopotanie Altaïra. – Ale jeszcze ją zobaczysz.

Powiedziawszy to, umarł.

– Przykro mi – szepnął Altaïr i zamknął mu powieki.

Następnie umoczył pióro we krwi, wstał i zniknął w tłumie, zostawiając za sobą ciało Talala leżące na piasku.

15

Podczas swoich podróży Altaïr obozował przy studniach, źródłach i wodotryskach, wszędzie tam, gdzie można było znaleźć wodę i odrobinę cienia rzucanego przez drzewa palmowe; w takich miejscach on sam mógł odpocząć, a jego puszczone swobodnie wierzchowiec miał okazję poskubać trawę. Często był to jedyny skrawek zieleni w zasięgu wzroku, Altaïr nie musiał się zatem obawiać, że koń gdziekolwiek się oddali.

Owej nocy udało mu się znaleźć źródło, które ktoś troskliwie zadasyzył i otoczył murkiem, by uchronić cenny źródło przed pochłonięciem przez pustynię. Gdy Altaïr ugasił już pragnienie, rozciągnął się na ziemi, przysłuchując się szmerowi wody, jaki dobiegał zza grubo ociosanych kamieni, i rozmyślając o ostatnich chwilach Talala. Potem myśli asasyna podryfowały jeszcze dalej, ku innym martwym ciałom, jakie zostawił za sobą w przeszłości. Rozmyślał o życiu, które przerywa – a może kończy? – śmierć.

Po raz pierwszy zetknął się z nią jako młody chłopiec, podczas oblężenia Masjafu. Śmierć zebrała wówczas swoje żniwo wśród asasynów i Saracenów; dosięgła także jego ojca. Co prawda widok umierającego rodzica został Altaïrowi oszczędzony, jednak słyszał tę śmierć – słyszał świst opadającego miecza, po którym rozległ się miękki, głuchy dźwięk. Popędził wtedy ku furcie w bramie twierdzy, chcąc dołączyć do ojca, jednak pochwyciły go i przytrzymały czyjeś ręce.

– Puść mnie! Puść! – krzyczał, starając się wyrwać z uścisku.

– Nie, dziecko.

Altaïr uświadomił sobie, że to Ahmed go przytrzymuje. Altaïr wbił w niego wzrok, a oczy zapłonęły mu nienawiścią. Nie obchodziło go, że po torturach Ahmed był posiniaczony i zakrwawiony, tak że ledwo trzymał się na nogach; nie dbał o to, że dusza Ahmeda cierpiała ze wstydu, jakim okryło go załamanie podczas przesłuchania. Jedyne, co w tamtej chwili miało dla Altaïra znaczenie, to fakt, że jego ojciec poświęcił swe życie, oddając się w ręce wroga, a także...

– To twoja wina! – wykrzyknął, szarpiąc się i wyrywając Ahmedowi, który opuścił głowę i przyjmował słowa chłopca tak, jakby to były ciosy zadawane pięścią. – To twoja wina – wyrzucił z siebie Altaïr, a potem usiadł na trawie i ukrył twarz w dłoniach, chcąc odgrodzić się od całego świata. Kilka kroków dalej opadł na ziemię wycieńczony, pobity Ahmed.

Saraceni odeszli tymczasem spod cytadeli, pozostawiając pod jej murami bezgłowe ciało ojca Altaïra. Zostawili po sobie także rany, które miały nigdy się nie zbliznić.

Przez jakiś czas Altaïr mieszkał jeszcze w tej samej kwaterze, którą do niedawna dzielił z ojcem: była to izba o ścianach z szarego kamienia, z plecionymi matami na podłodze i prostym stołem, ustawionym pomiędzy dwiema pryzkami, jedną mniejszą, drugą większą. Altaïr przeniósł się na większe posłanie, gdzie wciąż czuł zapach ojca. Wyobrażał go sobie czasami, siedzącego przy stole, zaczytanego albo skrobiącego coś na zwoju pergaminu, bądź też powracającego późną nocą i besztającego Altaïra za to, że jeszcze nie położył się spać, a potem zdmuchującego świecę przy posłaniu syna, zanim sam udał się na spoczynek. Te wyobrażenia były wszystkim, co pozostało osieroconemu Altaïrowi. Wyobrażenia i wspomnienia. Al Mualim zapowiedział, że wezwie go we właściwym czasie, by podjąć decyzje dotyczące jego przyszłości. Gdyby do tej pory czegokolwiek potrzebował, powinien zgłosić się do Mistrza jako do swego mentora.

Ahmeda natomiast złożyła gorączka. Jego nocne majaczenia słychać było

w całej cytadeli. Czasem krzyczał jak człowiek pogrążony w wielkim bólu, czasem jego wołanie przypominało wrzaski obłąkanego. Pewnej nocy wykrzykiwał raz po raz jedno i to samo słowo. Altaïr zwlekł się z posłania i podszedł do okna, zdawało mu się bowiem, że słyszy imię ojca.

Tak też było.

– Omar! – Altaïr poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

– Omar! – Wrzask odbił się echem na opustoszałym dziedzińcu. – Omar!

Nie, dziedziniec nie był jednak pusty. Przyjrzawszy się dokładniej, Altaïr dostrzegł postać dziecka, mniej więcej w jego wieku, która w miękkiej porannej mgle otulającej plac ćwiczeń przypominała stojącego na posterunku wartownika. Był to Abbas. Altaïr nie znał go zbyt dobrze. Wiedział o nim tylko tyle, że nazywa się Abbas Sofian i że jest synem Ahmeda Sofiana. Chłopiec stał teraz na dziedzińcu, słuchając, jak ojciec krzyczy w malignie, i być może modląc się za niego. Altaïr przyglądał się Abbasowi przez czas kilku uderzeń serca – w tym cichym czuwaniu było coś, co budziło jego podziw. Potem opuścił zasłonę, wrócił na posłanie i zakrył dłońmi uszy, by nie słyszeć imienia ojca, które Ahmed wciąż wykrzykiwał.

Mówiono, że gorączka opuściła Ahmeda następnego dnia i że wrócił do swej kwatery, lecz już jako inny, złamany człowiek. Altaïr słyszał też, że Ahmed przeleżał następne dwa dni na posłaniu, doglądany przez swego syna.

Kolejnej nocy Altaïra obudził hałas – zamrugał i zdał sobie sprawę, że w izbie ktoś się porusza. Usłyszał kroki prowadzące do stołu, na którym stała zapalona świeca. Na kamiennej ścianie zatańczyły cienie. Zaspianemu Altaïrowi wydało się, że w izbie jest jego ojciec. Ojciec, który w końcu do niego wrócił. Chłopiec uśmiechnął się i usiadł na posłaniu, gotowy go powitać i wysłuchać połajanki za to, że nie śpi. Oto wreszcie obudził się ze straszego snu, w którym jego rodzic zginął, zostawiając go samego.

Lecz człowiek w pokoju nie był jego ojcem.

Był to Ahmed.

Wymizerowane ciało stojącego przy drzwiach mężczyzny okrywała biała

szata, a jego twarz przypominała bladą maskę. Wydawał się nieobecny, a zarazem niemal zupełnie spokojny; gdy Altaïr usiadł na posłaniu, mężczyzna uśmiechnął się nieznacznie, nie chcąc pewnie wystraszyć chłopca. Jednak jego oczy były niczym dwie ciemne, bezdenne otchłanie, jakby pod wpływem cierpienia zupełnie wypaliło się w nich życie. W dłoni dzierżył sztylet.

– Przepraszam – rzekł i było to jedyne, a zarazem ostatnie słowo, jakie wypowiedział. W następnej chwili przesunął sztyletem po swym gardle; w miejscu, które przeciął brzeszczot, ział teraz szeroki, czerwony otwór.

Krew zalała jego szatę, a wokół rany pojawiły się krwawe pęcherzyki powietrza. Sztylet ze szczękiem uderzył o podłogę, Ahmed zaś uśmiechnął się ponownie i opadł na kolana. Wzrok miał przez cały czas utkwiony w Altaïrze, zeszywniałym z przerażenia, niezdolnym oderwać oczu od wykrwawiającego się przed nim Ahmeda. Konający mężczyzna odchylił się do tyłu, a jego głowa opadła na bok, uwalniając Altaïra od upiornego spojrzenia. Zamknięte drzwi powstrzymały jednak ciało przed upadkiem na plecy i przez kilka chwil Ahmed trwał w pozycji skruszonego, klęczącego pokutnika, dopóki w końcu nie runął do przodu.

Altaïr nie miał pojęcia, jak długo tam siedział, łkając cicho i nasłuchując, jak krew Ahmeda rozlewa się obficie po kamiennej posadzce. Wreszcie zdobył się na odwagę i zszedł z siennika, wziął świecę, po czym ostrożnie ominął krwawy koszmar na podłodze. Pociągnął do siebie drzwi i jęknął płacząco, gdy zawadziły o stopę Ahmeda. Wydostawszy się w końcu z izby, puścił się biegiem. Płomień świecy zgasł, ale Altaïr o to nie dbał. Biegł, dopóki nie dotarł do Al Mualima.

– Nie wolno ci nigdy nikomu o tym mówić – pouczył go nazajutrz Al Mualim.

Resztę minionej nocy Altaïr spędził w komnatach Mistrza, gdzie pokrzepiwszy się najpierw ciepłym, korzennym napojem, zapadł w mocny sen. Al Mualim przebywał w tym czasie gdzie indziej, dopełniając

powinności związanych z ciałem Ahmeda. Gdy następnego dnia powrócił, usiadł przy łóżku Altaïra.

– Członkom Zakonu powiemy, że Ahmed wyjechał pod osłoną ciemności – rzekł. – Niech sami wyciągną z tego wnioski. Nie możemy pozwolić, by Abbas żył z piętnem wstydu z powodu samobójstwa ojca. To, co zrobił Ahmed, było niehonorowe. Jego hańba przeszłaby na jego bliskich.

– A co będzie z Abbasem? – spytał Altaïr. – Czy dowie się prawdy?

– Nie, moje dziecko.

– Ale powinien przynajmniej wiedzieć, że jego ojciec...

– Nie, moje dziecko – powtórzył Al Mualim podniesionym głosem. – Abbasowi nie powie o tym nikt, łącznie z tobą. Jutro ogłoszę, że obaj zostaliście nowicjuszami w naszym Zakonie i że staniecie się braćmi krwi. Będziecie dzielić kwaterę. Będziecie wspólnie trenować, uczyć się i spożywać posiłki. Jak bracia. Będziecie dbać o siebie nawzajem. Żaden z was nie dopuści, by drugiemu stała się krzywda, czy to na ciele, czy w jakikolwiek inny sposób. Wyrażam się jasno?

– Tak, Mistrzu.

Tego dnia Altaïra przeniesiono do jednej kwatery z Abbasem. Była to skromna izba: dwa sienniki, pleciona mata i stolik. Nowe lokum nie spodobało się chłopcom, ale Abbas oświadczył, że rychło się stamtąd wyprowadzi – niech tylko wróci jego ojciec. W nocy Abbas spał niespokojnie, od czasu do czasu krzycząc coś przez sen; Altaïr leżał na sąsiedniej pryczy, bojąc się, że jeśli tylko zaśnie, nawiedzą go koszmary, w których powróci Ahmed.

Tak też się stało. Ahmed przychodził do niego co noc. Pojawiał się ze sztyletem, który lśnił w tańczącym świetle świecy. Powoli przeciągał ostrzem po gardle, uśmiechając się przy tym upiornie.

Altaïr obudził się. Otaczająca go pustynia była chłodna i spokojna. Palmy szeleściły poruszane powiewami lekkiego wiatru; za plecami słyszał szmer wody. Przetarł dłonią czoło i zorientował się, że całe jest spocone. Ponownie

opuścił głowę z nadzieją, że uda mu się dospać przynajmniej do brzasku.

CZEŚĆ DRUGA

16

– Dobrze się sprawiłeś – powiedział następnego dnia Al Mualim. – Trzech z dziewięciu jest już martwych i za to należą ci się moje podziękowania.

Uśmiech szybko zniknął jednak z twarzy Mistrza.

– Niech ci nie przyjdzie do głowy spocząć teraz na laurach. Twoja praca dopiero się zaczyna.

– Jestem na twoje rozkazy, Mistrzu – zapewnił solennie Altaïr. Był wyczerpany, ale i wdzięczny za to, że powoli zaczął rehabilitować się w oczach Al Mualima. Dostrzegał też zmianę w zachowaniu tutejszych strażników. O ile wcześniej patrzyli na niego ze wzgardą, o tyle teraz okazywali mu chłodny szacunek. Nie miał wątpliwości, że wieści o jego sukcesach zdążyły już do nich dotrzeć. Sam Al Mualim nagrodził go czymś na kształt uśmiechu oraz pozwolił mu usiąść. Usiąść!

Mistrz ciągnął dalej:

– Król Ryszard, rozzuchwalony zwycięstwem pod Akką, szykuje się, by wyruszyć na południe, na Jerozolimę. Saladyn z pewnością jest tego świadom i gromadzi ludzi pod zniszczoną cytadelą Arsuf.

Usłyszawszy imię Saladyna, Altaïr stężał. Jego myśli poszybowały do tamtego dnia, gdy Saraceni stali u bram fortecy...

– Czy chcesz więc, bym zabił ich obu? – zapytał, z lubością myśląc o zatopieniu ostrza w ciele wodza Saracenów. – Bym zakończył ich wojnę, zanim rozpęta się na dobre?

– Nie – ostro rzucił Al Mualim, wpatrując się w Altaïra z taką

przenikliwością, że asasyn miał wrażenie, iż Mistrz czyta mu w myślach. – To jedynie rozproszyłoby ich armie i wydało tę krainę na łup dziesięciu tysięcy żądnych krwi i pozbawionych celu wojowników. Zanim ci dwaj wrogowie się spotkają, minie wiele dni, a dopóki ich armie maszerują, dopóty nie walczą. Ty musisz zająć się bliższym zagrożeniem: ludźmi, którzy chcą sprawować władzę pod nieobecność Ryszarda i Saladyna.

Altaïr kiwnął głową. Odłożył na bok wizję zemsty; powróci do niej innego dnia.

– Daj mi ich imiona, a ja dam ci ich krew.

– Tak uczynię. Abu’l Nuqoud, najbogatszy człowiek w całym Damaszku. Majd Addin, regent Jerozolimy. Wilhelm z Montferratu, pan Akki.

Altaïr rzecz jasna znał te imiona. Każde z tych miast naznaczone było zgubnym piętnem swego władcy.

– Jakie są ich zbrodnie? – spytał. Zastanawiał się przy tym, czy, tak jak w dotychczasowych przypadkach, za owymi zbrodniami kryć się będzie coś więcej, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

– Chciwość. Arogancja. Rzeź niewinnych. – Al Mualim rozłożył ręce. – Przejdź się ulicami ich miast, wejdź między ich poddanych. Poznasz wtedy sekrety ich grzechów. Nie powątpiewaj w to, że ci ludzie są przeszkodą na drodze do pokoju, którą podążamy.

– A zatem zginą – posłusznie odrzekł Altaïr.

– Wracaj do mnie po śmierci każdego z nich, abyśmy mogli lepiej zrozumieć ich zamiary – nakazał Al Mualim. – I miej się na baczności, Altaïrze. Twoje ostatnie dokonania zapewne zwróciły uwagę strażników strzegących twoich celów. Będą teraz bardziej podejrzliwi niż kiedyś.

Rzeczywiście, chyba tak było, sądząc chociażby po powitaniu Altaïra przez Jabala kilka dni później w kwaterze asasynów w Akce.

– Wieści o twych czynach rozeszły się szerokim echem, Altaïrze.

Altaïr skinął uprzejmie głową.

– Wygląda na to, że szczerze pragniesz odkupić swoje winy – dodał rafiq.

- Robię, co w mojej mocy.
- I czasem robisz to dobrze. Przypuszczam, że to właśnie twojej pracy zawdzięczamy nasze ponowne spotkanie?
- Tak. Moim celem jest Wilhelm z Montferratu.
- Zatem musisz udać się do dzielnicy... Zachowaj jednak najwyższą ostrożność. W tamtej części miasta znajdują się osobiste kwatery króla Ryszarda. Strażnicy mają tam oczy dookoła głowy.
- Co możesz mi powiedzieć o człowieku, którego szukam?
- Wilhelma mianowano regentem na czas wojny, którą prowadzi król. Ludzie dziwią się tej decyzji, bo dobrze pamiętają historię stosunków między Ryszardem a bratem Wilhelma, Konradem. Myślę jednak, że Ryszard postąpił dość sprytnie.
- Gdzie w tym spryt?
- Jabal uśmiechał się.
- Ryszard i Konrad nie zgadzają się w wielu kwestiach. Chociaż nie okazują tego publicznie, to chodzą słuchy o ich knowaniach przeciw sobie. I jeszcze ta sprawa z Saracenami pojmanymi podczas zdobycia Akki... – Jabal pokręcił głową. – W następstwie tej historii Konrad powrócił do Tyru, Ryszard zaś zmusił Wilhelma, by pozostał w Akce jako jego gość.
- Chyba raczej zakładnik – stwierdził Altaïr. Przychylał się do opinii Jabala. Rzeczywiście wyglądało to na mądre posunięcie Ryszarda.
- Jak znał, tak znał. Faktem jest, że sama obecność Wilhelma tutaj powinna utrzymać Konrada w ryzach.
- Gdzie twoim zdaniem powinienem rozpocząć poszukiwania?
- Jabal zamyślił się.
- W cytadeli Ryszarda, na południowy zachód stąd... A raczej na targu przed nią.
- Doskonale. Nie będę ci już dłużej przeszkadzał.
- Ależ nie przeszkadzasz – odrzekł Jabal i wrócił do swych ptaków, przemawiając do nich łagodnym głosem.

Oto człowiek, który uwolnił się od wielu zmartwień, pomyślał Altaïr. Samo to wystarczyło, by mu pozazdrościł.

17

Rozgrzane słońcem, zatłoczone ulice owiewało rześkie morskie powietrze. Wędrujący w kierunku targowiska przy cytadeli Altaïr doszedł do wniosku, że Jabal miał rację. Po mieście kręciło się znacznie więcej oddziałów straży; liczba wartowników mogła się nawet podwoić od czasu jego ostatniej wizyty w Akce. Niektórzy nosili barwy krzyżowców i byli opancerzeni od stóp do głów. Wiedział też, że żołnierze lubią plotkować, a im więcej ich było, tym mniej dyskretni się stawali. Usiadł więc na ławce; można było pomyśleć, że podziwia olbrzymią cytadelę z jej łopoczącymi proporcami albo też po prostu chce zabić czas, przyglądając się przepływającym ulicami tłumom. Nieopodal uliczny artysta próbował bezskutecznie zwrócić na siebie uwagę przechodniów; gdy mu się nie udało, wzruszył tylko ramionami i mimo wszystko podrzucił w górę swoje kolorowe piłeczki. Altaïr udał, że się temu przygląda, w rzeczywistości jednak przysłuchiwał się rozmowie toczącej się po drugiej stronie ulicy. Dwóch krzyżowców rozprawiało tam właśnie o szermierczych umiejętnościach Wilhelma, robiąc to z zapałem godnym przekupek.

Wtem Altaïr zauważył, że wzrok jednego ze zbrojnych spoczął na zakonniku – wysokim mężczyźnie w brązowym habicie, który dawał żołnierzowi dyskretnie znaki. Ten zaś ledwie dostrzegalnie kiwnął głową, po czym pożegnał się ze swym towarzyszem i udał na przeciwległą stronę rynku. Altaïr podniósł się z ławki i cały czas obserwując żołnierza spod swego kaptura, podążył za nim. Dwaj mężczyźni przystanęli z dala od

zgiełku, by porozmawiać. Altaïr usiadł w pobliżu i wyteńczył słuch, starając się wyłapać słowa zakonnika.

– Może opowiadanie się po stronie Wilhelma jest nierozsądne? To stary człowiek i za dużo myśli o sobie.

Żołnierz ściągnął usta.

– Jego armia jest olbrzymia. Będziemy jej potrzebować. Tymczasem odwiedzę pozostałych braci. Upewnię się, że mają wszystko, czego im potrzeba.

– Tak. Nie możemy ich stracić – zgodził się mnich.

– Nie obawiaj się. Mistrz ma plan. Nawet teraz pracuje nad tym, w jaki sposób obrócić nasze ewentualne straty na swoją korzyść.

Mistrz? – zdumiał się Altaïr. Bracia? Komu podlegają ci ludzie? Akka zaczęła przypominać mu cebulę: natykał się na coraz to nowe warstwy tajemnic.

– Co mistrz zamierza? – zapytał zakonnik.

– Im mniej wiesz, tym lepiej. Po prostu rób, co ci kazano. Teraz dostarcz ten list mistrzowi. – Żołnierz wręczył zakonnikowi przesyłkę.

Altaïr uśmiechnął się i poruszył koniuszkami palców. Wstał z ławki i ruszył za zakonnikiem. Po chwili mężczyzna padł ofiarą zręcznej kradzieży kieszonkowej, Altaïr zaś usiadł, by zapoznać się z treścią zdobytego listu.

Mistrzu!

Prace w Dzielnicy Łańcuchów postępują, choć obawiamy się, czy Wilhelm zdoła doprowadzić sprawę do końca. Nazbyt poważnie podchodzi do swych obowiązków i gdy nadejdzie czas, ludzie mogą się od niego odwrócić. Bez skarbu nie będziemy mogli pozwolić sobie na wywołanie powstania. Wówczas Twój plan obróci się wniwecz. Dopóki obie strony nie zjednoczą się, nie możemy odzyskać tego, co zostało nam ukradzione. Być może powinieneś przygotować kogoś do zajęcia jego miejsca – choćby tylko na wszelki wypadek. Obawiamy się ponadto, że nasz człowiek w porcie zaczyna się wahać. Zdarzało mu się już wspominać o wycofaniu się. To zaś oznacza, że w razie upadku Wilhelma

nie będzie można na nim polegać. Daj nam znać, co zamierzasz, abyśmy mogli wykonać twoją wolę. Pozostajemy wierni naszej sprawie.

Złożył list i ukrył go w swych szatach. Warto by pokazać tę zdobycz Al Mualimowi. Altaïrowi przemknęło jednak przez myśl, że może lepiej tego nie robić. Jak dotąd Al Mualim nie był z nim do końca szczery w sprawach, które dotyczyły jego celów. Możliwe, że była to po prostu część testu, jakiemu poddawał go Mistrz. Możliwe.

Obok szybkim krokiem przeszła grupka służących. Kuglarz wciąż żonglował; zdołał już nawet przyciągnąć nieco większy tłumek widzów. Kawalek dalej uliczny mówca przystanął w cieniu drzewa i rozpoczął orację przeciw królowi Ryszardowi.

Uwagę Altaïra przykuł następnie młody człowiek z krótko przyszczyżonym czarnym zarostem, który przemawiał do przechodzących mieszkańców, ale zarazem nie spuszczał oka z dwóch strażników miejskich, stojących w pewnym oddaleniu.

– Wilhelm z Montferratu zupełnie nie dba o lud Akki – zawołał. Altaïr niespiesznie zbliżył się, by go posłuchać, jednocześnie nie ściągając na siebie jego uwagi. – Podczas gdy my głodujemy, ludziom w jego twierdzy niczego nie brakuje. Obrastają tłuszczem, tucząc się na owocach naszej pracy – ciągnął młodzieniec. – Ściągnął nas tutaj pod pretekstem odbudowy. Ale teraz, gdy znaleźliśmy się z dala od domów, zdani na łaskę naszego króla, jego prawdziwe intencje wreszcie się wydały. Wilhelm kradnie nam naszych synów, posyłając ich do walki przeciw dzikim wrogom. Zmusza nasze córki, by służyły jego żołdakom, pozbawiając je czci. A za to wszystko odpłaca nam kłamstwami i pustymi obietnicami lepszego jutra, obietnicami ziemi pobłogosławionej przez Boga. A co z naszym tu i teraz? Co z dniem dzisiejszym? Jak długo jeszcze mamy ze wszystkiego rezygnować? Czy to aby na pewno jest jeszcze dzieło Boże, czy też może raczej działanie samolubnego człowieka, który chce wszystko zagarnąć dla siebie? Powstań, ludu Akki! Przyłącz się do naszego buntu!

– Cicho bądź – rzuciła przechodząca obok kobieta, gestem wskazując na strażników, którzy przyglądali się teraz badawczo; być może zdali już sobie sprawę, że młody człowiek po drugiej stronie ulicy usiłuje właśnie podburzać tłum.

– Jesteś głupcem – dodał ostro inny przechodzień, po czym odwrócił się, machnąwszy lekceważąco ręką.

Najwyraźniej nikt w Akce nie miał ochoty być świadkiem gniewu Wilhelma.

– To twoje gadanie zaprowadzi cię na stryczek – wyszeptał kolejny świadek przemówienia, oddalając się chyłkiem.

Altair przyglądał się, jak młody buntownik rozejrzał się czujnie, a następnie wmieszał w tłum, gdzie dołączył do innego mężczyzny.

– Ilu z nich udało ci się przekonać do naszej sprawy? – zapytał.

– Obawiam się, że wszyscy za bardzo się boją – odparł jego towarzysz. – Nikt nie odpowiedział na wezwanie.

– Musimy próbować dalej. Trzeba znaleźć inny targ. Inny plac. Nie pozwolimy się uciszyć.

Obejrawszy się raz jeszcze na strażników, obaj mężczyźni odeszli. Altair odprowadził ich wzrokiem. Był zadowolony, że udało mu się dowiedzieć na temat Wilhelma z Montferratu wszystkiego, czego potrzebował.

Po raz ostatni spojrzął na górującą nad targowiskiem cytadelę – czarne serce Akki.

Pomyślał, że gdzieś tam, w jej murach, przebywa jego przyszła ofiara. Dla ludu Akki śmierć Wilhelma oznaczać będzie mniej tyranii i mniej strachu. Im szybciej to nastąpi, tym lepiej. Uznał, że już czas ponownie odwiedzić Jabala.

Rafiq był jak zwykle w jowialnym nastroju. Gdy witał Altaira, w jego oczach migotały iskierki.

– Zrobiłem, co do mnie należało – rzekł Altair. – Uzbroilem się w wiedzę. Wiem już, co muszę zrobić, by dopaść Montferrata.

– Mów więc, a ja to ocenię.

– Jego hufiec jest potężny. Ale choć Wilhelm pod swoimi rozkazami ma wielu ludzi, nie brakuje mu także wrogów. Między nim a królem Ryszardem nie ma zgody.

Jabal uniósł brew.

– Prawda. Nigdy nie darzyli się przyjaźnią.

– To działa na moją korzyść. Pojawienie się Ryszarda zdenerwowało Wilhelma. Gdy tylko król wyjedzie, Wilhelm powróci do swej fortecy i zacznie rozpamiętywać królewską wizytę. Będzie rozkojarzony. Wtedy uderzę.

– Jesteś pewien swego planu?

– Na tyle, na ile mogę być. Jeśli sytuacja ulegnie zmianie, dostosuję się do niej.

– W takim razie idź, daję ci moje pozwolenie. Zakończ życie Montferrata, byśmy mogli powiedzieć, że to miasto jest wolne. – Jabal wręczył Altaïrowi pióro.

– Wrócę, gdy wykonam zadanie – odpowiedział Altaïr.

18

Altaïr powrócił pod cytadelę, spodziewając się, że zastanie to miejsce takim, jakie je opuścił. Coś się jednak zmieniło – zauważył to, kiedy lawirował w ulicznym tłumie, zbliżając się do zamku. Coś wiało w powietrzu. Podniecenie. Oczekiwanie. Docierały do niego plotki dotyczące wizyty Ryszarda. Mieszkańcy Akki opowiadali, że bawi on teraz w fortecy i rozmawia z Montferratem. Król najwyraźniej był wściekły z powodu sposobu, w jaki potraktowano trzy tysiące jeńców schwytanych w trakcie zwycięskiego szturm krzyżowców na miasto.

Altaïr poczuł, jak ogrania go strach, nad którym nie udaje mu się zapanować. Ryszarda Lwie Serce wyprzedzała sława – sława człowieka niepospolitej odwagi, a zarazem okrutnika. Teraz zaś miał ujrzeć go na własne oczy z tak bliska...

Przeszedł przez plac targowy, na który kłębiła się jeszcze gęstsza niż zazwyczaj chmara ludzi, zwabionych wieściami o przyjeździe Ryszarda. Mieszkańcy Akki, niezależnie od zdania, jakie mieli na temat angielskiego władcy, chcieli go zobaczyć.

– Nadchodzi – szepnęła stojąca obok kobieta.

Tłum zafalował i porwał Altaïra, który bodaj po raz pierwszy od wkroczenia do miasta mógł wreszcie unieść głowę. Zgromadzona na placu rzesza gapiów tworzyła dla niego doskonały kamuflaż; poza tym strażnicy byli w tej chwili zbyt zajęci spodziewanym lada moment pojawieniem się króla, by zwracać uwagę na asasyna.

Tłum ruszył do przodu, pociągając za sobą asasyna. Otoczony przez napierające na niego ciała, dał się ponieść ku przystrojonym bramom twierdzy, gdzie flagi krzyżowców łopotały niespokojnie na wietrze, jakby one również nie mogły doczekać się widoku Ryszarda. Przy samej bramie wartownicy nakazali gapiom cofnąć się; ci z pierwszych rzędów zaczęli więc wołać do tych z tyłu, by przestali na nich napierać. Strażnicy uformowali tymczasem kordon u wejścia do cytadeli. Niektórzy znacząco położyli dłonie na rękojeściach mieczy; inni groźnie wywijali pikami, powarkując: „Precz do tyłu!” do kotłującej się i narzekającej masy ludzi.

Nagle przy wejściu do zamku podniósł się wielki zgiełk, a krata w bramie zaczęła podnosić się ze zgrzytem. Altaïr wyciągnął szyję, aby lepiej widzieć; początkowo usłyszał tylko stukot podkutych kopyt, potem ujrzał hełmy przybocznej straży Ryszarda. Ludzie zaczęli klękać i Altaïr poszedł w ich ślady, ale wzrok przez cały czas miał utkwiony w nadjeżdżającym królu.

Ryszard Lwie Serce dosiadał wspaniałego ogiera, przystrojonego w królewskie barwy; pierś monarchy była wypięta, a głowa dumnie podniesiona. Twarz miał zniszczoną, jakby swoje piętno pozostawiła na niej każda stoczona bitwa i każda przemierzona pustynia; jego oczy były zmęczone, ale błyszczące. Otaczali go gwardziści – oni także jechali konno, w przeciwieństwie do idącego obok króla mężczyzny. Z szeptów, jakie rozległy się w tłumie, Altaïr wywnioskował, że pieszy towarzysz Ryszarda to Wilhelm z Montferratu. Był starszy od króla, brakowało mu też jego potężnej sylwetki oraz emanującej z Ryszarda siły; jego ruchy były jednak sprężyste i Altaïr natychmiast zorientował się, że ten człowiek może być wytrawnym szermierzem. Gdy szedł w cieniu górującego nad nim króla, na jego twarzy malowało się niezadowolenie. Nie zwracał uwagi na otaczające go tłumy, najwyraźniej zatopiony we własnych myślach.

– ...trzy tysiące dusz, Wilhelmie – mówił król na tyle głośno, by słyszał go cały plac targowy. – Powiedziano mi, że pozostaną tu jako jeńcy. Mieliśmy wymienić ich na naszych ludzi.

– Saraceni nie dotrzymaliby swojej części umowy – odparł Montferrat. – Wiesz, że to prawda. Wyświadczyłem ci przysługę.

– O tak! – zaryczał Lwie Serce. – Wielką przysługę, zaiste! Teraz nasi wrogowie utwierdzą się w swych przekonaniach. I będą walczyć z jeszcze większą zaciętością.

Zatrzymali się.

– Znam dobrze naszych wrogów – rzekł Montferrat. – To, co się stało, nie ośmieli ich, lecz napęli strachem.

Ryszard obrzucił go lekceważącym spojrzeniem.

– Powiedz mi, co ty możesz wiedzieć o intencjach naszych wrogów? Ty, który porzuciłeś pole bitwy i wybrałeś zabawę w politykę!

Montferrat przełknął ślinę.

– Zrobiłem to, co było słuszne. Słuszne i sprawiedliwe.

– Przysięgałeś stać na straży dzieła Bożego, Wilhelmie. Lecz nie widzę, żebyś to czynił. Widzę za to człowieka, który podeptał swą przysięgę.

Wilhelm z Montferratu przez chwilę wyglądał jakby zebrało mu się na mdłości. Zatoczył ręką szeroki łuk, jakby chciał przypomnieć królowi, że ich poddani znajdują się na tyle blisko, by słyszeć każde słowo, po czym rzekł:

– Twoje słowa są bardzo surowe, mój panie. Łudziłem się, że udało mi się już do tej pory zasłużyć na twe zaufanie.

– Jesteś regentem Akki, Wilhelmie, ustanowionym, aby rządzić w moim imieniu. Ileż więcej zaufania ci potrzeba? A może ty pragniesz raczej mojej korony?

– Nie zrozumiałeś, panie – odrzekł Montferrat, a nie chcąc stracić twarzy przed zgromadzonym tłumem, dodał:

– Ale to przecież nic nowego...

Ryszard spojrział na niego gniewnym wzrokiem.

– Chętnie zmarnotrawiłbym cały dzień na pogawędki z tobą, ale teraz czeka na mnie wojna. Dokończymy innym razem.

– Nie pozwól mi więc cię zatrzymywać – powiedział dwornie Montferrat. –

Wasza Miłość.

Ryszard rzucił mu jeszcze ostatnie wściekłe spojrzenie, które miało przypomnieć nieposłusznemu poddanemu, kto tu nosi koronę, i ruszył naprzód, a w ślad za nim pociągnęli jego ludzie.

Tłum zaczął podnosić się z klęczek, Wilhelm zaś obrócił się ku jednemu ze swych strażników, chcąc mu coś zakomunikować. Altaïr wyteńczył słuch.

– Obawiam się, że w Nowym Świecie nie będzie miejsca dla takich ludzi jak on. Powiadom żołnierzy, że chcę się z nimi rozmówić. Musimy mieć pewność, że każdy robi to, co do niego należy. Uprzedź ich, że każde zaniechanie będzie surowo ukarane. Nie jestem dziś w najlepszym nastroju do żartów. – Następnie do reszty swych ludzi zawołał: – Za mną!

Ku fortecy ruszyła nagle cała fala: oprócz straży Montferrata także i kupcy, którzy mieli nadzieję znaleźć za murami klientów na swoje towary. Altaïr wmieszał się między nich; w panującym ścisku musiał znosić szturchnięcia jutowymi workami taszczonymi przez kupców. Udało mu się przecisnąć przez bramę tuż przed tym, jak wartownicy odzyskali nad nią kontrolę i opuścili kratę. W fortecy poirytowani żołnierze zaczęli zaganiać handlarzy na dziedziniec, gdzie mieli wystawić towar. Altaïr zobaczył, jak Montferrat przechodzi wzdłuż niższego, zewnętrznego muru fortecy, a następnie kieruje się ku wewnętrznej linii umocnień. Asasyn jednym susem przywarł do ściany muru, po czym wcisnął się w szczelinę pomiędzy murem a jednym z budynków. Wstrzymał oddech, spodziewając się, że lada chwila usłyszy krzyk jakiegoś bystrookiego strażnika, któremu udało się zauważyć wymknięcie się Altaïra. Nikt jednak nie krzyknął. Altaïr zerknął w górę i ucieszył się, ponieważ w zbudowanej z piaskowca ścianie budynku nie brakowało punktów oparcia dla palców. Rozpoczął wspinaczkę.

Łucznik. Oczywiście. Altaïr był tak zadowolony, że udało mu się ujść uwadze strażników na dole, że nie pomyślał o tych na górze. Raz jeszcze rzucił ukradkowe spojrzenie nad krawędź budynku. Czekał, aż łucznik zawróci. Altaïrowi zależało, by mężczyzna znalazł się na środku dachu – nie

chciał, by jego ciało spadło na dół i zaalarmowało całą fortecę. Gdy strażnik dotarł wreszcie na właściwe miejsce, asasyn uderzył. Rzucony nóż zalśnił w słońcu i wbił się w plecy strażnika. Mężczyzna zacharczał i upadł, na szczęście jednak nie spadł z dachu. Altaïr podciągnął się i skulony przemknął przez dach; nieustannie bacząc na kolejnego, stojącego nieco dalej łucznika, gotów zanurkować na ziemię i zniknąć w razie, gdyby tamten się odwrócił.

W dole Wilhelm przemierzał fortecę, wykrzykując po drodze rozkazy i obelgi do każdego, kto tylko śmiał znaleźć się w pobliżu.

Asasyn podkraść się tymczasem do następnego łucznika. Jeden rzut nożem później mężczyzna leżał martwy na dachu. Mijając go, Altaïr obrzucił przelotnym spojrzeniem ciało, które właśnie przestało drgać.

Przyszła kolej na trzeciego łucznika. Altaïr pozbył się także i jego. Tak oto przejął kontrolę nad dachem twierdzy i zapewnił sobie drogę ucieczki, która będzie mu potrzebna, gdy wykona swoje zadanie. Teraz zostawało już tylko dopełnić dzieła.

Poniżej Montferrat przeszedł przez ciąg bram wewnątrz twierdzy; Altaïr obserwował go, jak beszta wartownika za jakieś drobne uchybienie. Następnie Wilhelm udał się na dziedziniec w obrębie donżonu w samym sercu twierdzy – być może miejsce to było dla regenta Akki swego rodzaju azyłem. Na górze Altaïr podążał za nim jak cień. Trzymał się poza zasięgiem wzroku ludzi na dole, ale i żaden z nich nie spojrział w kierunku dachów. Nie mieli ku temu powodów – a przynajmniej tak im się zdawało.

Montferrat zajął miejsce za stołem pod ścianą dziedzińca.

– Ludzie! – zawołał. – Zbliźcie się. I posłuchajcie mnie uważnie.

Wezwani zgromadzili się wokół niego i Altaïr zauważył, że choć nosili oni takie same uniformy jak strażnicy przy zewnętrznej linii zamkowych umocnień, to jednak różnili się od nich. Włosy tych tutaj były już przyprószone siwizną, a oni sami sprawiali wrażenie zaprawionych w bojach wojów. Jeśli przypuszczenia Altaïra były słuszne, należeli oni do przybocznej gwardii Montferrata. Asasyn nie zamierzał ponownie popełnić błędu, jakim

byłoby potraktowanie tych ludzi jako „niewielkiego wyzwania”.

Montferrat tymczasem przemawiał dalej:

– Wracam właśnie z rozmowy z królem i wieści, jakie przynoszę, są smutne. Zostaliśmy oskarżeni o zaniedbywanie naszych obowiązków. Jego wysokość podważa wartość naszego wkładu we wspólną sprawę.

– Hańba! – rzucił jeden z rycerzy.

– On nic nie wie – dodał drugi.

– Spokój. Spokój. Uspokójcie się – upomniał ich Montferrat. – Tak, król się myli, lecz w jego słowach jest ziarno prawdy. Wystarczy się tu rozejrzeć, by znaleźć uchybienia. By dopatrzeć się niedociągnięć. Obawiam się, że staliśmy się gnuśni i leniwi.

Altaïr, stojąc ponad nimi, zaśmiał się w duchu. Sposób, w jaki on sam przekradł się do twierdzy, był najlepszym świadectwem tego, jak bardzo gnuśni i leniwi stali się ludzie Wilhelma z Montferratu. A jeśli chodzi o jego pogrążonych w letargu łuczników...

– Czemu mówisz takie rzeczy, panie? – zakrzyknął jeden z ludzi Montferrata. Wszyscy co do jednego zjeżyli się, słysząc zarzuty Wilhelma.

Nagła wrzawa sprzyjała Altaïrowi – wzburzone głosy z dołu zagłuszyły jego kroki, kiedy na ugiętych nogach przesuwał się bokiem, chcąc znaleźć się dokładnie nad celem swego polowania. Z największą ostrożnością skradał się wzdłuż wysokich ścian otaczających dziedziniec. Teraz był już w stanie dostrzec coś, czego większość zgromadzonych na dole mężczyzn jeszcze nie zauważyła: oto z wejścia po drugiej stronie dziedzińca wynurzyli się kolejni strażnicy, wlokąc ze sobą dwóch ludzi. Obaj mieli na sobie stroje krzyżowców, lecz najwyraźniej byli więźniami.

– Widzę, jak trenujecie. – Dobiegał z dołu podniesiony głos Montferrata. – Brakuje wam zapału i skupienia. Oddajecie się plotkom i hazardowi. Zadania, jakie wam wyznaczono albo leżą odłogiem, albo są wykonywane byle jak. Od dzisiaj z tym koniec. Nie zniosę dalszych upokorzeń ze strony Ryszarda. To wasza wina, bez względu na to, czy to do was dociera, czy nie.

A powinno! Okryliście nas wstydem. To nasze umiejętności oraz poświęcenie pozwoliły na zdobycie Akki. Będziemy ich potrzebować, aby ją utrzymać. Wygląda na to, że byłem zbyt pobłażliwy. Ale to się już skończyło. Będziecie ćwiczyć ciężiej i częściej. Jeżeli będzie się to odbywać kosztem posiłków albo snu, trudno. A jeśli nie dopełnicie obowiązków, przekonacie się, co to znaczy prawdziwa dyscyplina... Dawać ich tu!

Altaïr niezauważony dotarł do upatrzonego miejsca. Znajdował się teraz wystarczająco blisko Montferrata, by widzieć dokładnie jego łysiejącą głowę, a nawet drobinki śliny, które przyskały mu z ust, kiedy wykrzykiwał na swych podwładnych. Gdyby komuś na dole z jakiegoś powodu zachciało się nagle zadrzeć głowę, mógłby spostrzec asasyna. Uwaga wszystkich skupiła się jednak na żołnierzach przywleczonych przed oblicze siedzącego za stołem Montferrata; na twarzach więźniów malował się strach i wstyd.

– Skoro dla zapewnienia posłuszeństwa muszę niektórych z was przykładnie ukarać, niech będzie i tak – oznajmił Montferrat, po czym zwrócił się do więźniów: – Wy dwaj jesteście oskarżeni o łajdaczenie się z ładacznicami i pijaństwo na służbie. Co powiecie na te zarzuty?

Więźniowie wymamrotali przeprosiny i usprawiedliwienia.

Wilhelm z Montferratu popatrzył na nich gniewnie. A potem gestem ręki nakazał ich stracić.

Obu więźniom podejrzięto gardła i przez ostatnie chwile swego życia mogli patrzeć, jak ich własna krew leje się na kamienną posadzkę dziedzińca. Montferrat przyglądał się nieporuszony, jak mężczyźni wydają z siebie bulgoczące odgłosy i rzucają się konwulsyjnie po ziemi niczym dwie zdychające ryby.

– Lekceważenie obowiązków jest zaraźliwe – rzekł niemal ze smutkiem w głosie. – Trzeba je zatem wyplenić do cna. Tylko w ten sposób powstrzymamy tę zarazę. Czy wszyscy mnie zrozumieli?

– Tak, panie – wybełkotano w odpowiedzi.

– Dobrze, dobrze – powiedział Wilhelm. – Wracajcie więc do swych zadań,

napełnieni na nowo poczuciem obowiązku. Bądźcie silni i skupieni, a zwyciężymy. Zawiedźcie, a dołączycie do tych tutaj. Możecie być tego pewni. Odmaszerować.

Odprawił ich niedbałym machnięciem, czym ucieszył Altaïra – asasynowi także zależało, by podwładni Wilhelma zniknęli z zasięgu wzroku.

Montferrat zaczął przeglądać leżące na stole dokumenty, posykując przy tym z irytacji; najwyraźniej zły humor jeszcze go nie opuścił. Altaïr podpełzł do przodu, jak najbliżej krawędzi dachu. Nieopodal stołu leżały dwa martwe ciała, z których w dalszym ciągu sączyła się krew. Dalej zaś, przy wejściu do donżonu, zebrała się część ludzi Wilhelma; pozostali opuścili już dziedziniec i udali się w kierunku zewnętrznych murów twierdzy – bez wątplenia pilno im było znaleźć się możliwie daleko od Montferrata.

Wilhelm cmoknął z niezadowoleniem, nie mogąc czegoś znaleźć w przeglądanych dokumentach. Cała ich sterta zsunęła się na ziemię i Montferrat jęknął. Już miał wezwać kogoś do pomocy, ale ostatecznie zmienił zdanie i schylił się, by je pozbierać. Być może w mgnieniu, jakie dzieliło skok Altaïra z dachu od zatopienia stalowej klingi w karku ofiary, Wilhelm zdołał jeszcze usłyszeć dźwięk otwierającego się ostrza.

Asasyn usiadł okrakiem na regencie Akki i zakrył mu dłonią usta, by ten nie zaalarmował obecnych na dziedzińcu ludzi. Wiedział, że ma zaledwie kilka chwil.

– Odpocznij. Nadszedł kres twoich knowań – szepnął.

– A cóż ty możesz wiedzieć o moim dziele? – wychrypiał Montferrat.

– Wiem, że zamierzałeś zamordować Ryszarda i zagarnąć Akkę dla Konrada.

– Dla Konrada? Mój brat to osioł, niezdolny przewodzić własnemu hufcowi, a co dopiero królestwu. A Ryszard? Ten nie jest lepszy. Zaślepia go wiara w rzeczy niematerialne. Akka nie należy do żadnego z nich.

– A więc do kogo?

– Miasto należy do swego ludu.

Altaïr musiał zmierzyć się z dobrze znanym mu już poczuciem, że oto jego wyobrażenie o świecie ulega niespodziewanie całkowitej zmianie.

– Jakim prawem to właśnie ty miałbyś przemawiać w imieniu jego mieszkańców? – zapytał. – Kradłeś ich żywność. Karałeś ich bez litości. Zmuszałeś, by służyli pod twymi rozkazami.

– Wszystko, co czyniłem, robiłem po to, by przygotować ich na nadejście Nowego Świata – odparł Montferrat takim tonem, jakby powinno to być dla Altaïra oczywiste. – Kradłem żywność? Nie. Wziąłem ją tylko na przechowanie, by podczas chudych lat móc ją należycie racjonować. Rozejrzyj się. W mojej dzielnicy nie ma przestępstw, z wyjątkiem tych, jakie popełniłeś ty sam i tobie podobni. Jeśli zaś idzie o pobór, to nie ćwiczyłem ich po to, by przygotować ich do walki. Pokazałem im wartość porządku i dyscypliny. Nie ma w tym nic złego.

– Nieważne, jak szlachetne miałeś intencje. Twoje postęпки były okrutne i należało położyć im kres – rzekł Altaïr, choć czuł, że wypowiedział te słowa z większym przekonaniem, niż je miał w rzeczywistości.

– Zobaczymy, jakie będą owoce twoich wysiłków – powiedział Montferrat, z którego uchodziło już życie. – Wbrew temu, co ci się zdaje, nie wyzwalasz miast, lecz skazujesz je na zagładę. Koniec końców będziesz mógł winić za to wyłącznie siebie. Ty, który mówisz o dobrych intencjach... – Wilhelm nie zdołał już dokończyć tego zdania.

– Wszyscyśmy równi wobec śmierci – rzekł Altaïr, maczając pióro we krwi. Wspiął się po ścianie dziedzińca, a następnie popędził w kierunku zewnętrznego muru. Potem zaś zniknął z twierdzy, jakby nigdy go w niej nie było.

19

Altaïr czuł się znużony swoim zadaniem. Był zmęczony i coraz bardziej poirytowany. Otrzymał wyraźny nakaz meldowania się u Al Mualima po każdym zabójstwie, a każda kolejna długa podróż coraz bardziej wyczerpywała jego siły. Podczas wszystkich dotychczasowych spotkań Mistrz był jednakowo enigmatyczny; domagał się szczegółowych informacji od Altaïra, tymczasem sam wiele przed nim zatajał.

Nie inaczej było w czasie następnej wizyty u Al Mualima.

– Doszły do mnie wieści o twym sukcesie – powitał go Mistrz. – Masz moją wdzięczność, a także wdzięczność królestwa. Uwolnienie tych miast spod rządów zdeprawowanych przywódców na pewno przysłuży się sprawie pokoju.

– Czy możesz być tego aż tak pewien? – zapytał Altaïr. On sam miał tej pewności coraz mniej.

– Środki, za pomocą których sprawuje rządy władca, odbijają się na jego poddanych. Oczyszczając miasta z zepsucia, uzdrawiasz serca oraz umysły tych, którzy w nich żyją.

– Nasi wrogowie nie zgodziliby się z tym – zauważył Altaïr, a myśli jego pobiegły teraz ku wszystkim, którym zamykał oczy.

– Cóż przez to rozumiesz?

– Każdy, kogo zgładziłem, mówił mi dziwne rzeczy. Niczego nie żalowali. Nawet w chwili śmierci wydawali się pewni swego. Choć żaden nie przyznał tego wprost, to coś ich wszystkich ze sobą łączyło. Jestem o tym przekonany.

Al Mualim przyjrzał mu się uważnie.

– Istnieje różnica, Altaïrze, pomiędzy tym, o prawdziwości czego zapewniają nas inni, a tym, czego prawdziwość widzimy my sami. Większość ludzi nie zawraca sobie głowy takim rozróżnieniem. Tak jest prościej. Ale ty jesteś asasynem i w twojej naturze leży zwracanie uwagi na takie niuanse. Zadawanie pytań.

– Cóż zatem łączy tych ludzi? – Altaïr naciskał. Był przekonany, że Mistrz zna doskonale wszystkie odpowiedzi.

– ...lecz jako asasyn masz obowiązek powściągnąć takie myśli i zaufać swojemu mistrzowi. Albowiem nie może być prawdziwego pokoju bez porządku. Porządek zaś wymaga istnienia zwierzchnictwa.

– Mówisz zawile, Mistrzu. – Altaïr nie zdołał ukryć irytacji w swoim głosie. – Chwalisz mnie za spostrzegawczość, a chwilę później każesz mi jej poniechać. Czegóż więc mam się trzymać?

– Odpowiedź na swoje pytanie poznasz wtedy, gdy nie będziesz już musiał go zadawać – odparł zagadkowo Al Mualim.

Altaïr pojął, że niczego więcej nie uda mu się teraz uzyskać.

– Rozumiem, że wezwałeś mnie tu nie tylko po to, by wygłosić mi wykład – powiedział.

– Tak – odrzekł Al Mualim i raz jeszcze posłał Altaïra do Damaszku. Człowiek zwany Abu'l Nuqoudem miał zginąć jako następny. Najpierw jednak należało porozumieć się z zuchwalcem sprawującym tam funkcję rafiqa...

– Altaïrze, mój przyjacielu! Witaj, witaj. Czyje to życie przybyłeś dziś odebrać?

Altaïr zmarszczył brwi na widok damasceńskiego rafiqa – jak zwykle bezczelnego, lecz nie na tyle, by sprowokować asasyna do wybuchu wściekłości. Ten człowiek miał autentyczny talent do oceniania, na jak wiele może sobie pozwolić. Być może gdyby potrafił lepiej wykorzystać swoje zdolności, nie musiałby całymi dniami tkwić w kwaterze.

Pewnego dnia Altaïr mógłby mu o tym przypomnieć. Jednak na razie miał co innego do zrobienia. Musiał zająć się nowym celem.

– Nazywa się Abu'l Nuqoud – odpowiedział. – Co możesz mi o nim powiedzieć?

– O, Król Kupców z Damaszku! – wykrzyknął rafiq, na którym nazwisko to najwyraźniej wywarło wrażenie. – Najbogatszy człowiek w mieście. Ekscytujące. I niebezpieczne. Zazdroszczę ci, Altaïrze. No... Oczywiście nie tego, że zostałeś pobity i pozbawiony swej rangi... Ale z pewnością zazdroszczę ci całej reszty. Yyy... może jeszcze z wyjątkiem tych okropnych rzeczy, jakie rozpowiadają o tobie inni asasyni. Ale poza tamtą porażką i nienawiścią, jaka cię otacza... Tak, poza tymi dwiema sprawami zazdroszczę ci z całego serca...

Altaïr wyobraził sobie, jak wyglądałaby jego szyja ze sterczącym z niej ostrzem.

– Nie dbam o to, co inni myślą lub mówią – powiedział. – Jestem tu po to, by wykonać zleczone mi zadanie. Pytam cię więc raz jeszcze: co możesz mi powiedzieć o Królu Kupców?

– Tylko tyle, że musi być bardzo złym człowiekiem, skoro Al Mualim cię do niego wysłał. Obraca się wśród ludzi ze swojej sfery, otoczony przepychem szlacheckiej dzielnicy tego miasta. Pracowity z niego typ, ciągle prowadzi jakieś interesy. Jeśli spędzisz trochę czasu w towarzystwie ludzi jego pokroju, dowiesz się o nim wszystkiego, czego ci trzeba.

Altaïr tak też uczynił: udał się do meczetu Umajjadów oraz na suk Sarouja, odwiedził też cytadelę Saladyna. Dowiedział się, że Abu'l Nuqoud jest znienawidzony przez miejscową ludność i oskarżany o korupcję oraz sprzeniewierzenie publicznych pieniędzy, z których duża część została rzekomo wysłana do Jerozolimy jako zapłata dla Wilhelma z Montferratu (usłyszawszy o tym, Altaïr uśmiechnął się ponuro).

Przechodząc obok medresy al-Kallasah asasyn natknął się na przemawiających uczonych. Miał nadzieję, że uda mu się od nich usłyszeć

coś na temat Abu'l Nuqouda. Jak się jednak okazało, uczeni nie zajmowali się Królem Kupców; Altaïr przystanął jednak obok nich, zdumiała go bowiem treść przemówień.

– O, mieszkańcy! Przynieście tu wasze księgi – wzywał jeden z uczonych.
– Rzućcie je na stos przede mną. Ich posiadanie jest grzechem. Wysłuchajcie tego przesłania prawdy i przyjmijcie je. Uwolnijcie się od kłamstw i zepsucia przeszłości.

Altaïr zamierzał już odejść, ale został jeszcze przez chwilę. Uderzyły go te słowa. „Uwolnijcie się od kłamstw i zepsucia przeszłości”. Czy mogło to mieć coś wspólnego z „nowym porządkiem”, o którym tyle razy ostatnio słyszał?

Następnie przemówił kolejny uczoney.

– Jeśli prawdziwie cenicie pokój, jeśli pragniecie ujrzeć koniec wojny, porzućcie swe księgi i zwoje, albowiem są one pożywką dla płomieni ignorancji oraz nienawiści.

Altaïr uznał, że usłyszał już dość – i ani trochę mu się to nie spodobało. „Porzućcie swe księgi”. Niby dlaczego?

Wyrzucił z głowy rady uczonych i powrócił do zbierania informacji na temat Króla Kupców. Dowiedział się, że Nuqoud rzadko opuszcza swoje komnaty. Jednak właśnie tego wieczora miał pojawić się na uczcie, którą sam zorganizował – zdaniem wielu tylko po to, by swym bogactwem kłuć w oczy obywateli Damaszku. Wbrew zakazom jego wiary zamówił nawet wino. Jeśli to przyjęcie miało przypominać te, które Abu'l Nuqoud wydawał w przeszłości, to przed Altaïrem otwierała się wyśmienita okazja do uderzenia. Do asasyna dotarły też słuchy o rusztowaniu, jakie rozstawiono pod balkonem komnaty Abu'l Nuqouda. Uznał, że najwyższy czas wybrać się na biesiadę.

20

Kiedy Altaïr pojawił się na pałacowym dziedzińcu, zabawa trwała w najlepsze. Asasyn szybko się zorientował, że w odzieniu, sprawiającym wrażenie brudnego i sfatygowanego, wyróżnia się spośród gości Abu'l Nuqouda. Większość przybyłych była bowiem ubrana odświętnie, a ich szaty wyszywane były drogocennymi niciami. W przeciwieństwie do przeważającej części mieszkańców Damaszku, uczestnicy przyjęcia wyglądali na zdrowych i dobrze odżywionych. Głośne dyskusje o muzyce przerywały salwy śmiechu. Oczywiście nie brakowało poczęstunku: wśród gości krążyli sūdzy, roznosząc na złotych tacach chleb, oliwki i rozmaite przysmaki.

Altaïr rozejrzał się. Nie dostrzegł żadnych kobiet z wyjątkiem sześciu czy siedmiu tancerek, wirujących teraz powoli przy dźwiękach lutni al'ud oraz instrumentów smyczkowych zwanych *rebec*, na których przygrywali ustawieni pod wielkim balkonem muzycanci. Asasyn przeniósł spojrzenie w górę, na balkon – stał na nim strażnik i ze skrzyżowanymi na piersi rękoma beznamiętnym wzrokiem obserwował zabawę. Altaïr doszedł do wniosku, że ów balkon to osobiste miejsce Abu'l Nuqouda.

Nagle muzyka zagrała szybciej, lutnie al'ud zostały niemal zupełnie zagłuszone przez donośne bębnienie, budujące atmosferę wyczekiwania i ekscytacji wśród zgromadzonych gości. Tańczące dziewczęta poruszały się coraz szybciej, a ich ciała pod przezroczystymi jedwabnymi strojami zalśniły wkrótce od potu. Goście podnieśli ręce, jakby zagrzewając bębny do crescendo, które narastało, aż powietrze zdawało się wibrować... Wtem

ponad nimi ukazał się on: Abu'l Nuqoud.

Altaïrowi udało się wcześniej podsłuchać przejawskrawione, jak sądził, opisy wyglądu tego mężczyzny. Słyszał o jego tuszy – mówiono, że jest tak wielki jak trzech przeciętnych mężczyzn – o błyskotkach, którymi się obwieszał, o jarmarcznych szatach i przystrojonym klejnotami turbanie. Większość z tych opisów Altaïr odrzucił jako przesadzone, uznając je za wyraz niechęci mieszkańców Damaszku wobec Abu'l Nuqouda. Teraz jednak ze zdumieniem stwierdził, że te opinie były zbyt powściągliwe. Obwód pasa, rozmiar klejnotów oraz krzykliwość szat Króla Kupców przeszły najśmielsze wyobrażenia Altaïra. Asasyn przyglądał się, jak stojący na balkonie Nuqoud przeżuwa kęs posiłku, a wokół jego ust lśnią resztki tłuszczu. Kiedy następnie Król Kupców przedelfilował przez całą długość balkonu, spoglądając przy tym na zgromadzonych w dole gości, skóra na jego podbródku zaczęła falować, a szaty rozchyliły się, ukazując nagą pierś – olbrzymią powierzchnię połyskującego od potu cielska. Abu'l Nuqoud klasnął w ręce i muzyka natychmiast umilkła, podobnie jak wszelkie rozmowy.

– Witajcie! Witajcie – zawołał. – Dziękuję, że zechcieliście dziś wieczór się do mnie przyłączyć. Proszę, jedzcie i pijcie. Używajcie przyjemności, które wam zapewniam.

Mówiąc to, wykonał ręką zamaszysty gest i oto z fontanny na środku dziedzińca wytrysnęła ciecz, którą Altaïr wziął początkowo za zabarwioną wodę. Kiedy jednak w następnej chwili goście rzucili się jeden przez drugiego ku fontannie, zrozumiał, co naprawdę z niej popłynęło: było to wino, o dostawie którego słyszał. Dwóch mężczyzn dobiegło do fontanny i zanurzyło w niej puchary, po czym wznieśli toast i opróżnili je pospiesznie. W tym czasie nadciągnęli kolejni goście i oni także napełnili puchary, rozdane im przez służących. Wyglądało na to, że Król Kupców chce, by każdy z gości napił się z fontanny. Odczekał, aż wrzawa nieco opadnie i wtedy odezwał się ponownie.

– Mam nadzieję, że jesteście usatysfakcjonowani? – zapytał, a jego brwi uniosły się.

W istocie – goście wydawali się zadowoleni. Kielichy powędrowały w górę i rozległ się gromki okrzyk aprobaty; języki zebranych rozwiązywały się pod wpływem wina.

– Dobrze. Dobrze. – Nuqoud uśmiechnął się szeroko, ukazując resztki jedzenia między zębami. – Raduje mnie widok waszego szczęścia. Nastają bowiem ponure czasy i musimy cieszyć się tym darem, dopóki jeszcze możemy.

Ludzie obok Altaïra powrócili właśnie z drugiej wyprawy do fontanny i teraz łączywie opróżniali napełnione kielichy, tłumiąc przy tym chichoty. Nuqoud przemawiał zaś dalej.

– Wojna może pochłonąć nas wszystkich. Saladyn mężnie walczy w imię tego, w co wierzy, a wy zawsze gotowi jesteście go wesprzeć, o nic przy tym nie pytając. To, że może nadal prowadzić swą kampanię, zawdzięcza waszej hojności.

Altaïr niemal na pewno był jedyną osobą, która spostrzegła, że galerie ciągnące się z jednej strony dziedzińca zaczynają zapełniać się zbrojnymi. Przyjrzał się bliżej. Łucznicy.

Wszyscy wokół w dalszym ciągu zajęci byli łączywym pochłanianiem wina, a z góry dobiegał głos Nuqouda:

– Proponuję więc toast – oznajmił. – Za was, moi drodzy przyjaciele, którzy doprowadziliście nas tu, gdzie dziś jesteśmy. Obyście dostali wszystko, na co sobie zasłużyliście.

– Twoje zdrowie! – wrzasnął ktoś, a uczestnicy biesiady z ochotą wychylili swe kielichy.

– Cóż za uprzejmość – odezwał się Nuqoud. – Nie spodziewałem się tego po was, którzy tak pochopnie i bezdusznie mnie ocenialiście.

Tłum, wyczuwszy zmianę w jego głosie, zamruczał skonfundowany.

– Proszę, nie udawajcie tylko, że nie rozumiecie. Bieriecie mnie za głupca?

Sądziecie, że nie słyszałem, co szepczecie za moimi plecami? Otóż słyszałem. I obawiam się, że nigdy nie zdołam wam tego zapomnieć. Ale to nie dlatego was tu dziś zwołałem. Nie. Chcę pomówić jeszcze o tej wojnie i waszym w niej udziale. Bez wahania wydajecie na nią swe pieniądze, aż nadto świadomi, że kupujecie za nie śmierć tysięcy ludzi. Nie wiecie nawet, o co walczymy. O świętość Ziemi Świętej, odpowiecie. Albo przeciw złym zamiarom naszych wrogów. Nie! To wszystko są kłamstwa, którymi karmicie sami siebie. Całe to cierpienie zrodziło się ze strachu i nienawiści. Niepokoi was, że oni są inni. Tak samo, jak budzi wasze obawy i to, że ja jestem inny.

Altaïr spojrział na łuczników na galeriach. Poczł nagłe ukłucie lęku i zerknął ku galeriom po drugiej stronie dziedzińca. Tam również ustawili się ludzie z łukami. Obrócił się i to samo zobaczył z tyłu. Strażnicy nie sięgnęli jeszcze po swoje łuki. Przynajmniej na razie. Jeśli jednak przeczucie go nie myliło, uczynią to lada moment. A kiedy już to zrobią, cały dziedziniec znajdzie się w zasięgu ich strzał. Altaïr przesunął się bliżej jednej z okalających dziedziniec ścian. Nieopodal jakiś człowiek zaczął się krztusić i kasłać, przyprawiając tym swego towarzysza o napad śmiechu.

– Współczucie. Miłosierdzie. Tolerancja – ciągnął Nuqoud. – Te słowa nic dla was nie znaczą. Tak jak nie znaczą nic dla niewiernych najeźdźców, którzy pustoszą naszą ziemię w poszukiwaniu chwały i złota. A ja mówię temu dość! Ślubowałem wierność innej sprawie. Dzięki niej nastanie Nowy Świat, w którym wszyscy ludzie będą mogli żyć obok siebie w pokoju.

Król Kupców umilkł. Altaïr zaś z napięciem obserwował łuczników. Gotowali się do salwy.

Asasyn przylgnął plecami do ściany. Mężczyzna wciąż kaszłał. Zgiął się wpół, a twarz mu poczerwieniała. Jego towarzysz przestał się na niego gapić i sam zaniósł się kaszlem.

– Jaka szkoda, że żaden z was nie przeżyje, by móc to zobaczyć – zakończył Nuqoud.

Coraz więcej gości zaczynało charczeć. Niektórzy trzymali się za brzuchy.

Oczywiście, pomyślał Altaïr. Trucizna. Ludzie obok niego padali na kolana. Dostrzegł, jak korpulentny mężczyzna w złotych szatach toczy pianę z ust i wywraca oczami, po czym gwałtownie przewraca się i kona. Łucznicy napięli łuki. Co najmniej połowa gości była już w agonii, lecz wielu nie piło wcześniej wina. Teraz gwałtownie przepychali się ku wyjściu.

– Zabić każdego, kto spróbuje uciec – rozkazał Król Kupców, a jego łucznicy wypuścili strzały.

Asasyn zostawił za sobą scenę krwawej jatki i pospiesznie wspiął się po ścianie.

Gdy znalazł się na balkonie, zaczął skradać się w stronę odwróconego doń plecami Nuqouda. Obok Króla Kupców stał wartownik, którego Altaïr pozbył się jednym cięciem ostrza. Mężczyzna upadł i skręcił się konwulsyjnie; krew z rozciętego gardła trysnęła na posadzkę balkonu. Nuqoud obrócił się i zobaczył asasyna, a wyraz jego twarzy zmienił się w mgnieniu oka. Kiedy obserwował masakrę rozgrywającą się na dole, uśmiechał się, rozkoszując się widowiskiem. Teraz, jak z satysfakcją odnotował Altaïr, Nuqoud czuł już tylko strach.

A po chwili także i ból – asasyn zatopił bowiem swą śmiercionośną broń w jego szyi, tuż ponad obojczykiem.

– Dlaczego to zrobiłeś? – wydyszał olbrzym, opadając na gładką kamienną posadzkę balkonu.

– Ukradłeś pieniądze tym, których przywódcą się mienisz – odparł Altaïr. – Wysłałeś je gdzieś w niewiadomym celu. Chcę wiedzieć dokąd i po co.

– Spójrz na mnie – Nuqoud zrobił drwiącą minę. – Samo moje istnienie było zniewagą dla ludzi, którymi rządziłem. Te bogate szaty mogły zaledwie zamknąć im usta.

– Chodziło więc o zemstę? – spytał Altaïr.

– Nie. Nie o zemstę, lecz o moje sumienie. Jak mógłbym finansować wojnę w imię tego samego Boga, który uczynił mnie tak odrażającym?

– Skoro nie służyłeś sprawie Saladyna, to czyjej?

Abu'l Nuqoud uśmiechnął się.

– Poznasz ich w odpowiednim czasie. Myślę, że nawet już się znacie.

Altaïr, po raz kolejny zaskoczony, zapytał:

– Po co więc te sekrety? Po co wszystkie te niegodziwe uczynki?

– A czy to aż tak bardzo różni się od twoich działań? Odbierasz życie mężczyznom i kobietom, uzbrojony w przekonanie, że ich śmierć poprawi los innych. Mniejsze zło w imię większego dobra? Ty i ja jesteśmy tacy sami.

– Nie. – Altaïr pokręcił głową. – Ani trochę.

– Doprawdy?... Ale ty w to wątpisz! Widzę to w twoich oczach!

Nuqoud przyciągnął Altaïra ku sobie i asasyn wyczuł w jego oddechu tchnienie śmierci.

– Nie zdołasz nas powstrzymać – wydusił z siebie Nuqoud. – Będziemy mieli nasz Nowy Świat...

Król Kupców skonał, a z jego ust pociekła cienka strużka krwi.

– Ciesz się ciszą – rzekł Altaïr i zanurzył pióro we krwi Króla Kupców.

Uznał, że musi się spotkać z Al Mualimem. Czas niepewności się skończył.

21

– Podejź, Altaïrze. Niech usłyszę o twych postępach – powiedział Al Mualim.

– Zrobiłem, co kazałeś – odrzekł asasyn.

– Dobrze. Dobrze. – Al Mualim przyjrzał mu się uważnie. – Ale zdaje się, że myśłami jesteś gdzie indziej. Powiedz, co cię trapi.

Mistrz miał słuszość. Podczas powrotnej drogi do Masjafu myśli Altaïra rzeczywiście krążyły wokół pewnych spraw. Teraz nadarzała się okazja, aby to z siebie wyrzucić.

– Każdy, kogo tylko mam zabić, przemawia do mnie zagadkami. I ilekroć przychodzę do ciebie i proszę o wyjaśnienia, tylekroć dostaję w odpowiedzi jedynie kolejne łamigłówki. Dość tego.

Brwi Al Mualima uniosły się wysoko – zaskoczyło go, że Altaïr zwrócił się do niego w taki sposób.

– A kimże ty jesteś, żeby mówić mi „dość”?

Altaïr przełknął ślinę i zacisnął szczęki.

– To ja zabijam. Jeśli chcesz, bym robił to nadal, choć raz bądź ze mną szczery.

– Uważaj, Altaïrze. Nie podoba mi się twój ton.

– A mnie nie podobają się twoje matactwa. – Słowa Altaïra zabrzmiały głośniej, wbrew jego intencjom.

Al Mualim spochmurniał.

– Dałem ci szansę odzyskania utraconego honoru.

– Nie straciłem go – odparował Altaïr. – Został mi odebrany. Przez ciebie. A potem wysłałeś mnie, żebym pobiegł i przyniósł go z powrotem niczym jakiś przeklęty pies.

Mistrz chwycił za miecz, a jego oczy zapłonęły.

– Zdaje się, że będę musiał znaleźć kogoś innego. Szkoda. Pokazałeś swoje wielkie zdolności.

– Myślę, że gdybyś miał innego, już dawno byś go posłał – rzekł Altaïr, zastanawiając się jednocześnie, czy nie posuwa się zbyt daleko wobec swego mentora. Mimo to mówił dalej: – Powiedziałaś, że poznam odpowiedź na moje pytanie, kiedy nie będę już musiał go zadawać. Nie zadaję go zatem. Żądam: powiedz mi, co łączy tych ludzi.

Stał, przygotowany na to, że lada chwila może poczuć na ciele sztych miecza Al Mualima; żywił tylko nadzieję, że Mistrz uzna go za nazbyt cennego. Zdawał sobie sprawę, że podjął ryzykowną grę.

Al Mualim także sprawiał wrażenie, jakby rozważał różne możliwości; wymachiwał przy tym mieczem, którego głownia odbijała promienie światła. Ostatecznie schował jednak broń do pochwy; wydawał się teraz nieco spokojniejszy.

– To, co mówisz, jest prawdą – odezwał się w końcu. – Owych ludzi rzeczywiście coś łączy... Przysięga krwi podobna do naszej.

– Kim oni są?

– *Non nobis, Domine, non nobis* – wyrecytował Mistrz. – Nie nam, Panie.

– Templariusze... – wyszeptał Altaïr. Oczywiście.

– Teraz widzisz, jak daleko sięgają macki Roberta de Sablé.

– Wszyscy ci ludzie, władcy miast, dowódcy wojsk...

– Wszyscy oni ślubowali wierność jego sprawie.

– Na ich dzieła nie należy patrzeć osobno, czyż nie? – rzekł zamyślony Altaïr. – Trzeba je widzieć jako jedną całość... Czego oni chcą?

– Podboju – odparł krótko Al Mualim. – Pragną Ziemi Świętej; nie w imię Boga, lecz dla samych siebie.

- A co z Ryszardem? Z Saladynem?
- Każdy, kto się przeciwstawi templariuszom, zostanie zniszczony. Bądź pewien, że mają środki, by tego dokonać.
- Zatem trzeba ich powstrzymać – oświadczył Altaïr z determinacją w głosie. Czuł się tak, jakby z jego ramion zdjęto olbrzymi ciężar.
- I dlatego robimy to, co do nas należy, Altaïrze. Aby przyszłość wolna była od takich ludzi.
- Ale dlaczego ukrywałeś przede mną prawdę? – spytał asasyn.
- Żebyś ty sam mógł ją odsłonić. Wiedza zawsze poprzedza działanie. Informacje zdobyte samodzielnie są cenniejsze od tych, które otrzymuje się od innych. Poza tym... Twoje zachowanie nie budziło mego zaufania.
- Rozumiem. – Altaïr pochylił głowę.
- Altaïrze, to nie twoja misja się zmieniła, lecz jedynie jej tło.
- A uzbrojony w tę wiedzę lepiej zrozumie pozostałych templariuszy. Al Mualim skinął głową.
- Czy jest jeszcze coś, co chciałbyś wiedzieć?
- Altaïr rozwiązał swoje wątpliwości związane z bractwem, o jakim wspominali ludzie, na których polował. Pozostawała jednak jeszcze jedna sprawa...
- Co ze skarbem, który Malik zdobył w Świątyni Salomona? – zapytał. – Wydawało się, że Robert desperacko pragnie go odzyskać.
- Z czasem, Altaïrze, wszystko stanie się jasne – odrzekł Al Mualim. – Tak, jak objawiła ci się rola templariuszy, tak też w swoim czasie poznasz naturę tego skarbu. Na razie niech pociesza cię świadomość, że skarb nie znajduje się w ich rękach, lecz w naszych.
- Przez chwilę Altaïra kusilo, by dalej drążyć temat, jednak odrzucił tę pokusę. Raz dopisało mu szczęście. Wątpił, by za drugim razem było podobnie.
- Skoro taka jest twoja wola... – powiedział.
- Taka jest moja wola.

Atmosfera w komnacie rozluźniła się. Altaïr zbierał się do odejścia – celem jego kolejnej wyprawy miała być Jerozolima.

- Altaïrze, zanim wyruszysz...
- Tak, Mistrzu?
- Skąd wiedziałeś, że cię nie zgładzę?
- Prawdę rzekłszy, Mistrzu, nie wiedziałem.

22

Głupiec. Arogant. Wpakował się w tarapaty. Majd Addin leżał martwy u jego stóp, a drewniany podest powoli nasiąkał krwią. Za jego plecami bezwładnie zwisały przywiązane do słupów zakrwawione ciała skazańców. Gapie umykali z placu; tego samego nie można było jednak powiedzieć o straży Majd Addina, która właśnie zbliżała się do Altaïra. Jedni wartownicy podeszli do podestu i zaczęli wspinać się schodkami po obu jego stronach. Pozostali ustawili się przed podestem, uniemożliwiając asasynowi zeskok i odcinając mu drogę ucieczki. Strażnicy na szafocie z wolna otaczali Altaïra – oczy gorzały im jak pochodnie, w rękach zaś połyskiwały wzniesione miecze. Nawet jeśli czuli lęk, to nie okazywali go po sobie. Śmierć ich wodza, publicznie zgładzonego przez asasyna na szafocie pod jerozolimską Ścianą Płaczu, wbrew nadziejom Altaïra, nie wzbudziła wśród nich paniki czy zamętu. Nie zasiała też w nich śmiertelnego strachu przed asasynem, który stał teraz naprzeciw nich, z ostrzem ociekającym krwią Majd Addina. Zamiast tego obudziła w nich żądzę zemsty.

A zatem wypadki nie potoczyły się zgodnie z planem.

Chyba że... Pierwszy ze strażników skoczył naprzód; to jemu przypadło w udziale wypróbowanie waleczności Altaïra. Asasyn wycofał się, parując ciosy broni Saracena. Plac, niemal opustoszały, wypełnił się szczękiem stali. Strażnik parł do przodu. Altaïr szybko obejrzał się za siebie i dostrzegając, że kolejni nieprzyjaciele zbliżają się do niego, odpowiedział atakiem, zmuszając Saracena do cofnięcia się. I raz, i dwa, i sztych. Zepchnięty nagle do obrony,

strażnik spróbował odskoczyć do tyłu, omal nie wpadając przy tym plecami na jedno z przywiązanych do słupów ciał. Altaïr zerknął w dół i nagle dojrzał swoją szansę. Raz jeszcze ruszył do przodu, przypuszczając szaleńczy atak na spanikowanego przeciwnika. Klinga natrafiła na klingę i Saracen zatoczył się do tyłu, wdeptując prosto w rozlaną na szafocie kałużę krwi – Altaïr dokładnie tego chciał. Strażnik poślizgnął się, stracił równowagę i na chwilę opuścił gardę – to wystarczyło, by asasyn zdążył zrobić wypad i przebić mieczem pierś wroga. Saracen zacharczał i skonał, a jego zwłoki runęły na drewniany podest. Altaïr wyprostował się, gotowy stawić czoła pozostałym napastnikom. Teraz zobaczył w ich oczach zwątpienie, a może nawet strach. Waleczność asasyna została poddana solidnej próbie i nie zawiodła.

Straż nadal jednak miała przewagę liczebną; co więcej, posiłki z pewnością były już w drodze, zaalarmowane przez panujący zgiełk. Po Jerozolimie musiały już krążyć wieści o wydarzeniach na placu: o tym, że regent miasta został zabity na swoim własnym szafocie oraz że jego gwardziści dobrali się do skóry asasynowi, który tego dokonał. Altaïr wyobraził sobie złośliwą satysfakcję, z jaką wiadomości te przyjmie Malik.

A jednak Malik zmienił się od czasu poprzedniej wizyty Altaïra w jerozolimskiej kwaterze asasynów. Co prawda, nie powitał przybyłego Altaïra z wylewną serdecznością, ale wcześniejszą otwartą wrogość zastąpiło u niego swoiste znużenie. Spojrzał na Altaïra ze zmarszczonymi brwiami, lecz już bez gniewu, jaki kiedyś bił z jego oczu.

– Czemu mnie dziś niepokoisz? – westchnął Malik.

Wdzięczny za to, że nie musi wdawać się w słowne potyczki, Altaïr podał mu nazwisko Majd Addina. Malik pokiwał głową.

– Pod nieobecność Saladyna miasto zostało bez odpowiedniego przywództwa i objął je Majd Addin. Zastraszaniem i przemocą zdobywa wszystko, czego chce. Ale w istocie nie ma żadnych praw do tego stanowiska.

– Dziś położę temu kres – rzekł Altaïr.

– Jesteś zbyt zapalczywy. Nie idzie tu o jakiegoś handlarza niewolników. Majd Addin jest rządcą Jerozolimy i jako taki jest dobrze chroniony. Radzę ci, starannie zaplanuj atak. Poznaj dobrze swoją zwierzynę.

– Już to uczyniłem – zapewnił go Altaïr. – Majd Addin urządza dziś publiczną egzekucję niedaleko stąd. Na pewno nie zabraknie na niej strażników, ale powinienem sobie poradzić. Wiem, co robić.

Malik uśmiechnął się szyderczo.

– I właśnie dlatego w moich oczach pozostajesz nowicjuszem. Nie możesz niczego wiedzieć, a jedynie przypuszczać. Musisz zakładać, że możesz się mylić, że coś przeoczyłeś. Przewiduj, Altaïrze! Ile jeszcze razy będę ci musiał o tym przypominać?

– Skończyliśmy?

– Niezupełnie. Jest jeszcze coś. Wśród skazańców znalazł się jeden z nas. Al Mualim życzy sobie, żeby go ocalić. Nie martw się o to, jakim sposobem go stamtąd wyciągnąć, tym zajmą się moi ludzie. Ty musisz dopilnować, by Majd Addin nie odebrał naszemu bratu życia.

– Nie będzie miał okazji.

– Nie zepsuj tego, Altaïrze – rzucił za wychodzącym asasynem Malik.

Idąc w stronę Ściany Płaczu, na myśl o tym napomnieniu Altaïr skrzywił się ironicznie.

23

Kiedy zbliżał się do Ściany Płaczu, ujrzał gromadzący się tłum. Mężczyźni, kobiety i dzieci, a także psy oraz inny żywy inwentarz – wszyscy podążali pobliskimi ulicami w kierunku placu, na którym odbywały się egzekucje.

Altaïr dołączył do tego pochodu i wraz z nim posuwał się powoli po ulicy, na której z każdą chwilą pojawiali się coraz to nowi podekscytowani widzowie. Przy okazji mógł posłuchać wystąpienia miejskiego herolda, który – choć na dobrą sprawę nie było takiej potrzeby – usiłował jeszcze bardziej wzmóc entuzjazm wobec mającego się wkrótce rozpocząć widowiska.

– Uwaga, uwaga! – zawołał herold. – Majd Addin, umiłowany regent Jerozolimy, zarządził publiczną egzekucję na zachodnim krańcu Świątyni Salomona. Każdy, kto tylko może, powinien się tam stawić. Śpieszcie się! Przybądźcie i zobaczcie, jaki los spotyka naszych wrogów.

Altaïr wyobrażał sobie, jaki to może być los. Miał nadzieję, że uda mu się go odmienić.

Strażnicy przy wejściu na plac próbowali kontrolować napierający tłum, przepuszczając jednych, innych zaś odprawiając. Altaïr starał się trzymać na uboczu i stamtąd obserwował kłębiącą się ludzką masę. Przez cały czas czuł napierające na niego ciała; zauważył też dzieci, przemykające między nogami dorosłych i przekradające się na plac. Chwilę później dostrzegł gromadkę uczonych – tłum rozstępował się, robiąc im przejście, i nawet psy zdawały się wyczuwać otaczającą tę grupkę aurę szacunku, zarezerwowanego wyłącznie dla świętych mężów. Altaïr poprawił swe szaty, naciągnął kaptur

na głowę, odczekał, aż uczeni będą przechodzić obok niego, i wtedy wślizgnął się pomiędzy nich. W tej samej chwili poczuł, jak czyjaś dłoń ciągnie go za rękaw – spojrzał w dół i zobaczył umorusane dziecko, wlepiające w niego zdziwione spojrzenie. Asasyn wykrzywił twarz w groźnym grymasie i przestraszony chłopiec czym prędzej wziął nogi za pas. W samą porę: grupa uczonych wraz z Altairem dotarła właśnie do bram. Wartownicy przepuścili ich i asasyn znalazł się na placu.

Z obu stron otaczały go kamienne ściany. Na przeciwległym krańcu placu wznosił się podest, a na nim rząd drewnianych pali. Podium było na razie puste, ale to miało się wkrótce zmienić. Oto bowiem wkroczył na nie regent Jerozolimy, Majd Addin. Wraz z jego pojawieniem się tłum napał ze zdwojoną siłą, a przy bramie wejściowej rozległ się wrzask – to straż straciły kontrolę nad sytuacją i ludzka fala zaczęła wlewać się na plac, unosząc Altaira, który wylądował teraz znacznie bliżej podestu i poddenerwowanego Majd Addina. Regent przemierzał szafot sztywnym krokiem, czekając, aż plac się do końca zapełni. Ubrany był w biały turban i długą szatę, ozdobioną haftowanymi ornamentami. Jego ruchy zdradzały buzujący w nim gniew – wyglądało na to, że lada chwila będzie chciał znaleźć dla niego ujście.

I tak też się stało.

– Cisza! Rozkazuję, cisza! – zaryczał.

Tuż przed rozpoczęciem widowiska tłum ponownie się zakotłował i Altair znalazł się jeszcze bliżej podestu. Widział teraz wartowników na stopniach po obu stronach szafotu – po dwóch z każdej strony. Straże ustawiły się także przed szafotem, pilnując, by nie wdarł się nań napierający tłum. Wyciągnąwszy szyję, asasyn dostrzegł, że również obrzeża placu obstawione są przez strażników. Co prawda, tym ostatnim trudno byłoby przepchnąć się przez gęsty tłum, ale asasyn ocenił, że zyska dzięki temu zaledwie kilka chwil – tyle czasu miał na zabicie swego celu oraz odparcie ataku najbliższych czterech strażników, stojących po obu stronach podestu. A być

może także i tych, którzy ustawili się przed szafotem.

Czy był w stanie poradzić sobie ze wszystkimi naraz? Z dziesięcioma wiernymi Saracenami? Dawny Altaïr, ten, który zaatakował Roberta de Sablé pod Wzgórzem Świątynnym, nie miałby co do tego wątpliwości. Ale teraz był już ostrożniejszy. I wiedział, że próba bezpośredniego zabicia regenta jest szaleństwem. Taki plan był skazany na porażkę.

Altaïr postanowił poczekać. Tymczasem na szafot wprowadzono czterech więźniów, po czym strażnicy przywiązali ich do drewnianych pali. Przy pierwszym znalazła się zapłakana kobieta o brudnej twarzy. Środkowe słupy przypadły dwóm mężczyznom w łachmanach. Do ostatniego zaś przywiązano asasyna, którego głowa zwisała bezwładnie, najwidoczniej na skutek pobicia. Z tłumu rozległ się syk niezadowolenia.

– Ludu Jerozolimy, słuchaj mnie uważnie! – zawołał Majd Addin, a tłum, podniecony przybyciem więźniów, zamilkł na dźwięk jego głosu. – Staję tu dziś, by przekazać wam ostrzeżenie.

Tu zrobił pauzę.

– Nie brak wśród was takich, którzy myślą o buncie. Sieją niezadowolenie, licząc, że uda im się zwieść was na manowce.

Przez tłum przebiegł pomruk, a ludzie wokół Altaïra zawrzeli z oburzenia. Addin przemawiał zaś dalej.

– Powiedzcie mi, czy tego właśnie pragniecie? Czy chcecie nurzać się w kłamstwie i grzechu? Żyć w nieustannym strachu?

– Nie chcemy! – wrzasnął ktoś za plecami Altaïra.

Uwaga Altaïra skupiona była jednak na skazanym asasynie, jego zakonnym współbracie. Z ust mężczyzny skapywała na drewniany podest stróżka pomieszanej z krwią śliny. Asasyn spróbował podnieść głowę i Altaïrowi udało się przez chwilę zobaczyć jego twarz, a na niej nabrzmiące purpurowe sińce. Potem głowa więźnia ponownie opadła na pierś.

Majd Addin uśmiechnął się krzywo. Jego twarz nie nawykła do uśmiechu.

– Czy chcecie więc podjąć odpowiednie kroki? – zapytał z życzliwością

w głosie. Tłum rykiem wyraził swą aprobatę. Ci ludzie przyszli tu, by zobaczyć krew, i byli pewni, że regent zaspokoi ich żądę.

– Prowadź nas! – zabrzmiał okrzyk, gdy tylko tłum się uciszył.

– Raduje mnie wasze oddanie – rzekł Addin i zwrócił się ku więźniom, wskazując na nich zamaszystym gestem. – To zło trzeba wyplenić. Dopiero wtedy możemy liczyć na odkupienie.

Nagle przed szafotem powstało zamieszanie, a jakiś głos zawołał:

– To nie jest sprawiedliwość!

Altaïr dojrzał człowieka odzianego w łachmany, który krzyczał do Majd Addina:

– Przekręcasz słowa Proroka, pokój niech będzie z nim!

Towarzysz mężczyzny, także ubrany w postrzępione odzienie, ganił tymczasem zebrany na placu tłum.

– Wy wszyscy, którzy stoicie beczynn timer, jesteście współwinni tej zbrodni!

Altaïr wykorzystał zamieszanie, by zbliżyć się do podestu. Musiał wspiąć się na niego od strony, po której stał przywiązany do pala asasyn. Nie mógł ryzykować, że zostanie on użyty jako żywa tarcza lub zakładnik.

– Przekleństwo Boga niech spadnie na was! – wykrzykiwał pierwszy z mężczyzn, lecz najwyraźniej brakowało im popleczników. Nie znaleźli ich w tłumie, a już z pewnością nie pośród strażników, którzy teraz ruszyli ku dwóm wicherzycielom. Ci, zorientowawszy się w zamiarach straży, rzucili się do biegu, wyciągając po drodze sztylety i wymachując nimi. Podjęta przez nich próba dostania się na szafot okazała się daremna – pierwszego mężczyznę powaliła strzała z łuku, drugi zaś, ścigany przez dwóch strażników, nie zauważył zagrożenia ze strony kolejnego Saracena, który rozplątał mu mieczem brzuch.

Kiedy obaj wicherzyciele konali w ulicznym pyle, Majd Addin wskazał ich palcem.

– Czy widzicie, jak zło jednego człowieka rozprzestrzenia się i niszczy innych? – zapiał głośno, a jego czarna broda trzęsła się pod wpływem

oburzenia. – Ci tutaj chcieli zasiać w was strach i zwątpienie. Ale ja was ochronię.

Ponownie zwrócił się ku nieszczęśnikom przywiązanych do pali, którzy jeszcze przed chwilą z pewnością modlili się, by zamach na życie Majd Addina się powiódł; teraz jednak okrągłymi ze strachu oczyma patrzyli, jak regent Jerozolimy obnaża swój miecz.

– Oto czwórka grzeszników. – Wskazał najpierw na kobietę, a potem kolejno na pozostałych więźniów. – Ladacznicą. Złodziejem. Hazardzistą. Heretykiem. Niechaj wszyscy oni staną przed Sądem Bożym.

Heretykiem. Tak Majd Addin określił asasyna. Altaïr przygotował się i zaczął przesuwać w kierunku schodków z boku podestu; nie spuszczał przy tym z oka Addina, który zbliżył się do przywiązanej do słupa kobiety. prostytutka. Niezdolna oderwać wzroku od miecza Addina – który trzymał go jakby od niechcenia przy swym boku – zanosła się spazmatycznym szlochem.

– Kusicielka! – zaryczał Addin, zagłuszając jej łkanie. – Sukub. Dziwka. Ma wiele imion, ale grzech pozostaje ten sam. Odwróciła się od nauk naszego Proroka, pokój niech będzie z nim. Zhańbiła swe ciało dla pieniędzy. Każdy mężczyzna, którego dotknęła, już na zawsze pozostanie nieczysty.

Zgromadzeni na placu odpowiedzieli okrzykami dezaprobaty. Altaïr tymczasem ponownie przesunął się bliżej schodów. Obserwował strażników i widział, że ich uwaga skierowana jest na Addina. To był dobry znak.

– Ukarz ją! – krzyknął któryś z gapiów.

Addinowi, co zresztą było do przewidzenia, udało się rozpalić w tłumie sprawiedliwy gniew.

– Musi za to zapłacić! – zgodził się inny głos.

Kobieta przestała pochlipywać i zwróciła się do żadnego jej krwi tłumy.

– Ten człowiek łąże! – zawołała. – Nie trafiłam tu dlatego, że sypiałam z innymi mężczyznami, bo nigdy tego nie robiłam. On chce mnie zamordować wyłącznie dlatego, że nie przespałam się z nim.

Oczy Addina zapłonęły.

– Nawet teraz, gdy ma szansę odkupienia, wciąż próbuje was zwodzić. Ona odrzuciła zbawienie. Na to jest tylko jeden sposób.

Kobieta zdążyła wykrzyknąć jeszcze „nie!”, po czym miecz Addina błysnął i przebił jej brzuch. W ciszy, która na chwilę zapadła na placu, słychać było odgłos krwi rozpryskującej się na deskach szafotu; następnie tłum wydał z siebie chóralny okrzyk „ooooo!” i zafalował, gdy stojący po bokach oraz z tyłu próbowali zobaczyć z bliska martwą kobietę.

Altaïr był już nieopodal schodów, gdy owo nagłe poruszenie się tłumu pozbawiło go osłony, jaką zapewniał mu otaczający go ludzie. Wystarczyło jednak, że Addin ruszył w kierunku kolejnego lamentującego więźnia, by – ku uldze Altaïra – gapie powrócili na swoje miejsca w oczekiwaniu na kolejną egzekucję.

Addin wskazał zgromadzonym mężczyznę, którego opisał jako nałogowego gracza, nieumiejącego powstrzymać się od środków odurzających i hazardu.

– Hańba – zawyli zgromadzeni.

Jeśli ktoś tu jest odurzony, to właśnie oni, pomyślał Altaïr, któremu ich żądza krwi wydała się obrzydliwa.

– Od kiedy uprawianie hazardu wystarczy, by skazać kogoś na śmierć? – wykrzyknął hazardzista, dla którego stawką w grze było teraz jego własne życie. – Pokaż mi, gdzie to napisano. To nie grzech niszczy nasze miasto, lecz ty!

– Chcesz więc powiedzieć tym ludziom, że można nie liczyć się z wolą Proroka, pokój niech będzie z nim? – odparł Addin. – Gdybyśmy odrzucili tę część jego nauczania, co by się stało z resztą? Do czego by to doprowadziło? Twierdzą, że do chaosu. Na to zaś nie można pozwolić.

Klinga zalśniła w popołudniowym słońcu. Addin wbił miecz głęboko w brzuch hazardzisty, a następnie szarpnął go w górę, otwierając w ciele ofiary pionową ranę, przez którą pokazały się wnętrzności. Zachwyceni widzowie wydali z siebie okrzyk udawanej odrazy, a potem zaczęli się

gorączkowo przesuwać, tak aby zapewnić sobie jak najlepszy widok na następną ofiarę. Porwany przez tłum Altaïr znalazł się jeszcze bliżej stopni prowadzących na szafot.

Addin wolnym krokiem podszedł do trzeciego więźnia, strząsając krew z klingi swego miecza.

– Ten oto człowiek – rzekł, wskazując na drżącego mężczyznę – zabrał coś, co nie należało do niego: pieniądze, które ktoś inny zarobił pracą swych rąk. Mogły one należeć do kogokolwiek z was. Ten człowiek dokonał więc zamachu na własność was wszystkich. Co na to powiesz?

– To był ledwie jeden denar! – odrzekł oskarżony błagalnym głosem, licząc widocznie na zmiłowanie tłumu. – Znalazłem go na ziemi. A on mówi o tym tak, jakbym się gdzieś włamał albo wyrwał go komuś z rąk.

Zgraja na placu nie była jednak w miłosiernym nastroju. Z rozgorączkowanego tłumu dobiegały już okrzyki domagające się krwi oskarżonego.

– Dziś jeden denar – wrzasnął Addin – a jutro koń! Następnego dnia ludzkie życie. To nie przedmiot się liczy, ale fakt, że sięgnąłeś po coś, co nie należało do ciebie. Gdybym pozwolił na takie zachowanie, inni uznaliby, że im także wolno zabierać cudzą własność. Do czego by to doprowadziło?

Regent Jerozolimy stanął przed złodziejem i uciął jego ostatnie prośby, wbijając miecz w jego trzewia.

Następnie zwrócił uwagę na asasyna. To oznaczało, że Altaïrowi zostało ledwie kilka chwil. Musiał działać szybko. Opuściwszy głowę, zaczął przeciskać się przez tłum. Starał się przy tym sprawiać wrażenie, że nie kieruje się jakimś szczególnym zamiarem – po prostu chce znaleźć się tak blisko pierwszych rzędów, jak to tylko możliwe. W tym czasie Majd Addin zdążył podejść nieśpiesznym krokiem do asasyna, chwycić go za włosy i podnieść jego głowę, tak by tłum mógł dobrze się jej przyjrzeć.

– Ten człowiek szerzy nikczemne kłamstwa i sieje ferment – zaryczał jadowicie. – Jego myśli krążą wyłącznie wokół morderstw. Sączy truciznę

w nasze myśli, tak jak zatrauwa swoje ostrze. Nastawia brata przeciw bratu, ojca przeciw synowi. Jest bardziej niebezpieczny niż którykolwiek z naszych pozostałych wrogów. To asasyn.

Przemówienie Addina sprawiło, że tłum zamarł. Altaïr dotarł już do schodków. Ludzie wokół niego kipieli z gniewu, a co bardziej rozgorączkowani domagali się głośno zadania asasynowi zabójczego ciosu.

– Śmierć niewiernemu!

– Zabić go!

– Poderżnij mu gardło!

Tymczasem asasyn, którego głowę nadal przytrzymał Addin, odezwał się:

– Zabicie mnie nie poprawi waszego bezpieczeństwa. Widzę strach w waszych oczach i słyszę wasze drżące głosy. Boicie się. Boicie się, bo wiecie, że naszego przesłania nie da się uciszyć. Bo macie świadomość, że nas nie można powstrzymać.

Altaïr stanął na dolnym schodku, sprawiając wrażenie, że chce mieć po prostu lepszy widok. Inni ludzie szybko poszli w jego ślady. Dwaj wartownicy, do tej pory pochłonięci obserwowaniem wydarzeń na szafocie, uzmysłowili sobie wreszcie, co się dzieje na schodach, i zaczęli wzywać gapiów, by z nich zeszli. Jednocześnie na stopnie pchali się już kolejni widzowie. Wszyscy chcieli znaleźć się jak najbliżej miejsca egzekucji: potracano się więc i rozpychano, aż kilka osób (w tym jeden z wściekłych wartowników) spadło ze schodów. Altaïr wykorzystał zamieszanie, by wspiąć się wyżej – w końcu znalazł się zaledwie o kilka kroków od Addina. Regent puścił głowę więźnia i wygłaszał teraz do zgromadzonych przemowę o „błuznierstwie” i „zdradzie” asasyna.

Za plecami Altaïra nadal trwały przepychanki i obaj strażnicy mieli pełne ręce roboty. Majd Addin zakończył tymczasem swoją przemowę – rozpalony tłum nie mógł się doczekać ostatniej egzekucji. Addin odwrócił się do więźnia i, wymachując krwawym mieczem, postąpił ku niemu, by zadać

śmiertelny cios.

Nagle zatrzymał się, wiedziony szóstym zmysłem, i spojrzał prosto na Altaïra.

Przez chwilę wydawało się, że plac się skurczył – zupełnie jakby rozgorączkowany tłum, zbrojni, skazany na śmierć oraz martwe ciała pozostałych skazańców, wszystko nagle zniknęło. Altaïr oraz Addin mierzyli się wzrokiem i asasyn dostrzegł kielkujące w oczach regenta przecucie, że śmierć jest blisko. Altaïr poruszył serdecznym palcem i ukryte ostrze wysunęło się błyskawicznie; on sam skoczył do przodu, cofając rękę z bronią, a następnie zatapiając śmiertcionośną stal w ciele Majd Addina – cała akcja trwała nie dłużej niż mrugnięcie powieką.

Tłum wydał z siebie ryk i wrzask, nie wiedząc, co sądzić o niespodziewanym rozwoju wypadków. Addin wierzgnął i szarpnął się; z rany na jego szyi buchnęła krew. Altaïr przytrzymał go mocno kolanami i wzniósł ostrze.

– Twoje dzieło tutaj dobiegło końca – powiedział i napiął mięśnie, gotów zadać ostateczny cios.

Wokół rozpętało się tymczasem istne pandemonium. Strażnicy zaledwie uświadomili sobie, co się właściwie stało, i teraz próbowali dostać się na szafot, torując sobie drogę przez ogarnięty paniką tłum. Altaïr musiał kończyć swoją misję, i to szybko. Chciał jednak usłyszeć, co Addin ma do powiedzenia.

– Nie, nie. Ono dopiero się zaczęło – rzekł Addin.

– Powiedz mi, jaka była twoja rola? Zamierzasz bronić się tak jak inni, i usprawiedliwiać swe złe uczynki?

– Bractwo pragnęło miasta. Ja pragnąłem władzy. Nadarzyła się... okazja.

– Okazja do mordowania niewinnych – skwitował Altaïr. Słyszał tupot biegnących stóp: to gapie umykali z placu.

– Nie takich znowu niewinnych. Głosy buntowników potrafią ciąć głęboko niczym stal. Tacy jak oni burzą porządek. Co do tego zgadzam się

z Bractwem.

– Zabijałeś ludzi tylko za to, że wierzą w coś innego niż ty?

– Oczywiście, że nie... Zabijałem, bo mogłem. Bo była to wyśmienita rozrywka. Czy ty wiesz, jakie to uczucie, rozstrzygać o losie innych? A czy widziałeś, jak ci ludzie wiwatowali? Jak się mnie bali? Byłem niczym bóg. Gdybyś tylko mógł, postępowałbyś tak samo jak ja. Taka... jest władza.

– Kiedyś być może by tak było. Ale potem poznałem, co się dzieje z tymi, którzy wynoszą się ponad innych.

– Cóż takiego?

– Pozwól, że ci pokażę.

Dobił Addina, po czym zamknął mu oczy i zamoczył pióro w jego krwi.

– Każda dusza pozna smak śmierci – rzekł.

A potem, w chwili gdy właśnie gdzieś nieopodal rozbrzmiał dźwięk dzwonu, Altaïr wyprostował się, by stawić czoła wartownikom.

Saraceński wojownik wpadł na niego z impetem. Altaïr, jęknąwszy z wysiłku, sparował cios i odrzucił napastnika do tyłu. Kolejni wdrapywali się już na podest, a trzech natarło właśnie na Altaïra. Pierwszy padł z krzykiem pod ciosem asasyna, drugi zaś poślizgnął się na plamie krwi i upadł. Altaïr wykończył go i dostrzegłszy lukę w szeregach nieprzyjaciela, natychmiast zeskoczył z szafotu. W locie uruchomił mechanizm ostrza i lądując, nadział na nie jednego ze strażników. Wypuszczony przez zabitego miecz poszybował w powietrzu.

Znalazłszy się na placu, Altaïr wypatrzył jedyną możliwą drogę ucieczki. Posuwał się w stronę wejścia na plac, odpierając jednocześnie ataki dwóch kolejnych wrogów. W pewnej chwili poczuł draśnięcie i po ramieniu pociekła mu ciepła krew. Udało mu się jednak pochwycić rębacza i pchnąć go prosto na drugiego z napastników – obaj zwalili się z krzykiem na ziemię. Altaïr pomknął ku bramie wejściowej. Gdy tam dotarł, wybiegło z niej trzech strażników. Udało mu się ich jednak zaskoczyć: pierwszego przebił na wylot mieczem, drugiego ciął ukrytym ostrzem w szyję; następnie pchnął obu

zwijających się w agonii mężczyzn na trzeciego strażnika.

Oczyściwszy wejście, obejrzał się za siebie i na podeście dostrzegł ludzi Malika, którzy uwolnili asasyna i pomagali mu zejść z szafotu. Altaïr, nie zwlekając dłużej, wybiegł przez bramę i w uliczce natknął się na kolejnego strażnika. Uzbrojony w pikę ruszył z wrzaskiem na asasyna. Altaïr podskoczył i uchwycił się drewnianej konstrukcji, podciągnął się i przerzucił ciało na rozwieszony nad ulicą baldachim. Czuł przy tym, jak jego mięśnie napinają się pod wpływem wysiłku. Z dołu dobiegł go okrzyk rozczarowania. Kiedy wspiał się na dach budynku, obejrzał się i zauważył, że grupa żołnierzy usiłuje podążać za nim. By ich spowolnić, zabił jednego celnie rzuconym nożem, po czym rzucił się do ucieczki po dachach domów. Gdy dzwony zamilkły, Altaïr wtopił się w uliczny tłum. Po mieście zaś rozeszła się wieść: asasyn zabił regenta.

24

Altaïra w dalszym ciągu nurtowała pewna sprawa.

Teraz, gdy ostatni z regentów miast był już martwy, nadszedł czas, by o nią zapytać. I właśnie do zadania owych pytań szykował się Altaïr, zmierzając do komnat Al Mualima.

– Wejdz, Altaïrze. Mam nadzieję, że wypocząłeś? Jesteś gotów do kolejnych prób? – przywitał go Mistrz.

– Tak. Ale najpierw chciałbym z tobą pomówić. Mam kilka pytań...

Al Mualim uniósł podbródek i zacisnął lekko wargi, dając wyraz swemu niezadowoleniu. Bez wątpienia pamiętał, jak ostatnim razem Altaïr domagał się od niego odpowiedzi. Nie zapomniał tego także Altaïr, który postanowił teraz postępować ostrożniej, by nie musieć znowu oglądać klingi miecza swojego Mistrza.

– Pytaj więc – rzekł Al Mualim. – Postaram się odpowiedzieć najlepiej, jak mogę.

Altaïr wziął głęboki oddech.

– Król Kupców w Damaszku wymordował możnych, którzy rządili jego miastem. W Jerozolimie Majd Addin strachem zmuszał lud do posłuszeństwa. Podejrzewam, że Wilhelm zamierzał zamordować Ryszarda i samemu kontrolować Akkę z pomocą swych ludzi. Wszyscy oni mieli pomagać swym przywódcom, lecz zamiast tego zdecydowali się ich zdradzić. Nie rozumiem tylko dlaczego?

– Czyż odpowiedź nie jest oczywista? Templariusze pragną wszystko

kontrolować. Jak zauważyłeś, każdy z tych ludzi chciał zawładnąć swym miastem w imieniu templariuszy, tak aby ich zakon mógł rządzić w całej Ziemi Świętej, a ostatecznie także i poza nią. Ale to im się nie uda.

– Dlaczego?

– Ich plany zależą od skarbu templariuszy... Od Fragmentu Edenu... Ale teraz to my go posiadamy. Bez niego templariusze nie będą mogli ziścić swoich planów.

Oczywiście, pomyślał Altaïr. To o tym przedmiocie mówili ludzie, którzy byli celami jego misji.

– Czym jest ten skarb? – zapytał.

Al Mualim uśmiechnął się i przeszedł na koniec swej komnaty. Tam pochylił się i otworzył skrzynię. Wyciągnął z niej pudełko, po czym wrócił i postawił je na stole. Altaïr wiedział, co to za przedmiot, lecz mimo to jego wzrok powędrował w stronę skrzyneczki – a właściwie został przez nią przyciągnięty. Była to dokładnie ta sama kasetka, którą Malik zdobył w świątyni. Tak jak poprzednio, tak i teraz wydawała się emanować poświatą – jakby promieniowała z niej swoista moc. Altaïr uświadomił sobie, że tak naprawdę przez cały czas wiedział, że to ona jest skarbem, o którym tyle słyszał. Przeniósł spojrzenie z pudełka na Al Mualima, który obserwował jego reakcję. Na twarzy Mistrza malowało się pobłażanie, tak jakby już wiele razy był świadkiem podobnych zachowań. A przecież to był dopiero początek.

Al Mualim sięgnął do pudełka i wyciągnął z niego kulę wielkości dwóch pięści. Złota kula, której powierzchnię pokrywał mozaikowy wzór, sprawiała wrażenie pulsującej pod wpływem wewnętrznej energii – Altaïr zaczął się nawet zastanawiać, czy oczy go czasem nie zwodzą. Czy ten przedmiot mógłby być w jakimś sensie... żywy? Nie mógł się skupić. Poczował tylko, jak kula przyciąga go do siebie.

– To jest... pokusa... – wyrecytował bardziej niż stwierdził Al Mualim.

Nagle, zupełnie jakby ktoś zdmuchnął płomień świecy, kula przestała

pulsować. Otaczająca ją aura zniknęła. Czar prysnął w jednej chwili. Teraz była to... po prostu kula: wiekowy przedmiot, na swój sposób piękny, ale niebędący niczym więcej, jak tylko świecidełkiem.

– To po prostu kawałek srebra... – powiedział Altaïr.

– Przypatrz mu się – nalegał Al Mualim.

– Mieni się przez krótką chwilę, ale nie ma w nim nic niezwykłego – odrzekł Altaïr. – Co miałbym zobaczyć?

– Ten „kawałek srebra” wypędził z rajů Adama i Ewę. To właśnie jest owo Jabłko. Przemieniał laski w węże. Sprawił, że rozstąpiło się, a potem zamknęło Morze Czerwone. Eris posłużyła się nim, by rozpętać wojnę trojańską. Wreszcie to za jego pomocą pewien biedny cieśla przemienił wodę w wino.

Jabłko? Fragment Edenu? Altaïr przyjrzał się przedmiotowi z powątpiewaniem.

– Wygląda dość zwyczajnie jak na całą tę moc, którą mu przypisujesz – ocenił. – Jak zatem działa?

– Osoba posiadająca Jabłko włada sercami i umysłami wszystkich, którzy na nie spojrzą; wszystkich, którzy je – jak to mówią – „posmakują”.

– A więc ludzie Garniera de Naplouse... – zaczął Altaïr, przypomniawszy sobie żałosne stworzenia napotkane w szpitalu.

– To był eksperyment. Użyto w nim ziół, które miały naśladować działanie artefaktu. Wszystko po to, by byli gotowi, kiedy je już zdobędą.

Altaïr wreszcie zrozumiał.

– Talal dostarczał ludzi. Tamir zapewniał im uzbrojenie. Tych ludzi do czegoś przygotowywano... Tylko do czego?

– Do wojny – odparł krótko Al Mualim.

– A pozostali... ci, którzy rządili miastami... Chcieli przeobrazić swych poddanych na podobieństwo ludzi Garniera de Naplouse.

– To mieli być idealni obywatele. Idealni żołnierze. Idealny świat.

– Robert de Sablé nie może odzyskać Jabłka – powiedział zdecydowanie

Altaïr.

– Dopóki on i jego bracia żyją, będą próbować – rzekł Al Mualim.

– Zatem trzeba ich zniszczyć.

– I to właśnie jest zadanie, które przed tobą postawiłem. – Al Mualim uśmiechnął się. – Zostało jeszcze dwóch templariuszy, którymi musisz się zająć. Pierwszy, znany jako Sibrand, rezyduje w Akce. Drugi, imieniem Jubair, przebywa w Damaszku. Odwiedź rafiqów tamtejszych siedzib. Otrzymasz od nich dalsze instrukcje.

– Jak sobie życzysz – odparł Altaïr, skłoniwszy głowę.

– Uwiń się z tym szybko – dodał Al Mualim. – Roberta de Sablé z pewnością zaniepokoiło nasze pasmo sukcesów. Reszta jego popleczników dołoży wszelkich starań, aby cię zdemaskować. Wiedzą, że się zbliżasz: spodziewają się człowieka w białym kapturze. Będą cię szukać.

– Nie znajdą mnie. Jestem jedynie ostrzem w tłumie – odrzekł Altaïr.

Na twarzy Al Mualima pojawił się uśmiech. Mistrz ponownie poczuł dumę ze swego ucznia.

25

To Al Mualim nauczył młodego Altaïra oraz Abbasa treści Creda. Mistrz osobiście nappełnił ich młode umysły zasadami Zakonu.

Każdego dnia po śniadaniu, złożonym z chlebów pita oraz daktyli, chłopcy myli się i zakładali schludne odzienie, nad czym czuwały surowe piastunki. Następnie, przyciskając do piersi swe księgi, przemierzali pośpiesznie korytarze, stukając sandałami po kamiennych podłogach i rozmawiając z ożywieniem, dopóki nie dotarli do drzwi, za którymi znajdowała się pracownia Mistrza.

W tym miejscu zawsze odprawiali swój rytuał. Obaj przesuwali otwartą dłoń przed ustami, zmieniając radosny wyraz twarzy na poważny – taki, jakiego oczekiwał od nich Mistrz. Potem jeden z nich pukał do drzwi. Z jakiegoś powodu obaj lubili to robić, więc zmieniali się co drugi dzień. Następnie czekali, aż Mistrz wezwie ich do środka. Znalazłszy się w pracowni, siadali po turecku na poduszkach, które Mistrz przygotował specjalnie dla nich: jedną dla Altaïra, drugą dla jego brata, Abbasa.

Wcześniej, kiedy dopiero rozpoczynali naukę, trapił ich strach i niepewność – wobec własnej osoby, wobec siebie nawzajem, a zwłaszcza wobec Mistrza, który osobiście prowadził ich poranne i wieczorne lekcje, uzupełniane przez popołudniowe i wieczorne treningi na placu. Spędzali długie godziny na przyswajaniu zasad Zakonu. Patrzyli jak Mistrz, z dłońmi splecionymi za plecami, miarowym krokiem raz po raz przemierza pracownię, zatrzymując się tylko po to, by upomnieć swych uczniów, gdy uznał, że nie uważają.

Jedynie oko Al Mualima wywierało na obu chłopcach nader niepokojące wrażenie; czasem czuli wręcz, jak jego spojrzenie przykuwa ich do miejsc, na których siedzieli.

Aż wreszcie pewnej nocy w ich wspólnej sypialni rozległ się szept Abbasa: „Hej, Altaïrze!”.

Altaïr odwrócił się ku niemu zaskoczony. Abbas nigdy wcześniej tego nie robił – nie zaczynał rozmowy po zgaszeniu świateł. Do tej pory zawsze leżeli w ciszy, każdy z nich pogrążony we własnych myślach. Aż do tamtej nocy. Księżyc był w pełni i zasłona w oknie jarzyła się białą poświatą, a pokój wypełniała miękka szarość. Abbas leżał na boku, zwrócony twarzą do Altaïra – gdy już udało mu się zwrócić na siebie uwagę towarzysza, zakrył jedno oko dłonią i, niemal po mistrzowsku naśladowując głos Al Mualima, powiedział: „Jesteśmy niczym, jeśli nie przestrzegamy Creda Asasynów”.

Altaïr zachichotał i odtąd obu chłopców połączyła przyjaźń. Od tej pory, ilekroć Al Mualim musiał ich upominać, powodem był stłumiony śmiech, jaki zdarzało mu się słyszeć za plecami. Opiekunki odkryły zaś nagle, że ich podopieczni nie są już tak potulni i ulegli jak wcześniej.

Al Mualimowi udało się nauczyć ich zasad. Zasad, które Altaïr miał w przyszłości zlekceważyć i zapłacić za to wysoką cenę. Al Mualim uświadomił im, że asasyni nie są bezmyślnymi, pozbawionymi skrupułów zabójcami, za jakich ma ich większość ludzi, lecz że wykonują zadania polegające na zabijaniu wyłącznie osób złych i zepsutych. Ich misja polega na zapewnieniu Ziemi Świętej pokoju i stabilności oraz zaprowadzaniu w niej ładu odwołującego się do rozumu oraz duchowego poznania, nie zaś do przemocy i konfliktu.

Nauczył ich też panować nad uczuciami i emocjami, ukrywać zamiary i wtapiać się w otoczenie, aby nie zwracając na siebie uwagi, mogli poruszać się między zwykłymi ludźmi – niczym duchy pośród tłumu. Twierdził, że asasyn powinien kojarzyć się ludziom z rodzajem niepojętej magii, która, tak jak każda magia, jest w istocie rzeczywistością nagiętą do woli. W tym

przypadku – do woli asasyna.

Mistrz wpajał im również, by zawsze chronili Zakon; uczył, że „Bractwo jest ważniejsze od ciebie, Altaïrze. Jest ważniejsze od ciebie, Abbasie. Jest ważniejsze od Masjafu i ode mnie samego”. I dlatego działanie asasyna nie może nigdy szkodzić Zakonowi. Asasynowi nie wolno narażać Bractwa na szwank.

I choć Al Mualim wpoił uczniom doktrynę asasynów, to pewnego dnia Altaïr miał się jej sprzeniewierzyć.

Mistrz uczył ich, że ludzie wyznaczyli pewne granice i wszystko, co znalazło się w ich obrębie, ogłosili „prawdziwym” i „rzeczywistym”; były to jednak granice fałszywe, narzucane przez tych, którzy mienili się przywódcami. Al Mualim pokazał swym uczniom, że granice rzeczywistości są nieskończone, a człowiek nie jest w stanie objąć ich swoją ograniczoną wyobraźnią. Jedynie nieliczni potrafią spojrzeć poza owe granice – a tylko garstka ośmiela się podać w wątpliwość nawet samo ich istnienie.

Tą garstką są właśnie asasyni.

Ponieważ są w stanie widzieć świat takim, jakim jest naprawdę, nie ma dla nich rzeczy niemożliwych – i wszystko jest dozwolone.

Z każdym kolejnym dniem, spędzonym na przyswajaniu nowych rozdziałów wiedzy na temat Zakonu, Altaïr i Abbas stawali się sobie coraz bliżsi. Przebywali w swoim towarzystwie niemalże całe dni. Niezależnie od tego, czego nauczał ich Al Mualim, ich codzienność była w istocie dosyć błaha: oprócz nich samych, składały się na nią ich piastunki, zajęcia z Al Mualimem oraz cały zastęp instruktorów walki, z których każdy miał inną specjalność. Chłopcy nie mieli też poczucia, że wszystko jest dozwolone – tak naprawdę prawie nic nie było dozwolone. Sami musieli dostarczyć sobie rozrywki – często zdarzało im się przegadać ze sobą godziny przeznaczone na naukę. Rozmowy te rzadko schodziły na ich ojców. Co prawda, początkowo Abbas nieustannie rozprawiał o powrocie Ahmeda do Masjafu, jednak w miarę upływu kolejnych miesięcy, a potem lat, coraz rzadziej

poruszał ten temat. Altaïr widywał przyjaciela stojącego w oknie i wpatrującego się szklistymi oczami w dolinę. Z czasem Abbas stawał się coraz bardziej wycofany i coraz mniej rozmowny. Nie był już tak skłonny do śmiechu jak kiedyś. Wcześniej usta nie zamykały mu się godzinami, teraz zaś nieustannie wystawał przy oknie.

Altaïr wciąż myślał o jednym: gdyby tylko Abbas wiedział... Jego rozpacz rozgorzała gwałtownie i intensywnie, by potem stopniowo przygasnąć i przerodzić się w ból – przez to wszystko przeszedł Altaïr. Śmierć ojca bolała go każdego dnia, lecz on przynajmniej o niej wiedział. Na tym polegała różnica pomiędzy przytępionym bólem a uczuciem nieustannej rozpacz.

Dlatego też pewnej nocy, po zgaszeniu świateł, wyznał Abbasowi prawdę. Z opuszczoną głową, powstrzymując ciskające się do oczu łzy, opowiedział przyjacielowi, jak Ahmed przyszedł do jego izby i odebrał sobie życie. Wyznał też, że Al Mualim postanowił nie ujawniać tego faktu Bractwu „po to, żeby cię chronić”.

„Ale Mistrz nie widzi twojej tęsknoty z tak bliska. Ja także straciłem ojca, więc wiem... wiem, że ból z czasem maleje. Mówię ci to wszystko, bo chcę ci pomóc, przyjacielu”.

Abbas zamrugał w ciemnościach, a potem odwrócił się na łóżku. Altaïr zastanawiał się, jakiej właściwie reakcji spodziewał się po swym przyjacielu. Płaczu? Gniewu? Rozpacz? Był przygotowany na każdą z nich. Nawet na to, że będzie musiał zastąpić mu drogę i powstrzymać przed pobiegnięciem do Mistrza. Nie spodziewał się jednak takiej... pustki. Takiej ciszy.

26

Altaïr ponownie zawitał do Damaszku i z wysokości dachu obserwował teraz swój kolejny cel.

Unoszący się w powietrzu zapach spalenizny wzbudzał w nim odrazę. Podobnie widok w dole: stosy trawionych przez ogień ksiąg. Altaïr patrzył, jak marszczą się, czernieją i płoną. Pomyślał o swym ojcu, w którym takie widowisko niechybnie wywołałoby wstręt; podobnie zareaguje także Al Mualim, gdy tylko o tym usłyszy. Palenie ksiąg było zniewagą asasyńskiego obyczaju. Nauka oznacza wszak wiedzę, wiedza zaś wyzwolenie i siłę. Altaïr był tego głęboko świadom. I nawet jeśli zdarzało mu się o tym zapominać, teraz przekonanie o wartości wiedzy i ksiąg wróciło do niego ze zdwojoną siłą.

Stojąc na występie dachu, niewidoczny dla innych, spoglądał z góry na damasceńską medresę Jubaira. Słup dymu unosił się w jego stronę, lecz uwaga wszystkich skupiała się na ogniu, w którym płonęły sterty ksiąg, pism i zwojów, a także na Jubairze, stojącym w pobliżu i wyszczekującym rozkazy. Altaïr zauważył, że jego polecenia wypełniali wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby – trzymającego się na uboczu uczonego, który wbił wzrok w płomień. Z jego twarzy można było wyczytać te same myśli, które przed chwilą kłębiły się w głowie Altaïra.

Jubair miał na nogach wysokie skórzane buty, a głowę zakrywała mu czarna chusta. Z jego twarzy nie schodził gniewny grymas. Altaïr przyjrzał mu się bacznie – do tej pory zdążył się już sporo o tym człowieku

dowiedzieć. Jubair uchodził za jednego z wybitniejszych uczonych Damaszku, lecz był nim wyłącznie z nazwy; cóż to bowiem za uczonego, który wzywa nie do szerzenia wiedzy, lecz do jej niszczenia. W tę działalność zaangażował wszystkich uczonych w mieście, których obecność w Damaszku popierał sam Saladyn.

Dlaczego to robili? W jakim celu gromadzili, a następnie niszczyli wszelkie pisma?

Wszystko to odbywało się w imię „nowej drogi” czy też „nowego ładu”, o których Altaïr słyszał już wcześniej. Co dokładnie kryło się pod tymi pojęciami, trudno było powiedzieć. Altaïr wiedział natomiast doskonale, kto stoi za ową ideą: templariusze. Jednym z nich był sam Jubair – cel obecnej misji asasyna.

– Każdy tekst w tym mieście musi zostać zniszczony. – Dobiegł z dołu pełen fanatycznego zapachu głos Jabaira, zagrzewającego swych ludzi do działania.

Jego uczeni pomocnicy uwijali się z naręczami dokumentów, które przynosili z miejsca znajdującego się poza zasięgiem wzroku Altaïra. Rzucali je następnie w płomienie, które z każdą kolejną partią pism wzbijały się coraz to wyżej. Kątem oka asasyn obserwował stojącego nieco dalej uczonego, którego wzburzenie wyraźnie narastało, aż w końcu nie mógł się już dłużej powstrzymać i ruszył do przodu, by stawić czoła Jubairowi.

– Przyjacielu, nie wolno ci tego robić – odezwał się jowialnym tonem, bezskutecznie usiłując ukryć pod nim rozpacz. – Te pergaminy kryją w sobie ogrom wiedzy. Nasi przodkowie nie powierzyli jej im bez przyczyny.

Jubair przystanął i spojrzał na uczonego z nieskrywaną pogardą.

– A jakaż to niby przyczyna? – warknął.

– Te dzieła to światła przewodnie, które mają nas prowadzić, byśmy nie zbłądzili w mroku ignorancji. – Pokornym głosem odparł uczonego. Za jego plecami tańczył ogień. Pomocnicy Jubaira nadciągnęli z kolejną porcją ksiąg, które cisnęli w płomienie. Niektórzy z nich rzucali nerwowe spojrzenia

w kierunku Jubaira oraz jego oponenta.

– Nie – rzekł Jubair, postępując krok do przodu i zmuszając tym uczonego do cofnięcia się. – Te skrawki papieru pokryte są kłamstwami. Zatruwają wasze umysły. Dopóki istnieją, dopóty nie ma dla was nadziei na ujrzenie świata takim, jakim jest naprawdę.

Uczony robił wszystko, by zachować spokój, ale nie był w stanie ukryć narastającej frustracji.

– Jak możesz oskarżać te zwoje o to, że są zatrutą bronią?! To narzędzia nauki!

– Zwracacie się ku nim, poszukując odpowiedzi i zbawienia. – Mówiąc to, Jubair zrobił kolejny krok do przodu, wymuszając na rozmówcy cofnięcie się o krok. – Polegacie na nich bardziej niż na samych sobie. Przez to stajecie się słabi i głupi. Wierzycie w słowa. W krople inkaustu. A czy kiedykolwiek zastanawiacie się nad tym, kto je napisał? I dlaczego to zrobił? Nie. Po prostu przyjmujecie je bez zastrzeżeń. A jeśli zawierają fałsz, co zdarza się nader często? W pismach czyha niebezpieczeństwo.

Uczony sprawiał wrażenie zakłopotanego – zapewne poczuł się tak, jakby usłyszał, że czarne jest białe albo że noc jest dniem.

– Jesteś w błędzie. – Upierał się. – W tych pismach zawarty jest dar wiedzy. Są nam potrzebne.

Jubair spochmurniał.

– Kochasz te pisma? Zrobiłbyś dla nich wszystko?

– Tak, tak. Naturalnie.

Twarz Jubaira rozjaśnił nagle okrutny uśmiech.

– Więc dołącz do nich.

Jubair obiema rękami uderzył uczonego w pierś, popychając go mocno do tyłu. Przez krótką chwilę mężczyzna balansował, usiłując złapać równowagę – oczy rozwarły mu się szeroko, a ramiona wymachiwały szaleńczo, jakby miał nadzieję, że uda mu się odlecieć od zachłannych płomieni. Wreszcie uległ impetowi pchnięcia. Runął w ogień i zaczął wić się na straszliwym

pośłaniu z palącego żaru. Wrzeszczał przy tym i wierzgał nogami. Jego szaty zajęły się ogniem. Przez chwilę zdawało się, że próbuje zdusić płomienie, lecz rękawy tuniki zdążyły się już zapalić. Po pewnym czasie krzyki mężczyzny ustały. W dymie, który unosił się do Altaïra, dał się wyczuć przyprawiający o mdłości zapach spalonego ludzkiego mięsa. Asasyn przysłonił nos. To samo zrobili uczeni na dziedzińcu.

– Każdy, kto przemawia jak on, stanowi takie samo zagrożenie. – Jubair zwrócił się do swych pomocników. – Czy jeszcze ktoś spośród was chce rzucić mi wyzwanie?

Nie usłyszał odpowiedzi; wystraszone oczy obecnych na dziedzińcu ludzi utkwione były w dłoniach, którymi zatykali sobie nosy.

– Dobrze – powiedział Jubair. – Wasze rozkazy są proste. Ruszajcie do miasta. Zbierajcie wszelkie pozostałe pisma i dorzucajcie je do stosów na ulicach. Gdy skończycie, pošlemy wóz, by je zebrać, a potem zniszczyć.

Uczeni wyszli i dziedziniec opustoszał. Piękny, wyłożony marmurami zakątek został bezpowrotnie splamiony plugawym ogniem.

Jubair krążył miarowym krokiem wokół stosu, wpatrując się w płomienie. Od czasu do czasu rzucał dookoła nerwowe spojrzenia i wydawał się uważnie nasłuchiwać. Nie usłyszał jednak niczego poza trzaskaniem ognia i swym własnym oddechem. Odprężył się trochę, co wywołało uśmiech na twarzy Altaïra. Jubair wiedział, że dybią na niego asasyni. Uważając się za sprytniejszego od tych, którzy zostaną wysłani, by go zgładzić, wysłał na ulice miasta przynęty; zapewnił im też eskortę w postaci swej najbardziej zaufanej straży przybocznej, aby cała mistyfikacja była jeszcze bardziej dopracowana.

Altaïr po cichu zajął na dachu miejsce dokładnie ponad niszczycielem ksiąg. Jubair łudził się, że zamknięty w swej medresie może czuć się bezpieczny.

Tak jednak nie było. Miał już nie zabić żadnego ze swych podwładnych i nie spalić już ani jednej księgi.

Rozległ się dźwięk otwieranego ostrza.

Jubair zadarł głowę i ujrzał spadającego prosto na niego asasyna z obnażoną bronią. Spróbował odskoczyć, ale na to było już za późno – ostrze wbiło się w jego szyję. Jubair z westchnieniem runął na marmurową podłogę.

Zamrugął gwałtownie.

– Dlaczego... Dlaczego to zrobiłeś?

Altaïr spojrział w ogień, na poczerniałe zwłoki uczonego. Skóra na czaszce spaliła się i martwy człowiek sprawiał wrażenie, jakby szczyrzył zęby w upiornym uśmiechu.

– Ludzie muszą być wolni, by mogli robić to, w co wierzą – odpowiedział Altaïr. Wyciągnął ostrze z szyi swej ofiary. Krew pociekła na marmur. – Nie mamy prawa karać nikogo za to, co myśli, niezależnie od tego, jak bardzo się z nim nie zgadzamy – dodał.

– Cóż zatem robić?

– Akurat ty powinieneś znać odpowiedź, i to lepiej niż ktokolwiek inny. Trzeba nauczać. Uczyć ludzi, jak odróżniać to, co słuszne, od tego, co niewłaściwe. To wiedza musi ich wyzwolić, nie siła.

Jubair zarechotał zdławionym śmiechem.

– Oni niczego się nie uczą. Trwają niezmiennie przy swoich przyzwyczajeniach. Jesteś naiwny, jeśli uważasz inaczej. To choroba, asasynie, i jest na nią tylko jedno lekarstwo.

– Mylisz się. I dlatego trzeba cię złożyć do grobu.

– A czy ja nie przypominam ci tych cennych ksiąg, które tak pragniesz ocalić? Czy nie jestem takim źródłem wiedzy, z którym się nie zgadzasz? A jednak nie wahałeś się odebrać mi życia.

– To niewielka ofiara za to, by ocalić wielu. Tak trzeba.

– Powiedz, czy to nie starożytne zwoje stanowią inspirację dla krzyżowców? Czy to nie one budzą słuszny gniew Saladyna i jego ludzi? Ich pisma są zagrożeniem dla innych. Ich śladem kroczy śmierć. Ja także

składałem niewielką ofiarę – uśmiechnął się. – Ale teraz to już nieistotne. Twoje zadanie jest skończone. Tak jak i moje życie.

Jubair zamknął oczy i skonał. Altaïr wstał, rozejrzał się po dziedzińcu – znalazł tu zarówno piękno, jak i szpetotę. Gdy do jego uszu dobiegł odgłos zbliżających się kroków, oddalił się pośpiesznie. Po dachach przedostał się na ulicę. Wtopił się w miasto.

Znowu stał się ostrzem w tłumie...

– Teraz to ja mam pytanie do ciebie – rzekł Al Mualim podczas ich kolejnego spotkania. Przywrócił Altaïrowi jego poprzednią rangę. Asasyn w końcu ponownie stał się mistrzem. Jego mentor sprawiał jednak wrażenie, jakby chciał się upewnić, czy aby na pewno podjął słuszną decyzję. Chciał mieć pewność, że Altaïr czegoś się nauczył.

– Czym jest prawda? – zapytał.

– Pokładamy wiarę w sobie – odparł Altaïr, pragnąc gorąco zadowolić Mistrza i udowodnić mu, że naprawdę się zmienił. Że podjęta przez Al Mualima decyzja o okazaniu mu miłosierdzia była słuszna. – Widzimy świat takim, jakim jest naprawdę, mając przy tym nadzieję, że pewnego dnia ujrzy go takim cała ludzkość.

– Czymże więc jest świat?

– Iluzją – odpowiedział Altaïr. – Możemy albo się jej poddać, tak jak czyni to większość, albo też wykroczyć poza nią.

– A co to znaczy wykroczyć poza złudzenie?

– To znaczy uzmysłwić sobie, że prawa nie są pochodzenia boskiego, lecz stanowią wytwór umysłu. Teraz rozumiem, że nasze Credo nie nakazuje nam, byśmy byli wolni. – Mówiąc to, Altaïr naprawdę nagle to zrozumiał. – Nakazuje, byśmy byli roztropni.

Do tej pory Altaïr wierzył w Credo, lecz nie pojmował jego prawdziwego znaczenia. Teraz dotarło do niego, że Credo stanowi w istocie wezwanie do stawiania pytań oraz do tego, by we wszelkie poczynania angażować namysł, wiedzę i rozum.

Al Mualim skinął głową.

- Czy teraz pojmujesz, dlaczego templariusze stanowią zagrożenie?
- Ponieważ my pragniemy rozproszyć iluzję, oni zaś chcą użyć jej jako narzędzia władzy.
- Tak. Chcą przekształcić świat, by zaczął odpowiadać ich upodobaniom. To dlatego posłałem cię, byś skradł ich skarb. To dlatego trzymam go w zamknięciu. I to dlatego ich zabijasz. Dopóki żyje choć jeden z nich, dopóty żyje też ich pragnienie stworzenia Nowego Porządku Świata. Musisz teraz odszukać Sibranda. To jego śmierć w końcu uczyni Roberta de Sablé bezbronnym.
- Tak się stanie.
- Pokój i bezpieczeństwo niech będą z tobą, Altaïrze.

27

Altaïr odbył ostatnią już, jak miał nadzieję, podróż do Akki – okaleczonego przez wojnę miasta, które wciąż spowijała atmosfera śmierci. Przeprowadziwszy dochodzenie, odwiedził kwaterę Jabala, od którego miał otrzymać znak. Na dźwięk imienia Sibrand Jabal pokiwał przemądrzale głową.

– Znam tego człowieka. To nowy dowódca krzyżaków, rezyduje w dzielnicy weneckiej i zarządza portem w Akce.

– Tego zdążyłem się już dowiedzieć; wiem nawet znacznie więcej.

Jabal był wyraźnie pod wrażeniem.

– Mów dalej – rzekł spod uniesionych brwi.

Altaïr opowiedział mu, jak Sibrand zarekwirował cumujące w Akce statki, zamierzając wykorzystać je do blokady portu. Blokada nie miała jednak na celu zapobiec atakowi Saladyna. To był tylko pretekst. Według informacji, jakie udało się zebrać Altaïrowi, Sibrand planował odciąć ludzi króla Ryszarda od dostaw zaopatrzenia. To miało sens. Templariusze zdradzali swoich sojuszników. Wydawało się, że wszystko zaczyna się układać w logiczną całość: natura skradzionego artefaktu, tożsamość Bractwa, na którego członków polował, a nawet ostateczny cel ich dążeń. A mimo to...

Mimo to nie mógł pozbyć się pewnego szczególnego wrażenia. Przeczucia, że wciąż, nawet teraz, porusza się jak we mgle, w oparach niepewności.

– Krążą słuchy, że Sibranda zżera strach. Do szaleństwa doprowadza go świadomość zbliżającej się śmierci. Zamknął dzielnicę portową i ukrywa się

w niej, czekając na przybycie swego statku.

Jabal zastanawiał się chwilę.

– Zatem czeka cię niebezpieczna przeprawa. Ciekawe, skąd dowiedział się o twojej misji.

– Wszyscy, których do tej pory zabiłem, byli ze sobą powiązani. Al Mualim przestrzegł mnie, że wieści o moich czynach zdążyły się już między nimi rozejść.

– Miej się więc na baczności, Altaïrze – rzekł Jabal, wręczając mu pióro.

– Oczywiście, rafiqu. Myślę jednak, że koniec końców ta sytuacja będzie mi sprzyjać. Strach osłabi Sibrand.

Altaïr odwrócił się, by odejść.

– Altaïrze... – zawołał za nim Jabal.

– Tak?

– Winien ci jestem przeprosiny.

– Za co?

– Za to, że powątpiewałem w twe oddanie dla naszej sprawy.

– Nie – odrzekł po namyśle Altaïr. – To ja zbłądziłem. Postawiłem się ponad naszym Credem. Niczego nie jesteś mi winien.

– Jak uważasz, przyjacielu. Bezpiecznej drogi.

Altaïr udał się do doków. Bez najmniejszego trudu prześlizgnął się przez kordon bezpieczeństwa, jakim Sibrand otoczył dzielnicę portową. Zostawił za sobą mury Akki, które, w zależności od odcinka, znajdowały się w mniej lub bardziej opłakanym stanie; przed nim rozpościerała się teraz zatoka. Pełno tu było pomostów, a także rozmaitych statków, z których część przypominała raczej drewniane szkielety. Obok sprawnych okrętów cumowały smutne pozostałości po oblężeniu miasta. Gdy Altaïr patrzył na zatokę, zamiast połyskującego błękitu morza widział morze brązowych wraków.

Dzielnica doków, zbudowana z szarych, wyblakłych na słońcu kamieni, stanowiła swoiste miasto w mieście. Ci, którzy tu pracowali i mieszkali, zdążyli w nie bezpowrotnie wrosnąć. Mieli proste maniere i ogorzałe twarze,

nawykłe do uśmiechu.

Teraz jednak owe uśmiechy gdzieś zniknęły. Pod rządami Sibrandy, wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego nie było na nie miejsca. Nie tylko nakazał zamknąć dostęp do dzielnicy, ale też zapełnił ją zbrojnymi. Żywiony przez niego strach przed zamachem na życie był niczym wirus, który rozprzestrzenił się pośród całej jego armii. Żołnierze poruszali się po nabrzeżu grupami, mając przy tym oczy dookoła głowy. Byli niespokojni, a ich dłonie nieustannie sięgały ku rękojeściom mieczy. Nerwy mieli zszargane i pocili się obficie pod swymi ciężkimi kolczugami.

Altaïr usłyszał odgłosy zamieszania i podążył w ich kierunku. Zauważył, że tak samo postąpili inni przechodnie oraz żołnierze. Okazało się, że to pewien rycerz krzyczy na duchownego. Nieopodal stali towarzysze kapłana i przyglądali się tej scenie z wyraźnym niepokojem. Oprócz nich zgromadziła się tam grupa robotników portowych i kupców, którzy także obserwowali rozgrywający się na ich oczach spektakl.

– M-m-myłisz się, mistrzu Sibrandzie. Nigdy nie zachęcałbym do używania przemocy przeciw komukolwiek, a już z pewnością nie przeciw tobie.

Więc to był Sibrand. Altaïr przyjrzał mu się: czarne włosy, wysokie czoło i okrutne oczy, którymi wodził dziko wokół niczym oszalały od upału pies. Krzyżak uzbroił się w każdą broń, jaką tylko udało mu się znaleźć: do pasów przytroczył miecze, sztylety i noże. Przez plecy przewieszony miał długi łuk, a ponad prawym ramieniem widoczne były lotki strzał. Sprawiał wrażenie człowieka wyczerpanego. Człowieka, z którego pozostał ledwie strzęp.

– To ty tak twierdzisz! – wykrzyknął, opryskując kapłana drobinkami śliny.
– Ale jakoś nikt tu nie chce za ciebie poręczyć. Cóż mam o tym myśleć?

– W-wiodę proste życie, panie, tak jak wszyscy duchowni. Staramy się nie ściągać na siebie uwagi.

– Być może. – Sibrand zamknął oczy, by chwilę później raptownie je otworzyć. – A może nikt cię tu nie zna, bo nie jesteś sługą Bożym, lecz asasynem?

Mówiąc to, pchnął kapłana do tyłu. Starzec upadł ciężko, po czym zaczął gramolić się na kolana.

– Nigdy w życiu – zaoponował.

– Nosicie takie same szaty.

– Skoro odziewają się tak jak my, to tylko po to, by szerzyć niepewność i strach. – Duchowny desperacko usiłował odsunąć od siebie podejrzenia. – Nie wolno ci się temu poddać.

– Nazywasz mnie tchórzem? – zaryczał Sibrand łamiącym się od emocji głosem. – Podważasz mój autorytet? A może próbujesz podburzyć przeciw mnie moich rycerzy?

– Nie. Nie! J-ja nie rozumiem, dlaczego mi to robisz... Nie uczyniłem nic złego.

– Nie przypominam sobie, żebym oskarżał cię o cokolwiek złego, a zatem twój wybuch stawia cię w dość dziwnym świetle. A może to poczucie winy zmusiło cię, byś sam ją wyznał?

– Ależ niczego nie wyznawałem – odparł zrozpaczony kapłan.

– Ach tak. Upór aż do samego końca.

Kapłan wyglądał na przerażonego. Im więcej mówił, tym gorzej przedstawiała się jego sytuacja.

– Co masz na myśli, panie?

Altaïr obserwował twarz starca, na której malowały się kolejno zakłopotanie, przerażenie, desperacja, a na końcu rozpacz.

– Wilhelm i Garnier byli zbyt pewni siebie. I przypłacili to własnym życiem. Ja nie popełnię tego samego błędu. Jeśli naprawdę jesteś sługą Bożym, to Stwórca się o ciebie zatroszczy. Niechaj powstrzyma moją rękę!

– Oszalałeś! – wykrzyknął kapłan, po czym błagalnym głosem zwrócił się do świadków zajścia. – Czy nikt z was nie wystąpi, by położyć temu kres? Umysł tego człowieka jest zatruty strachem; zmusza go, by doszukiwał się wrogów tam, gdzie ich nie ma!

Jego towarzysze przestępowali niezdarnie z nogi na nogę, lecz żaden z nich

nie rzekł ani słowa. Podobnie jak mieszkańcy, którzy gapili się na starca pozbawionym emocji wzrokiem. Dobrze wiedzieli, że stary kapłan nie jest żadnym asasynem, ale ich zdanie nie miało tu żadnego znaczenia. Mogli się tylko cieszyć w duchu, że to nie oni padli ofiarą furii Sibranda.

– Zdaje się, że ci ludzie dzielają moje obawy – rzekł Sibrand, obnażając miecz. – Wszystko, co robię, robię dla Akki.

Kapłan wrzasnął, gdy Sibrand wbił mu ostrze w brzuch, przekręcił je, a potem wyciągnął i wytarł z krwi. Starzec skulił się i skonał. Gwardziści Sibranda podnieśli zwłoki i wrzucili je do wody.

Sibrand obserwował, jak ciało kapłana znika z nabrzeża.

– Bądźcie czujni, ludzie. Zgłaszajcie strażnikom wszystko, co wyda się wam podejrzane. Wątpię, by to był ostatni z asasynów. To uparte łajdaki... Teraz wracać do roboty!

Sibrand w towarzystwie dwóch gwardzistów wsiadł do niewielkiej łodzi wiosłowej, która staranowała po drodze unoszące się na wodzie ciało kapłana i popłynęła pomiędzy szczątkami statków, którymi usłana była zatoka. Altaïr skierował wzrok ku morzu. W oddali na falach unosił się okręt znacząco większy od innych. Doszedł do wniosku, że to na nim musi znajdować się kryjówka Sibranda. Ponownie spojrzął na łódkę, którą płynął mistrz krzyżacki – zauważył, że Sibrand co chwilę podnosi się i uważnie lustruje wodę wokół łodzi. Wypatruje asasynów. Nieustannie ich szuka. Tak jakby w każdej chwili mogli wynurzyć się z odmetów.

I to właśnie postanowił uczynić Altaïr. Ruszył w stronę najbliższego wraku i jednym susem znalazł się na jego pokładzie. Przeskakując po drodze na kolejne łodzie oraz pomosty, bez trudu dotarł w pobliże statku Sibranda. Obserwował, jak Sibrand wspina się na główny pokład, w dalszym ciągu nie spuszczać z oczu otaczającej statek wody, a następnie rozkazuje strażnikom zabezpieczyć dolne pokłady okrętu.

Altaïr ruszył w kierunku pomostu, przy którym cumował statek. Wartownik na pomoście dostrzegł asasyna i już zamierzał podnieść łuk, kiedy Altaïr

cisnął w niego nożem, przeklinając się jednocześnie w duchu za to, że nie poświęcił dość czasu na przygotowanie tego zabójstwa. I rzeczywiście, ciało wartownika, zamiast cicho upaść na drewniany pomost, zważyło się z głośnym pluskiem do wody.

Altaïr natychmiast obrócił wzrok ku pokładowi statku Sibranda. Wielki mistrz również usłyszał plusk i wpadł w panikę.

– Wiem, że tam jesteś, asasynie – zawołał piskliwym głosem i zdjął z pleców łuk. – Wydaje ci się, że długo zdołasz się tak ukrywać? Mam stu ludzi, którzy przeczesują nabrzeże. Znajdą cię. A kiedy już to zrobią, odpokutujesz swoje grzechy.

Altaïr objął rękami filar pomostu; znajdował się teraz poza zasięgiem wzroku Sibranda. W dole chlupotała woda. Plusku fal nie zakłócał żaden inny odgłos. Ta upiorna cisza wystawiała nerwy Sibranda na ciężką próbę. Altaïra zaś uspokajała.

– Pokaż się, tchórze! – naciskał Sibrand, a z jego głosu przebijał strach. – Stań ze mną twarzą w twarz i załatwmy to wreszcie!

Wszystko w swoim czasie, pomyślał Altaïr. Sibrand posłał strzałę do jakiegoś nieistniejącego celu, po czym napiął łuk i wystrzelił kolejną.

– Do broni, ludzie! – krzyknął Sibrand w kierunku dolnych pokładów. – On gdzieś tu jest. Znajdźcie go. Skończcie z nim. Awans dla tego, kto przyniesie mi głowę asasyna!

Altaïr odbił się z pomostu, skoczył i uchwycił się burty statku; towarzyszył temu głuchy, cichy odgłos, jednak asasynowi wydało się, że rozniósł się niczym grzmot po spokojnych wodach zatoki.

Altaïr czekał, przywierając ciałem do zewnętrznej części kadłuba; z góry dobiegały tymczasem krzyki ogarniętego paniką Sibranda. Altaïr wyczekiwał chwili, w której Sibrand odwróci się do niego tyłem – kiedy to nastąpiło, podciągnął się, wskoczył na pokład i znalazł się zaledwie o kilka kroków od wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego. Sibrand przemierzał pokład, na przemian wykrzykując groźby w stronę pustego morza oraz zniewagi

i rozkazy do swych gwardzistów, którzy miotali się po dolnych pokładach.

Sibrand jest już martwy, przeszło przez myśl Altaïrowi, gdy skradał się za plecami wielkiego mistrza. Zabił go własny strach, choć on sam był zbyt głupi, by to pojąć.

– Proszę... nie rób mi tego – wykrztusił Sibrand, gdy zgięty w pół upadł na pokład z ostrzem wbitym w szyję.

– Boisz się? – zapytał asasyn.

Wyciągnął ostrze z rany.

– Owszem, boję się – odparł Sibrand tak, jakby rozmawiał z kimś ograniczonym umysłowo.

Altaïr wrócił myślami do bezduszości Sibranda wobec starego kapłana.

– Przecież teraz będziesz bezpieczny – powiedział. – Znajdziesz się ramionach swego Boga...

Sibrand zaśmiał się krótkim, nerwowym, mokrym od śliny śmiechem.

– Czy moi bracia niczego cię nie nauczyli? Wiem, co mnie czeka. Co czeka nas wszystkich.

– Jeśli nie wasz Bóg, to co?

– Nic. Nic nie czeka. I to właśnie napędza mnie lękiem.

– Ty nie wierzysz – skonstatował Altaïr. Czy tak było faktycznie? Czy Sibrand rzeczywiście był niewierzący? Nie miał żadnego Boga?

– Jak mógłbym wierzyć, wiedząc to, co wiem? To, co widziałem? Nasz skarb stanowił dowód.

– Dowód na co?

– Że to życie jest wszystkim, co mamy.

– Ciesz się nim zatem chwilę dłużej – nalegał Altaïr – i opowiedz mi, jaka była twoja rola.

– Blokada morska – odpowiedział Sibrand. – Miała powstrzymać głupich władców... głupich królów... przed wysyłaniem posiłków. Kiedy my... kiedy my...

Życie uchodziło z wielkiego mistrza coraz szybciej.

– ...podbijalibyście Ziemię Świętą? – podsunął mu Altaïr.

Sibrand zaniósł się kaszlem. Gdy odezwał się ponownie, na jego zębach widać było krew.

– Uwalnialibyśmy ją, głupcze! Spod tyranii wiary.

– Mówisz o wolności? Chcieliście podbijać miasta. Kontrolować ludzkie umysły. Mordowaliście każdego, kto się wam sprzeciwiał.

– Wykonywałem tylko rozkazy z wiarą w moją sprawę. Tak samo jak ty.

– Nie bój się – rzekł Altaïr, zamykając powieki Sibranda.

– Jesteśmy już blisko, Altaïrze. – Al Mualim wyszedł zza stołu, przecinając gruby snop światła, który wpadał przez okno. Gołębie Mistrza pogruchiwały radośnie w popołudniowym skwarze, a w powietrzu unosił się znajomy słodkawy zapach. A jednak ani piękno tego dnia, ani fakt, że udało mu się odzyskać nie tylko swą rangę w zakonie, ale też, co ważniejsze, zaufanie Mistrza, nie wystarczyły, by Altaïr zdołał całkowicie się uspokoić.

– Już tylko Robert de Sablé stoi między nami a zwycięstwem – mówił dalej Al Mualim. – To z jego ust padają rozkazy. To jego dłoń płaci złotem. Wraz z nim zniknie wszelka wiedza o skarbie templariuszy oraz wszelkie zagrożenie, jakie może on stanowić.

– Wciąż nie rozumiem, jak coś tak niepozornego mogło wywołać tak wielki chaos – powiedział Altaïr. Długo zastanawiał się nad ostatnimi słowami Sibranda. Rozmyślał również o kuli, zwanej Fragmentem Edenu. To prawda, że na własnej skórze doświadczył dziwnego wpływu tego przedmiotu, lecz z pewnością cała jego moc sprowadzała się do zdolności olśniewania i przyciągania uwagi. Czy kula rzeczywiście mogłaby wywierać na ludzi wpływ większy niż wszelkie inne budzące pożądanie piękne przedmioty? Musiał przed sobą przyznać, że taki pomysł wydał mu się zbyt fantastyczny.

Al Mualim skinął powoli głową, zupełnie jakby czytał w jego myślach.

– Fragment Edenu jest ucieleśnieniem pokusy. Spójrz tylko, co zrobił z Robertem. Odkąd zakosztował mocy skarbu, ten zupełnie go pochłoniął. Robert nie widział w nim już niebezpiecznej broni, którą należy zniszczyć, lecz narzędzie, za pomocą którego zdoła spełnić największe pragnienie

swojego życia.

– Marzył o władzy?

– I tak, i nie. Robert marzył, i marzy nadal, o pokoju. Tak jak i my.

– Ale to przecież on dążył do tego, by Ziemię Świętą strawiła wojna...

– Nie, Altaïrze! – podniósł głos Al Mualim. – Jak możesz nie dostrzegać tego, na co ty sam otworzyłeś mi oczy?

– Co masz na myśli? – spytał zaintrygowany Altaïr.

– Czego chce Robert i jego zwolennicy? Świata, w którym wszyscy ludzie będą zjednoczeni. Ja tym nie gardzę. Dążę do tego samego celu. Nie zgadzam się jednak ze środkami, które mają do niego prowadzić. Pokój to coś, czego należy się nauczyć. Co trzeba zrozumieć i za czym trzeba się opowiedzieć. Tymczasem...

– Robert chciałby go wymusić – wtrącił Altaïr, kiwając przy tym głową. Teraz rozumiał.

– A przy okazji pozbawiłby nas wolnej woli. – Al Mualim przytaknął.

– To dziwne uczucie... Myśleć o nim w ten sposób – rzekł Altaïr.

– Nigdy nie pielęgnuj w sobie nienawiści do swych ofiar, Altaïrze. Nienawistne myśli są jak trucizna. Zaciemnią twój osąd.

– Czy nie można go jakoś przekonać, by przerwał to szaleństwo?

Al Mualim posmutniał i powoli pokręcił głową.

– Przemawiałem do niego na swój sposób, poprzez ciebie. Czym było każde z twoich zabójstw, jeśli nie przesłaniem? Robert postanowił jednak nas zignorować.

– Zatem do zrobienia pozostaje już tylko jedno.

Miał wreszcie zapolować na Roberta de Sablé. Ta myśl sprawiła, że Altaïrem wstrząsnął dreszcz emocji; pamiętał jednak, by zrównoważyć te emocje solidną dozą ostrożności. Nie zamierzał ponownie popełnić błędu i zlekceważyć przeciwnika. Czy to Roberta, czy kogokolwiek innego.

– Po raz pierwszy zmierzyłeś się z nim w Jerozolimie. Tam znajdziesz go i tym razem – powiedział Al Mualim i wypuścił jednego ze swych ptaków. –

Jedź, Altaïrze. Czas to zakończyć.

Altaïr opuścił komnatę Mistrza i zszedł schodami na dół. Wyszedł przez wrota wieży i znalazł się na dziedzińcu. Na ogrodzeniu siedział Abbas – przechodząc przez dziedziniec, Altaïr poczuł na sobie jego spojrzenie. Nagle przystanął i obrócił się ku siedzącemu mężczyźnie. Ich oczy spotkały się i Altaïr już miał coś powiedzieć – choć sam nie wiedział co. Ostatecznie jednak zmienił zdanie. Miał przecież do wykonania misję. Stare rany były tylko starymi ranami. Ręka Altaïra bezwiednie powędrowała jednak do jego boku.

28

Nazajutrz rano, po tym, jak Altaïr wyjawiał przyjacielowi prawdę o jego ojcu, Abbas sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zamkniętego w sobie; żadne apele Altaïra nie zdołały wyrwać go z tego stanu. Śniadanie zjedli w zupełnej ciszy, z ponurymi minami przyjmując wszelkie przejawy troski ze strony opiekunek, po czym udali się do pracowni Al Mualima i zajęli swe miejsca na podłodze.

Jeśli nawet Al Mualim zauważył różnicę w zachowaniu swoich dwóch podopiecznych, to nie zdradził się z tym nawet jednym słowem. Niewykluczone, że w głębi ducha był zadowolony, że chłopcy byli mniej rozproszeni niż zazwyczaj. Być może po prostu przyjął, że doszło między nimi do jakiejś sprzeczki, które przecież często przydarzały się młodym przyjaciom.

Altaïr przeżywał tymczasem prawdziwe męki. Dlaczego Abbas się nie odzywał? Dlaczego w żaden sposób nie zareagował na to, co usłyszał od Altaïra?

Odpowiedź miał poznać jeszcze tego samego dnia, kiedy obaj pojawili się jak co dzień na placu treningowym. Mieli wprawiać się we władaniu mieczem, jak zwykle tocząc ze sobą ćwiczebne pojedynki. Tego dnia Abbas uznał jednak, że zamiast drewnianych mieczyków, jakimi dotąd się posługiwali, chce pojedynkować się na prawdziwe lśniące, stalowe miecze, których używano na kolejnym etapie szkolenia.

Labib, instruktor szermierki, był zachwycony tym pomysłem.

– Doskonale, doskonale – stwierdził, klaszcząc w dłonie. – Pamiętajcie jednak, że upuszczając sobie wzajemnie krwi, niczego nie zyskacie. Bądźcie łaskawi uważać, byśmy nie musieli kłopotać medyków. Niech będzie to sprawdzian nie tylko biegłości w posługiwaniu się mieczem, ale też powściągliwości i przebiegłości.

– Przebiegłości... – powtórzył za instruktorem Abbas. – To powinno ci odpowiadać, Altaïrze. Jesteś przecież zdradziecki i przebiegły.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział tego dnia do Altaïra. Towarzyszyło im spojrzenie tak pełne pogardy i tak nienawistne, że Altaïr natychmiast zrozumiał, że między nimi nic już nie będzie takie jak dawniej. Zerknął na Labiba, jak gdyby chciał go jeszcze prosić o odwołanie tej walki, lecz instruktor zdążył już beztrąsko przeskoczyć za niewysoki parkan otaczający czworokątny plac ćwiczebny, najwyraźniej ucieszony perspektywą długo oczekiwanej walki z prawdziwego zdarzenia.

Przeciwnicy zajęli pozycje; Altaïr przełknął ślinę, podczas gdy Abbas mierzył go twardym wzrokiem.

– Bracie – zaczął Altaïr – to, co powiedziałem ci zeszłej nocy...

– Nie nazywaj mnie bratem!

Krzyk Abbasa odbił się echem od murów dziedzińca. W następnej chwili natarł na Altaïra z zjadłością, jakiej ten nigdy wcześniej u niego nie widział. Jednak oprócz obnażonych w grymasie wściekłości zębów Abbasa, Altaïr dostrzegł także łzy w kąciakach jego oczu. Wiedział, że za zachowaniem przyjaciela kryje się coś więcej niż zwykły gniew.

– Nie, Abbasie – zawołał, broniąc się desperacko. Rzucił szybkie spojrzenie w lewo i zauważył zaskoczenie malujące się na twarzy instruktora. Labib najwyraźniej nie wiedział, co ma sądzić o wybuchu Abbasa oraz o wrogości, która tak nieoczekiwanie pojawiła się między jego uczniami. Altaïr dostrzegł też dwóch asasynów, którzy zbliżali się właśnie ku placowi ćwiczeń, zwabieni krzykiem Abbasa. W okienkach baszty przy bramie zamku również pojawiły się zaintrygowane twarze. Altaïr zastanawiał się, czy obserwuje ich

także sam Al Mualim...

Abbas wyprowadził proste pchnięcie, zmuszając Altaïra do uskoczenia w bok.

– Spokojnie, Abbasie! – karcącym tonem odezwał się Labib.

– On chce mnie zabić, mistrzu! – wrzasnął Altaïr.

– Nie dramatyzuj, moje dziecko – odrzekł instruktor, choć nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. – Możesz brać przykład z zaangażowania swego brata.

– Nie. Jestem. Jego. Bratem. – Po każdym słowie wypowiedianym przez Abbasa następował brutalny cios jego miecza.

– Powiedziałem to, bo chciałem ci pomóc! – krzyknął rozpaczliwie Altaïr.

– Nie! – ryknął Abbas. – Zełgałeś!

Następnemu uderzeniu towarzyszył głośny szczęk stali. Siła ciosu odrzuciła Altaïra do tyłu – zatoczył się na ogrodzenie i niewiele brakowało, a przeleciałby przez nie poza plac walki. Na dziedzińcu pojawili się tymczasem kolejni asasyni; niektórzy sprawiali wrażenie zaniepokojonych, inni szykowali się na ciekawe widowisko.

– Broń się, Altaïrze, broń się! – zaryczał Labib, klaszcząc przy tym radośnie. Altaïr uniósł miecz wyżej i na ataki Abbasa odpowiedział kontratakami. Udało mu się odeprzeć przeciwnika i pojedynek ponownie toczył się teraz na środku placu.

– Powiedziałem prawdę – syknął Altaïr, kiedy obaj się zwarli, a klingi ich mieczy zażarcie o siebie tały. – Powiedziałem prawdę, żeby zakończyć twoje cierpienie, tak jak chciałbym, żebyś ty zakończył moje.

– Zełgałeś, żeby mnie zhańbić! – odkrzyknął Abbas i cofnął się. Przyjął pozycję, jakiej ich nauczono: nogi ugięte, jedna ręka cofnięta do tyłu. Jego miecz cały czas pozostawał w ruchu.

– Nie! – wykrzyknął Altaïr i odskoczył do tyłu w reakcji na sztych przeciwnika. Abbas poruszył jednak błyskawicznie nadgarstkiem i ostrze jego miecza dołączyło do Altaïra: z draśnięcia na boku chłopca pociekła ciepła krew. Zraniony rzucił błagalne spojrzenie na Labiba, ten jednak zbył je

machnięciem ręki. Altaïr przyłożył dłoń do swego boku, po czym wyciągnął ku Abbasowi zakrwawione koniuszki palców.

– Przestań, Abbasie – poprosił. – Powiedziałem ci prawdę, bo wierzyłem, że tylko ona przyniesie ci ulgę.

– Ulgę! – powtórzył Abbas, zwracając się do tłumu, który gromadził się wokół placu ćwiczeń. – On chce przynieść mi ulgę i dlatego mówi, że mój ojciec odebrał sobie życie!

Na chwilę zapadła cisza. Altaïr przeniósł wzrok z Abbasa na zgromadzonych wokoło obserwatorów, którzy najwyraźniej nie nadążali za rozwojem wypadków. Tajemnica, której Altaïr poprzysiągł dotrzymać, została publicznie wyjawiona.

Następnie spojrzał na wieżę Al Mualima. Mistrz, założywszy ręce za plecami, przyglądał się wszystkiemu z okna; jego twarz miała nieodgadniony wyraz.

– Abbasie! – zawołał podniesionym głosem Labib, który wreszcie zorientował się, że coś jest nie w porządku. – Altaïrze!

Walczący chłopcy zignorowali go jednak, a ich miecze znowu się zwały. Obolały od rany Altaïr ponownie musiał się bronić.

– Myślałem... – zaczął, ale nie zdołał dokończyć.

– Myślałeś, że uda ci się okryć mnie hańbą! – wrzasnął Abbas, po twarzy którego ściekały łzy. Okrążył Altaïra, po czym ponownie ruszył do ataku, opętańczo kręcąc młynka mieczem. Altaïr przykucnął i dostrzegł wolną przestrzeń między ramieniem a korpusem Abbasa. Uderzył i zranił przeciwnika w lewe ramię – miał nadzieję, że zatrzyma to Abbasa przynajmniej na tyle długo, by miał w końcu szansę wyjaśnić mu...

Abbas jednak tylko wrzasnął i z bojowym okrzykiem na ustach ponownie rzucił się na Altaïra. Ten zanurkował, by uniknąć ciosu, przypominającego machnięcie cepem, i jednocześnie uderzył rozpędzonego Abbasa ramieniem, powalając go na ziemię. W następnej chwili tarzali się już po niej obaj, a krew na ich szatach mieszała się z kurzem. Mocowali się przez jakiś czas,

aż nagle Altaïr poczuł przeszywający ból w boku – to Abbas wbił kciuk w jego ranę i wykorzystał osłabienie przeciwnika, by wywinąć się z jego uścisku, usiąść na nim okrakiem i przygwoździć go do ziemi. Następnie wyciągnął zza pasa sztylet i przystawił Altaïrowi do gardła, wbijając w niego jednocześnie intensywne spojrzenie swoich szalonych, a przy tym wciąż jeszcze mokrych od łez oczu. Oddychał ciężko przez zaciśnięte, obnażone zęby.

– Abbasie! – Tym razem nie był to głos Labiba, ani żadnego z gapiów zgromadzonych przy parkanie. Okrzyk dobiegł z okna Al Mualima. – W tej chwili odłóż nóż! – Donośny krzyk Mistrza przetoczył się po dziedzińcu niczym grom.

– Nie, dopóki on się nie przyzna! – W porównaniu z głosem Al Mualima, słowa Abbasa zabrzmiały słabo i rozpaczliwie.

– Przyznać się? Do czego? – krzyknął Altaïr, bezskutecznie usiłując wyswobodzić się z uchwytu Abbasa.

Tymczasem Labib zdążył już przejść przez ogrodzenie.

– Wystarczy, Abbasie – powiedział, podnosząc dłonie w uspokajającym geście. – Zrób, co powiedział Mistrz.

– Podejdź bliżej, a potnę go! – warknął Abbas.

Instruktor zatrzymał się.

– Mistrz wtrąci cię za to do celi, Abbasie. W Zakonie nie ma miejsca na takie zachowanie. Spójrz, są tu mieszkańcy wioski. Wieści szybko się rozniosą.

– Nie dbam o to – rzucił przez łyż Abbas. – On musi to powiedzieć. Musi przyznać, że opowiadał kłamstwa o moim ojcu.

– Jakie kłamstwa?

– Powiedział, że mój ojciec odebrał sobie życie. Że przyszedł do izby Altaïra, żeby go przeprosić, a potem podciął sobie gardło. Ale to kłamstwo. Mój ojciec się nie zabił. On odszedł z Bractwa. Na tym polegały jego przeprosiny. A teraz wyznasz mi, że skłamałeś. – Mówiąc to, dźgnął

czubkiem sztyletu w gardło Altaïra, z którego pociekło jeszcze więcej krwi.

– Dość tego, Abbasie! – ryknął ze swej wieży Al Mualim.

– Altaïrze, czy skłamałeś? – spytał Labib.

Na placu ćwiczeń zaległa cisza: wszyscy zastygli w oczekiwaniu na odpowiedź Altaïra. On zaś podniósł wzrok na Abbasa.

– Tak – odezwał się. – Skłamałem.

Abbas opadł do tyłu i usiadł na ziemi, mocno zaciskając powieki. Ból, który odczuwał, zdawał się przeszywać całe jego ciało. Upuszczony przez niego sztylet upadł z brzękiem na ziemię, a chłopiec zaniósł się szlochem. Łkał nadal, kiedy zbliżył się doń Labib i podniósłszy go bezceremonialnie za ramię, oddał w ręce dwóch strażników. Parę chwil później także Altaïr został pochwycony i zawleczony do celi.

Al Mualim zdecydował, że po miesiącu spędzonym w lochach obaj chłopcy mogą wznowić szkolenie. Winę Abbasa uznano jednak za poważniejszą, nie zdołał on bowiem powściągnąć swych emocji i w rezultacie naraził Zakon na kompromitację. Karą za to było wydłużenie jego szkolenia o dodatkowy rok – kiedy zatem Altaïr stał się już pełnoprawnym asasynem, Abbas wciąż jeszcze tkwił na placu ćwiczeń, trenując z Labibem. Ta niesprawiedliwość jeszcze bardziej podsycała jego nienawiść do Altaïra, który z czasem zaczął postrzegać Abbasa jako żalosego, zgorzkniałego mężczyznę.

Kiedy pewnego razu cytadela została zaatakowana, Altaïr ocalił życie Al Mualimowi, za co został wyniesiony do rangi mistrza asasynów. Owego dnia Abbas splunął Altaïrowi pod nogi, na co ten jedynie uśmiechnął się szyderczo. Uznał, że Abbas jest równie słaby i nieudolny jak jego ojciec.

Wracając pamięcią do tamtych wydarzeń, Altaïr pomyślał, że być może to właśnie wtedy zapadł na chorobę zwaną arogancją.

29

Swoją kolejną wizytę w jerozolimskiej siedzibie asasynów Altaïr złożył już jako odmieniony człowiek. Daleki był od mniemania, że oto jego podróż dobiegła końca – podobną pomyłkę mógłby popełnić jedynie dawny Altaïr. Ten, który obecnie przybył do Jerozolimy, doskonale zdawał sobie sprawę, że jego podróż dopiero się zaczyna. Altaïr od razu po wejściu do kwatery zauważył, że w zachowaniu jerozolimskiego rafiqa także coś się zmieniło. Zdawało się, że Malik wyczuł przemianę, jaka zaszła w Altaïrze. Między nimi pojawiły się teraz szacunek i porozumienie.

– Pokój i bezpieczeństwo, Altaïrze. – Malik powitał wchodzącego.

– Z tobą także, bracie – odpowiedział Altaïr i przez chwilę obaj zgodnie milczeli.

– Los prowadzi nas czasem dziwnymi drogami... – Malik przerwał ciszę, a Altaïr skinął głową.

– A więc to prawda? Robert de Sablé jest w Jerozolimie?

– Na własne oczy widziałem rycerzy. – Dłoń Malika powędrowała ku kikutowi jego drugiej ręki; najwyraźniej wzmianka o templariuszu przypomniała rafiqowi o własnym kalectwie.

– Za tym człowiekiem ciągnie się jedynie nieszczęście. Skoro się tu pojawił, z pewnością knuje coś niegodziwego. Nie dam mu szansy, by przekuł swe plany w czyn – rzekł Altaïr.

– Nie pozwól, by zemsta zmąciła twe myśli, bracie. Obaj wiemy, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Nie zapomniałem. – Altaïr uśmiechnął się. – Nie masz się czego obawiać. Nie szukam pomsty, lecz wiedzy.

Kiedyś wypowiedziałby te słowa niczym papuga, wiedząc, że inni oczekują od niego właśnie takich przekonań. Teraz jednak szczerze wierzył w to, co powiedział. A Malik to rozumiał.

– Doprawdy, nie jesteś tym samym człowiekiem, jakiego znałem.

Altaïr skinął głową.

– Moje doświadczenia wiele mnie nauczyły. Pozwoliły mi odkryć wiele sekretów. Wciąż jednak brakuje mi pewnych elementów tej układanki.

– Co masz na myśli?

– Wszyscy ludzie, których wysłałem na wieczny spoczynek, współpracowali ze sobą, połączeni przez tego człowieka. Robert ma plany co do tej ziemi. Tyle wiem na pewno. Ale co dokładnie planuje i dlaczego? Gdzie i kiedy? Na te pytania nie zdobyłem jeszcze odpowiedzi.

– Krzyżowcy i Saraceni mieliby działać razem? – Malik głośno się zastanawiał.

– Ci ludzie nie są ani jednymi, ani drugimi. To templariusze.

– Ależ templariusze są częścią armii krzyżowców – odrzekł Malik, ale z jego twarzy można było wyczytać niewypowiedziane pytanie: jak mogą być ludźmi króla Ryszarda, skoro przebywają w Jerozolimie i swobodnie przechadzają się po jej ulicach?

– Albo też po prostu chcą, by król Ryszard w to wierzył – podsunął rozwiązanie Altaïr. – Nie. Templariusze są lojalni wyłącznie wobec Roberta de Sablé oraz pewnej szalonej idei, zgodnie z którą to właśnie im uda się zatrzymać wojnę.

– Dziwną snujesz opowieść, bracie.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo dziwną, Maliku...

– Opowiadaj więc.

Altaïr zaczął wtajemniczać Malika w to, czego do tej pory sam się dowiedział.

– Robert i jego templariusze krążą po mieście. Przybyli tu, by pożegnać Majd Addina, i pojawią się na jego pogrzebie. To zaś oznacza, że i ja tam będę.

– Dlaczego templariusze mieliby przychodzić na pogrzeb Addina?

– Muszę jeszcze odkryć ich prawdziwe zamiary. Za jakiś czas uda mi się wyciągnąć od kogoś zeznania. Mieszkańcy miasta są podzieleni. Wielu domaga się głów templariuszy. Inni z kolei upierają się, że rycerze przybyli tu na rokowania. Żeby zawrzeć pokój.

Altaïr przypomniał sobie o ulicznym mówcy, którego udało mu się wypytać.

Człowiek ten stanowczo twierdził, że jego panowie chcą położyć kres wojnie. De Sablé, sam przecież chrześcijanin, wybierał się wszakże na pogrzeb Majd Addina, który był muzułmaninem. Czyż mógł być lepszy dowód na to, że templariusze dążą do zjednoczenia Ziemi Świętej? Mieszkańcy miasta byli jednak wrogo nastawieni do obecności templariuszy w Jerozolimie. Okupacja miasta przez krzyżowców była dla nich zbyt świeżym wspomnieniem. Wielkiego zaskoczenia nie budziły też doniesienia o bójkach, jakie wybuchały między templariuszami a Saracenami, których drażnił widok obcych rycerzy na ulicach. Społeczności miasta nie zdołali przekonać do templariuszy nawet zatrudnieni w tym celu uliczni mówcy, którzy zapewniali przechodniów, że goście z krzyżami na piersiach przybywają w imię pokoju.

– Pokój? – powtórzył Malik, przerywając rozmyślenia Altaïra.

– Mówię ci, bracie. Wszyscy, których zgładziłem, przemawiali do mnie w tym duchu.

– Ależ to czyniłoby z nich naszych sojuszników. My tymczasem ich zabijamy.

– Nie pozwól się zwieść. My w niczym ich nie przypominamy. Mimo że ich cele są szlachetne, to środki, jakimi do nich dążą, już nie. Przynajmniej... tak twierdzi Al Mualim.

Altaïr zignorował maleńkie ziarno wątpliwości, które próbowało kiełkować gdzieś w głębi jego serca.

– Jaki jest więc twój plan? – spytał Malik.

– Udam się na pogrzeb i tam stanę twarzą w twarz z Robertem.

– Im szybciej, tym lepiej. – Malik zgodził się, wręczając Altaïrowi pióro. – Niech fortuna sprzyja twemu ostrzu, bracie.

Altaïr sięgnął po znak i przełamując opór, rzekł:

– Maliku... Zanim pójdę, jest coś, co chciałbym ci powiedzieć.

– Śmiało, wyduś to z siebie.

– Byłem głupcem.

Malik zaśmiał się sucho.

– W innych okolicznościach nie kłóciłbym się z tym, ale czemu właściwie mi to mówisz? O co ci chodzi?

– Przez cały ten czas... Nigdy nie powiedziałem ci, że żałuję. Nie pozwoliła mi na to moja przeklęta duma. To przeze mnie straciłeś rękę. Przeze mnie straciłeś Kadara. Masz wszelkie prawo czuć gniew.

– Nie przyjmuję twoich przeprosin.

– Rozumiem.

– Nie. Nie rozumiesz. Nie przyjmuję twoich przeprosin, ponieważ nie jesteś już tym samym człowiekiem, który wszedł ze mną do Świątyni Salomona. Ty nie masz więc za co mnie przeproszać.

– Maliku...

– Być może gdybym tak bardzo ci nie zazdrościł, sam nie byłbym wtedy tak lekkomyślny. W równym stopniu co ty ponoszę odpowiedzialność za to, co się wówczas stało.

– Nie mów takich rzeczy.

– Stanowimy jedność. Tak jak dzielimy chwałę naszych zwycięstw, tak też powinniśmy dzielić się bólem porażek. Tym sposobem zbliżamy się do siebie. Stajemy się silniejsi.

– Dzięki ci, bracie.

Tak oto Altaïr znalazł się na cmentarzu – małym, skromnym żalniku, gdzie oprócz niego zjawiała się także niewielka grupa templariuszy oraz mieszkańców miasta, zgromadzonych teraz wokół kopca ziemi, pod którym spoczywały zwłoki Majd Addina, niedawnego regenta Jerozolimy.

Jego ciało wykąpano, owinięto całunem, po czym przeniesiono w kondukcji na cmentarz i złożono do grobu, zgodnie ze zwyczajem na prawym boku. Uczestnicy pogrzebowej procesji przysypali następnie zwłoki ziemią.

Kiedy Altaïr zjawił się na cmentarzu, imam przystępował właśnie do zwyczajowej modlitwy, a wśród zebranych zapadła cisza. Większość stała ze splecionymi rękoma, pochyliwszy głowy w geście szacunku dla zmarłego; asasyn bez trudu prześlizgnął się między nimi, starając się zająć dogodnie dla siebie miejsce i namierzyć swój ostatni cel. To za jego sprawą Altaïr znalazł się na ścieżce, która doprowadziła go aż tutaj. Śmierć tego człowieka byłaby zadośćuczynieniem za cierpienia, jakie zadał osobiście oraz jakie zadawano w jego imieniu. Śmierć Roberta de Sablé.

Mijając kolejne rzędy żałobników, Altaïr zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy zdarza mu się uczestniczyć w pogrzebie swej ofiary. Rozejrzał się, szukając wzrokiem pogrążonych w żałobie członków rodziny zmarłego – zastanawiał się, jakie uczucia obudziły w nim, mordercy, widok ich żalu. Jeśli jednak Majd Addin miał jakichś krewnych, to albo nie przybyli oni na pogrzeb, albo też ukrywali się wraz ze swoim smutkiem w tłumie. Przy grobie nie było bowiem nikogo poza imamem oraz...

...templariuszami.

Było ich trzech. Stali obok bogato zdobionej fontanny, wmurowanej w wysoką ścianę z piaskowca. Ubrani byli w zbroje oraz hełmy zakrywające całą twarz. Jeden z nich wysunął się nieco przed dwóch pozostałych. Na jego plecach narzucony był charakterystyczny płaszcz – oznaka wielkiego mistrza zakonu templariuszy.

A jednak... Altaïr przyglądał się Robertowi de Sablé spod przymrużonych

powiek. Rycerz wydawał się niepodobny do obrazu, jaki zapisał się we wspomnieniach Altaïra. Czyżby pamięć płatała mu figle? Czyżby Robert de Sablé urósł jedynie w wyobraźni Altaïra po tym, jak pokonał go w ruinach świątyni? Mężczyzna, na którego teraz patrzył, z pewnością nie miał równie imponującej postury jak de Sablé z jego wspomnień. Asasyna zastanowiło także, gdzie podziewa się reszta ludzi wielkiego mistrza.

Rozmyślenia Altaïra przerwał imam, który rozpoczął swą przemowę, zwracając się do żałobników:

– Zebraliśmy się tu, by opłakiwać stratę naszego umiłowanego Majd Addina, który zbyt wcześnie odszedł z tego świata. Wiem, że jego odejście napełniło was smutkiem i bólem. Nie powinniście się jednak smucić. Ponieważ tak jak każdy z nas przychodzi na świat z łona matki, tak też każdy z nas musi pewnego dnia ten świat opuścić. Taki jest naturalny porządek rzeczy: po wschodzie słońca musi nastąpić jego zachód. Wykorzystajcie tę chwilę, by zastanowić się nad jego życiem oraz podziękować za wszelkie dobro, jakie uczynił. Wiedzcie, że ponownie spotkacie się z nim w raju.

Altaïr z najwyższym trudem ukrył swój niesmak. „Umiłowany Majd Addin”. Ten sam umiłowany Majd Addin, który zdradził Saracenów i robił wszystko, by podkopać zaufanie do nich, dokonując masowych egzekucji mieszkańców Jerozolimy? Umiłowany Majd Addin? Nic dziwnego, że uczestników pogrzebu było tak niewielu, a ci, którzy się pojawili, tak oszczędnie okazywali swój żal. Nieboszczyk był tu tak umiłowany jak trąd.

Imam tymczasem poprowadził modlitwę:

– Boże litościwy i wielki, pobłogosław Mohammeda, jego rodzinę i jego towarzyszy. O Boże, Ty, który jesteś większy, niż Cię opisują Prorocy, pokój niech będzie z nimi. Obdarz nas swym błogosławieństwem, Boże Świata.

Altaïr przeniósł spojrzenie z duchownego na Roberta i dwóch towarzyszących mu ludzi. Nagle jego uwagę zwrócił promień słońca odbity wysoko za plecami trzech templariuszy. Asasyn podniósł wzrok i przyjrzał się blankom na szczycie muru otaczającego cmentarny dziedziniec. Czy to,

co dostrzegł, mogło być ruchem? Niewykluczone. Inni templariusze z łatwością mogli ukryć się na szczycie muru.

Ponownie zerknął na trzech rycerzy: Robert de Sablé stał niczym żołnierz czekający na przegląd, stanowiąc idealny cel. Do tego dochodziła budowa jego ciała – z pewnością był zbyt drobny. No i ten płaszcz. Wyglądał, jakby był dla niego za długi.

Nie. Altaïr postanowił zrezygnować z zabicia Roberta, nie mógł zignorować głosu instynktu. To było coś więcej niż przecucie, że coś jest nie w porządku. Instynkt podpowiadał mu, że wszystko jest nie tak, jak być powinno. Gdy tylko asasyn zaczął się wycofywać, zmienił się ton głosu przemawiającego imama.

– Jak wiecie, człowiek ten został zamordowany przez asasynów. Próbowaliśmy wytropić zabójcę, lecz okazało się to zbyt trudne. Te kreatury trzymają się w cieniu i uciekają przed każdym, kto chciałby uczciwie stawić im czoła.

Altaïr zastygł na chwilę, uświadamiając sobie, że oto wpadł w potrzask, który zaraz się zaciśnie. Spróbował szybciej przebić się przez tłum.

– Ale nie dzisiaj! – Do uszu Altaïra dobiegł krzyk imama. – Zdaje się, że jeden z nich jest tu wśród nas. Drwi z nas samą swoją obecnością i musi za to zapłacić!

Nagle tłum wokół Altaïra rozstał się i uformował wokół niego krąg. Asasyn odwrócił się gwałtownie i spojrzał na imama, który stał obok grobu z wyciągniętym oskarżycielsko palcem – wskazywał nim prosto na Altaïra. De Sablé oraz jego dwóch przybocznych już ku niemu podążali. Jednocześnie rozjuszeni żałobnicy, którzy otoczyli Altaïra, zaczęli stopniowo zacieśniać krąg – chcieli unieruchomić asasyna i odciąć mu drogę ucieczki.

– Łapcie go! Przeprowadźcie go tutaj, by mogła się dokonać Boża sprawiedliwość! – krzyczał imam.

Altaïr jednym ruchem wyciągnął miecz i otworzył ukryte ostrze. Przypomniawszy sobie słowa Mistrza: „Wybierz jednego”.

Okazało się jednak, że nie ma takiej potrzeby. Może i żąłobnicy byli odważni, a ich Majd Addin – umiłowany, ale żaden z nich nie zamierzał przelewać krwi, by go pomścić. Otaczający Altaïra tłum ogarnęła panika – zgromadzeni rozpierzchli się, zadzierając długie szaty, by nie przeszkadzały im w ucieczce. Altaïr wykorzystał to nagłe zamieszanie, by ruszyć pędem ku jednej ze ścian cmentarnego dziedzińca, znikając tym samym z pola widzenia nadciągającym w jego kierunku templariuszom. Pierwszy z nich ledwo zdążył się zorientować, że jeden człowiek w tłumie nie ucieka, lecz biegnie prosto na niego, a już miecz Altaïra przebił mu kolczugę i wnętrzności, i rycerz zwałił się plecami na ziemię.

Altaïr dostrzegł, że drzwi w murze otwierają się, a na dziedziniec wpadają kolejni rycerze. Co najmniej pięciu. W tej samej chwili z góry spadł deszcz strzał i jeden z rycerzy okręcił się wokół własnej osi, po czym upadł – z jego karku sterczała strzała. Altaïr rzucił okiem na blanki i dostrzegł tam łuczników w barwach templariuszy. Tym razem miał szczęście. Następnym razem mogłoby go mu już jednak zabraknąć.

Drugi z przybocznych Roberta ruszył na asasyna, który zamachnął się swym ostrzem i ciął atakującego w szyję. Templariusz padł, a z rany trysnęła fontanna krwi. Altaïr obrócił się w kierunku Roberta, który zbliżywszy się, uderzył szerokim mieczem z taką siłą, że Altaïr zatoczył się do tyłu, z najwyższym trudem sparowawszy cios. Chwilę później przybyły posiłki – asasyn musiał teraz wymieniać ciosy z trzema nowymi rycerzami, z których każdy nosił zakrywający twarz hełm. W pewnym momencie zorientował się, że stoi dokładnie na miejscu wiecznego spoczynku Majd Addina. Nie miał jednak czasu napawać się tą wyjątkową chwilą: ze szczytu murów znowu posypały się strzały i Altaïr z radością odnotował, że powaliły one już drugiego rycerza, który z krzykiem runął na ziemię. Dodatkowym skutkiem ostrzału był zamęt, jaki ogarnął pozostałych templariuszy – odsunęli się oni nieco, najwyraźniej bardziej obawiając się własnych łuczników niż asasyna. De Sablé zaczął tymczasem wykrzykiwać na niefortunnych strzelców, by

przestali ostrzeliwać swoich ludzi.

Altaïromal nie opuścił gardy – do tego stopnia zdziwiło go to, co usłyszał. Spod hełmu Roberta de Sablé z pewnością nie wydobywał się głos mówiącego z francuskim akcentem wielkiego mistrza templariuszy. Głos, który usłyszał Altaïr, niewątpliwie należał do kobiety. Do... Angielki?

Przez krótką chwilę Altaïr był zupełnie zbity z tropu: z jednej strony czuł zaskoczenie, a z drugiej szczery podziw. Ta... kobieta, zmienniczka przysłana tu przez Roberta, walczyła równie dzielnie jak mężczyzna i władała szerokim mieczem z taką samą wprawą, z jak władają nim rycerze. Kim była? Jednym z kapitanów Roberta? A może jego kochanką? Trzymając się blisko zapewniającego osłonę muru, Altaïr powalił kolejnego z rycerzy. Został już tylko jeden. Jeden oraz podstawiona za Roberta de Sablé kobieta. Ostatni z templariuszy przejawiał jednak mniejszą ochotę do walki od tajemniczej niewiasty; zginął, nadziawszy się łatwo na miecz Altaïra.

Przez jakiś czas Altaïr wymieniał jeszcze ciosy ze swoją ostatnią przeciwniczką, aż wreszcie udało mu się znaleźć sposób także i na nią: wykonał pchnięcie ręką uzbrojoną w ostrze i dosięgnął nim ramienia kobiety; jednocześnie podciął jej nogi i zastępczyni Roberta de Sablé ciężko legła na ziemi. Altaïr szybko wrócił pod osłonę muru, wlokąc za sobą kobietę. Gdy oboje znaleźli się już poza zasięgiem łuczników, asasyn pochylił się nad leżącą. Wciąż miała na głowie hełm, a jej piersi ciężko unosiły się i opadały. Po jej szyi oraz ramieniu ciekła krew, ale Altaïr doszedł do wniosku, że kobieta przeżyje – ma się rozumieć, o ile on jej na to pozwoli.

– Zanim umrzesz, chciałbym spojrzeć ci w oczy. – To powiedziawszy, ściągnął hełm z głowy pokonanej. Nie potrafił ukryć zaskoczenia na widok tego, kto naprawdę ukrywał się pod hełmem Roberta.

– Wiem, że spodziewałaś się kogoś innego – rzekła kobieta, uśmiechając się przy tym nieznacznie. Włosy miała schowane pod kolczym kapturem, ale uwagę Altaïra przykuły przede wszystkim jej oczy. Była w nich determinacja, ale zdołał dostrzec w nich coś jeszcze. Łagodność i światło.

Przyłapał się przy tym na rozmyślanii, czy jej niepodważalne umiejętności wojowniczkii nie stoją aby w sprzeczności z jej prawdziwą naturą.

Bez względu na to, jak wielka byłaby jej biegłość w walce, Altaïr nie rozumiał, dlaczego de Sablé miałby wysyłać w zastępstwie kobietę? Jakie niezwykle umiejętności mogła ona posiadać? Przystawił ostrze do jej szyi.

– Co to za czarnoksiężskie sztuczki? – zapytał podejrzliwie.

– Wiedzieliśmy, że się zjawisz – odpowiedziała, w dalszym ciągu się uśmiechając. – Robert potrzebował pewności, że zdąży się oddalić.

– Więc czmychnął?

– Nie możemy zaprzeczyć, że udało się wam odnieść sukces. Zniweczyliście nasze plany. Najpierw skarb, potem nasi ludzie. Kontrola nad Ziemią Świętą wymknęła się nam z rąk... Ale Robert dostrzegł okazję do odzyskania tego, co nam skradziono. Do obrócenia waszych zwycięstw na naszą korzyść.

– Al Mualim nadal dierży wasz skarb, a waszą armię raz już przepędziliśmy – odparował Altaïr. – Cokolwiek Robert planuje, znowu poniesie porażkę.

– Doprawdy? – rzekła kobieta w zbroi. – Teraz przyjdzie wam się zmagać nie tylko z templariuszami.

Altaïr zachnął się.

– Gadaj do rzeczy – zażądał.

– Robert jedzie do Arsufu, by tam namawiać Saracenów i krzyżowców do połączenia sił we wspólnej walce z asasynami.

– Nigdy do tego nie dojdzie. Nie mają powodu, by to zrobić.

Uśmiech na twarzy jego rozmówczynie poszerzył się.

– Być może nie mieli go do tej pory. Ale teraz wy sami im go daliście. Właściwie – aż dziewięć powodów. Ciała, które za sobą zostawiałeś; ofiary po obu stronach. Uczyniłeś z asasynów wspólnego wroga obu stron i zagwarantowałeś zniszczenie całego waszego zakonu. Dobra robota.

– Nie dziewięć. Osiem.

– Jak to?

Altaïr odsunął ostrze od szyi kobiety.

– Nie jesteś moim celem. Nie odbiorę ci życia. – Asasyn wyprostował się. – Jesteś wolna. Ale nie próbuj mnie śledzić.

– Nie muszę – odparła i pozbierawszy się z ziemi, przycisnęła dłoń do rany na ramieniu. – Spóźniłeś się.

– Zobaczymy.

Altaïr rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na blanki murów, gdzie łucznicy w pośpiechu zajmowali nowe pozycje, po czym pędem wybiegł z cmentarza – cmentarny dziedziniec opustoszał, jeśli nie liczyć kilku trupów, a także pewnej niezwyklej, dzielnej i czarującej niewiasty.

– To była pułapka – zakomunikował Altaïr Malikowi, gdy po niedługim czasie udało mu się dotrzeć z cmentarza do kwatery asanów. Jego myśli cały czas galopowały.

– Słyszałem, że pogrzeb zamienił się w chaos... Co się właściwie stało?

– Robert de Sablé nie pokazał się tam. Przysłał kogoś w zastępstwie. Spodziewał się mnie...

– Musisz udać się do Al Mualima – stwierdził stanowczo Malik.

Owszem, pomyślał Altaïr. Powinienem. Jednak znowu pojawiło się to nieodparte przecucie. Coś podpowiadało mu, że za tymi wydarzeniami kryje się jeszcze jakaś tajemnica, którą powinien odkryć. Dlaczego wydawało mu się, że wiąże się ona z Mistrzem?

– Nie ma już na to czasu – odrzekł. – Ta kobieta powiedziała mi, dokąd pojechał Robert. I co planuje. Jeśli teraz wrócę do Masjafu, może mu się udać... A wtedy... Obawiam się, że czeka nas zagłada.

– Zabiliśmy większość jego ludzi. Robert nie może się łudzić, że uda mu się przeprowadzić skuteczny atak. Ale poczekaj... – Malik zreflektował się. – Powiedziałaś: kobieta?

– Tak. To była kobieta. Kobieta zastępowała Roberta de Sablé. Wiem, że to dziwne, ale nie pora się dziwić. Teraz musimy skupić się na Robercie. Może

i przerzedziliśmy jego szeregi, ale to sprytny człowiek. Zamierza przedstawić swój pomysł Ryszardowi i Saladynowi. Chce zjednoczyć ich przeciw wspólnemu wrogowi... Przeciw nam.

– Najpewniej się mylisz. To nie miałyby sensu. Ci dwaj nigdy...

– Ależ tak. I możemy za to winić samych siebie. Zabijałem ludzi po obu stronach tego konfliktu. Ludzi ważnych dla obu przywódców... Plan Roberta jest ambitny, na pewno niepozbawiony sensu. I może się powieść.

– Posłuchaj mnie, bracie. Sprawy przybrały nowy obrót. Musisz wrócić do Masjafu. Nie możemy działać bez zgody Mistrza. To mogłoby narazić Bractwo na szwank. Myślałem... Myślałem, że już to zrozumiałeś.

– Przestań się chować za słowami, Maliku. Wymachujesz Credem i jego zasadami niczym tarczą. On coś przed nami ukrywa. Coś ważnego. To ty mi powiedziałeś, że nigdy nie możemy niczego wiedzieć, a jedynie podejrzewać. Ja zaś podejrzewam, że sprawa z templariuszami ma drugie dno. Kiedy uporam się już z Robertem, pojedę do Masjafu po odpowiedzi. Chyba że ty mógłbyś udać się tam już teraz?

– Nie wolno mi opuszczać miasta.

– A więc wmieszaj się między jego mieszkańców. Znajdź tych, którzy służyli moim ofiarom. Dowiedz się, czego tylko zdołasz. Uważasz się za sprostregawczego. Być może dostrzeżesz coś, czego ja nie zauważyłem.

– Sam nie wiem... Muszę się nad tym zastanowić.

– Rób to, co musisz, przyjacielu. Ja jednak ruszam do Arsufu. Każda chwila zwłoki pozwala naszemu wrogowi wyprzedzić mnie o kolejny krok.

Po raz kolejny Altaïr postanowił naruszyć Credo: chcąc nie chcąc, narażał Zakon na niebezpieczeństwo.

– Bądź ostrożny, bracie – rzekł Malik.

– Będę. Obiecuję.

30

Armie Saladyna i Ryszarda spotkały się pod Arsufem; po drodze do miasta Altaïr dowiedział się – z plotek zasłyszanych u przydrożnych kowali i z rozmów toczonych przy wodopojach – że po serii niewielkich potyczek Turcy Saladyna zaatakowali wreszcie szyki krzyżowców i doszło do walnej bitwy.

W drodze do Arsufu asasyn podążał pod prąd fali uciekinierów, którzy opuścili swe domostwa w obawie przed pogromami, jakich dopuszczali się żołdacy. Na horyzoncie widać było smugi dymu. Gdy Altaïr podjechał bliżej, na odległej równinie dostrzegł walczące armie. Całe chmary żołnierzy: z daleka przypominali olbrzymie, ciemne roje. Widział, jak rozciągnięta wstęga złożona z tysięcy jeźdźców szarżuje na wroga; odległość była jednak zbyt duża, by Altaïr mógł stwierdzić, czy atakują Saraceni, czy krzyżowcy. Nieco bliżej stały drewniane maszyny wojenne, z których przynajmniej jedną trawiły płomienie. Skracając dystans do pola bitwy, Altaïr był już w stanie rozpoznać wysokie, wykonane z drewna krucyfiksy na ruchomych platformach, które pchała piechota krzyżowców; potrafił też rozróżnić sztandary walczących armii. Patrzył na niebo pociemniałe od ulewy strzał, którymi razili przeciwnika łucznicy po obu stronach. Widział konnych rycerzy uzbrojonych w kopie i watahy saraceńskich jeźdźców, którzy krwawymi wypadami przerzedzali napierające szeregi krzyżowców.

Ściągnął wodze swojego rumaka – jak się okazało, w samą porę. Nieco przed nim spomiędzy drzew wyłonili się saraceńscy łucznicy. Altaïr

zeskoczył z konia i skręcił z głównego traktu, kryjąc się za przewróconym do góry kołami wozem. Saracenów było około stu. Przecięli pośpiesznie trakt i pobiegli w kierunku drzew po przeciwnej stronie drogi. Poruszali się szybko, przez cały czas nisko pochyleni – tak jak czynią żołnierze, którzy ukradkiem usiłują przedostać się na obszar pod kontrolą wroga.

Altaïr wstał i popędził ku drzewom w ślad za łucznikami, przez cały czas zachowując bezpieczną odległość. Podążał za Saraceni kilka mil, nasłuchując odgłosów bitwy, od których powietrze aż wibrowało. Stawały się one coraz głośniejsze, a swoje apogeum osiągnęły, gdy Saraceni oraz śledzący ich asasyn dotarli na górski grzbiet. Znajdowali się teraz ponad miejscem, w którym wrzała bitwa – rzut oka na rozmiary tego starcia wystarczył, by Altaïrowi zapało dech w piersiach. Wszędzie, gdzie tylko sięgał wzrokiem, każda piędź ziemi zapełniona była przez ludzi, trupy, maszyny wojenne oraz konie.

Podobnie jak podczas oblężenia Akki, Altaïr znalazł się teraz w samym środku ząbatego, bezlitosnego konfliktu. Żadnej z walczących stron nie uważał za przyjaciół. Asasyn miał swój Zakon. Miał też misję: powstrzymanie niechcący uwolnionej przez siebie bestii przed rozerwaniem jego Zakonu na strzępy.

Górski grzbiet także zasłany był trupami, jakby niedawno w tym miejscu rozegrała się bitwa. I rzeczywiście, tak było – ktokolwiek bowiem kontrolował wzniesienie, zyskiwał przewagę wysokości. Należało się zatem spodziewać, że toczyć się będą o nie zaciekle walki. Kiedy Saraceni znaleźli się na grzbiecie, natknęli się tam na piechotę oraz łuczników krzyżowców; obie strony na widok wroga wydały okrzyk bojowy. Saraceni wykorzystali przewagę, jaką dawało im zaskoczenie: po przetoczeniu się pierwszej fali ich ataku ziemię zasłały martwe ciała chrześcijańskich rycerzy, z których część spadła za krawędź grzbietu, prosto na pole bitwy u jego podnóża. Altaïr, który podkraść się i obserwował z ukrycia rozwój wydarzeń, widział, jak krzyżowcom udało się przegrupować; walka na górkim grzbiecie rozgorzała

na dobre.

Przejście przez ów grzbiet było najbezpieczniejszą drogą na tyły armii krzyżowców, czyli tam, gdzie wedle wszelkich rachub powinien był stacjonować Ryszard Lwie Serce. Dotarcie do niego było zaś dla Altaïra jedyną szansą na powstrzymanie Roberta de Sablé.

Asasyn zbliżył się nieco do miejsca starcia, po czym ruszył w lewo, dbając przy tym, by od walczących cały czas dzieliła go bezpieczna odległość. Po drodze natknął się na skulonego w zaroślach krzyżowca, który obserwował walkę, kwiląc jak dziecko. Altaïr zostawił go samemu sobie i pobiegł naprzód.

Nagle usłyszał okrzyk i ujrzał dwóch krzyżowców, którzy ruszyli ku niemu z uniesionymi mieczami. Asasyn zatrzymał się, skrzyżował ręce i sięgnął dłońmi do ramion. Jedną ręką wyciągnął miecz, drugą zaś cisnął nóż. Kiedy trafiony nim zwiadowca zwałił się na ziemię, Altaïr rzucił się na drugiego z krzyżowców i w jednej chwili powalił go na ziemię. Dopiero wówczas zorientował się, że ci dwaj nie byli wcale zwiadowcami. To byli wartownicy.

Altaïr wspiął się na szczyt wzgórza. Z tego miejsca widział nie tylko toczącą się w dole bitwę, ale także łopoczącą w oddali chorągiew Ryszarda Lwie Serce; wydało mu się też, że mignęła tam sylwetka samego króla z jego ognistoczerwoną brodą i jasnymi włosami, dosiadającego charakterystycznego wierzchowca. Teraz jednak Altaïr musiał stawić czoła piechurom z tylnej straży wojsk krzyżowców, nadciągającym ku niemu niczym fala. Rycerze, chrzescząc kolczugami, wzniesli miecze; widoczne pod hełmami oczy pełne były bitewnego zapału.

Zadaniem rycerzy było chronić swego pana; zadaniem Altaïra było do niego dotrzeć. Rozgorzała długotrwała walka. Altaïr niczym w obląkańczym tańcu biegł z obnażonym mieczem; chwilami musiał mozolnie wyrąbywać sobie drogę przez zastępy wroga, czasami zaś mógł swobodnie pokonać dłuższe odcinki. Tak dotarł do miejsca, z którego już dokładnie widział Ryszarda. Król stał na polanie. Zsiadł z konia, świadom nadciągającego

tumultu. Członkowie jego gwardii przybocznej uformowali wokół Ryszarda krąg, spoza którego król był ledwie widoczny.

Tymczasem miecz Altaïra wciąż wirował w powietrzu, kolejne ofiary padały u jego stóp, a jego szaty znaczyła krew krzyżowców. Wreszcie udało mu się odeprzeć nacierających nieprzyjaciół i ruszyć naprzód. Zauważył, że gwardziści króla obnażają miecze, a ich oczy płoną pod hełmami. Dostrzegł też łuczników wdrapujących się na okoliczne głązy w poszukiwaniu dogodnej pozycji, z której mogliby zastrzelić intruza.

– Wstrzymajcie się! – zawołał Altaïr. Znajdował się teraz zaledwie o kilka kroków od króla Ryszarda i patrzył mu prosto w oczy, nie odrywając wzroku nawet wtedy, gdy ruszyli na niego gwardziści monarchy. – Nie przynoszę stali, lecz słowo.

Ryszard ubrany był w królewską czerwień, na jego piersi widniał wyszyty złotą nicią lew. Był jedynym, którego nie ogarnął strach ani panika – był w samym środku bitwy, zachowując całkowity spokój. Uniósł rękę, a jego ludzie zatrzymali się i walka natychmiast ustała. Altaïr odczuł ulgę, gdy nacierający na niego napastnicy cofnęli się o kilka kroków, dając mu wreszcie odrobinę wytchnienia. Opuścił rękę trzymającą miecz. Dyszał, a jego ramiona miarowo unosiły się i opadały. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy utkwili w nim swoje spojrzenia, że sztych każdego miecza wymierzony jest w jego brzuch i że każdy łucznik celuje właśnie w niego. Wystarczy jedno słowo z ust Ryszarda, a zginie.

Zamiast jednak je wypowiedzieć, Ryszard zapytał:

– Przyszedłeś zatem przedstawić warunki waszej kapitulacji? Najwyższy czas.

– Nie. Nie zrozumiałeś mnie, królu – odparł Altaïr. – Przyszyła mnie Al Mualim, a nie Saladyn.

Ryszard spochmurniał.

– Asasyn? Mów, co to ma znaczyć? Byle szybko!

Ludzie Ryszarda przysunęli się nieco bliżej asasyna, a łucznicy zastygli

w napięciu.

– W waszych szeregach kryje się zdrajca – powiedział Altaïr.

– I to on wynajął cię, żebyś mnie zabił? Przyszedłeś tu się tym chlępić, zanim uderzysz? Uważaj, bo nie dostaniesz mnie tak łatwo.

– To nie ciebie przyszedłem zabić, lecz jego.

– Mów więc, abym mógł osądzić, gdzie leży prawda. – Król Ryszard gestem polecił Altaïrowi, aby podszedł bliżej. – Kto jest tym zdrajcą?

– Robert de Sablé.

– Mój namiestnik? – Zaskoczony Ryszard uniósł brwi.

– Robert knuje zdradę – powiedział spokojnym głosem Altaïr. Starannie dobierał słowa, chcąc zostać właściwie zrozumianym. Tak bardzo zależało mu na tym, by król mu uwierzył.

– On twierdzi co innego – odparł Ryszard. – Szuka zemsty na was za spustoszenia, jakie poczyniliście w Akce. Ja zaś jestem skłonny go w tym wspierać. Zamordowaliście kilku z moich najlepszych ludzi.

A więc Robert znalazł już doście do królewskiego ucha. Altaïr wziął głęboki oddech. To, co zamierzał powiedzieć, mogło kosztować go życie.

– To ja ich zabiłem. I miałem po temu ważne powody.

Ryszard rzucił mu gniewne spojrzenie, lecz asasyn ciągnął dalej:

– Wysłuchaj mnie, królu. Wilhelm z Montferratu chciał zająć Akkę z pomocą swych żołnierzy. Garnier de Naplouse wykorzystywał swe umiejętności, by manipulować wszystkimi i podporządkować sobie każdego, kto ośmielił mu się opierać. Sibrand zamierzał zablokować porty i odciąć cię od pomocy z twego królestwa. Wszyscy oni zdradzili cię. A rozkazy wydawał im Robert.

– Spodziewasz się, że uwierzę w to dziwaczne kłamstwo? – spytał Lwie Serce.

– Znałeś tych ludzi lepiej ode mnie, królu. Czy naprawdę jesteś zaskoczony, słysząc o ich złych intencjach?

Ryszard namyślał się przez chwilę, po czym obrócił się ku jednemu ze

stojących u jego boku rycerzy, którego twarz zasłaniał hełm.

– Czy to prawda? – zapytał.

Rycerz zdjął hełm: tym razem był to naprawdę Robert de Sablé. Altaïr przypomniał sobie nagle wszystkie zbrodnie tego człowieka i obrzucił go spojrzeniem pełnym nieskrywanej odrazy. Oto mężczyzna, który w swym zastępstwie posłał do walki kobietę.

Przez chwilę asasyn i wielki mistrz templariuszy mierzyli się wzrokiem; było to ich pierwsze spotkanie od czasu potyczki w podziemiach Wzgórza Świątynnego. Altaïr zacisnął pięści, wciąż ciężko oddychając. De Sablé wydał wzgardliwie wargi, a następnie zwrócił się do Ryszarda.

– Mój panie – rzekł nieco poirytowanym tonem. – Przed nami stoi asasyn. Te kreatury są mistrzami manipulacji. Oczywiście, że to, co mówi, to kłamstwo.

– Nie mam powodu, by oszukiwać – warknął Altaïr.

– Ależ masz! – szyderczo zapewnił de Sablé. – Obawiasz się o to, co może się stać z tym waszym małym zameczkiem. Czy zdoła się oprzeć połączonym siłom Saracenów i krzyżowców?

Robert uśmiechnął się, jakby oczami wyobraźni już widział upadek Masjafu.

– Jedyne, o co się martwię, to los mieszkańców Ziemi Świętej – odparował Altaïr. – Jeśli mam poświęcić siebie, by zapewnić im pokój, niech będzie i tak.

Ryszard mierzył wzrokiem Roberta i Altaïra.

– Znaleźliśmy się w dziwnej sytuacji. Obaj wzajemnie się oskarżacie...

– Panie, naprawdę nie mamy na to czasu – rzekł de Sablé. – Muszę wyruszać na spotkanie z Saladynem i zapewnić nam jego pomoc. Im dłużej będziemy zwlekać, tym trudniejsze będzie moje zadanie.

Wyglądało na to, że zamierza odejść, bez wątplenia mając nadzieję, że Ryszard uzna sprawę za zamkniętą.

– Zaczekaj, Robercie – odezwał się jednak król. Spoglądał to na Roberta de

Sablé, to na Altaïra.

De Sablé prychnął i zniecierpliwionym głosem zapytał:

– Dlaczego? Co zamierzasz? Chyba mu nie wierzysz? – Wskazał na Altaïra, który dostrzegł w oczach Roberta obawę o to, że król mógł powziąć jakieś podejrzenia. Być może skłaniał się nawet ku temu, by postawić słowo asasyna ponad słowem templariusza. Altaïr wstrzymał oddech.

– To trudna sprawa – odparł król – której nie mogę rozstrzygnąć sam. Muszę oddać ją w ręce mądrzejszego ode mnie.

– Dzięki ci, panie.

– Nie, Robercie, nie mówiłem o tobie.

– O kim więc?

– O Panu Naszym. – Lwie Serce uśmiechnął się; wydawał się rad z podjęcia właściwej decyzji. – Niechaj rozstrzygnie pojedynek. Bóg stanie po stronie tego, który walczyć będzie w słusznej sprawie.

Altaïr uważnie obserwował Roberta. Po wyrazie jego twarzy domyślił się, że de Sablé wspomina ich ostatnie spotkanie, kiedy z łatwością pokonał Altaïra.

Altaïr także je pamiętał. Przekonywał sam siebie, że teraz jest już innym wojownikiem: podczas poprzedniego starcia z Robertem przeszkodziła mu własna arogancja i to przez nią dał się tak łatwo pokonać. Próbował przy tym nie myśleć o olbrzymiej sile francuskiego rycerza; o tym, jak został przez de Sablé poderwany z ziemi i ciśnięty z taką łatwością, jakby był workiem zboża.

De Sablé musiał dobrze to wszystko pamiętać, bo teraz obrócił się ku królowi Ryszardowi, pochyliwszy głowę na znak zgody.

– Jeśli tego sobie życzysz, panie – rzekł.

– Tak.

– Zatem niechaj tak będzie. Chwytaj za broń, asasynie.

Król oraz jego najbardziej zaufani ludzie stanęli nieco z boku, podczas gdy pozostali członkowie straży przybocznej uformowali krąg wokół Altaïra oraz

uśmiechniętego Roberta de Sablé. Wielki mistrz templariuszy, w przeciwieństwie do asasyna, nie był wyczerpany ani znużony walką. Nosił też zbroję, podczas gdy asasyn miał na sobie wyłącznie szaty. Wreszcie de Sablé nie otrzymał żadnego z licznych cięć i uderzeń, jakie spadły na Altaïra, kiedy przedzierał się na polanę. De Sablé doskonale zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę. Kiedy więc naciągał kolcze rękawice, a następnie z pomocą jednego z rycerzy nakładał hełm, robił to z przekonaniem, że ma nad asasynem przewagę pod każdym względem.

– A więc – odezwał się kpiąco – zmierzymy się raz jeszcze. Miejmy nadzieję, że tym razem walka z tobą okaże się większym wyzwaniem.

– Nie jestem tym samym człowiekiem, z którym mierzyłeś się w świątyni – odrzekł Altaïr, unosząc miecz. Odgłosy bitwy toczącej się pod Arsufem zdały mu się teraz bardzo odległe; cały świat Altaïra skurczył się do okręgu, w którym mieli walczyć. Tylko on i de Sablé.

– Mnie wydajesz się taki sam – rzucił prowokująco Robert. Podniósł miecz i zwrócił się ku Altaïrowi, który w odpowiedzi uczynił to samo. Stanęli naprzeciw siebie. De Sablé przeniósł ciężar ciała na cofniętą do tyłu nogę, najwidoczniej spodziewając się, że to Altaïr pierwszy ruszy naprzód.

Asasyn tymczasem postarał się o pierwszą niespodziankę tego pojedynku: pozostał nieporuszony na swoim miejscu, czekając na atak Roberta.

– Pozory mogą mylić – powiedział.

– Racja, racja – zgodził się de Sablé, a na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiech. W następnej chwili templariusz zaatakował, wymierzając mocne cięcie mieczem.

Asasyn zablokował uderzenie. Choć siła ciosu była tak wielka, że niemal wytrącił on Altaïrowi broń z ręki, to jednak udało mu się wykonać parade i odskoczyć w bok. Szukał luki w zasłonie templariusza. Szeroki miecz, jakim walczył de Sablé, był trzykrotnie cięższy niż miecz asasyna; choć rycerze słynęli z poświęcenia, z jakim ćwiczyli szermierkę, i choć zazwyczaj byli wystarczająco silni, by sprostać ciężarowi broni, to jednak byli wolniejsi.

De Sablé mógł zadawać druzgocące ciosy, lecz nie był w stanie dorównać Altaïrowi pod względem szybkości.

I w tym właśnie upatrywał Altaïr szansy na pokonanie templariusza. Wcześniejszy błąd polegał na tym, że pozwolił Robertowi wykorzystać jego atuty. Teraz musiał go ich pozbawić.

De Sablé, wciąż pewny siebie, parł do przodu.

– Wkrótce będzie po wszystkim i Masjaf upadnie – wymamrotał, a ostrze jego miecza śmignęło tak blisko ucha Altaïra, że ten usłyszał gwizd rozcinanego nim powietrza.

– Moi bracia są silniejsi, niż ci się zdaje – rzucił.

Stal ponownie zadzwoniła o stal.

– Przekonamy się, czy to prawda. Już niedługo. – De Sablé uśmiechnął się szeroko.

Altaïr tymczasem rozpoczął swój taniec z mieczem. Bronił się, parował uderzenia i robił uniki, a przy tym sam zadawał ciosy, rozdzierając w kilku miejscach kolczugę Roberta, a nawet kilkakrotnie trafiając mocno w hełm rycerza. Wreszcie de Sablé zaczął się cofać, by odzyskać nieco sił – być może dotarło do niego, że Altaïr nie będzie tak łatwym łupem, jak wcześniej zakładał.

– Ha! – sapnął. – A więc dziecko nauczyło się władać bronią.

– Odbyłem solidną praktykę. Zadbali o to twoi ludzie.

– Poświęcili się w imię wyższej sprawy!

– Ciebie też to czeka.

De Sablé zrobił raptowny wypad do przodu i ponownie niewiele brakło, by uderzeniem swego olbrzymiego miecza wytrącił broń z ręki Altaïra.

W odpowiedzi asasyn jednym płynnym ruchem pochylił się i okręcił wokół własnej osi, a następnie uderzył Roberta rękojęścią swego miecza. Templariusz zatoczył się do tyłu i potknął o własne nogi. Uderzenie pozbawiło go tchu i nie runął na ziemię tylko dlatego, że rycerze otaczający plac boju pomogli mu odzyskać równowagę. Stał teraz przy nich, dysząc

ciężko zarówno ze zmęczenia, jak i z wściekłości.

– Koniec tej zabawy! – ryknął, jakby wykrzyczenie tego życzenia miało pomóc mu się ziścić. Po czym ruszył naprzód, lecz w tym ataku nie było śladu zabójczej gracji. Przebijała z niego już tylko ślepa nadzieja.

– Zabawa skończyła się już dawno– skwitował Altaïr.

Przepelniał go wielki spokój. Wiedział, że jest teraz czystym asasynem. Miał już pewność, że pokona Roberta de Sablé i że dokona tego tak siłą, jak i umysłem. I gdy de Sablé raz jeszcze na niego natarł, tym razem bardziej chaotycznie niż wcześniej, Altaïr z łatwością odparł ten atak.

– Nie wiem, skąd czerpiesz siły – wydyszał de Sablé. – To jakieś sztuczki. A może zioła?

– Jest tak, jak powiedział twój król. Słuszność zawsze zatriumfuje nad chciwością.

– Moja sprawa jest słuszna! – wykrzyknął de Sablé i stęknął z wysiłku, ociężale podnosząc miecz.

Altaïr widział wyraz twarzy jego ludzi. Widział, jak czekają, aż zada Robertowi zabójczy cios.

I to właśnie uczynił. Wbił miecz w sam środek czerwonego krzyża, który de Sablé nosił na piersi. Klinga rozerwała kolczugę i przeszła ciało na wylot.

31

De Sablé dyszał gwałtownie.

Wytrzeszczył oczy, otworzył szeroko usta, jego ręka szukała po omacku ostrza, które go przebiło, mimo że Altaïr zdążył już wyciągnąć miecz z ciała wroga. Czerwona plama rozlała się po tunice wielkiego mistrza, który zatoczył się chwiejnie, po czym opadł na kolana. Miecz wypadł mu z dłoni, a ramiona zwisły bezwładnie wzdłuż ciała.

Altaïr natychmiast przeniósł wzrok na mężczyzn, którzy uformowali krąg wokół miejsca pojedynku. Spodziewał się, że widok umierającego wielkiego mistrza zakonu templariuszy skłoni ich do ataku. Oni jednak nie ruszyli się z miejsca. Za nimi Altaïr dostrzegł króla Ryszarda, który tylko lekko przekrzywił podbródek, jak gdyby obrót wydarzeń zaledwie pobudził jego ciekawość.

Asasyn pochylił się nad Robertem. Objąwszy go ramieniem, pomógł mu spocząć na ziemi.

– To już koniec – rzekł. – Twoje plany powędrują do grobu. Tak jak ty sam. W odpowiedzi de Sablé wydał z siebie szyderczy rechot.

– Nic nie wiesz o planach – odezwał się. – Jesteś jedynie marionetką. On cię zdradził, chłopcze. Tak jak wcześniej zdradził mnie.

– Mów do rzeczy, templariuszu – syknął Altaïr – albo nie mów nic.

Raz jeszcze obrzucił spojrzeniem krąg rycerzy. Nadal stali bez ruchu.

– Wysłał cię, byś zgładził dziewięciu, czy tak? – spytał de Sablé. – Dziewięciu strzegących tajemnicy Skarbu.

Altaïr wiedział już, że zadanie to zawsze przypadało dziewięciu rycerzom – templariusze przestrzegali tej zasady od pokoleń. Zakon templariuszy powstał niemal sto lat temu, obierając Wzgórze Świątynne na swą siedzibę. Rycerze ci połączyli siły, by zapewnić ochronę pątnikom pielgrzymującym do najświętszych miejsc chrześcijaństwa, i wiedli życie zbrojnych mnichów – a przynajmniej tak oficjalnie głosili. Wszyscy jednak, z wyjątkiem tych najbardziej naiwnych, zdawali sobie sprawę, że templariuszom chodziło o coś więcej niż tylko o pomaganie bezbronnym pielgrzymom. W rzeczywistości poszukiwali oni skarbów oraz świętych relikwii ukrytych w Świątyni Salomona. Dziewięciu członków zakonu od samego początku jego istnienia obarczonych było zadaniem odszukania skarbu – i dziewięciu w końcu tego dokonało: de Sablé, Tamir, de Naplouse, Talal, Montferrat, Majd Addin, Jubair, Sibrand, Abu'l Nuqoud. Dziewięciu, którzy wiedzieli. Dziewięciu, którzy padli jego ofiarą.

– Co z tego? – odparował Altaïr, u którego pytanie Roberta zasiało dziwnie nieprzyjemne wątpliwości.

– To nie dziewięciu znalazło Skarb, asasynie – uśmiechnął się de Sablé, z którego coraz szybciej uchodziło życie. – Nie dziewięciu, lecz dziesięciu.

– Jest jeszcze dziesiąty? Nikt, kto zna sekret, nie może przeżyć. Podaj mi jego imię.

– Przecież dobrze go znasz. I szczerze wątpię, czy odbierzesz mu życie równie ochoczo jak mnie.

– Kto to? – spytał Altaïr, chociaż znał już odpowiedź. Pojął to, co do tej pory nie dawało mu spokoju. Tajemnicę, której odkrycie przez cały czas mu się wymykało.

– To twój mistrz – powiedział de Sablé. – Al Mualim.

– Przecież on nie jest templariuszem – zaprzeczył Altaïr, wciąż nie chcąc w to uwierzyć. A jednak w głębi serca wiedział, że to prawda. Al Mualim, który wychował go niemal jak własnego syna. Który trenował go i uczył. I który go zdradził.

– Czy nigdy nie zastanawiałeś się, jak się tego wszystkiego dowiedział? – De Sablé naciskał, a Altaïr poczuł się tak, jakby ziemia osuwała mu się spod nóg. – Gdzie nas szukać, ilu nas jest, co chcemy osiągnąć?

– Jest Mistrzem Zakonu asasynów – zaproponował Altaïr. Wzbraniał się przed daniem wiary temu, co usłyszał, a przecież czuł, że zagadka została właśnie rozwikłana. To była prawda. Niewiele brakowało, by się roześmiał. Wszystko, co widział, w rzeczywistości było iluzją.

– *Oui*. Mistrzem kłamstwa – powiedział z wysiłkiem de Sablé. – Ty i ja byliśmy jedynie pionkami w jego wielkiej grze. A teraz... gdy ja umrę, zostaniesz już tylko ty. Myślisz, że pozwoli ci żyć? Komuś, kto wie tyle, co ty?

– Nie interesuje mnie Skarb – odparł Altaïr.

– Ale jego tak. Jedyna różnica między twoim mistrzem a mną polega na tym, że on nie chciał się nim z nikim dzielić.

– Nie...

– Cóż za ironia losu, nieprawdaż? Oto ja, twój największy wróg, byłem dla ciebie gwarancją bezpieczeństwa. Teraz jednak odebrałem mi życie i tym samym położyłem kres własnemu.

Altaïr wziął głęboki oddech; nadal próbował zrozumieć, co właściwe się stało. Poczuł nagły przypływ emocji: gniewu, bólu, poczucia osamotnienia.

Po chwili wyciągnął rękę i delikatnie zamknął Robertowi powieki.

– Nie zawsze znajdujemy to, czego szukamy – wyrecytował monotonnym głosem, po czym wstał i przygotował się na śmierć, która czekałaby go niechybnie, gdyby tylko zechcieli jej otaczający go krzyżowcy. Być może nawet on sam jej pragnął.

– Dobrze walczyłeś, asasynie. – Okrzyk dobiegł gdzieś z prawej strony. Altaïr obrócił się i dostrzegł Ryszarda, który wszedł w krąg rycerzy, ci zaś rozstąpili się, aby go przepuścić. – Wygląda na to, że Bóg sprzyjał dziś twej sprawie.

– Bóg nie miał z tym nic wspólnego. Byłem po prostu lepszy.

– Możesz w niego nie wierzyć, lecz on najwyraźniej wierzy w ciebie. Zanim odejdiesz, chcę cię o coś zapytać.

– Pytaj więc, królu – odrzekł Altaïr. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Nie mógł się doczekać chwili, gdy będzie mógł położyć się w cieniu drzewa palmowego: zasnąć, zniknąć.

Choćby nawet umrzeć.

– Dlaczego? Dlaczego przebyłeś całą tę drogę, tysiącokrotnie ryzykowałeś własne życie, a wszystko po to, by zabić jednego człowieka?

– Ten człowiek był zagrożeniem dla moich braci i tego, co jest nam drogie.

– Zatem chodziło o zemstę?

Altaïr spojrział na leżące na ziemi ciało Roberta de Sablé i uświadomił sobie, że zabijając go, nie kierował się zemstą. To, co zrobił, zrobił dla Zakonu.

– Nie. Nie o zemstę. O sprawiedliwość. O to, że może zapanować pokój. – Altaïr nieporadnie ubierał w słowa myśli, które kłębiły się w jego głowie.

– Więc o to walczysz? – spytał Ryszard, a jego brwi uniosły się wysoko. – O pokój? Czy nie dostrzegasz tu sprzeczności?

To powiedziawszy, zatoczył ręką szeroki łuk, obejmując tym gestem toczącą się w dolinie bitwę, porozrzucane po polanie ciała zabitych, wreszcie wciąż jeszcze ciepłe zwłoki Roberta de Sablé.

– Niektórych ludzi po prostu nie da się przekonać.

– Na przykład tego szaleńca Saladyna – westchnął Ryszard.

Altaïr przyjrzał mu się. Zobaczył przed sobą dobrego i sprawiedliwego władcę.

– Sądzę, że ten szaleniec chciałby zakończenia tej wojny równie mocno jak ty, królu.

– Podobno. Ale ja widzę co innego.

– Nawet jeśli on nie mówi o pokoju, to właśnie tego pragnie lud – rzekł Altaïr. – Zarówno Saraceni, jak i krzyżowcy.

– Lud sam nie wie, czego chce. Dlatego zwraca się do takich jak my.

– Więc do takich jak wy należy czynienie tego, co słuszne.

– Bzudra – prychnął Ryszard. – Przychodzimy na ten świat, kopiać i wrzeszcząc. Gwałtowni i chwiejni: tacy właśnie jesteśmy. Nie możemy nic na to poradzić.

– Nieprawda. Jesteśmy tacy, jakimi chcemy być.

Tym razem Ryszard tylko uśmiechnął się smutno.

– Tacy jak ty... Nieustannie bawicie się słowami.

– Mówię prawdę – zapewnił Altaïr. – Nie ma w tym żadnego podstępu.

– Wkrótce się o tym przekonamy. Obawiam się jednak, że dziś twoje pragnienia się nie spełnią. Ten poganin Saladyn wycina właśnie moich ludzi, a ja muszę się tym zająć. Być może jednak, kiedy się już przekona na własnej skórze, jak bardzo jest bezbronny, przemyśli swoje poczynania. Tak. Za jakiś czas to, czego pragniesz, może się ziścić.

– Ty sam, panie, nie byłeś wcale mniej zagrożony od niego – zauważył Altaïr. – Nie zapominaj o tym. Ludzie, którym powierzyłeś rządy w swoim imieniu, nie zamierzali służyć ci dłużej, niż musieli.

– Tak, tak. Wiem o tym dobrze.

– Pozwól zatem, że się oddalę. Mam do pomówienia z moim Mistrzem.

Wygląda na to, że nawet on nie jest bez winy.

Ryszard pokiwał głową.

– Jest tylko człowiekiem. Jak my wszyscy. Jak ty.

– Pokój i bezpieczeństwo niech będą z tobą, królu – rzekł Altaïr i odszedł.

Jego myśli pobiegły zaś do Masjafu, którego piękno zdawało się teraz zbrukane przez to, czego dowiedział się o Al Mualimie.

Musiał jechać do domu.

Musiał to wszystko naprawić.

32

Masjaf nie przypominał Altaïrowi miejsca, które jakiś czas temu opuścił – zauważył to już w chwili, gdy dotarł do stajen. Konie niespokojnie grzebały kopytami i rżały, lecz nigdzie nie było widać stajennych, którzy by ich doglądali i mogliby teraz zająć się wierzchowcem Altaïra. Asasyn wbiegł przez otwartą na oścież bramę na dziedziniec, gdzie uderzyła go niezwykła cisza: całkowity brak jakichkolwiek dźwięków i wrażenie bezdennej pustki. Słońce świeciło jakby z wysiłkiem, nadając wiosce szarawy, ponury odcień. Ptaki nie śpiewały. Z fontanny nie tryskała woda i nie było słychać harmidru, jaki towarzyszył codziennemu życiu mieszkańców Masjafu. Stragany były rozstawione, ale żaden człowiek ku nim nie śpieszył, nikt też nie prowadził ożywionych rozmów ani nie targował się o ceny. Nie było też słychać żadnych zwierząt. Panowała przejmująca pustka.

Altaïr spojrział na wzniesioną na wzgórzu cytadelę, ale tam także nikogo nie zauważył. Jak zwykle przyszło mu do głowy pytanie, czy Al Mualim spogląda na niego ze swej wieży. Czy może go dostrzec? Nagle uwagę Altaïra zwróciła samotna postać, która zmierzała w jego stronę. Był to jeden z mieszkańców wioski.

– Co tu się stało? – zapytał Altaïr natarczywym tonem. – Gdzie wszyscy?

– Poszli zobaczyć się z Mistrzem – odparł mężczyzna. Jego głos przypominał monotony zaśpiew. Jakby mantrę. Oczy miał szkliste, a z ust zwisała mu nitka śliny. Altaïr spotkał się już z podobnym wyrazem twarzy. Widział go u tych, których zniewolił Garnier de Naplouse. U szaleńców –

a raczej u ludzi, których wówczas podejrzewał o szaleństwo. Oni wszyscy mieli tak samo puste, szkliste spojrzenie.

– Czy to templariusze? – spytał. – Znowu zaatakowali?

– Kroczą ścieżką – usłyszał w odpowiedzi.

– Jaką ścieżką? O czym ty mówisz?

– Ku światłu – zaintonował mężczyzna. Ton jego głosu stał się jeszcze bardziej śpiewny.

– Gadaj do rzeczy – Altaïr zniecierpliwił się.

– Istnieje tylko to, co ukazuje nam Mistrz. Oto jest prawda.

– Postradałeś zmysły – fuknął asasyn.

– Ty także podążysz ścieżką albo zginiesz. Tak nakazuje Mistrz.

Al Mualim, pomyślał Altaïr. A zatem to prawda. To wszystko była prawda. Został zdradzony. Wszystko, w co wcześniej wierzył, okazało się kłamstwem.

– Co on wam zrobił? – zapytał mężczyznę.

– Chwała Mistrzowi, albowiem to on wiedzie nas ku światłu...

Altaïr ruszył dalej biegiem, zostawiając mężczyznę za sobą – samotną postać na wymarłym placu. Wbiegł po zboczu i znalazł się na wzniesieniu. Tam też napotkał grupę asasynów, którzy najwyraźniej czekali na niego, dzierżąc w dłoniach obnażone miecze.

Altaïr wyciągnął z pochwy własną broń, wiedząc jednak, że nie może jej użyć. Przynajmniej nie do tego, by zabić. Co prawda asasyni chcieli go zgładzić, lecz nakłoniono ich do tego podstępem. Pozbawienie ich życia byłoby pogwałceniem jednej z zasad asasyńskiego Creda. On zaś miał już dość jego naruszania. Nie zrobi tego nigdy więcej. Chociaż...

Asasyni zbliżali się, spoglądając na niego martwym wzrokiem.

Czy byli pogrążeni w transie tak jak tamci? Jeśli tak, to czy ich ruchy będą równie ślamazarne? Altaïr nadstawił bark i przypuścił szarżę na przeciwników, przewracając jednego na ziemię. Kolejny wyciągnął rękę, by pochwycić Altaïra – ten jednak pierwszy złapał napastnika za szaty i zakręcił

nim, obalając tym sposobem dalszych dwóch i tworząc lukę w szeregach przeciwnika. Wykorzystał ją błyskawicznie, by pobiec dalej.

Nagle usłyszał, jak z góry ktoś wykrzykuje jego imię. Na skalnym cyplu przy ścieżce prowadzącej ku fortecy stał Malik w towarzystwie Jabala z Akki oraz dwóch innych asasynów, których Altaïr nie rozpoznał. Przyjrzał im się uważnie. Czy ich umysły także zniewolono? Poddano działaniu osobliwych substancji? Czy też innej niegodziwości, którą posługiwał się Al Mualim?

Lecz nie. Malik machał do niego swoją sprawną ręką i choć Altaïr nigdy nie przypuszczał, że widok Malika mógłby go ucieszyć, to teraz tak właśnie się stało.

– Altaïrze! Tutaj!

– Wybrałeś dobry moment, żeby się pojawić. – Altaïr uśmiechnął się szeroko.

– Na to wygląda.

– Miej się na baczności, przyjacielu – ostrzegł go Altaïr. – Al Mualim nas zdradził.

Mówiąc to, był przygotowany na niedowierzanie, a nawet wybuch gniewu Malika, który bezgranicznie ufał Al Mualimowi i považał go, a także zdawał się na niego we wszelkich sprawach. Malik jednak pokiwał tylko ze smutkiem głową.

– Podobnie jak swoich sojuszników, templariuszy – zauważył.

– Skąd o tym wiesz?

– Po naszej rozmowie wróciłem do ruin pod Świątynią Salomona. Okazało się, że Robert prowadził dziennik. Zapisywał w nim swoje odkrycia. To, co tam przeczytałem, złamało mi serce... Ale zarazem otworzyło mi oczy. Miałeś rację, Altaïrze. Przez cały czas byliśmy wykorzystywani przez naszego Mistrza. Wcale nie mieliśmy ocalić Ziemi Świętej, lecz oddać ją w jego ręce. Teraz trzeba go powstrzymać.

– Bądź ostrożny, Maliku – rzekł Altaïr. – Jeśli tylko będzie miał okazję, uczyni z nami to co z innymi. Musicie trzymać się od niego z daleka.

– Co radzisz? Ręka, którą władam ostrzem, wciąż jest silna, a moi ludzie lojalni. Popełniłbyś błąd, nie korzystając z naszej pomocy.

– Odwróćcie zatem uwagę tych bezwolnych biedaków. Zaatakujcie fortecę od tyłu. Jeśli skupią się na was, dostanę się do Al Mualima.

– Zrobię, jak mówisz.

– Ci ludzie, z którymi się zmierzymy... Ich umysły nie należą teraz do nich. Gdybyście mogli uniknąć zabijania...

– Tak. Al Mualim sprzeniewierzył się nakazom Creda, ale to nie znaczy, że możemy postępować podobnie. Zrobię, co będę mógł.

– To wszystko, o co proszę – odrzekł z wdzięcznością Altaïr.

Malik odwrócił się, gotów do dzieła.

– Pokój i bezpieczeństwo, mój przyjacielu – powiedział Altaïr.

Na twarzy Malika pojawił się gorzki uśmiech.

– Twoja obecność tutaj przyniesie nam jedno i drugie.

Altaïr pośpiesznie przebiegł przez barbakan i znalazł się na głównym dziedzińcu cytadeli. Teraz zrozumiał, dlaczego na placu targowym nie spotkał nikogo z wioski. Wszyscy byli stłoczeni na dziedzińcu. Bez wątplenia Altaïr miał teraz przed sobą całą wieś. Mieszkańcy kręcili się bez celu, sprawiali wrażenie, jakby ledwie co mogli unieść własne głowy. Altaïr zauważył, jak jedna z kobiet zderzyła się z mężczyzną i upadła, lądując ciężko na pośladkach. Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi. Nie było zdziwienia, gniewu, nie padły żadne przeprosiny ani wyrzuty. Mężczyzna zachwiał się tylko lekko, po czym ruszył przed siebie. Kobieta siedziała zaś dalej na ziemi, całkowicie zignorowana przez pozostałych.

Altaïr zaczął ostrożnie przeciskać się przez tłum. Uderzyła go panująca tu cisza, którą zakłócał tylko dźwięk szurających stóp i dziwne mamrotanie:

– Wola Mistrza musi być wypełniona.

– O, Al Mualimie. Prowadź nas. Rozkazuj nam.

– Oczyszczimy świat. Zaczniemy wszystko od nowa.

Nowy porządek, pomyślał Altaïr. Narzucony przez templariuszy. Przez

jednego w szczególności. Przez Al Mualima.

Wszedł do wieży i znalazł się w sieni. Nie powitał go żaden strażnik. Powietrze wydawało się tu tak samo ciężkie, a zarazem puste, jak gdzie indziej. Jakby niewidzialna mgła spowiła cały zamek. Spojrzawszy w górę, dostrzegł, że prowadzące na dziedziniec oraz do ogrodów na tyłach żelazne wrota wieży są otwarte. Smugi światła wpadały przez portal, jakby zapraszając go, by szedł dalej. Altaïr zawahał się. Zdawał sobie sprawę, że przechodząc przez wrota, ułatwi zadanie Al Mualimowi. A jednak, gdyby Mistrz chciał jego śmierci, Altaïr już byłby martwy. Wyciągnął miecz i ruszył w górę po schodach; jednocześnie zdał sobie sprawę, że wciąż jeszcze odruchowo myśli o Al Mualimie jako o „Mistrzu”, a przecież ten człowiek już nim nie jest. Przestał być jego mistrzem, gdy tylko Altaïr odkrył, że Al Mualim jest templariuszem. Od tamtej chwili był już wyłącznie wrogiem.

Asasyn przystanął na progu, za którym rozciągał się ogród. Zaczerpnął głęboki haust powietrza. Nie miał pojęcia, co czeka go po drugiej stronie.

Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

33

Ogród tonął w półmroku. Panowała w nim cisza, a do uszu Altaïra dobiegały jedynie cichy szmer strumienia i kojący szum wodospadu. Altaïr wszedł na marmurowy taras; pod butami wyczuwał gładką powierzchnię posadzki. Rozejrzał się. W mroku dostrzegł nieregularne kształty drzew i ogrodowych pawilonów.

Wtem za plecami usłyszał hałas. To wrota zamknęły się z trzaskiem, po czym rozległo się szczęknięcie, jakby niewidzialne ręce zasunęły rygiel.

Altaïr obrócił się na pięcie. Jego wzrok powędrował ku górze. Na balkonie biblioteki ujrzał Al Mualima. Starzec patrzył na stojącego na tarasie asasyna, w dłoni zaś trzymał jakiś przedmiot: był to Skarb ze Wzgórza Świątynnego, Fragment Edenu. Skarb jarzył się blaskiem mocy, rzucając na Al Mualima pomarańczową poświatę – im dłużej Altaïr się jej przyglądał, tym silniejszą się zdawała.

Wtem asasyn poczuł, jak przeszywa go niewiarygodny ból. Krzyknął i poczuł, jak jego ciało się unosi, uwięzione w migotliwym stożku jasnego światła, który kontrolowała wyciągnięta ręka Al Mualima. Jabłko tymczasem pulsowało niczym prężący i napinający się mięsień.

– Co się dzieje?! – wykrzyknął Altaïr, bezbronny i sparalizowany w uścisku artefaktu.

– A więc uczeń powraca – odezwał się spokojnie Al Mualim. W jego głosie pobrzmiwała pewność siebie właściwa zwycięzcy.

– Nigdy nie należałem do tych, którzy uciekają – odparował wyzywającym

tonem Altaïr.

Al Mualim zarechotał. Raczej nie przejął się słowami Altaïra.

– Nigdy też nie należałeś do tych, którzy potrafią słuchać – stwierdził.

– Dzięki temu wciąż żyję – rzucił Altaïr, usiłując jednocześnie rozerwać niewidzialne pęta. W odpowiedzi na jego wysiłki Jabłko zapulsowało, a otaczające asasyna światło skrępowało go jeszcze mocniej.

– I cóż ja mam teraz z tobą począć? – uśmiechnął się Al Mualim.

– Wypuść mnie – warknął Altaïr. Nie miał przy sobie noży do rzucania, lecz uwolniony z pęt dopadłby starca kilkoma susami. Podczas ostatnich chwil życia Al Mualim mógłby podziwiać, jak zręcznie jego uczeń się wspina, zanim Altaïr zatopiłby ostrze w jego wnętrzościach.

– Altaïrze, słyszę nienawiść w twoim głosie – rzekł Al Mualim. – Czuję jej żar. Wypuścić cię? To byłoby nierozważne.

– Dlaczego to robisz? – zapytał Altaïr.

Al Mualim zdawał się przez moment namyślać nad odpowiedzią.

– Kiedyś wierzyłem. Wiedziałeś o tym? Sądziłem, że Bóg istnieje. Bóg, który kocha nas i troszczy się o nas; który posyła proroków, aby byli dla nas przewodnikami i pocieszycielami. Bóg, który dokonuje cudów, by przypomnieć nam o swej potędze.

– Co się zmieniło od tamtej pory?

– Znalazłem dowód.

– Dowód na co?

– Że wszystko jest iluzją – odpowiedział Al Mualim.

Następnie gestem dłoni uwolnił Altaïra ze świetlistych kajdan. Altaïr przygotował się na upadek, ale zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości ani przez chwilę nie unosił się nad ziemią. Zdezorientowany rozejrzał się dookoła, przeczuwając nadchodzącą zmianę – w bębenkach uszu narastało mu ciśnienie, niczym przed nadciągającą burzą. Na balkonie Al Mualim uniósł Jabłko ponad głowę.

– Przybądźcie – zaintonował. – Zniszczcie zdrajcę. Odeślijcie go z tego

świata.

Nagle wokół Altaïra zaczęły pojawiać się postacie o twarzach wykrzywionych gniewnym grymasem, z obnażonymi zębami, gotowe do walki. Asasyn rozpoznał je, choć początkowo nie wiedział, skąd je zna. W końcu jednak to sobie uświadomił: to cele jego dziewięciu misji – jego dziewięć ofiar, które powróciły z zaświatów.

Widział zatem Garniera de Naplouse w poplamionym krwią fartuchu, ściskającego w rękę miecz i wpatrującego się w Altaïra pogardliwym wzrokiem. Widział dzierżącego sztylet Tamira, w którego błyszczących oczach czaiło się zło, a także Talala z łukiem przewieszonym przez ramię i z mieczem w dłoni. Obok stał złośliwie uśmiechnięty Wilhelm z Montferratu, który obnażył broń i oparł ją o ziemię, czekając na odpowiedni moment do ataku. Nie zabrakło również Abu'l Nuqouda, Majd Addina, Jubaira, Sibranda i wreszcie samego Roberta de Sablé.

Byli wszyscy, których asasyn zgładził, odsyłając ich z tego świata, i których Al Mualim przyzwał z powrotem, by mogli wziąć odwet na swym zabójcy.

W następnej chwili rzucili się do ataku.

Altaïr z łatwością rozprawił się z Majd Addinem jako pierwszym. Wskrzeszona forma Abu'l Nuqouda okazała się równie tłusta i komiczna jak za życia. Padł na kolana przebity mieczem, lecz zamiast pozostać na ziemi, zniknął, pozostawiając po sobie jedynie zawirowanie w powietrzu, falujące zakłócenie przestrzeni. Talal, Montferrat, Sibrand oraz de Sablé byli najlepszymi wojownikami w tym gronie, dlatego też trzymali się z tyłu – pozwolili słabszym od siebie pójść na pierwszy ogień, mając nadzieję, że uda im się zmęczyć Altaïra. Asasyn tymczasem rozpędził się na marmurowym tarasie i z niego zeskoczył, lądując na położonym niżej drugim placyku, również wyłożonym marmurem. Opodal szumiał wodospad. Przeciwnicy Altaïra podążyli za nim. Tamir zginął z głośnym wrzaskiem od kilku cięć asasyńskiego miecza. Altaïr nie czuł zupełnie nic. Żadnych wyrzutów

sumienia ani też satysfakcji z tego, jak jego ofiary giną już drugą w pełni zasłużoną śmiercią. De Naplouse, któremu Altaïr rozciął gardło, zniknął tak jak jego poprzednicy. Kolejny padł Jubair. Następnie Altaïr pochwycił Talalę i obaj potoczyli się po ziemi; asasynowi udało się wreszcie zatopić miecz głęboko w brzuchu przeciwnika, który zginął, pozostawiając po sobie jedynie pustkę. Potem zaś ginęli i znikali kolejno: Wilhelm z Montferratu, Sibrand, a na końcu de Sablé. Wreszcie Altaïr ponownie znalazł się sam na sam z Al Mualimem.

– Staw mi czoła! – zażądał Altaïr, łapiąc oddech i ociekając potem. Wiedział, że koniec tego pojedynku jest daleki. Walka dopiero się zaczynała.

– A może się boisz?

Al Mualim parsknął kpiąco.

– Mierzyłem się już z tysiącem przeciwników, a każdy z nich był lepszy od ciebie. I wszyscy zginęli z mojej ręki.

Zeskoczył z balkonu z lekkością i sprawnością, których trudno było się spodziewać po kimś w jego wieku, i wylądował na ugiętych nogach nieopodal Altaïra. Wciąż ścisnął w dłoni Jabłko. Wyciągnął je przed siebie, jakby chciał przekazać je Altaïrowi; twarz starca skąpana była w świetle promieniującego Skarbu.

– Nie boję się – oznajmił w końcu Al Mualim.

– Dowiedz tego – rzucił wyzywająco Altaïr. Wiedział, że Al Mualim przejrzy ten wybieg, którego celem było zwabienie zdrajcy jak najbliżej. Jednak nawet jeśli rzeczywiście go przejrzał, to nie przejął się nim. Miał rację, mówiąc, że się nie boi – swą odwagę zawdzięczał Jabłku, które zapłonęło jeszcze jaśniejszym, teraz już oślepiającym światłem. Przez krótką chwilę zalało blaskiem cały ogród, który jednak równie szybko pogrzyżył się z powrotem w mroku.

Kiedy oczy Altaïra przyzwyczyły się do ciemności, ujrzał pojawiające się sobowtóry Al Mualima. Wyglądało to tak, jakby wychodziły z jego ciała.

Altaïr zastygł w napięciu. Przez myśl przemknęło mu pytanie, czy owe

repliki okazały się jedynie nieudolnymi, słabszymi wersjami oryginału, tak samo jak te, z którymi przed chwilą walczył.

– Czegóż mógłbym się lękać? – Al Mualim szydził teraz otwarcie ze swego ucznia. (Dobrze. Niech szydzi. Niech będzie nieostrożny). – Spójrz, jaką mocą rozporządzam!

Kopie Mistrza ruszyły na Altaïra, który ponownie znalazł się w wirze walki, ogród zaś raz jeszcze wypełnił szcęk stali. Padając kolejno pod mieczem Altaïra, znikły jedna po drugiej, aż wreszcie Altaïr znów znalazł się sam na sam z Al Mualimem.

Kiedy tak stał wyczerpany, z trudem chwytając powietrze, znowu znalazł się w potężnym uścisku mocy Jabłka, które skrzyło się i pulsowało w dłoni Al Mualima.

– Jakieś ostatnie słowo? – spytał Al Mualim.

– Okłamałeś mnie – powiedział z wyrzutem Altaïr. – Nazwałeś dążenia Roberta niecnymi, choć sam dążyłeś do tego samego.

– Nigdy nie potrafiłem się dzielić – odrzekł Al Mualim, niemal ze smutkiem w głosie.

– Nie uda ci się. Inni znajdą w sobie dość siły, żeby ci się sprzeciwić.

– I właśnie dlatego nie będzie pokoju dopóty, dopóki ludzie będą mieć wolną wolę. – Mistrz ciężko westchnął.

– Ostatniego, od którego to usłyszałem, zabiłem.

Al Mualim roześmiał się.

– Śmiałe słowa, chłopcze. Lecz tylko słowa.

– Uwolnij mnie zatem, a przekazuję je w czyn.

Myśli Altaïra galopowały, gdy starał się sprawić coś, co mogłoby sprowokować Al Mualima do nieostrożności.

– Powiedz, Mistrzu, dlaczego nie ukształtowałeś mnie tak jak pozostałych asasynów? Dlaczego pozwoliłeś mi myśleć samodzielnie?

– To, kim jesteś, i to, co robisz, jest ze sobą zbyt ściśle powiązane. Gdybym pozbawił cię jednego, straciłbym i drugie. A ci templariusze musieli zginąć. –

Starzec westchnął ponownie. – Choć, prawdę mówiąc, próbowałem. Kiedy w mojej pracowni pokazałem ci Skarb... Ty jednak nie jesteś taki jak inni. Przejrzałeś iluzję.

Altaïr wrócił myślami do owego popołudnia, kiedy Al Mualim pozwolił mu zobaczyć Skarb. Doświadczył wówczas jego uroku, lecz zdołał oprzeć się pokusie. Zastanawiał się, czy byłby w stanie opierać się jej tak bez końca. Podstępna moc tego przedmiotu zdawała się działać na każdego, kto tylko się z nim zetknął. Nawet na Al Mualima, którego Altaïr do niedawna jeszcze darzył uwielbieniem, który zastępował mu ojca i który był przecież dobrym człowiekiem, uczciwym, sprawiedliwym i powściągliwym – człowiekiem troszczącym się jedynie o dobro Zakonu oraz wszystkich, którzy mu służyli; tymczasem Skarb zdołał zdeprawować nawet jego. Poświata Jabłka nadawała twarzy Al Mualima upiorny odcień. To samo zrobiła z jego duszą.

– Iluzję? – powtórzył Altaïr, wciąż jeszcze wspominając tamto popołudnie. Al Mualim zaśmiał się znowu.

– Nigdy nie było niczego poza nimi. Skarb templariuszy. Fragment Edenu. Słowo Boże. Rozumiesz wreszcie? Morze Czerwone nigdy się nie rozstało. Woda nigdy nie zmieniła się w wino. To nie machinacje Eris doprowadziły do wojny trojańskiej, lecz to... – Podniósł do góry Jabłko. – Iluzje, wszystko to iluzje.

– To, co planujesz, również nie jest niczym więcej, jak tylko iluzją – zarzucił mu Altaïr. – Chcesz zmusić ludzi, by poszli za tobą wbrew ich woli.

– W czym jest to mniej rzeczywiste od urojeń, którym hołdują dziś Saraceni i krzyżowcy? Od tchórzliwych bożków, którzy pierzchli z tego świata, byśmy mogli wyżynać się w ich imię? Ludzie już teraz żyją pośród iluzji. Ja po prostu daję im inną. Taką, która wymaga mniej przelewania krwi.

– Oni mogli przynajmniej wybrać urojenia, w które chcą wierzyć.

– Doprawdy? Z małym wyjątkiem heretyków?

– To po prostu nie jest właściwe! – warknął Altaïr.

– O! Teraz, gdy twoja logika zawiodła, dajesz się ponieść emocjom. Jestem

rozczarowany.

– Co teraz?

– Nie pójdziesz za mną z własnej woli, a ja nie potrafię cię zmusić – podsumował Al Mualim.

– Ty zaś nie porzucisz swych niecznych planów – dodał Altaïr.

– Wygląda więc na to, że znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia.

– Nie – zaprzeczył Altaïr. – Dotarliśmy do kresu.

Być może Al Mualim miał rację, bo oto Altaïr musiał nagle stawić czoła wzbierającej w nim fali emocji. Poczuciu zdrady, smutkowi i czemuś jeszcze, czego początkowo nie potrafił nazwać, lecz w końcu zdołał to zrobić: samotności.

Al Mualim wyciągnął miecz.

– Będzie mi ciebie brakowało, Altaïrze. Byłeś najlepszym z mych uczniów.

Al Mualim sprawiał wrażenie, jakby w jednej chwili ubyło mu lat – przygotował miecz i przyjął szermierczą pozycję, zmuszając swego ucznia, by uczynił to samo. Następnie odskoczył w bok, sprawdzając jednocześnie zasłonę Altaïra. Młody asasyn zdał sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie widział, by Al Mualim poruszał się z taką szybkością. Mistrz, którego znał, zwykł niespiesznie przechadzać się po dziedzińcu, a jego gesty były powolne i powłóczyste. Ten zaś, który stał przed nim, poruszał się jak rasowy szermierz – pracy niestrudzenie do przodu i zażarcie tnący swym mieczem. Altaïr znalazł się w defensywie, a Al Mualim zaatakował prostym pchnięciem. Altaïr musiał wykazać się maksymalną czujnością i mocno wygiąć ramię, w którym trzymał miecz, by odeprzeć natarcie Al Mualima. W rezultacie jednak stracił równowagę i odsłonił swój lewy bok – Al Mualim błyskawicznie dostrzegł swoją szansę i wyprowadził drugi cios. Tym razem doszedł on celu.

Altaïr wykrzywił się w grymasie bólu; czuł, że rana na lewym udzie krwawi, lecz nie odważył się na nią spojrzeć. Nie mógł choćby na chwilę spuścić z oczu Al Mualima. Na twarzy starca pojawił się wymowny uśmiech:

oto szczeniak otrzymał stosowną lekcję. Al Mualim przesunął się nieco w bok, po czym zamarkował uderzenie – najpierw z jednej, a potem z drugiej strony – z nadzieją, że za którymś razem uda mu się przyłapać Altaïra bez gardy.

Tymczasem Altaïr przemógł ból oraz znużenie i sam przypuścił atak, czym, jak zauważył z satysfakcją, całkowicie zaskoczył Al Mualima. Jednak mimo iż udało mu się dosięgnąć przeciwnika – tak mu się przynajmniej zdawało – Mistrz wymknął mu się, zupełnie jakby zniknął i natychmiast pojawił się w innym miejscu.

– Jesteś ślepcem, Altaïrze – zarechotał starzec. – Zawsze byłeś. I zawsze już pozostaniesz.

Mówiąc to, Al Mualim zaatakował ponownie.

Reakcja Altaïra raz jeszcze okazała się zbyt opieszala i asasyn poczuł, jak ostrze miecza Al Mualima tnie go w ramię. Zawył z bólu. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie w stanie zbyt długo tego wytrzymać. Był zbyt zmęczony. Tracił krew. Czuł, jak z jej wpływem powoli opuszcza go energia. Działanie Jabłka, odniesione rany, zmęczenie – wszystko to powoli, ale nieubłaganie czyniło go coraz słabszym. Jeśli nie zdoła szybko odwrócić losów pojedynku, czeka go porażka.

Starzec jednak pozwolił, by Jabłko uczyniło go nieuważnym. Altaïr ruszył do przodu i zadał kolejne uderzenie – tym razem sztych jego miecza wbił się w ciało Al Mualima; pociekła krew. Al Mualim krzyknął z bólu i zniknął, by po chwili pojawić się ponownie i z wściekłością wymalowaną na twarzy przypuścić następny atak. Zamarkował cios z lewej, okręcił się wokół własnej osi i uderzył, biorąc szeroki zamach. Altaïr rozpaczliwym wysiłkiem zdołał sparować ten cios; niewiele jednak brakowało, by zatoczył się przy tym do tyłu. Przez kilka chwil obaj rywale zadawali i parowali ciosy – wymianę zakończył Al Mualim, który zanurkował, po czym zadał pchnięcie z dołu. Udało mu się drasnąć Altaïra w policzek i odskoczyć, zanim młody asasyn zdążył odpowiedzieć.

Altaïr przypuścił kontratak i Al Mualim zniknął. Kiedy jednak pojawił się ponownie, sprawił na Altaïrze wrażenie bardziej zmęczonego, a jego ataki stały się bardziej nieostrożne. Mniej zdyscyplinowane.

Altaïr tymczasem ponownie natarł na swego Mistrza, zmuszając go do teleportowania się kilkanaście stóp dalej. Ramiona starca przygarbiły się teraz, a głowa wyraźnie zaczynała mu ciążyć. Jabłko wysysało siły z Altaïra, ale czy czasem nie robiło tego samego ze swym właścicielem? Czy Al Mualim zdawał sobie z tego sprawę? Na ile ten stary człowiek rzeczywiście rozumiał działanie Jabłka? Moc artefaktu była tak wielka, że Altaïr wątpił, by ktokolwiek mógł naprawdę objąć ją rozumem.

Altaïr pojął, że musi skłonić Al Mualima, by ten jak najczęściej używał Skarbu i tak wyczerpywał własną energię. Z okrzykiem na ustach rzucił się więc na starca, wykonując przy tym straszliwe cięcie mieczem. Na widok tej niespodziewanej gwałtowności oczy Al Mualima zrobiły się okrągłe ze zdziwienia i Mistrz zniknął. Gdy tylko ponownie pojawił się z tyłu, Altaïr natychmiast ruszył ku niemu. Twarz Al Mualima przybrała gniewny wyraz: ogarnęła go frustracja wywołana nagłą zmianą przebiegu pojedynku. Poczuł, że potrzeba mu nieco wolnej przestrzeni, by przygotować się na przyjęcie furiackich ataków swego ucznia.

Tym razem zmaterializował się jeszcze dalej. Plan Altaïra działał: starzec sprawiał wrażenie bardziej zmęczonego niż wcześniej. Mimo to zdążył przygotować się i odeprzeć chaotyczny szturm Altaïra, który okupił starcie raną na drugim ramieniu. Nie była ona jednak na tyle poważna, by powstrzymać asasyna – zaatakował ponownie, po raz kolejny zmuszając Al Mualima do przeniesienia się w inne miejsce. Jak się okazało, już po raz ostatni.

Kiedy Mistrz znowu się pojawił, widać było, że lekko się chwieje i z coraz większym trudem dzierży miecz. Gdy podniósł głowę, szukając wzrokiem Altaïra, ten uważnie spojrzał mu w oczy. Wyczytał z nich, że starzec wreszcie zdał sobie sprawę, że Jabłko pozbawia go sił. Dotarło też do niego,

że Altaïr zrozumiał to już wcześniej.

I być może jedną z ostatnich myśli, jakie przemknęły przez głowę Mistrza, było poczucie dumy ze swego ucznia. Altaïr tymczasem wysunął ukryte ostrze i doskoczywszy do Al Mualima, wbił je głęboko w ciało Mistrza. Uczyniwszy to, wydał z siebie głośny ryk: był to okrzyk zwycięstwa, ale i rozpacz.

– Niemożliwe – wydyszał z wysiłkiem Al Mualim, gdy Altaïr uklęknął obok niego. – Uczeń nie może pokonać mistrza.

Asasyn zwiesił głowę i poczuł, jak łzy spływają mu po policzkach.

– A jednak wygrałeś, Altaïrze. Idź i odbierz swoją nagrodę.

Jabłko wypadło z otwartej dłoni Al Mualima i potoczyło się po marmurowej posadzce. Wreszcie zatrzymało się, połyskując swym wewnętrznym światłem.

Czekało.

– Trzymałeś w rękach ogień, starcze – odezwał się Altaïr. – Trzeba go było zniszczyć.

– Miałbym zniszczyć jedyną rzecz zdolną zakończyć krucjaty i zaprowadzić prawdziwy pokój? – Al Mualim zaśmiał się. – Nigdy.

– Zatem ja to zrobię – oświadczył Altaïr.

– Jeszcze się przekonamy. – Śmiech Al Mualima przeszedł w stłumiony chichot.

Altaïr wpatrywał się w Skarb, nie mógł oderwać od niego oczu. Delikatnie ułożył głowę Al Mualima na kamieniu – widział, jak ze starego człowieka coraz szybciej uchodzi życie – po czym wstał i podszedł do Jabłka.

Podniósł je.

W dłoni Altaïra Jabłko jakby obudziło się do życia, rozbłyskując jasnym światłem. Zdało mu się, że potężny ładunek energii przepłynął z Jabłka na jego rękę, a następnie powędrował aż do jego piersi. Asasyn poczuł, jak coś wzbiera i rozrasta się w jego klatce piersiowej – na początku było to nieprzyjemne, lecz stopniowo przerodziło się w prawdziwie ożywcze

doznanie; odpłynął gdzieś ból po stoczonej walce, a zamiast niego ciało Altaïra wypełniła moc. Jabłko wydawało się pulsować w jego rękach, on sam zaczął zaś widzieć obrazy: niesamowite, niezrozumiałe obrazy. Ujrzał miasta, ogromne i rozświetlone, pełne baszt i fortec sprzed tysięcy lat. Potem zobaczył maszyny i narzędzia, rozmaite dziwaczne wynalazki. Dotarło do niego, że pochodzą z przyszłości. Altaïr widział, jak niektóre z wynalazków stają się źródłem wielkiej radości, podczas gdy inne przynoszą jedynie śmierć i zniszczenie. Tempo, w jakim pojawiały się te obrazy, a także ich intensywność, zapierały Altaïrowi dech. Następnie Jabłko otoczyła świetlista aureola, która stawała się coraz szersza, aż w końcu Altaïr uświadomił sobie, że patrzy na olbrzymi wiszący w powietrzu glob, który kręci się powoli, emanując ciepłą, złotą poświatą.

Asasyn patrzył urzeczony. Oczarowany. To, co widział, było mapą pokrytą dziwnymi symbolami – pismem, którego nie rozumiał.

– Włożyłem całe swoje serce w to, by poznać mądrość, szaleństwo i głupotę. – Zza pleców Altaïra dobiegł głos Al Mualima. – I pojąłem, że także i to jest niczym pogoń za wiatrem. Albowiem wielka mądrość przynosi wielkie utrapienie, a ten, kto zdobywa wiedzę, odczuwa coraz większy smutek.

W tej chwili do ogrodu wpadł Malik na czele swych ludzi. Spojrzeli przelotnie na ciało Al Mualima, tymczasem gdy tylko ujrzeli Jabłko, stanęli jak zahipnotyzowani. Z oddali dobiegały już krzyki, po których Altaïr zorientował się, że rzucone na Masjaf zaklęcie przestało działać.

Przygotował się, by cisnąć Jabłkiem o kamienną podłogę. Wciąż nie mógł jednak oderwać oczu od obracającego się w powietrzu obrazu, podobnie jak nie umiał zmusić swego ramienia, by podporządkowało się jego woli.

– Zniszcz je – zawołał Al Mualim. – Zniszcz, tak jak obiecywałeś!

Dłoń Altaïra drżała. Mięśnie odmawiały wykonania polecenia, które wydawał im jego umysł.

– Ja... nie mogę... – wykrztusił.

– Owszem, możesz, Altaïrze – szepnął Al Mualim. – Możesz. Ale tego nie zrobisz.

To rzekłszy, skonał.

Altaïr podniósł wzrok znad zwłok swego mentora i zauważył, że Malik i pozostali wpatrują się w niego wyczekująco – spodziewali się, że poprowadzi ich i wskaże im drogę.

To Altaïr był teraz Mistrzem.

CZEŚĆ TRZECIA

34

23 czerwca 1257 roku

Siedząc w cieniu, osłonięty przed wycieńczającym upałem, który panował na placu w Masjafie, Maffeo zapytał:

– Ten ogród Al Mualima... Czy to tam, gdzie mieści się jego biblioteka?

– Zgadza się. Altaïr uznał, że to miejsce idealnie nada się do przechowywania jego dzieła: tysiące stron, na których spisano naukę asasynów, wiedzę zdobytą dzięki Jabłku.

– A zatem nie zniszczył go?

– Nie zniszczył czego?

Maffeo westchnął.

– Jabłka, oczywiście.

– Nie.

– Nie zniszczył go wtedy czy nigdy?

– Bracie, proszę, nie przyspieszaj zakończenia naszej opowieści. Nie, Altaïr nie zniszczył Jabłka od razu. Jednym z powodów było to, że najpierw musiał stłumić bunt, jaki wybuchł natychmiast po śmierci Al Mualima.

– To miał miejsce jakiś bunt?

– Istotnie. Po śmierci Al Mualima powstał wielki zamęt. Wielu członków Zakonu dochoowało wierności Al Mualimowi. Albo nie wiedzieli o zdradzie Mistrza, albo też nie chcieli w nią uwierzyć. Dla nich Altaïr był uzurpatorem, który dokonał przewrotu i którego należało powstrzymać. Niewątpliwe

utwierdzały ich w tym przekonaniu pewne skrajne głosy...

– Czyżby Abbas?

Zaśmiałem się.

– Co do tego nie ma wątpliwości. Choć możemy sobie tylko wyobrazić, jak wielkie rozterki wewnętrzne wówczas przeżywał. Uraza, jaką czuł do Al Mualima, była przecież równie silna, jeśli nie silniejsza od tej, którą żywił do Altaïra.

– Altaïr zdusił rebelię?

– Oczywiście. I dokonał tego, trzymając się ściśle Creda: rozkazał bowiem Malikowi i pozostałym podwładnym, by żadnemu z buntowników nie stała się krzywda; by ich nie zabijać ani też nie karać. Kiedy zaś zdołał ich poskromić, nie wprowadził represji. Zamiast szykanami, posłużył się retoryką, przekonując ich najpierw o winie Al Mualima, a następnie o tym, iż on sam jest właściwą osobą do przewodzenia Bractwu. Takim postępowaniem zaskarbił sobie ich oddanie, zaufanie i lojalność. Jego pierwszym zadaniem w roli nowego przywódcy Zakonu było zademonstrowanie, że sam stosuje się do zasad, które zamierza wpoić pozostałym. Bractwo znalazło się na krawędzi przepaści, a Altaïrowi udało się je stamtąd zawrócić na właściwą drogę. Uporawszy się z tym, Altaïr skupił się na swym dzienniku. Zapisywał w nim własne przemyślenia na temat Zakonu, odpowiedzialności, jaka ciążyła na nim jako przywódcy, a nawet na temat owej dziwnej kobiety, z którą zetknął się na cmentarzu. Kobiety, która go... Altaïr kilka razy zapędził się i zaczynał pisać: „zauroczyła”. Za każdym razem jednak powstrzymywał się i zmieniał to słowo na „zainteresowała”. Bez wątplenia myślał o niej wiele. Przede wszystkim pisał o Jabłku. Zaczął stale nosić je przy sobie. Nocami, kiedy spisywał swój dziennik, Jabłko spoczywało na stojaku tuż obok niego. Gdy na nie spoglądał, czuł niepokojącą mieszkanę emocji: gniewu, ponieważ Jabłko zdeprawowało tego, którego Altaïr traktował jak ojca i uważał za wspaniałego asasyna i jeszcze wspanialszego człowieka; strachu, ponieważ

sam zdążył już doświadczyć na sobie mocy skarbu, który daje, ale też odbiera; wreszcie zaś – podziwu.

„Jeśli w tym artefakcie można doszukać się jakiegoś dobra, odnajdę je – pisał, a pióro skrzypiało na kartach dziennika. – Jeśli się jednak okaże, że jest on zdolny wywoływać tylko zło oraz rozpacz, mam nadzieję, że znajdę w sobie dość siły, aby go zniszczyć”.

Tak, Altaïr zwierzył się w swym dzienniku z zamiaru zniszczenia Fragmentu Edenu w razie, gdyby okazało się, że nie może on przynieść ludzkości żadnego pożytku. Tak napisał. Niemniej wątpił, czy w decydującej chwili zdoła wykrzesać z siebie siłę potrzebną do unicestwienia Jabłka.

Posiadacz Jabłka zyskiwał olbrzymią moc, templariusze zaś pragnęli, by owa moc należała do nich. Co więcej, Altaïra nurtowało to, czy templariusze nie poszukują innych artefaktów? A może już weszli w ich posiadanie? Wiedział, że po śmierci Roberta de Sablé jego zakonnicy współpracownicy skoncentrowali swe siły w porcie w Akce. Czy powinien ich tam zaatakować? Był zdecydowany nie dopuścić, by Jabłko, lub inny podobny doń artefakt, wpadł w czyjekolwiek ręce.

Z wyjątkiem jego własnych.

Rozmyślał nad tym w zaciszu swych komnat. Wreszcie uznał, że trwa to już zbyt długo i że zwlekając, daje tylko przeciwnikowi czas na przegrupowanie. Wezwał więc Malika i Jabala: pierwszemu powierzył kierowanie Zakonem do czasu jego powrotu, drugiego zaś poinformował, że wspólnie z nim poprowadzi oddział, który zaatakuje twierdzę templariuszy w Akce. W ten sposób Altaïr zamierzał zdusić cały problem w zarodku.

Wyruszyli niedługo potem. Gdy przejeżdżali przez zamkowy podjazd, Altaïr dostrzegł stojącego na progu Abbasa, który łypał na niego złowrogo. Ostatnie wydarzenia nie stępiły jego nienawiści do Altaïra; wręcz przeciwnie – stała się ona jeszcze gwałtowniejsza.

35

Nad port w Akce nadciągała noc. Ostatnie promienie zachodzącego za horyzontem słońca skąpały szare kamienie przystani w pomarańczowym świetle, morzu zaś nadały kolor krwistej czerwieni. Fale uderzały z impetem o falochrony, a mewy okupujące prowizoryczne grzędy pokrzykiwały hałaśliwie; poza tym jednak przystań była dziwnie pusta.

A przynajmniej ta część przystani, której przyglądał się Altaïr. Obserwował ją z góry, zaintrygowany nieobecnością żołnierzy z czerwonymi krzyżami na piersiach; jakże inaczej wyglądało to miejsce podczas jego ostatniej wizyty, ludzie Sibranda wprost roili się tu niczym pchły na psim grzbiecie. Nagle przeczucie podpowiedziało mu, że śladów aktywności powinien był szukać raczej na drugim krańcu nabrzeża. Niepokój asasyna wzrósł. Zbyt długo zwlekał z podjęciem decyzji. Czy teraz przyjdzie mu za to zapłacić?

Okazało się jednak, że przystań wcale nie była zupełnie pusta. Altaïr usłyszał odgłos zbliżających się kroków i prowadzonej po cichu rozmowy. Podniósł rękę – na ten znak podążająca za nim drużyna zatrzymała się natychmiast, zamieniając się w zastęp nieruchomych, ukrytych w mroku cieni. Altaïr tymczasem skradał się dalej po otaczającym przystań murze, dopóki nie zobaczył tych, których głosy słyszał przed chwilą; ku jego zadowoleniu intruzi właśnie się rozdzielili. Pierwszy z mężczyzn znajdował się teraz niemal dokładnie pod Altaïrem: z pochodnią w ręku zaglądał w ciemne zakamarki oraz wnęki w murze. Altaïrowi przyszło do głowy, że ów człowiek być może myślnie jest teraz w domu, gdzieś w Anglii lub

Francji, gdzie czeka na niego rodzina. Żałował, że musi go zabić. Cicho zeskoczył z muru, lądując prosto na swojej ofierze i wbijając ostrze głęboko w jej ciało. Gdyby tylko można to było załatwić inaczej...

– *Mon Dieu...* – westchnął umierający strażnik, Altaïr zaś podniósł się z ziemi.

Drugi z żołnierzy wysforował się nieco do przodu. Wędrował kamiennym nabrzeżem, oświetlając sobie drogę ociekającą smołą pochodnią, która rozpraszała czające się wokół cienie. Najmniejszy hałas sprawiał, że strażnik kulił się, a teraz zaczął wręcz dygotać ze strachu. Kiedy obok przebiegł szczur, mężczyzna podskoczył i uznawszy widocznie, że tego już za wiele, szybko zawrócił. Pochodnię trzymał teraz tak wysoko, że nie był w stanie niczego zobaczyć.

Szedł szybko, wbijając wzrok w ciemności i na próżno wypatrując swego kompana... Boże, gdzie on się podział? Był tu jeszcze przed chwilą. Weszli na nabrzeże razem, a teraz tamten zniknął bez śladu – i bez choćby jednego odgłosu. Przerażony strażnik zadygotał. Usłyszał cichy jęk, po czym zdał sobie sprawę, że to on sam go wydał. Chwilę później za jego plecami dał się słyszeć dziwny szmer. Mężczyzna obrócił się błyskawicznie – w samą porę, by spojrzeć w twarz depczącej mu po piętach śmierci...

Altaïr przez chwilę klęczał obok zabitego, nasłuchując, czy nie nadchodzą kolejni żołnierze. Nikt się jednak nie zbliżał i uspokojony asasyn wyprostował się. Dołączyli do niego pozostali, którzy jeden za drugim zeskakiwali z muru i pojawiali się na przystani. Podobnie jak on, ubrani byli w białe szaty, na głowy zaś naciągnięte mieli kaptury, spod których patrzyły czujnie czarne oczy. Niemal bezgłośnie rozproszyli się po nabrzeżu, zgodnie z rozkazem wydanym szeptem przez Altaïra. Kiedy w końcu nadbiegli templariusze, asasyni od razu się nimi zajęli. Altaïr pozostawił losy starcia w rękach swych ludzi, sam zaś przemknął między walczącymi i pobiegł w stronę muru. Czuł, jak zżera go niepokój. Obawiał się, że źle wybrał czas ataku i że templariusze zdążyli już pierchnąć. Nagle na jego drodze stanął

wartownik i próbował go zatrzymać; wystarczyło jedno cięcie asasyńskiego ostrza, by mężczyzna zwałił się na ziemię, tryskając krwią z otwartego gardła. Altaïr posłużył się trupem jak podporą – odbił się od niego i wdrapał na szczyt otaczającego przystań muru. Tam przykucnął i zlustrował sąsiednie nabrzeże, a następnie skierował wzrok na morze.

Jego obawy się ziściły. Rzeczywiście – zwlekał zbyt długo: w świetle promieni zachodzącego słońca ujrzał bowiem kołyszącą się na wodach Morza Śródziemnego niewielką flotyllę okrętów templariuszy. Zaklął pod nosem i ruszył pędem przez przystań, kierując się w stronę samego serca portu. Za plecami słyszał odgłosy potyczki: to jego ludzie nadal zmagali się z posiłkami, które przybyły w sukurs strażnikom. Ewakuacja templariuszy była już w toku, ale Altaïr przeczuwał, że klucz do wyjaśnienia tajemnicy ich ucieczki znajdował się w zakonnej fortecy. Szybko, lecz ostrożnie i cicho, zmierzał w stronę twierdzy, której ciemna bryła majaczyła nad dokami. Bez litości pozbył się kilku strażników, którzy stanęli mu na drodze. Z jednej strony kierowało nim pragnienie przeszkodzenia wrogowi w ucieczce, z drugiej – zależało mu na tym, by poznać jej przyczyny.

Gdy już znalazł się w murach fortecy, odgłos jego kroków odbił się echem od ścian z szarego kamienia. Nie sposób było nie zauważyć nieobecności gospodarzy – warownia sprawiała wrażenie opuszczonej i porzuconej. Altaïr wspiął się po kamiennych schodach, które zaprowadziły go na balkon. Nagle usłyszał ludzkie głosy: należały do trzech różnych osób, burzliwie dyskutujących. Ukrywszy się za filarem, zaczął nasłuchiwać i szybko rozpoznał jeden z tych głosów. Wcześniej zdarzało się Altaïrowi zastanawiać, czy jeszcze kiedyś go usłyszy. Miał nadzieję, że tak się stanie.

Głos należał do kobiety z jerozolimskiego cmentarza; owej dzielnej lwicy, która pojawiła się tam w zastępstwie Roberta de Sablé. Teraz zaś stała tu i rozmawiała z dwoma templariuszami, a jej ton zdradzał wyraźne niezadowolenie.

– Gdzie są moje okręty, rycerzu? – warknęła ze złością. – Powiedziano mi,

że pojawi się jeszcze jedna flotylla ośmiu statków.

Altaïr rzucił szybkie spojrzenie w stronę morza. Na horyzoncie rysowały się sylwetki statków templariuszy.

– Przykro mi, Mario, ale to wszystko, co mogliśmy zrobić – odparł jeden z templariuszy.

Maria. Altaïr upajał się brzmieniem jej imienia, podziwiając jednocześnie kształt jej podbródka oraz pełne życia i ognia oczy. Ponownie też zwrócił uwagę na pewną szczególną cechę tej kobiety – sprawiała wrażenie osoby, która stara się ukryć przed światem swoją prawdziwą naturę.

– Co zatem proponujecie? Jak reszta z nas ma się dostać na Cypr? – zapytała.

Po co templariusze mieliby się przenosić na Cypr?

– Za pozwoleniem, pani: byłoby lepiej, gdybyś pozostała w Akce – odparł jeden z rycerzy.

Kobieta nabrała czujności.

– Co to ma znaczyć? Czy to groźba? – spytała.

– To życzliwa sugestia – odparł templariusz. – Wielkim mistrzem jest teraz Armand Bouchart, a on nie ceni cię zbyt wysoko.

Armand Bouchart. Altaïr zanotował w pamięci to imię. A zatem to on przejął schedę po Robercie de Sablé.

Tymczasem stojąca pośrodku balkonu Maria uniosła się gniewem:

– Co takiego, ty bezczelny!... – Nagle opanowała się i dodała spokojnie:

– Bardzo dobrze. Sama znajdę drogę do Limassol.

– Tak, pani – rzekł rycerz, składając przed nią ukłon.

Dwaj templariusze odeszli, zostawiając Marię samą na balkonie. Altaïr zdumiał się, usłyszawszy, jak kobieta zaczyna mówić sama do siebie:

– Niech to diabli... Byłam o włos od pasowania na rycerza... A teraz nie jestem warta funta kłaków, jak byle najemnik.

Altaïr ruszył ku niej. Bez względu na to, co czuł do tej kobiety – a że coś czuł, tego był absolutnie pewien – musiał z nią porozmawiać. Maria usłyszała

zbliżającego się asasy na i odwróciła się w okamgnieniu. Rozpoznała go od razu.

– Proszę, proszę – odezwała się. – Oto mężczyzna, który oszczędził moje gardło, ale ukradł moje życie.

Altaïr nie miał czasu się zastanowić, co miała na myśli, bo nagle błysnęła stal: to Maria z szybkością błyskawicy dobyła miecza i natarła na niego, a refleks, umiejętności i odwaga, z jaką to zrobiła, ponownie wywarły na nim nie lada wrażenie. Kobieta przerzuciła miecz z jednej ręki do drugiej, po czym okręciła się i zaatakowała Altaïra od jego nieosłoniętej strony. Asasyn musiał się mocno uwijać, by odeprzeć ten atak. Maria była dobra, lepsza nawet niż niektórzy z jego ludzi. Przez kilka chwil wymieniali ciosy, a balkon rozbrzmiewał szczękami stali i okrzykami, jakie Maria wydawała przy każdym uderzeniu.

Altaïr zerknął do tyłu, by upewnić się, że nie nadciągają stamtąd posiłki dla jego przeciwniczki. Nie nadciągały. Przecież jej ludzie ją porzucili. Najwyraźniej Maria z powodu bliskich stosunków z Robertem de Sablé, nie zaskarbiła sobie względów jego następcy.

Pojedynek toczył się dalej. Marii udało się na chwilę przyprzeć asasy na do balustrady – zerknąwszy przez ramię, dostrzegł za plecami ciemne morze. W tym samym momencie Altaïr zadał sobie w myśli pytanie, czy ta kobieta rzeczywiście mogłaby go pokonać; przyszło mu też do głowy, że gdyby tak się stało, byłaby w tym naprawdę gorzka ironia. Jednak pragnienie zwycięstwa za wszelką cenę uczyniło Marię nieostrożną; dzięki temu Altaïr zdołał podejść bliżej i kopnięciem z obrotu podciąć jej nogi. Następnie jednym skokiem znalazł się tuż przy leżącej, przystawiając jednocześnie ostrze do jej gardła.

– Wróciłeś, żeby mnie wykończyć? – Choć zadała pytanie wyzywającym tonem, to w jej oczach Altaïr dostrzegł strach.

– Jeszcze nie teraz – odparł, ale nie cofnął ostrza. – Na razie potrzebuję informacji. Dlaczego templariusze odpływają na Cypr?

– To była długa i ciężka wojna, asasynie. – Kobieta uśmiechnęła się. – Każdy zasłużył na trochę wytchnienia.

Altaïr zdołał powstrzymać cisnący mu się na usta uśmiech.

– Im więcej mi powiesz, tym dłużej pożyjesz. Zapytam więc ponownie: po co wam ta ucieczka na Cypr?

– Jaka ucieczka? Król Ryszard wynegocjował rozejm z Saladynem, a wasz Zakon pozostaje bez przywódcy, czyż nie? Gdy tylko odzyskamy Fragment Edenu, to wy będziecie uciekać.

Altaïr pokiwał wyrozumiale głową. Templariuszom zdawało się, że wiedzą wiele o jego Zakonie, ale w rzeczywistości wcale tak nie było. Po pierwsze, asasynie wybrali już przywódcę, a po drugie, nie mieli w zwyczaju uciekać przed templariuszami. Altaïr podniósł się i pomógł wstać Marii. Kobieta otrzepała się, przyglądając się jednocześnie asasynowi.

– Jabłko jest dobrze ukryte – zapewnił, choć doskonale wiedział, że tak nie jest. Skarb spoczywał w jego komnatach.

– Altaïrze, zastanów się, co robisz. Templariusze chcą odzyskać relikwię i gotowi są zapłacić olbrzymią cenę.

– Już ją zapłacili, nieprawdaż? – odparł Altaïr, wskazując Marii drogę.

Kilka chwil później Altaïr znalazł się w otoczeniu swych ludzi.

Starcie na przystani dobiegło już końca i port znalazł się w rękach asasynów. Na widok Marii Jabal uniósł brwi, po czym skinieniem dłoni przywołał dwóch ludzi, którzy odprowadzili kobietę na bok. On sam zaś dołączył do Altaïra.

– Co takiego dzieje się na Cyprze, co mogłoby zainteresować templariuszy? – zamruczał zamyślony Altaïr. Szedł szybkim krokiem w towarzystwie Jabala. Podjął już decyzję odnośnie kolejnego celu podróży i teraz nie było czasu do stracenia.

– Być może wewnętrzne spory? – wyraził przypuszczenie Jabal, rozkładając ręce. – Tamtejszy władca, Izaak Komnen, wiele miesięcy temu wdał się w zbrojny konflikt z Ryszardem, a teraz gnije w lochach

templariuszy.

Altair zadumał się.

– Szkoda. Izaaka łatwo było przekupić. Tak chętnie przyjmował prezenty...

Zatrzymali się przed schodami prowadzącymi na przystań. Obok nich przeszła eskortowana przez asasynów Maria. Głowę trzymała dumnie podniesioną.

– Te czasy już nie wrócą – rzekł Jabal. – Teraz wyspa należy do templariuszy. Kupili ją od króla Ryszarda za śmieszny sumkę.

– Takim rządcom nie będziemy sprzyjać. Czy mamy tam jakieś kontakty? – spytał Altair.

– Jeden, w Limassol. Mieszka tam człowiek imieniem Aleksander.

– Wyślij mu wiadomość – polecił Altair. – Niech spodziewa się mnie w ciągu tygodnia.

36

Altaïr nie pożeglował na Cypr samotnie. Zabrał ze sobą Marię. Jabalowi oświadczył, że kobieta może mu posłużyć jako przynęta dla templariuszy, lecz w swoim dzienniku wyznał, iż lubił mieć ją blisko siebie: było to proste, a zarazem skomplikowane. Do tej pory w jego życiu nie pojawiło się zbyt wiele kobiet. Te, z którymi zdarzało mu się dzielić łożę, nie znaczyły dla niego wiele. Nie spotkał jeszcze niewiasty zdolnej zasiać zamęt w jego uczuciach. Czy teraz trafił na kogoś takiego? To ostatnie pytanie Altaïr wykreślił z dziennika.

Kiedy dotarli do Limassol, zorientowali się, że templariusze bardzo poważnie podeszli do okupacji wyspy. Na pozór miejsce to wyglądało tak, jak zwykle: port skąpany był w pomarańczowym świetle słońca, które barwiło na ten kolor jasne bloki piaskowca; woda mieniła się odcieniami błękitu, a mewy nad ich głowami hałasowały nieustannie, krążąc i nurkując w powietrzu. Czymś nowym była jednak wszechobecność czerwonych krzyży templariuszy: czujni rycerze obserwowali mieszkańców, niechętnie nastawionych do nowych władców wyspy. Odkąd król Ryszard, którego prawo do Cypru było w najlepszym razie wątpliwe, sprzedał wyspę, nie pytając przy tym jej mieszkańców o zdanie, Cypryjczycy czuli nad sobą uzbrojoną w stalową rękawicę pięść zakonu templariuszy. Większość ludzi pogodziła się z tym i zajęła własnym życiem – mieli przecież rodziny, które musieli wykarmić. Garstka śmiałków stawiała jednak opór. To właśnie oni powinni najprzychylniej odnieść się do misji Altaïra i to z nimi asasyn

planował się spotkać.

Altaïr zszedł z pokładu i ruszył wzdłuż nabrzeża. Obok niego szła Maria, jej ręce krępowały więzy. Asasyn upewnił się, że w stroju kobiety nie ma niczego, co mogłyby sugerować jej przynależność do krzyżowców – w oczach postronnych ludzi miała wyglądać po prostu jak niewolnica. Ta sytuacja budziła jej złość, której wcale nie starała się ukrywać. Przez całą drogę nabrzeżem, które okazało się zresztą miejscem o wiele spokojniejszym, niż spodziewał się tego asasyn, narzekała i zrzędziła.

– Co, jeśli zacznę krzyczeć? – zapytała przez zaciśnięte zęby.

Altaïr roześmiał się.

– Ludzie zakryją uszy i pójdą dalej swoją drogą. Zdarzało się im już widywać krnąbrne niewolnice.

Tylko o jakich ludziach mówił?

Nabrzeże było dziwnie puste, a kiedy zanurzyli się w boczne uliczki, przekonali się, że i one są opustoszałe. Pod ścianami leżały nieużywane beczki i stosy starych skrzynek; skądś dobiegał odgłos kapiącej wody. Nagle z zaułka przed nimi wyłonił się mężczyzna odziany w niechlujne szaty oraz turban. Z sąsiednich uliczek wyszło kolejnych dwóch mężczyzn, Altaïr zaś uświadomił sobie, że poza nimi nie ma tu nikogo.

– Wstęp do portu jest zakazany – odezwał się pierwszy mężczyzna. – Odsłoń twarz.

– Pod tym kapturem kryje się tylko brzydki, stary asasyn – mruknął w odpowiedzi Altaïr i podniósł rękę w geście pozdrowienia.

Z twarzy opryszka zniknęła groźba, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Altaïr! – zawołał radośnie.

– Aleksandrze! – pozdrowił go asasyn. – Dostałeś moją wiadomość?

– Sądziłem, że to podstęp templariuszy. Kim jest ta kobieta? – Z błyskiem w oku zlustrował Marię od stóp do głów.

– Przynętą dla templariuszy – wyjaśnił Altaïr. – Należała do Roberta de Sablé. Niestety, straszny z nią kłopot.

Maria wbiła w niego wzrok: gdyby spojrzenie mogło zabić, to Altaïr przed śmiercią zostałby jeszcze dodatkowo poddany okrutnym torturom.

– Możemy ją dla ciebie przechować, Altaïrze – zaproponował Aleksander.
– Mamy tu bezpieczną kryjówkę.

Przez całą drogę do schronienia Maria przeklinała ich parszywe dusze, posługując się przy tym niezwykle ordynarnym, jak na angielską damę, językiem.

Altaïr zagadnął Aleksandra o powód, dla którego na ulicach Limassol było tak niewielu mieszkańców.

– Zupełnie jak w wymarłym mieście, co? Ludzie starają się nie wychodzić z domów, bo boją się, że mogliby złamać nowe niejasne prawo.

Asasyn zamyślił się.

– Templariuszom nigdy wcześniej nie zależało na sprawowaniu rządów. Ciekawe, czemu teraz się to zmieniło.

Aleksander pokiwał tylko głową. Po drodze natknęli się na dwóch zbrojnych, którzy przyjrzeni się im podejrzliwie. Altaïr przygotował się na to, że Maria może spróbować ich wydać. Nie zrobiła tego; asasyn zastanawiał się, czy to dlatego, że jej ludzie porzucili ją w Akce. A może... Nie. Tę myśl przegnał z głowy.

W końcu dotarli do kryjówki, która okazała się opuszczonym magazynem. Wewnątrz znajdowała się komórka, do której dostępu broniła zbita z desek krata; Altaïr i jego ludzie pozwolili Marii pozostać tymczasem w otwartej części magazynu. Asasyn sprawdził tylko więzy na jej nadgarstkach. Chciał się upewnić, że nie są zbyt ciasne, przesunął palcem między postronkiem a ręką kobiety. Spojrzała na niego w sposób, który należałoby opisać jako pełną pogardy wdzięczność.

– Nie przypuszczam, żebyś przyjechał tu gnany miłosierdziem – zagadnął Aleksander, kiedy już się usadowili. – Czy mogę zatem spytać, co cię tu sprowadza?

Altaïr chciał jak najszybciej przystąpić do działania i bezzwłocznie

wyruszyć do siedziby templariuszy, był jednak winien Cypryjczykowi pewne wyjaśnienia.

– Historia jest skomplikowana, ale opowiem ją pokrótce: templariusze są w posiadaniu wiedzy oraz broni o wiele bardziej śmiertelnych, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. Zamierzam to zmienić. Część tego oręża jest już w naszych rękach. To osobliwy przyrząd o niepoznanej jeszcze mocy, zdolny wypaczać ludzkie umysły. Chcę się dowiedzieć, czy templariusze posiadają więcej podobnych przedmiotów.

Za jego plecami rozległ się głos Marii:

– Natomiast z pewnością możemy zaufać asasynom, że zrobią z Fragmentu Edenu lepszy użytek...

Altaïr zwalczył pokusę, by się uśmiechnąć.

– Gdzie zaszyli się templariusze? – zwrócił się do Aleksandra, ignorując uwagę Marii.

– W zamku Limassol, ale szybko rozszerzają swoje panowanie.

Trzeba położyć temu kres, pomyślał Altaïr i spytał:

– Jak dostanę się do środka?

Aleksander opowiedział mu o Osmanie, templariuszu, który sprzyjał cypryjskim buntownikom.

– Zabij kapitana straży – poradził. – Po jego śmierci templariusze awansują na to stanowisko Osmana. Kiedy to nastąpi, łatwo wkroczysz do zamku.

– Od czegoś trzeba zacząć – przyznał Altaïr.

Przemierzając ulice miasta, nie mógł nadziwić się panującej na nich ciszy. Rozmyślał też o Marii. Oraz o Jabłku. Przywiózł je ze sobą – obecnie znajdowało się w kajucie na jego statku. Czy jednak sprowadzenie Skarbu tutaj, tak blisko nieprzyjaciela, nie było niemądrym posunięciem? Czas miał to pokazać.

Na placu targowym udało mu się wypatrzeć kapitana straży, który był tak uprzejmy, że ułatwił asasynowi to zadanie. Na kolczugę przywdział bowiem czerwoną tunikę, w której wyglądał równie władczo jak sam król. Altaïr

rozejrzał się i dostrzegł w pobliżu innych strażników. Pochylił głowę, by nie ściągać na siebie uwagi, unikając przy okazji spojrzenia jednego z wartowników, który zmrużywszy oczy, przypatrywał mu się podejrzliwie. Kiedy strażnik minął go i poszedł dalej, Altaïr także ruszył naprzód. Postronny obserwator wzięby go niechybnie za uczonego. Asasyn z największą ostrożnością zaczął kluczyć, tak by znaleźć się za plecami kapitana, który stał u wylotu uliczki, zajęty wyszczekiwaniami rozkazów do swoich podkomendnych. Poza kapitanem i jego zabójcą uliczka była pusta.

Altaïr wyjął nóż do rzucania z pochewki na ramieniu, po czym jednym ruchem nadgarstka cisnął nim, trafiając prosto w cel. Kapitan z przeciągłym jękiem upadł na bruk. Zanim nadbiegli strażnicy, Altaïr był już w sąsiednim zaułku, by po chwili rozpląnąć się gdzieś w opustoszałych bocznych uliczkach. Zadanie zostało wykonane – teraz pozostawało mu już tylko odnaleźć Osmana, zgodnie z otrzymanymi od Aleksandra instrukcjami.

Szybko i niepostrzeżenie przemykał po dachach spalonego słońcem miasta; z kocią zręcznością przebiegał po drewnianych belkach, aż w końcu stanął tuż nad dziedzińcem, na którym przebywał Osman: templariusz, a jednocześnie sprzymierzeniec asasynów. Altaïr odczekał, aż Osman zostanie sam, i dopiero wtedy opuścił się na dziedziniec.

Osman popatrzył na asasyna, następnie przeniósł wzrok na ścianę, która pięła się w górę ponad ich głowami, po czym ponownie przyjrzał się rozbawionymi wzrokiem swemu gościowi. Asasyńska sztuka cichego poruszania się wyraźnie zrobiła na nim wielkie wrażenie.

– Bądź pozdrowiony, Osmanie – powitał go Altaïr. – Aleksander przesyła wyrazy szacunku i życzy twej babce radosnych urodzin.

Osman roześmiał się.

– Kochana kobieta, niechaj spoczywa w pokoju. A teraz do rzeczy. Jak mogę ci pomóc, przyjacielu?

– Czy możesz mi powiedzieć, po co templariusze kupili Cypr? Chodziło im może o jakieś inne bogactwo?

– Mam zbyt niską rangę, żeby wiedzieć takie rzeczy na pewno. Ale słyszałem, jak rozmawiano o jakimś archiwum – odparł Osman, rozglądając się na wszystkie strony. Gdyby ktoś zauważył, że rozmawia z Altairem, niemal na pewno skończyłoby się to dla niego publiczną egzekucją na placu.

– Archiwum? Ciekawe. Powiedz mi jeszcze, kto z templariuszy jest najwyższy stopniem w Limassol?

– Rycerz Fryderyk, zwany Czerwonym. Ćwiczy żołnierzy na zamku. Brutalny drab.

Altair skinął głową.

– Teraz, gdy dowódca zamkowej straży nie żyje, co trzeba zrobić, żebym dostał się do środka?

– Jeśli tylko mianują mnie na jego miejsce, mogę na pewien czas odwołać część wartowników pod byle pretekstem. Czy to wystarczy?

– Postaram się, żeby wystarczyło – odrzekł Altair.

Wszystko działo się tak szybko.

– Osman poczyni odpowiednie przygotowania – poinformował Aleksandra Altair po powrocie do kryjówki.

Pod jego nieobecność Maria spędziła większość dnia w zamknięciu, zabawiając Aleksandra obelgami i szyderstwami rzucanymi zza kraty. Jednak jej furia tylko rosła, Aleksander bowiem, zauroczony jej angielskim akcentem, domagał się wręcz, by powtarzała swoje tyrady. Po powrocie Altaira Marię wypuszczono i nakarmiono; siedziała teraz na rozchwianym stołku i przyglądała się Altaïrowi i Aleksandrowi, pochłoniętym rozmową, od czasu do czasu rzucając też wściekłe spojrzenia na przechodzących obok niej pozostałych buntowników.

– Doskonale. Co dalej? – spytał Aleksander.

– Damy mu trochę czasu – stwierdził asasyn, po czym zwrócił się do Marii:

– Osman wspomniał o archiwum templariuszy. Słyszałaś o czymś takim?

– Oczywiście – odparła. – Trzymamy w nim naszą bieliznę.

Altair tylko załamał rękę.

– Cypr to dobre miejsce, by ukryć wiedzę i broń – rzekł do Aleksandra. –

Wyspa jest łatwa do obrony, jeśli tylko przyjmie się właściwą strategię.

Wstał. Osman miał już dość czasu, by oczyścić zamkowe mury. Nadeszła pora, by zabrać się do twierdzy.

37

Niedługo potem Altaïr znalazł się na zamkowym dziedzińcu, szykując się do przeniknięcia do środka twierdzy Limassol. Stojąc w cieniu, spojrzął w górę na posępne kamienne mury: notował w pamięci, które z łukowo sklepionych przejść obsadzone są wartownikami, i starał się zapamiętać, jak często strażnicy przemierzają blanki.

Z zadowoleniem zauważył, że murów pilnuje tylko garstka ludzi: Osman dobrze się spisał. Forteca nie była zupełnie niestrzeżona, ale luki w zabezpieczeniach miała na tyle duże, by Altaïr mógł stosunkowo łatwo się przez nie przemknąć. To wszystko, czego potrzebował.

Wspiął się na szczyt muru, po czym zakradł się do wnętrza twierdzy. Rozległ się krzyk i pierwszy strażnik zwałił się na ziemię; z jego szyi sterczał jeden z noży do rzucania Altaïra. Kolejny wartownik, zwabiony hałasem, nadbiegł korytarzem tylko po to, by nadziać się wprost na ostrze asasyna. Altaïr ostrożnie opuścił jego ciało na kamienną podłogę, po czym oparł stopę o plecy trupa i wyciągnął z niego ostrze. Ze stalowej klingi skapnęły na ziemię krople krwi. Asasyn ruszył dalej, przemykając przez niemal zupełnie wyludniony zamek i pozbywając się napotkanych po drodze nielicznych strażników. Osman naprawdę dobrze wypełnił swoje zadanie: nie tylko ubyło wartowników na murach, ale wyglądało też na to, że wielu templariuszy opuściło twierdzę. Altaïr zignorował jednak ukłucie niepokoju i kielkującą gdzieś w głębi duszy niepewność.

Piął się wciąż wyżej i wyżej, zagłębiając się w coraz dalsze rejony zamku,

aż wreszcie dotarł do balkonu, z którego rozciągał się widok na duży wewnętrzny dziedziniec, służący za plac ćwiczeń.

Tam dostrzegł Czerwonego Fryderyka – brodacza potężnej postury, który nadzorował starcie dwóch mężczyzn. Obserwując tego olbrzymiego rycerza, Altaïr uśmiechnął się: Osman, miał rację. Czerwony Fryderyk rzeczywiście był prymitywnym drabem.

– Żadnej litości, ludzie! – ryczał Fryderyk. – To wyspa zabobonnych pogan. Zapamiętajcie sobie: oni was tu nie chcą, nienawidzą was, nie rozumieją prawdziwej mądrości waszej sprawy i nieustannie knują, jak się was stąd pozbyć. Bądźcie czujni i nie ufajcie nikomu!

Dwaj rycerze, opancerzeni od stóp do głów, zmagali się ze sobą, wypełniając dziedziniec szczękiem mieczy. Altaïr, ukryty przed ich wzrokiem na balkonie, przysłuchiwał się tymczasem, jak dowódca templariuszy zachęca walczących do wysiłku.

– Szukajcie słabych punktów przeciwnika! Uderzajcie mocno! Uprzejmości zostawcie sobie na wizyty w tawernach.

Altaïr podszedł do balustrady – tym samym znalazł się w zasięgu wzroku trzech mężczyzn na placu treningowym, którzy jednak okazali się całkowicie pochłonięci walką. Asasyn ocenił wysokość, jaka dzieliła balkon od wybrukowanego dziedzińca, po czym wziął głęboki oddech, rozpostarł ramiona i skoczył.

Z głuchym odgłosem wylądował dokładnie za plecami Czerwonego Fryderyka; nogi miał ugięte, a ręce rozłożone szeroko dla zachowania równowagi. Ledwie zdążył się wyprostować, brodaty templariusz odwrócił się ku niemu.

– Asasyn na Cyprze? – krzyknął, a jego oczy miały błyskawice. – No, no! Jak szybko to robactwo się rozplenia. Położę kres temu...

Nie zdążył dokończyć ostatniego zdania. Altaïr przed zadaniem śmiertelnego ciosu chciał jeszcze spojrzeć templariuszowi w oczy. Zrobiwszy to, wysunął ukryte ostrze i błyskawicznie rozciął rycerzowi gardło. Wszystko

to nie trwało dłużej niż mrugnięcie okiem. Czerwony Fryderyk zarzęził krótko i runął na ziemię; w jego szyi ziała czerwona dziura, a wokół ciała rozlewała się krew, zabarwiając kamienną posadzkę, stosownie do przydomka rycerza.

Przez chwilę podkomendni Fryderyka stali nieruchomo. Ich hełmy ukrywały wszelkie emocje; Altaïr mógł jedynie wyobrazić sobie wstrząs, jaki odmalował się na twarzach zamkniętych za stalowymi zasłonami. Wreszcie rycerze otrząsnęli się i zaatakowali. Altaïr wsunął ostrze w wizurę w hełmie pierwszego z napastników. Spod blachy dobiegł zdławiony bolesny okrzyk, po czym templariusz upadł, a ze szczeliny, w którą trafiło ostrze asasyna, zaczęła wypływać krew. Drugi z rycerzy zamachnął się mieczem, licząc raczej na łut szczęścia niż spodziewając się, że cios sięgnie celu. Asasyn z łatwością uchylił się przed uderzeniem, sięgając jednocześnie po swój nóż do rzucania. Następnie wykonał obrót, zwieńczony wbiciem noża tuż pod napierśnik rycerza.

Walka była skończona. Na dziedzińcu leżały trzy martwe ciała. Altaïr rozejrzał się dookoła, łapiąc oddech. Nie zauważył niczego podejrzanego. W zamku było naprawdę niewielu ludzi.

Wspiął się na balkon i ruszył w powrotną drogę tą samą trasą co wcześniej. Posuwał się naprzód nie niepokoiony przez nikogo, natykając się jedynie na ciała zabitych uprzednio strażników. Poza nimi nie było tu nikogo. Gdzie więc się wszyscy podziali?

Odpowiedź na to pytanie miał otrzymać wkrótce po wydostaniu się z zamku. Podążał po dachach budynków do kryjówki, z utęsknieniem myśląc o czekającym go tam odpoczynku oraz, być może, słownych potyczkach z Marią. Kto wie, może uda mu się nawet z nią spokojnie porozmawiać? Do tej pory zdołał się od niej dowiedzieć jedynie tego, że była Angielką, asystowała Robertowi de Sablé (co to dokładnie znaczyło, Altaïr nie zapytał) oraz że wyruszyła na krucjatę na skutek pewnego incydentu, do którego doszło w Anglii. Ta ostatnia informacja bardzo go zaintrygowała. Miał

nadzieję, że wkrótce uda mu się dowiedzieć, co przydarzyło się Marii.

Nagle Altaïr dostrzegł gruby słup dymu majaczący na tle nieba.

Dymu, który unosił się znad ich kryjówki.

Kiedy znalazł się bliżej, serce waliło mu jak młot. Zauważył krzyżowców, którzy pilnowali, by nikt nie podchodził do płonącego magazynu. Płomienie tymczasem buchały przez okna i wrota, a gęste kłęby dymu spowijały dach budynku. Teraz zrozumiał, dlaczego zamek Fryderyka był tak marnie strzeżony...

Pierwsze, o czym pomyślał, to nie bezpieczeństwo Zakonu, Aleksandra czy któregokolwiek z towarzyszy, którzy mogli przebywać w magazynie. Jego myśli pobiegły ku Marii.

Piersi asasyna rozsadziła furia. Ruchem nadgarstka zwolnił mechanizm ukrytego ostrza, po czym jednym susem zeskoczył z dachu i znalazł się tuż przy dwóch strażnikach. Pierwszy zginął natychmiast z krzykiem na ustach; drugi zdążył się jeszcze odwrócić i spojrzeć na asasyna okrągłymi ze zdziwienia oczami, gdy Altaïr ostrzem otwierał mu gardło. Podniosły się krzyki i nadbiegli kolejni templariusze. Altaïr rzucił się w wir walki, desperacko pragnąc dostać się do kryjówki, gnany naprzód niepewnością losu Marii, która mogła być przecież uwięziona w magazynie i dusić się właśnie dymem. Czy zostawiono ją zamkniętą w komórce? Czy walczyła tam teraz o życie, waląc pięściami w kratę i z trudem chwytając reszki powietrza w wypełnionym dymem pomieszczeniu? Jeśli tak było, to Altaïr mógł tylko wyobrazić sobie jej przerażenie. Tymczasem natarli na niego kolejni templariusze, dzierżący w dłoniach spragnione asasyńskiej krwi miecze. Altaïr nie ustawał. Miotał we wrogów nożami, raził ich ciosami swego miecza, aż w końcu uliczkę zasłały ciała krwawiących templariuszy, on zaś, zdyszany i wyczerpany, pognął w kierunku dogasającego już magazynu, wykrzykując przy tym jej imię:

– Mario!

Odpowiedzi nie było.

Lecz oto nadciągnęły dalsze zastępy zbrojnych. Altaïr z ciężkim sercem umknął po dachach okolicznych budynków, by w spokoju wszystko przemyśleć i zaplanować swój następny ruch.

38

Jak się okazało, decyzję o kolejnym posunięciu podjęto za niego. Siedząc wysoko na kampanili, tuż pod sercem dzwonu, Altaïr widział ruch na pustych do tej pory ulicach miasta. Mieszkańcy opuszczali swe domy. Asasyn nie miał pojęcia, dokąd się udają, ale uznał, że warto się tego dowiedzieć.

Dym nadal unosił się ze zgliszczy magazynu, a templariusze wciąż byli w pełnej mobilizacji. Altaïr wykorzystał dachy, by podążać za tłumem, który najwyraźniej kierował się na miejski plac. Widział wyraz twarzy tych ludzi i słyszał toczne przez nich rozmowy: mówili o zemście i represjach, kilkakrotnie udało mu się też usłyszeć imię Armanda Boucharta. Wieść głosiła, że Bouchart właśnie zawitał na wyspę. Człowiek ten cieszył się przerażającą reputacją. Reputacją okrutnika.

Altaïr miał wkrótce na własne oczy przekonać się, że była to opinia zasłużona. Na razie jednak przepełniło go uczucie radości: w tłumie udało mu się bowiem wypatrzeć Marię, całą i zdrową. Stała między dwoma templariuszami i wyglądało na to, że nadal jest więźniem, choć nie była skrupowana. Jej uwaga, podobnie jak wszystkich innych zgromadzonych na placu osób, skupiona była na schodach katedry.

Asasyn przycupnął na dachu, z którego roztaczał się widok na plac. Z tego miejsca mógł mieć oko na Marię, samemu pozostając poza zasięgiem wzroku innych. Zauważył, że na schodach katedry pojawił się Osman – stanął nieco z boku, gotowy na przybycie Armanda Boucharta. Nowy dowódca templariuszy po chwili rzeczywiście wyłonił się z katedry i dołączył do

Osmana.

Podobnie jak w przypadku jego poprzednika, Roberta de Sablé, można było odnieść wrażenie, że Bouchart wybór na stanowisko wielkiego mistrza zawdzięczał w równej mierze swoim zdolnościom przywódczym, co budzącej respekt powierzchowności. Nosił zbroję, ale widać było, że kryje się pod nią mężczyzna silny i gibki. Głowa Boucharta była zupełnie łyśa; miał za to bujne, grube brwi, ocieniające oczy. Zapadnięte policzki nadawały jego twarzy nieco ascetyczny wygląd.

– Nikczemny mord wstrząsnął zakonem – zagrział, a jego potężny głos natychmiast wymusił uwagę wszystkich zgromadzonych na placu. – Nieodżałowany Czerwony Fryderyk... zabity. On, który z honorem służył Bogu i ludowi Cypru, odebrał niegodziwą zapłatę z rąk mordercy. Kto z was wyda mi ludzi odpowiedzialnych za ten postępek?

Jedyną reakcją tłumu było nerwowe szuranie i przestępowanie z nogi na nogę. Altaïr skierował wzrok na Boucharta, który spochmurniał.

– Tchórze! – ryknął. – Nie zostawiacie mi innego wyboru: sam wypłoszę zabójcę z nory. Niniejszym przyznaję moim podwładnym immunitet do czasu zakończenia tego śledztwa.

Altaïr zauważył, że Osman wzdrygnął się. Zwykle miewał pogodny wyraz twarzy, lecz tym razem było inaczej. Wyglądał na strapionego. Postąpił naprzód i zwrócił się do swego zwierzchnika.

– Ależ mistrzu Bouchart, mieszkańcy już teraz są niespokojni. Może to nie jest najlepszy pomysł.

Bouchart był odwrócony, Osman mógł więc nie zauważyć, jak wykrzywia się w grymasie straszliwej wściekłości. Bouchart nie przywykł do kwestionowania jego rozkazów – co do tego nie pozostawiał wątpliwości. Ciekawe, czy zachowanie sprzed chwili uznał zatem za przejaw niesubordynacji...

W mgnieniu oka dobył miecza i wbił go w brzuch Osmana.

Ugodzony wydał okrzyk, który przetoczył się echem po wypełnionym

oniemiałymi ludźmi placu, po czym świeżo mianowany kapitan straży opadł na kamienne schody, trzymając się oburącz za brzuch. Przez krótką chwilę zwijał się w agonii, aż wreszcie skonał. Gdy jego przedśmiertne rżenie ucichło, na placu zapadła pełna grozy cisza. Altaïr skrzywił się. Nie znał bliżej Osmana, ale to, czego zdążył się dowiedzieć, bardzo dobrze o nim świadczyło. Kolejny przyzwoity człowiek zginął niepotrzebną śmiercią.

Bouchart pochylił się i wytarł klingę miecza o tunikę Osmana.

– Jeśli ktoś jeszcze chce się sprzeciwić, niech się pokaże.

Ciało Osmana zsunęło się nieznacznie i jedno z ramion zwisało teraz bezwładnie ze stopnia schodów. Jego martwe oczy wpatrywały się w niebo.

Dalszych głosów sprzeciwu nie było.

Wtem rozległ się okrzyk Marii, której udało się wyrwać eskortującym ją templariuszom. Podbiegła do schodów i upadła na kolana przed mistrzem zakonu.

– Armandzie Bouchart! – zawołała.

Choć Armand poznał ją i uśmiechnął się na jej widok, nie był to uśmiech, jaki towarzyszy spotkaniu przyjaciół.

– Ha, przecież to stara znajoma – rzucił szyderczym tonem, chowając miecz do pochwy.

– Mistrzu Bouchart – ciągnęła Maria – na Cypr przybył asasyn. Zdołałam mu się wymknąć... Nie może być daleko...

Przyczajony na dachu, Altaïr poczuł, jak ogarnia go zniechęcenie. Liczył, że... Nie. Ona była jednak przede wszystkim templariuszką. Zawsze nią będzie. I to wobec templariuszy będzie lojalna.

– Ależ Mario... – odrzekł rozbawiony Bouchart. – Wygląda na to, że to już twoja druga cudowna ucieczka z rąk asasynów, czyż nie? Pierwszy raz poszczęściło ci się, gdy ich celem był de Sablé, a teraz szczęście dopisało ci po raz drugi tutaj, na mojej wyspie.

Altaïr obserwował, jak na twarzy Marii odmalowuje się panika.

– Nie mam żadnych konszachtów z asasynami – wykrzyknęła. – Proszę,

wysłuchaj mnie, mistrzu Bouchart!

– De Sablé był nieszczęśnikiem o słabej woli. Ustęp siedemdziesiąty pierwotnej Reguły Templariuszy wprost zabrania jakiegokolwiek zażyłości z kobietami... gdyż to za pośrednictwem kobiet diabeł tka najsilniejsze ze swych sieci. De Sablé zlekceważył to przykazanie i zapłacił za to życiem.

– Jak śmiesz? – krzyknęła Maria, Altaïr zaś mimo woli uśmiechnął się. W przypadku Marii strach był, jak zwykle, uczuciem przelotnym.

– Czyżbym dotknął czułego miejsca? – zarechotał, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony Bouchart, po czym ryknął: – Zamknąć ją!

Spotkanie z mieszkańcami Limassol dobiegło końca. Bouchart obrócił się na pięcie i opuścił plac, zostawiając za sobą rozciągnięte na schodach szkliskie zwłoki Osmana. Maria zaś została skrepowana i odciągnięta przez strażę.

Altaïr spoglądał to na oddalającą się postać templariusza, to na Marię. Był rozdarty, nie mogąc się zdecydować, co dalej czynić. Boucharta miał na wyciągnięcie ręki. Można było zaatakować go w chwili, gdy najmniej się tego spodziewał. Taka okazja mogła się już nie powtórzyć.

Lecz z drugiej strony – co z Marią?

Asasyn opuścił się z dachu na ziemię i ruszył za strażnikami, którzy wyprowadzili Marię z placu katedralnego, zmierzając zapewne w kierunku ciemnicy. Utrzymywał bezpieczną odległość aż do chwili, gdy skręcili w spokojniejszą uliczkę – wtedy uderzył. Niedługo później dwaj strażnicy leżeli martwi, a Altaïr podszedł do Marii, która podczas walki została odepchnięta na bok i leżała teraz na ziemi ze związanymi rękoma, usiłując stanąć na nogi. Wyciągnął ku niej dłoń, ale ona wyrwała się gwałtownie.

– Zabieraj łapy! – warknęła. – To przez ciebie uważają mnie za zdrajczynię.

Altaïr uśmiechnął się do niej pobłaźliwie, mimo że zwróciła wcześniej uwagę Boucharta na obecność asasyna na wyspie.

– Czujesz gniew, Mario, ale to nie ja jestem jego przyczyną. Twoim prawdziwym wrogiem są templariusze.

– Zabiję cię, kiedy tylko nadarzy mi się sposobność – zagroziła, łypiąc na niego spode łba.

– Jeśli ci się nadarzy... Ale wtedy nigdy nie odnajdziesz Jabłka, Fragmentu Edenu. Zastanów się, co zapewniłoby ci większe względy u templariuszy? Dostarczenie im mojej głowy czy może tego artefaktu?

Przyjrzała mu się spod zmrużonych powiek. Zrozumiała, że Altaïr ma rację i wydawało się, że nieco się uspokoiła.

Przynajmniej na razie.

Znacznie później oboje spotkali się z Aleksandrem, który z zatroskaną miną powiadomił Altaïra, że Bouchart, pomimo całej swej brawury, najwyraźniej potraktował ostrzeżenie Marii poważnie. Mówiąc to, Aleksander obrzucił Marię spojrzeniem, w którym czaiła się taka wściekłość, że dziewczynę wbiło w ziemię, co nie zdarzało się zbyt często.

– Moi szpiedzy donieśli mi, że po zniszczeniu naszej kryjówki Bouchart niezwłocznie pożegłował do Kyrenii – dodał Cypryjczyk.

– Wielka szkoda. – Altaïr zmarszczył brwi. – Miałem nadzieję, że się z nim zmierzę.

Nie porzucił jednak planu spotkania z mistrzem templariuszy.

– Powiedz mi, jak się tam najszybciej dostać? – zapytał.

39

Podróżowali w przebraniu – on jako mnich, a ona jako jego towarzyszka, zadowoliwszy się odrobiną miejsca w ładowni statku. Od czasu do czasu zaglądali tam członkowie załogi, którzy nie zwracali jednak większej uwagi na dwoje obcych; kładli się po prostu w byle kącie i drzemali, pierdząc przy tym i posapując. Kiedy Maria za którymś razem zasnęła, Altaïr znalazł leżącą w ładowni skrzynkę i rozłożył na niej swój dziennik. Z zakamarków habitu wyciągnął Jabłko.

Odkryte, rozjarzyło się wewnętrznym światłem. Altaïr przyglądał mu się przez chwilę, po czym zaczął pisać:

Staram się zrozumieć Jabłko, ów Fragment Edenu, pojąć jego funkcje oraz zastosowanie, ale na razie mogę stwierdzić tylko tyle, że z pewnością nie jest ono boskiego pochodzenia. Nie... To swoisty przyrząd... Machina o wyjątkowej wręcz precyzji. Kim mogli być ludzie, którzy powołali do istnienia tak cudowną rzecz?”

Nagle asasyn usłyszał szmer za plecami. W mig pochwycił i zakrył Jabłko, po czym schował je pod szatę. Okazało się, że to Maria obudziła się właśnie ze snu. Altaïr zamknął dziennik i przestępując ponad ciałami dwóch śpiących na podłodze marynarzy, zbliżył się do miejsca, gdzie siedziała dziewczyna – oparta o stos drewnianych skrzyń ziewała i wciąż jeszcze dygotała po przebudzeniu. Maria przyciągnęła kolana do piersi i spojrzała na Altaïra, który usiadł obok niej. Z jej oczu trudno było wyczytać, o czym myśli. Przez

chwilę oboje nasłuchiwali trzasków kadłuba i uderzeń fal o statek. Nie wiedzieli, czy na zewnątrz jest dzień, czy noc, ani też jak długo trwa już podróż.

– Jak tu trafiłaś? – zapytał Altaïr.

– Czyżbyś nie pamiętała, świątobliwy mężu? – powiedziała żartobliwym tonem. – Wszak ty mnie tu sprowadziłeś.

Po czym dodała szeptem:

– Mój los związany jest z tobą.

Altaïr chrząknął.

– Chodziło mi o Ziemię Świętą. O krucjaty.

– Powinnam siedzieć w domu, z robótkami na kolanach, jednym okiem zerkając na ogrodnika?

– A czy to nie tym właśnie zajmuje się każda angielska kobieta?

– Na pewno nie ja. W mojej rodzinie uchodziłam za dziwadło. Kiedy dorastałam, wolałam chłopięce zabawy. Lalki zupełnie mnie nie interesowały, co ogromnie irytowało moich rodziców. Urywałam im głowy.

– Rodzicom?

Roześmiała się.

– Lalkom. Moi rodzice robili oczywiście co tylko w ich mocy, by uczynić mnie trochę mniej niesforną. Na moje osiemnaste urodziny podarowali mi wyjątkowy prezent.

– Co takiego?

– Męża.

Altaïr aż podskoczył.

– Jesteś mężatką?

– Byłam. Miał na imię Piotr i był sympatycznym młodzieńcem, tyle że...

– Że co?

– Cóż, to wszystko. Był... sympatyczny. Nic poza tym.

– Zatem nie nadawał się na towarzysza zabaw.

– W żadnym razie. Mój wymarzony mąż musiałby zaakceptować we mnie

te cechy charakteru, które chcieli wyplenić moi rodzice. Jeździlibyśmy razem na łowy i na polowania z sokołem. Szkoliłby mnie w walce i dbał o ćwiczenia, a także pomagał zdobywać wiedzę. Ale Piotr nie robił żadnej z tych rzeczy. Po ślubie wyjechaliśmy do jego rodowej siedziby – Hallaton Hall w Leicestershire. Zostałam tam panią domu, od której oczekiwano zarządzania służbą, doglądania gospodarstwa i, rzecz jasna, rodzenia mężowi potomków. Co najmniej trzech. Dwóch chłopców i dziewczynki, najlepiej w takiej właśnie kolejności. Nie sprostalam jednak oczekiwaniom mego męża, tak jak i on nie sprostął moim. Jeszcze mniej interesujące niż intrygi wśród służby było dla mnie wychowywanie dzieci, o wydawaniu ich na świat nie wspominając. Po czterech latach uników i wykrętów odeszłam. Na szczęście biskup Leicestershire okazał się bliskim przyjacielem starego lorda Hallatona i załatwił unieważnienie małżeństwa: uznano, że będzie to lepszym wyjściem niż ryzykowanie, że głupia, narwana dziewczyna przysporzy rodowi Hallatonów jeszcze większego wstydu. Oczywiście stałam się *persona non grata* w Hallaton Hall, a właściwie to w całym Leicestershire. Po powrocie do domu przekonałam się, że również i tam moja sytuacja nie przedstawia się najlepiej. Hallaton domagał się zwrotu wiana, które mój ojciec zdążył już roztrwonić. Wreszcie doszłam do wniosku, że najlepiej będzie dla wszystkich, jeśli wyjadę. Uciekłam więc na krucjatę.

- Jako niewiasta opiekująca się chorymi?
- Nie, jako żołnierz.
- Przecież jesteś...
- Mistrzynią w przebieraniu się za mężczyzną. Czy nie oszukałam cię tamtego dnia na cmentarzu?
- Wiedziałem, że nie jesteś Robertem, ale...
- Ale nie podejrzewałeś, że mogłabym być kobietą – dokończyła. – Widzisz? Lata doświadczenia w byciu hałaśliwą, niesforną dziewczuchą w końcu się na coś przydały.
- A de Sablé? Jego także udało ci się nabrać? – spytał Altaïr i raczej

wyczuł, niż zobaczył smutny uśmiech, z jakim przyjęła to pytanie.

– Początkowo lubiłam Roberta – powiedziała łagodnie. – Z pewnością dostrzegł we mnie większy potencjał niż Piotr. Ale oczywiście zauważył też, w jaki sposób może mnie wykorzystać. Nie minęło wiele czasu, zanim to zrobił.

Z piersi Marii wyrwało się westchnienie.

– Dobrze się stało, że go zabiłeś – mówiła dalej. – To nie był dobry człowiek. Cokolwiek do niego czułam, on nie był tego wart.

– Czy to on ci to podarował? – zagadnął po chwili Altaïr, wskazując na jej dłoń, na której lśnił pierścień z drogim kamieniem.

Maria spojrzała na swą rękę i zmarszczyła brwi, jakby zapomniała, że wciąż nosi ten klejnot.

– Tak. To prezent, który dostałam, kiedy Robert wziął mnie pod swoje skrzydła. To wszystko, co mi zostało z więzi, jakie łączyły mnie z templariuszami.

Zapadło niezręczne milczenie, przerwane wreszcie przez Altaïra.

– Czy studiowałaś kiedyś filozofię, Mario?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Czytałam fragmenty różnych dzieł... Nic poza tym.

– Filozof imieniem Empedokles nauczał, że wszelkie życie na Ziemi zaczęło się od prostych, podstawowych form: dłoni bez ramion, głów bez ciał, oczu bez twarzy. Wierzył, że te wszystkie pierwotne formy łączyły się ze sobą stopniowo i powoli, aż z biegiem czasu powstało życie takie, jakim je widzimy, w całym bogactwie form. Ciekawe?

Maria prawie ziewnęła.

– Zdajesz sobie sprawę, jak absurdalnie to brzmi?

– Owszem... ale znajduję pociechę w słowach filozofa Al-Kindiego: nie wolno nam bać się idei, bez względu na źródło ich pochodzenia. I nigdy nie wolno nam się lękać prawdy, nawet jeśli nas rani.

– Jakoś nie mogę dostrzec sensu w tych twoich zawiłych wywodach –

zaśmiała się miękko, a jej głos wydawał się senny i ciepły.

Altaïrowi przyszło do głowy, że być może niewłaściwie ją ocenił. Może nie była jeszcze gotowa, by rozpocząć naukę. W tej samej chwili odezwał się dzwon – znak, że przybili do Kyrenii. Oboje podnieśli się ze swych miejsc.

Altaïr spróbował raz jeszcze:

– Jedynie umysł wolny od ograniczeń zdolny jest uchwycić chaotyczne piękno świata. To nasz największy skarb.

– Ale czy chaos jest czymś, co powinno nas cieszyć? Czy nieład może być cnotą? – zapytała Maria, Altaïr zaś przyjął to pytanie z ulgą. Być może Maria była jednak zdolna przyswoić sobie wyższą wiedzę.

– To prawda, że chaos stawia przed nami wyzwania – odparł – lecz to wolność, a nie jej przeciwieństwo, przynosi nam większą nagrodę. Ład i pokój, do których dążą templariusze, wymagają służalczości i niosą ze sobą zniewolenie.

– Znam to uczucie... – rzekła w zamyśleniu Maria.

Ruszyli ku drabinie prowadzącej na pokład i w tej samej chwili Altaïra ogarnęło niezwykle poczucie bliskości z tą kobietą. Zdał sobie sprawę, że właśnie takiej bliskości pragnął od chwili, gdy spotkał Marię po raz pierwszy. Teraz, gdy doświadczył już tego uczucia, zasmakował w nim i pragnął, by trwało nadal. Mimo to miał świadomość, że wciąż powinien mieć się na baczności. Czyż Maria nie oświadczyła, że chce go zabić? Jej lojalność wobec zakonu templariuszy została nadszarpnięta, ale to nie oznaczało, że od razu wstąpiła na ścieżkę asasynów. Przeczucie mówiło Altaïrowi, że ta dziewczyna podąża własną drogą – drogą Marii.

Rychło miało się to potwierdzić.

Przy samej drabinie Maria uśmiechnęła się i wyciągnęła do asasyna rękę. Altaïr przyjrzał się im nieufnie. Nie było jednak sposobu, by kobieta wspięła się pod drabinie ze skrzepowanymi dłońmi; poza tym podróżowali przecież w towarzystwie piratów, i choć byli to ludzie o nader wątpliwej moralności, to nawet ich mogłoby zdziwić to, że mnich trzyma swą towarzyszkę

w pętach. Dwaj członkowie załogi, którzy spali w ładowni, wstali właśnie i ziewając oraz drapiąc się w krocza, zerkali w stronę Altaïra i Marii. Asasyn dyskretnie wysunął ostrze i przeciął więzy na nadgarstkach kobiety, która rzuciła mu wdzięczne spojrzenie, po czym zaczęła wchodzić po drabinie.

Nagle usłyszał coś, co zwróciło jego uwagę. Szept. Bardziej od samych słów zaniepokoił go ton, jakim były wypowiedane. Zaczął nasłuchiwać, starając się nie dać tego po sobie poznać. Jego podejrzenia się potwierdziły: dwaj piraci rozmawiali o nim oraz o Marii.

– Wiedziałem, że to on – wychrypiał pierwszy. – Mówiłem ci.

Altaïr czuł na karku ich spojrzenia.

– Założę się, że templariusze wypłacą nam sowitą nagrodę za tę parkę.

Asasyn zaklął pod nosem. Wyglądało na to, że lada moment ostrze przyda mu się ponownie...

Usłyszał odgłos wyciąganych z pochew bułatów.

Teraz.

Altaïr odwrócił się ku piratom dokładnie w tej chwili, gdy jego towarzyszka zdecydowała się podążyć Drogą Marii i podjąć próbę odzyskania wolności – kopnięciem pozbawiła asasyna równowagi, posyłając go na burzę. Po twarzy Altaïra rozlał się palący ból.

Ból, choć zupełnie inny, Altaïr poczuł też w sercu.

Maria tymczasem zdążyła już zniknąć w kwadratowym otworze prowadzącym na pokład, przez który wpadał do ładowni snop słonecznego światła. Altaïr zaklął raz jeszcze, tym razem głośno, i stanął na równe nogi, przygotowując się do odparcia ataku piratów. Pierwszy z nich natarł na niego z szerokim uśmiechem, zapewne myśląc już o czekającej go nagrodzie – oraz o winie i kobietach, które za nią kupi.

Altaïr wbił miecz w mostek mężczyzny, który od razu zgasił uśmiech; po chwili jego ciało ześlizgnęło się powoli z klingi asasyna. Na ten widok drugi z napastników postanowił raz jeszcze przemyśleć całą sprawę i zatrzymał się. Zmrużył oczy i zaczął przerzucać bułat z jednej ręki do drugiej. Teraz to

Altaïr się uśmiechnął i tupnął nogą, z satysfakcją obserwując, jak przeciwnik nerwowo się wzdrygnął.

Dobrze, pomyślał asasyn. Spodobało mu się, że pirat przed śmiercią naje się jeszcze trochę strachu.

Śmierć zaś nadeszła szybko. Altaïr zatopił ostrze w boku mężczyzny, a następnie szarpnął nim ku sobie, otwierając w ciele ofiary szeroką ranę. Pirat wyrócił oczyma, po czym upadł na podłogę ładowni, tuż obok swego kompana. Asasyn wspiął się po drabinie i znalazłszy się na głównym pokładzie, zamrugął gwałtownie, przyzwyczajając oczy do blasku słońca. Zaalarmowani wcześniejszym pojawieniem się Marii piraci zbiegli się na pokład; gdy zobaczyli Altaïra, podnieśli krzyk – najwyraźniej zdali sobie sprawę, co się święci. Asasyn tymczasem pędem pokonał pokład, zanurkował pod takielunkiem, zbiegł po trapie i wreszcie znalazł się na nabrzeżu portu w Kyrenii, gorączkowo szukając jakiejś kryjówki, w której mógłby przeczekać niebezpieczeństwo.

A potem znajdzie Marię, pomyślał ze złością. Tym razem nie pozwolę jej uciec.

Rozejrzał się wokoło. Oto kolejne miasto zajęte przez templariuszy. Skąpana w promieniach słońca Kyrenia wydała się Altaïrowi zbyt piękna, by pozostawić ją w rękach wroga.

40

Odnalezienie Marii nie nastreczyło Altaïrowi trudności. Ta dziewczyna przyciągała do siebie kłopoty niczym statek szczury. Gdy ją odszukał, u jej stóp leżały zwłoki kilku piratów, a trzech miejscowych mężczyzn stało opodal, wycierając klingi swych mieczy z krwi i dysząc ciężko po stoczonych walce. Na widok Altaïra czujnie znieruchomieli, on jednak uniósł tylko rękę w geście dobrej woli, starając się jednocześnie ogarnąć wzrokiem całą scenę: Marię, ludzi z mieczami oraz martwe ciała.

Wyglądało na to, że raz jeszcze szczęście dopomogło jej w ucieczce.

– Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę – odezwał się, nadal trzymając rękę w górze.

Maria miała wybitny talent do nieokazywania zaskoczenia, bez względu na okoliczności.

– Najwyraźniej nie mam aż tyle szczęścia... – odparła.

Spojrzał na nią z groźną miną, po czym zwrócił się do jednego z Cypryjczyków, który wyglądał na przywódcę całej trójki.

– Co chcecie zrobić z tą kobietą? Jesteście pachołkami templariuszy?

– Nie, panie... – wyjąkał mężczyzna. Sam trzymał w dłoni obnażony miecz, i chociaż Altaïr stał z pustymi rękami, Cypryjczyk od razu rozpoznał wprawnego wojownika.

– Zaatakowali ją piraci i uznałem, że muszę jej pomóc – dodał. – Ale nie jestem niczym pachołkiem. Templariuszy zaś nienawidzę.

– Rozumiem. Więc powiem ci, że nie jesteś w tym odosobniony – rzekł

Altaïr.

Mężczyzna pokiwał gorliwie głową, zadowolony, że udało im się znaleźć nić porozumienia.

– Nazywam się Markos, panie – przedstawił się. – Zrobię, co w mojej mocy, by ci pomóc, jeśli tylko przyczyni się to do wypędzenia krzyżowców z mego kraju.

Doskonale, pomyślał Altaïr.

– Chciałbym, żebyś zatroszczył się o bezpieczeństwo tej kobiety, dopóki nie wrócę. Muszę kogoś znaleźć, zanim zrobią to templariusze.

– Przez cały dzień będziemy nad zatoką. Przy nas włos jej z głowy nie spadnie – zapewnił Markos, po czym mężczyźni pochwycili gniewnie protestującą Marię, która kolejny już raz została odprowadzona wbrew własnej woli. Obserwując oddalającą się grupkę, Altaïr pomyślał z ulgą, że Maria będzie teraz bezpieczna. Czeka ją dzień w towarzystwie kilku krzepkich Cypryjczyków, wypełniony obserwowaniem życia toczącego się w Zatoce Kyreńskiej: były oczywiście lepsze sposoby spędzenia tych kilku godzin, ale były i znacznie gorsze. On zaś będzie przynajmniej miał pewność, że podczas jego spotkania z Barnabą – jego kontaktem w Kyrenii, o którym powiedział mu Aleksander – Marii nie spotka nic złego.

Odnalazł Barnabę w kryjówce, rolę której pełnił spichlerz. Wszedłszy do środka, Altaïr zawołał ostrożnie, jednak nie otrzymał żadnej odpowiedzi – usłyszał jedynie chrobot myszy i dalekie odgłosy dobiegające z ulicy. Niespodziewanie spomiędzy worków wynurzył się mężczyzna: miał czarną brodę i czarne, czujne oczy. Przedstawił się jako Barnaba. Gdy Altaïr zapytał, czy w kryjówce znajduje się jakaś komórka, którą można by wykorzystać jako celę, Barnaba uśmiechnął się usługnie i zapewnił, że owszem. Potem jednak się zawahał. Otworzył najpierw jedne drzwi, po czym zamknął je, podszedł do drugich i zajrzał do środka przez szparę. Następnie oznajmił, że w suszarni jest zakratowane pomieszczenie, które z powodzeniem może posłużyć za celę.

– Przybyłem tu za Armandem Bouchartem – poinformował Barnabę Altaïr kilka chwil później, gdy obaj usiedli w magazynie na workach ze zbożem.

– Ha! Więc Bouchart przebywa w Kyrenii? – zdziwił się Barnaba. – Prawdopodobnie wizytuje swych więźniów w Buffavento.

– To jakaś pobliska twierdza?

– Tak, to tutejszy zamek. Niegdyś był rezydencją pewnej cypryjskiej arystokratki. Do czasu, aż templariusze zagarnęli jej majątek.

Altaïr skrzywił się, usłyszawszy po raz kolejny o pazerności wojowniczych mnichów.

– Możesz mnie tam zaprowadzić?

– Cóż... Mogę zrobić nawet więcej. Mogę wprowadzić cię do środka tak, że wartownicy nie mrugną nawet okiem. Najpierw jednak ty musisz zrobić coś dla mnie. Dla nas Cypryjczyków.

– Przyjacielska przysługa – podsumował Altaïr. – O co chodzi?

– W naszych szeregach jest zdrajca – ponuro oznajmił Barnaba.

Zdrajcą okazał się kupiec imieniem Jonasz. Otrzymałszy od Barnaby wszelkie potrzebne informacje, asasyn zaczął go śledzić i tym sposobem trafił do amfiteatru położonego w centrum miasta. Według Barnaby, Jonasz przekazywał sekrety buntowników templariuszom. Altaïr przez pewien czas obserwował Jonasza, który spotkał się tam z innym handlarzem, sprawiającym wrażenie zwyczajnego człowieka interesu. Kiedy spotkanie dobiegło końca i Jonasz ruszył do wyjścia, Altaïr podążył za nim – opuściwszy amfiteatr, kupiec skierował się ku mniej uczęszczanym dzielnicom miasta. Asasyn zauważył, że do Jonasza stopniowo zaczyna docierać, że jest śledzony: coraz częściej oglądał się za siebie i za każdym razem, gdy jego wzrok napotykał Altaïra, zdawał się coraz bardziej zdenerwowany i przerażony. Nagle zerwał się do biegu. Ścigający go asasyn z zadowoleniem dostrzegł, że kupiec skręca w niewielki zaułek.

Altaïr przyspieszył i pognał w ślad za swą zwierzyną.

Gdy jednak dobiegł do rogu uliczki, ta okazała się pusta.

Zatrzymał się więc i zerknął za siebie, upewniając się, że nikt go nie obserwuje. Następnie zwolnił mechanizm ukrytego ostrza, które wysunęło się z cichym szcękaniem. Zrobił dwa kroki do przodu i zrównał się z wysokim, niestabilnym stosem skrzynek, który lekko się zachwiał. Asasyn pochylił się nieco, a następnie wbił ostrze w jedną ze skrzyń. Drewno rozszczepiło się i rozległ się krzyk. Stos runął prosto na Altaïra, który zaparł się i z najwyższym trudem zachował równowagę.

Udało mu się utrzymać na nogach. Gdy części drewnianej piramidy zaległy wokół niego na ziemi, Altaïr rozluźnił mięśnie i spojrzawszy na swe wciąż wyprostowane ramię, napotkał wzrokiem wbite w szyję Jonasza ostrze; z rany powoli sączyła się krew. Kupiec nadal trwał w skulonej pozycji; sprawiał teraz żalosne, rozpaczliwe wręcz wrażenie. I chociaż Altaïr wiedział, że ma do czynienia ze zdrajcą, choć zdawał sobie sprawę, że informacje przekazywane przez Jonasza templariuszom wykorzystywane były do porywania, torturowania i mordowania Cypryjczyków opierających się templariuszom, to zrobiło mu się żal tego człowieka. Wyciągnął ostrze z rany delikatnym ruchem i odsunął na bok szczątki drewnianych skrzyń, a następnie ułożył Jonasza na uprzątniętym skrawku ziemi, nachylając się nad nim.

Krew nadal sączyła się z rany na jego szyi.

– Cóż to? – wyrzęził Jonasz. – Asasyn? Czyżby Saladyn skierował swe oczy na nasz biedny Cypr?

– Asasynów nic nie łączy z Saracenami. Mamy własne cele i zajmujemy się własnymi sprawami.

Jonasz zakaszłał, obnażając przy tym zakrwawione zęby.

– Cokolwiek by cię tu nie sprowadzało, wieści o twojej obecności już się rozeszły. Byk wyznaczył nagrodę za twą głowę... i za głowę twojej towarzyszki.

Altaïr widział, jak wraz z upływem krwi z kupca coraz szybciej uchodzi życie.

– Z każdym dniem jestem wart coraz więcej – rzekł, po czym zadał ostatnie pchnięcie.

Kiedy wstał, wcale nie poczuł satysfakcji z dobrze wykonanego zadania. Zamiast tego miał złowróżbne przeczucie. Ten Byk, o którym wspomniał Jonasz... Kimkolwiek był, z pewnością pozostawał lojalny wobec Armanda Boucharta i na pewno wiedział, że Altaïr i Maria przebywają w Kyrenii. Czy właśnie to było źródłem dręczącego Altaïra niepokoju?

Wspiął się na dach, zamierzając jak najszybciej odnaleźć Marię i Markosa.

– No cóż, Mario, wygląda na to, że za nasze głowy gotowi są zapłacić ciężki grosz – rzekł do swej towarzyszki Altaïr, gdy już ją odnalazł. Tak jak to sobie wyobrażał, siedziała na ławie wciśnięta pomiędzy Markosa i jego towarzysza i miała tak dobrze mu znany gniewny wyraz twarzy, do którego zaczynał się już przyzwyczajać.

– Wyznaczyli cenę? Przeklęty Bouchart! Pewnie sądzi, że jestem u ciebie na terminie.

– Ktoś – niejaki Byk – wysłał swych ludzi, by nas odszukali.

Maria podskoczyła jak użądlnona.

– Byk? A więc ten zelota doczekał się wreszcie własnej parafii?

– To twój przyjaciel? – spytał cierpko Altaïr.

– W żadnym wypadku. Naprawdę nazywa się Moloch. Świętoszkowaty chwalipięta z łapami jak dwa pniaki.

Altaïr obrócił się ku siedzącemu obok Markosowi.

– Znasz kryjówkę buntowników w Dzielnicy Ludowej?

– Wiem, gdzie się znajduje, ale nigdy w niej nie byłem. – Markos odchrząknął. – Jestem prostym żołnierzem naszego ruchu.

– Maria nie może być widziana w moim towarzystwie, więc to ty będziesz musiał ją tam zabrać – powiedział po namyśle Altaïr. – Dopilnuj, by po drodze nie rzucała się w oczy. Spotkacie się ze mną na miejscu, kiedy będziecie już bezpieczni.

– Znam różne zaułki i przejścia.

– To może potrwać nieco dłużej, ale przynajmniej dostarczymy ją tam

w jednym kawałku.

Rozdzielili się i wyruszyli do kryjówki. Jako pierwszy do celu dotarł Altaïr. W magazynie zastał Barnabę, wyciągniętego wygodnie na rozłożonych na podłodze workach ze zbożem; na widok wchodzącego asasyna Cypryjczyk wstał i stłumił ziewnięcie, jakby dopiero obudził się ze snu.

– Właśnie otrzymałem wiadomość, że znaleziono zwłoki biednego Jonasza – odezwał się, a w jego głosie pobrzmiewała nutka szyderstwa. – Cóż za strata, prawda?

To powiedziawszy, strzepnął kilka ziarenek, które przyłgnęły do jego szaty.

– Znałeś go lepiej ode mnie – odrzekł wymijająco Altaïr. – Jestem pewien, że zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie niesie działanie na dwa fronty.

Asasyn przyjrzał się uważniej Barnabie; zdziwił, a wręcz zaniepokoił go krzywy uśmieszek na jego twarzy. Altaïr nigdy nie czerpał przyjemności ze śmierci – niczyjej śmierci – i zwykł patrzeć z niechęcią na ludzi, którym śmierć taką przyjemność sprawiała, bez względu na to, czy byli to templariusze, asasyni czy ktokolwiek inny. To prawda, że Barnaba był sojusznikiem. Z drugiej jednak strony... Altaïr jedno wiedział na pewno: zawsze mógł polegać na swych przecuciach; te zaś nie dawały mu tym razem spokoju. Nękały uporczywie.

– Tak... Niestety, to skomplikowało całą sytuację – ciągnął Barnaba. – Jonasz był powszechnie szanowanym Cypryjczykiem i jego śmierć wywołała zamieszki w pobliżu starego kościoła. Ludzie łakną zemsty, a Byk odpowiedzialnością za śmierć Jonasza obciąży ciebie. Możesz stracić wsparcie Cypryjczyków.

Co takiego?! Altaïr nie dowierzał własnym uszom. Jego przecucia odezwały się ze zwielokrotnioną siłą.

– Przecież Jonasz zdradził. Czy twoi ludzie o tym nie wiedzą?

– Obawiam się, że nie wszyscy – przyznał Barnaba. – Jesteśmy rozproszeni.

– No cóż, będziesz miał szansę osobiście im o tym powiedzieć –

poinformował Altaïr. – Niektórzy z nich właśnie tu zmierzają.

– Ściągnąłeś tu jakichś ludzi? – Barnaba był wyraźnie zaniepokojony. – Ufasz im?

– Teraz nie jestem już pewien, komu ufam – odparł ostro asasyn – ale to ryzyko akurat warto podjąć. Na razie chciałbym na własne oczy zobaczyć ten tumult.

– Co do naszej umowy, to zobaczę, co da się zrobić. Może uda się doprowadzić cię w pobliże Boucharta. W końcu umowa to umowa, czyż nie? – Barnaba uśmiechnął się ponownie.

Altaïrowi nie podobał się ten uśmiech. Za każdym razem, gdy na niego patrzył, budził w nim coraz większą niechęć.

41

Gdy Altaïr dotarł w pobliże wspomnianego przez Barnabę kościoła, na widok rozruchów ogarnęła go prawdziwa rozpacz. Templariusze uformowali kordon wokół świątyni, uniemożliwiając plądrującemu okolicę tłumowi wydostanie się z bezpośredniego sąsiedztwa kościoła – uwięzieni w kotle grasanci zajęli się więc niszczeniem wszystkiego, co tylko wpadło im w ręce. Altaïr widział na ulicach odłamki porozbijanych beczek i skrzyń, a także pożary, wzniecone przez uczestników zamieszek. Rozstawione wzdłuż ulic kramy zdemolowano, a zapach rozdeptanej na miazgę żywności mieszał się z dymem. Ludzie zbijali się w grupki i wznosili okrzyki, którym towarzyszyło dudnienie bębnów i nieustanny brzęk czyneli; usiłowano w ten sposób sprowokować templariuszy, którzy czujnie obserwowali rozwój wydarzeń zza prowizorycznych barykad, zbudowanych z przewróconych wózków i straganów. Raz po raz niewielki oddział zbrojnych dokonywał szybkiego, bezlitosnego wypadu w tłum i wyławiał z niego pojedynczych uczestników zamieszek, którzy opierali się, wierzgając przy tym i wrzeszcząc. Pochwyconych okładano rękojeściami mieczy bądź też wciągano za bariery, by następnie powlec ich do lochów. Te rajdy nie były jednak w stanie zastraszyć tłumu ani też ostudzić jego buntowniczego zapału.

Altaïr obserwował to wszystko z góry, przykucnąwszy na krawędzi dachu. Był załamany. Coś poszło źle. Bardzo źle. A jeśli Byk ogłosi publicznie Altaïra mordercą Jonasza, sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót.

Podjął decyzję. Byk musi umrzeć.

Kiedy asasyn wrócił do kryjówki, na próżno rozglądał się w poszukiwaniu Barnaby. Przywódcy buntowników w spichrzu nie było. Do Altaïra dotarło, że źle uczynił, obdarzając tego człowieka zaufaniem, i przeklinał teraz w duchu swą niefrasobliwość. Wcześniejsze przecucia okazały się trafne. Jaka szkoda, że ich nie usłuchał.

W kryjówce przebywali za to Markos oraz Maria, którą zamknięto w celi solidniejszej od prowizorycznego aresztu, w jakim przebywała w Limassol. Drzwi pomiędzy suszarnią a pomieszczeniem, w którym składowano zboże, pozostawiono otwarte – dzięki temu można było obserwować jeńca. Maria siedziała oparta plecami o ścianę, od czasu do czasu wierząc stopą w rozrzuconej na podłodze słomie i przyjmując wszystko z jednakową, nienawistną i zarazem ironiczną miną. Altaïr przyglądał się jej, rozmyślając o wszystkich kłopotach, jakich mu przysporzyła.

Dowiedział się, że gdy Markos w towarzystwie Marii oraz kilku innych buntowników dotarł do kryjówki, magazyn był już opustoszały. Barnaba musiał opuścić go jeszcze przed ich przybyciem. Bardzo sprytnie, pomyślał.

– Co się właściwie dzieje na zewnątrz? – zapytał go zdenerwowany Markos. – Miasto wrze. Widziałem zamieszki.

– Ludzie burzą się z powodu śmierci jednego z mieszkańców, niejakiego Jonasza. Słyszałeś o nim?

– Mój ojciec dobrze go znał. To był dobry człowiek. Jak zginął?

W tej chwili serce Altaïra ogarnęła jeszcze większa rozpacz.

– Dzielnie – odparł, unikając wzroku swego rozmówcy. – Posłuchaj, Markosie, sprawy się skomplikowały. Zanim znajdę Boucharta, muszę wyeliminować Byka i położyć kres wrzeniu w mieście.

– Ty naprawdę masz upodobanie do chaosu, Altaïrze! – zawołała ze swej celi Maria.

Spodobało mu się brzmienie swojego imienia w jej ustach

– Byk jest odpowiedzialny za zniewolenie tysięcy ludzi. Niewielu będzie po nim rozpaczać.

Maria poruszyła się.

– Zamierzasz wpaść do Kantary, wbić w niego swoje żądło i wymknąć się niepostrzeżenie? Byk ma wokół siebie zastępy oddanych wyznawców. – Jej słowa odbiły się echem od kamiennych ścian jej więzienia.

– Kantara... To gdzieś na wschodzie? – spytał Altaïr, podchwyciwszy niezamierzoną podpowiedź.

– Tak, to najlepiej broniony... Zresztą – sam się rychło przekonasz.

42

Altaïr rzeczywiście przekonał się o tym na własne oczy. Zamek Kantara strzeżony był nie tylko przez krzyżowców, ale także przez fanatyków Molocha. Wspinając się po otaczającym twierdzę murze, a następnie przemykając po blankach, Altaïr przystawał co jakiś czas, by podsłuchać rozmowy strażników; gromadził kolejne informacje o człowieku zwanym Bykiem. Wyłaniał się z nich obraz religijnego fanatyka, który potrafił przyciągnąć do siebie rzesze zwolenników – zelotów takich jak on sam, którzy następnie zaciągali się do jego przybocznej straży, zasilali szeregi jego sług, albo też przemierzali ulice Kyrenii jako głosiciele słowa. Byk związał się blisko z templariuszami, a jego oddanie mistrzowi zakonu, Bouchartowi, było niemal równie żarliwe jak jego wiara. Zamek Kantara stał się prywatną cytadelą Molocha, podarowaną mu, jak łatwo się domyślić, przez templariuszy. Panowało powszechne przekonanie, że gospodarz zamku większość czasu spędza w kaplicy, pogrążony w modlitwie.

Tam też Altaïr miał nadzieję go znaleźć.

Przemierzając fortecę, natykał się i na żołnierzy, i na fanatycznych zwolenników Molocha. Ci ostatni wyglądali... cóż, dokładnie tak, jak można by sobie wyobrażać fanatyków: byli nerwowi, oczy mieli wybałuszone, a na ich twarzach malował się zapł. Krzyżowcy patrolujący dwójkami twierdzę odnosili się do ludzi Molocha z otwartą pogardą – najwyraźniej uważali, że nie są godni przebywać w zamku.

Na widok zbliżającego się patrolu Altaïr wcisnął się w zakamarek.

Usłyszał, jak jeden z przechodzących obok strażników skarży się drugiemu:

– Dlaczego templariusze tolerują tego szaleńca? Byk i jego sfanatyzowana zgraja są jeszcze bardziej niebezpieczni niż Cypryjczycy.

– Templariusze mają swoje powody – odparł drugi. – Widzisz, łatwiej jest im rządzić za czyimś pośrednictwem.

– Pewnie tak. Tylko jak długo może to jeszcze potrwać? Byk i templariusze nie do końca zgadzają się ze sobą w kwestiach wiary.

– Im mniej się o tym mówi, tym lepiej – skwitował jego towarzysz.

Altaïr poczekał, aż patrol go minie, po czym ruszył dalej coraz ciemniejszym korytarzem. Maria twierdziła, że zamek jest dobrze strzeżony, i z pewnością tak było, tyle że system obronny twierdzy przygotowany został do odparcia armii usiłującej szturmować mury. Natomiast dla samotnego asasyna przeniknięcie ukradkiem do fortecy okazało się dziecinnie łatwym zadaniem. Zwłaszcza jeśli ów asasyn był Mistrzem. Zwłaszcza jeśli był Altaïrem.

Altaïr dotarł do obszernej sali jadalnej. Na końcu pomieszczenia dostrzegł dwóch strażników i wyjął noże do rzucania. Cisnął jednym, potem drugim. Chwilę później przestąpił nad drgającymi konwulsyjnie ciałami. Wiedział, że jest już blisko celu, że Moloch nie może być daleko.

I nie był. Altaïr doszedł do miejsca, które wyglądało na ślepy korytarz, i odwrócił się, sprawdzając, co dzieje się za jego plecami – zastanowiło go bowiem, dlaczego tego rodzaju miejsce było strzeżone. Wtedy dostrzegł klapę w podłodze. Pochylił się nad nią i przez chwilę nasłuchiwał uważnie, aż wreszcie na jego twarzy pojawił się uśmiech. Znalazł Byka.

Bardzo delikatnie podniósł klapę i opuścił się na belkę sufitową, która biegła poniżej. Znalazł się na krokwiach zamkowej kaplicy: wielkiej pustej komnaty, oświetlonej przez ogień płonący w ogromnym żelaznym koszu opodal ołtarza.

Przy ogniu klęczał Moloch, który składał płomieniom pokłon.

Opis Marii okazał się nad wyraz trafny – Moloch był mężczyzną potężnej

postury: jego ramiona rzeczywiście przypominały pnie drzew. Głowę miał łąsą, za to twarz zdobiły długie, opadające wąsy; na jego nagiej piersi wisiał medalion. Jego ciało załśniło od potu, gdy podsycił ogień, intonując jednocześnie jakąś śpiewną formułę – zabrzmiała ona niczym pełen nabożnego oddania pomruk. Pochłonięty modlitwą Moloch nie ruszał się sprzed ognia ani nie odwracał utkwionego w płomieniach wzroku. Wystawiał twarz na buchający od paleniska żar, wydając się przy tym całkowicie nieświadomy wszystkiego, co działo się w pomieszczeniu – w tym także, czy może raczej przede wszystkim, pojawienia się swego zabójcy.

To dobrze, pomyślał Altaïr. Moloch wyglądał na mocarnego człowieka, znacznie silniejszego niż asasyn, który nie miał najmniejszej ochoty angażować się w walkę z tym wielkoludem. Nie dość bowiem, że olbrzym dysponował przewagą mięśni, to jeszcze, jak mówiono, zwykł walczyć za pomocą broni przypominającej nieco kiścień: długiego łańcucha, do którego przytwierdzony był śmiercionośny obuch. Wieść głosiła, że posługiwał się tą bronią z niezawodną precyzją i bezwzględną skutecznością.

Zatem nie. Altaïr nie miał zamiaru walczyć z Molochem. To miało być dyskretne zabójstwo. Szybkie, czyste i ciche.

Skradając się bezgłośnie po zawieszonych pod sufitem belkach, dotarł nad sam środek kaplicy, po czym po cichu zeskoczył na podłogę i znalazł się za plecami Molocha. Wylądował nieco dalej, niż zamierzał, i teraz wstrzymał oddech, zastygając w napięciu. Jeśli Moloch go usłyszał...

Ale nie. Olbrzym w dalszym ciągu miał wzrok utkwiony w palenisku. Altaïr zbliżył się na odległość kilku kroków. Pomarańczowe światło zatańczyło na błyszczącej stali. Byka dzieliło teraz od śmierci nie więcej niż jedno uderzenie serca. Altaïr pochylił się nieznacznie, a mięśnie jego nóg napięły się. Skoczył naprzód z ostrzem gotowym do zadania ciosu.

Asasyn był jeszcze w powietrzu, gdy Moloch obrócił się, zrobiwszy to o wiele szybciej, niż można by się spodziewać po człowieku jego postury. Uśmiechnął się przy tym szeroko i Altaïr uświadomił sobie, że jego cel przez

cały czas wiedział o obecności intruza i że po prostu pozwolił mu się zbliżyć. W następnej chwili znalazł się w uścisku potężnych ramion, które uniosły go w górę. Poczuł, jak dłoń Molocha zaciska mu się na gardle.

Altaïr zawisnął w powietrzu, trzymany jedną ręką przez Molocha, jakby był trofeum gotowym do zawieszenia na ścianie komnaty. Próbował walczyć, lecz krztusił się. Wierzgał nogami, ale jego kopnięcia nie sięgały celu. Drapał i szarpał rękawicę Molocha, rozpaczliwie starając się rozluźnić uścisk potwora. Oczy asasyna zmętniały, a pole widzenia zaczynała zasnuwać mu czerń. Czuł, że powoli traci przytomność. Nagle Moloch cisnął nim niczym szmacianą kukłą i pofrunął do tyłu, lądując plecami na podłodze kaplicy. Jego głowa boleśnie odbiła się od kamiennej płyty. Dlaczego olbrzym darował mu życie?

Ponieważ chciał się zabawić. Sięgnął po swój obuch na łańcuchu i zakręciwszy nim raz nad głową, wyrzucił ramię do przodu tak, że obuch pomknął w kierunku leżącego Altaïra. Asasynowi w ostatniej chwili udało się przeturlać na bok – kiścień tymczasem grzmotnął w podłogę, żłobiąc w kamiennej płycie krater i zasypując Altaïra gradem odłamków.

Altaïr zdołał się wreszcie pozbierać i stanąć na nogi. Wciąż jeszcze był oszołomiony; potrząsnął głową, by odpędzić to uczucie. Dobył miecza. Z ostrzem w jednej ręce i z mieczem w drugiej odskoczył na bok, Byk zdążył bowiem poderwać swą broń i ponownie zamachnął się na asasyna.

Obuch uderzył w filar tuż obok Altaïra, którego znowu zasypał grad kamiennych odłamków. Wykorzystał okazję i zanim Moloch zdołał zwinąć łańcuch, przyskoczył do olbrzyma, usiłując zadać cios jednocześnie ostrzem i mieczem. Jednak Moloch zareagował szybciej niż zdawało się to możliwe: poderwał łańcuch i chwyciwszy go oburącz, zablokował cięcie miecza, po czym zakręcił swą bronią młynka i zmusił Altaïra, by ten zanurkował, próbując umknąć przed nadciągającym obuchem.

Altaïr pomyślał o Al Mualimie – tym Al Mualimie, który go ćwiczył, nie zaś o zdrajcy, którym się stał. Pomyślał też o Labibie i wszystkich swoich

nauczycielach fechtunku. Następnie wziął głęboki oddech i cofnął się, a potem zaczął kroczyć bokiem, okrążając Molocha.

Byk śledził jego ruchy, zdając sobie sprawę, że zdołał zbić z tropu asasyna. Wyszczrzył zęby w uśmiechu: niektóre wyszczerbione i poczerniałe, inne starte aż do zaropiałych dziąseł. Kiedy Altaïr zbliżył się, próbując sprowokować przeciwnika do zadania ciosu, z gardzieli Byka wydobył się pomruk. Asasyn miał pewien plan – dobry plan, choć z jednym słabym punktem. Gdyby coś poszło nie tak, mógł przyplącić to życiem. Musiał skłonić Byka do zadania ciosu i tym samym rozwinięcia łańcucha – kłopot był w tym, że przy każdej próbie uderzenia podejmowanej przez Byka, głowę Altaïra dzieliła od obucha niebezpiecznie mała odległość.

Obuch ponownie poszybował w kierunku asasyna. Najpierw zawirował w powietrzu, by na koniec wbić się w kamień. Altaïr ledwie odskoczył, by uniknąć ciosu; na szczęście utrzymał się na nogach i teraz, zamiast szukać osłony przed kolejnym ciosem, rzucił się ku broni Molocha. Wskoczył na obuch, po czym ruszył ku Molochowi, biegnąc zwinnie po naprężonym łańcuchu.

Moloch już się nie uśmiechał. Przez moment mógł jeszcze podziwiać, jak asasyn zręcznie niczym linoskoczek biegnie ku niemu po łańcuchu – w następnej chwili miecz Altaïra przebił mu gardło, a jego sztych wyszedł z tyłu szyi olbrzyma. Moloch wydał z siebie dźwięk, który był ni to krzykiem, ni to charknięciem; miecz wciąż sterczał mu z szyi, lecz Altaïr wypuścił jego rękojeść, obrócił się i usiadł okrakiem na ramionach Byka, po czym wbił ostrze głęboko w kręgosłup przeciwnika. Byk nawet teraz nie poniechał walki i Altaïr musiał zmobilizować wszystkie swoje siły. Chwytał wolną ręką za łańcuch, podciągnął go i okręcił wokół szyi swej ofiary, po czym stękając z wysiłku, spróbował zacisnąć żelazną pętlę. Moloch obrócił się i zaczął cofać – asasyn zorientował się, że przeciwnik manewruje tak, by znaleźć się jak najbliżej ognia.

Poczuwszy żar na swych plecach, Altaïr zdwoił wysiłki. Bestia wciąż nie

chciała skonać. Nagle do asasyna dotarło, że coś się pali – zajął się rąbek jego własnego odzienia! Krzycząc z bólu i z wysiłku, jeszcze mocniej pociągnął jedną ręką za łańcuch, drugą zaś głębiej wsunął ostrze w ciało wroga. Wreszcie w Molochu pękła ostatnia nić łącząca go z życiem i Altaïr zakołysał się na jego wstrząsanych drgawkami ramionach. Olbrzym ugiął się i opadł na podłogę. Zległ na niej, dysząc ciężko, a gęsta krew rozlała się po kamiennych płytach. Byk powoli konał.

W końcu jego ciężki oddech ustał.

Altaïr odetchnął z ulgą. Moloch nie zagrozi już Cypryjczykom. Jego despotyczne rządy dobiegły kresu. Asasyn zastanawiał się, co je zastąpi.

Bardzo szybko miał się o tym przekonać.

43

Maria zniknęła. Została pojmana przez templariuszy. Kiedy Altaïr walczył w zamku Kantara, żołnierze zaatakowali kryjówkę w spichrzu i, choć napotkali zbrojny opór, zdołali schwytać i uprowadzić jeńców. Wśród nich była Maria.

Markos, jeden z nielicznych, którym udało się uniknąć schwywania, czekał w magazynie na asasyna. Jego wyraz twarzy powiedział Altaïrowi wszystko.

– Zaatakowali nas... Próbowaliśmy ich odeprzeć, ale... Na nic się to nie zdało... – wykrztusił łamiącym się ze zdenerwowania głosem. Zawstydzony opuścił wzrok.

A może tylko udawał?

Altaïr spojrział ku drzwiom do suszarni. Były otwarte. W głębi dostrzegł drzwi do zakratowanej komórki – one również nie były zamknięte. Wyobraził sobie Marię, obserwującą go stamtąd swymi migdałowymi oczami, opartą plecami o ścianę i wierzącą butem dziurę w wyściełającej podłogę warstwie słomy.

Potrząsnął głową, by pozbyć się tego obrazu. Stawka w tej grze była znacznie większa niż jego uczucia do Angielki. Nie powinien teraz myśleć o niej, lecz o sprawach Zakonu. Wiedział o tym. Mimo to myślał o Marii.

– Chciałem ich zatrzymać – odezwał się ponownie Markos – ale sam musiałem się ukryć. Było ich zbyt wielu.

Altaïr zmierzył go surowym wzrokiem. Teraz, gdy wiedział już o dwulicowości Barnaby, nie ufał nikomu.

– To nie twoja wina. Templariusze są przebiegli.

– Słyszałem, że wykorzystują moc Mrocznej Wyroczni z Buffavento. To z pewnością dzięki niej nas znaleźli.

Czy aby na pewno? Altaïr zastanowił się. Nie ulegało wątpliwości, że templariusze zdawali się wiedzieć o każdym ich posunięciu. Być może jednak nie było to zasługą wyroczni, a szpiegów templariuszy, od których aż roiło się w szeregach buntowników.

– Ciekawa teoria – odparł ostrożnie, nie wykluczał bowiem, że Markos może rozmyślnie próbować wprowadzić go w błąd. – Podejrzewam jednak, że to Barnaba dostarczył im informacji.

Markos drgnął, wyraźnie zbity z tropu.

– Barnaba? Jakim cudem? Barnabę, przywódcę zbuntowanych, stracono dzień przed twoim przybyciem.

Oczywiście. Asasyn przeklął się w duchu. A zatem Barnaba był lojalny wobec Cypryjczyków, tyle że templariusze usunęli go i zastąpili własnym człowiekiem. Altaïr pomyślał o Jonaszu, którego zamordował na polecenie szpiega. Miał szczerą nadzieję, że pewnego dnia zdoła jakoś odkupić swoją winę. Jonasz nie zasłużył na śmierć.

Altaïr udał się prosto do dzielnicy portowej. Zdołał dowiedzieć się, gdzie przetrzymywani są więźniowie i prześlizgnąwszy się między strażnikami, odnalazł jeńców stłoczonych w ciasnej, brudnej celi.

– Dzięki ci, panie, niech cię Bóg błogosławi... – wyszeptał z wdzięcznością jeden z więźniów, gdy tylko Altaïr otworzył drzwi celi. Spojrzenia pozostałych oswobodzonych jeńców wyrażały taką samą wdzięczność. Asasyn nie chciał nawet myśleć, jaki los planowali im zgotować templariusze.

Bezskutecznie jednak szukał wśród nich Marii...

– Czy kiedy was pojmano, była z wami kobieta?

– Kobieta? Tak, dopóki syn Byka, Shalim, nie zabrał jej gdzieś, skutej łańcuchami. Nie chciała pójść po dobroci.

Nie, pomyślał Altaïr. Maria nigdy nie poszłaby bez oporu. To nie w jej stylu. Kim jednak był ów Shalim? Czyżby to on miał przejąć po ojcu rządy tyrana?

Tak oto bieg wydarzeń doprowadził Altaïra pod obwarowania fortecy Buffavento. Asasyn wspiął się po zewnętrznej ścianie muru obronnego, a następnie z taką samą zręcznością zaczął schodzić po jego wewnętrznej stronie, zmierzając ku rozciągającej się w dole mrocznej, wilgotnej czeluści, którą rozświetlał jedynie migotliwy blask pochodni, gdzie każdy krok odbijał się echem od kamiennych ścian i gdzie nieustannie pobrzmiwały odgłosy kapiącej wody. Czy to tu templariusze trzymali swą słynną Wyrocznię? Miał taką nadzieję. Mógł być pewien, że jego wrogowie wciąż znajdują się o krok przed nim. Wiedział też, że templariusze byli coraz bliżej stłumienia cypryjskiego oporu. Musiał zrobić co w jego mocy, by powstrzymać ich postępy. Jeśli wymagało to małego polowania na czarownice, niech i tak będzie.

Ostrożnie posuwając się zamkowymi korytarzami, dotarł wreszcie do miejsca, gdzie, jak sądził, znajdowało się wejście do lochów. Za sobą zostawił ciała dwóch wartowników, na których natknął się po drodze. Obaj skończyli z poderżniętymi gardłami. W Buffavento Altaïr przedostał się do serca twierdzy, stosując tę samą taktykę co w zamku Molocha: starał się unikać wykrycia przez wroga, a jeśli było to konieczne – zabijał. Nagle usłyszał głosy, z których jeden rozpoznał natychmiast: należał on do Boucharta.

Po drugiej stronie żelaznej, naznaczonej plamami rdzy kraty wielki mistrz templariuszy rozmawiał z jakimś mężczyzną.

– Zatem dziewczyna znowu uciekła, czy tak? – warknął templariusz.

– W jednej chwili była skuta łańcuchami, a w następnej nie było już po niej śladu... – odparł rozmówca Boucharta, ubrany w bogate, podbite futrem szaty.

– Nie próbuj mnie obrażać, robiąc ze mnie głupca, Shalimie. Twoja słabość

do kobiet jest mi dobrze znana. Straciłeś czujność, a wtedy ona najspokojniej w świecie zniknęła.

– Znajdę ją, wielki mistrzu. Przysięgam.

A zatem to był Shalim. Altaïr przyjrzał mu się uważnie, lekko zaskoczony. Nic w tym człowieku – ani wygląd, ani postura, a już z pewnością nie ubiór – nie przypominało jego ojca Molocha.

– Zrób to szybko – odburknął Bouchart – zanim ona zaprowadzi asasyna do archiwum.

Shalim odwrócił się, chcąc odejść, ale Bouchart go zatrzymał.

– I jeszcze jedno, Shalimie. Dopilnuj, by dostarczono to Aleksandrowi w Limassol!

Mówiąc to, wręczył Shalimowi worek, ten zaś skinął głową na znak, że zrozumiał. Altaïr mimowolnie zacisnął szczęki. A zatem Aleksander także pracował dla templariuszy. Wyglądało na to, że macki wroga sięgają wszędzie.

Gdy obaj mężczyźni oddalili się, Altaïr wznowił poszukiwania celi, w której miała znajdować się Wyrocznia. Nie mogąc sforsować zamkniętej kraty, wybrał okrężną drogę: wspiał się na pobliski balkon, po czym ominął przeszkodę, przekradając się po zewnętrznej ścianie zamku. Następnie ponownie ruszył zamkowymi korytarzami w dół, kierując się w stronę lochów. Po drodze pod ciosami jego ostrza padli kolejni strażnicy. Zdawał sobie sprawę, że niebawem ktoś odkryje ich ciała. Musiał działać szybko.

Na szczęście strażnicy mieli na razie sporo innych problemów. Do uszu Altaïra dobiegały krzyki i złorzeczenia, coraz wyraźniejsze w miarę jak asasyn zbliżał się do miejsca, w którym spodziewał się znaleźć lochy. Gdy doszedł do wylotu tunelu, zorientował się, że rzeczywiście dotarł do pomieszczeń więziennych. Tam też ponownie zobaczył Boucharta, tym razem pogrążonego w rozmowie z jednym ze strażników. Obaj stali w oddzielonej kratą części komnaty, tuż przy ścianie, w której osadzono szereg drzwi, prowadzących do więziennych cel.

Altair pomyślał, że przynajmniej udało mu się wreszcie odnaleźć zamkowe lochy. W obawie, by go nie odkryto, cofnął się nieco i schował we wnęce w ścianie tunelu. Przez głośnie wrzaski przebił się głos Boucharta:

– Co tu się dzieje?

– To ta szalona kobieta, panie – odparł wartownik podniesionym głosem, usiłując przekrzyczeć harmider. – Wpadła w szal. Zraniła dwóch strażników.

– Niech się bawi – uśmiechnął się Bouchart. – Zrobiła już to, co do niej należało.

Niestety, droga prowadząca do Boucharta i tym razem była zatarasowana przez kratę. Altair z radością rozprawiłby się z mistrzem templariuszy tu i teraz, mimo obecności wartownika: przypuszczał, że udałoby mu się najpierw obezwładnić żołnierza, a potem zabrać się za Boucharta. Jednak nie było takiej sposobności. Sfrustrowany asasyn mógł się tylko przyglądać, jak Bouchart w towarzystwie strażnika oddala się, pozostawiając opustoszałe pomieszczenie.

Altair wyszedł z ukrycia, zbliżył się do kraty i przyjrzał jej zamknięciu. Zręczne palce poradziły sobie z mechanizmem zamka i Altair ruszył w kierunku celi, w której przebywała Wyrocznia. Dobiegały z niej wrzaski, które wydawały się teraz jeszcze głośniejsze i bardziej niepokojące. Altair przełknął ślinę. Nie było człowieka, którego by się bał. Teraz jednak nie miał do czynienia z człowiekiem, lecz z czymś zupełnie innym. Musiał opanować nerwy, by poradzić sobie z kolejnym zamkiem. Otwarcie drzwi towarzyszyła piskliwa skarga zardzewiałych zawiasów. Serce Altaïra waliło jak młotem.

Cela Wyroczni była obszerna, rozmiarem przypominała zamkowy refektarz – była spowita falującą mgłą, a w powietrzu unosiła się aura śmierci i rozkładu. Pomiędzy filarami łączącymi podłogę ze sklepieniem zalegało coś, co wyglądało na sterty liści, zupełnie jakby świat znajdujący się za murami usiłował tu wtargnąć, a pewnego dnia całkowicie objąć to miejsce w posiadanie.

Kiedy oczy asasyna przyzwyczyły się do panującego w pomieszczeniu

mroku, zaczął się rozglądać w poszukiwaniu Wiedźmy; nie dojrzał jej jednak, słyszał tylko piekielne wrzaski, jakie z siebie wydawała. Altaïrowi zjeżyły się włosy na całym ciele; opanował ogarniające go drzenie, po czym ruszył w głąb... celi?

To miejsce bardziej przypominało jaskinię.

Niespodziewanie zapadła cisza. Zmysły Altaïra wyostrzyły się. Przerzucił miecz z ręki do ręki, lustrując jednocześnie ciemne, słabo oświetlone pomieszczenie.

– Pogańska jucha. – Usłyszał nagle głos: chrapliwy, a zarazem śpiewny, rodem z najgorszego koszmaru. Błyskawicznie obrócił się w kierunku, z którego dobiegły słowa Wyroczeni, lecz ona odezwała się ponownie z innego już miejsca.

– Znam twe imię, grzeszniku – zarechotała Wyroczenia. – Wiem, po coś tu przyszedł. Bóg kieruje mymi szponami. Bóg daje mi siłę, by pogruchotać ci kości.

Altaïr ledwie zdążył pomyśleć: szpony? Czyżby ona naprawdę miała... W tej samej chwili pojawiła się przed nim Wyroczenia: wirując niczym derwisz, wynurzyła się z mroku z głośnym krzykiem, a jej długie czarne włosy wirowały wraz z nią. Altaïr dostrzegł u niej nie tyle szpony, co długie, ostre paznokcie, zapewne równie groźne. Gdy śmignęły koło jego twarzy, usłyszał świst przecinanego powietrza. Odskoczył do tyłu. Wyroczenia przywarła do ziemi niczym szykujący się do ataku kot; nie spuszczała z niego wzroku, wydając jednocześnie groźne pomruki. Asasyn zdębiał: spodziewał się starej wiedźmy, tymczasem ta kobieta... Miała w sobie coś wytwornego. Oczywiście. Przecież to ta sama niewiasta, o której opowiadał mu Barnaba – ta, która niegdyś mieszkała w zamku. Była młoda, a w swoim czasie z pewnością także atrakcyjna. Cokolwiek jednak zrobili z nią templariusze, pobyt w ich niewoli najwyraźniej przyprawił ją o szaleństwo. Zrozumiał to, gdy się uśmiechnęła, obnażając przegniłe zęby i język, który wywiesiła na brodę; w jednej chwili zniknęła cała szlachetność jej rysów twarzy.

Chichocząc, po raz kolejny rzuciła się na asasyňa.

Zaczęli się zmagać – Wyrocznia atakowała na ośleń, przecinając powietrze pazurami. Kilkakrotnie udało jej się zahaczyć nimi Altaïra. Z ran popłynęła krew. Asasyn starał się utrzymywać bezpieczny dystans, od czasu do czasu wyprowadzając kontrataki, aż w końcu zdołał przyprzeć kobietę do jednego z filarów.

Ze wszystkich sił próbował ją przytrzymać – miał nadzieję, że uda mu się przemówić jej do rozsądku – lecz Wyrocznia wyla się niczym dzikie zwierzę nawet wtedy, gdy obalił ją na ziemię i usiadł na niej okrakiem, przystawiając ostrze do gardła.

– Bogu niech będzie chwala – mamrotała, miotając się pod Altaïrem. – Jam jest Jego narzędziem. Katem w Bożej służbie. Nie lękam się bólu ni śmierci.

– Byłaś kiedyś Cypryjką – powiedział Altaïr, usiłując ją przytrzymać. – Poważaną damą. Jakie tajemnice wyznałaś tym diabłom?

Czy zdawała sobie sprawę, że pomagając templariuszom, zdradziła swój własny lud? Czy pozostało jej jeszcze dość rozumu, by zdołała to pojąć?

– Nie bez przyczyny zadaję cierpienie – wykrztusiła ochryplym głosem, nieruchomiejąc nagle. – Z Bożego rozkazu jestem Jego narzędziem.

Nie, pomyślał asasyn. Nic z tego. Rozum opuścił ją bezpowrotnie.

– Pani, cokolwiek uczynili ci templariusze, wyrządzili ci wielką krzywdę – rzekł. – Wybacz mi.

To był akt miłosierdzia. Zabił ją, po czym umknął z tego strasznego miejsca.

Po powrocie do kryjówki otworzył swój dziennik i napisał:

Dlaczego nasze instynkty popychają nas do przemocy? Przystudiowałem wzajemne relacje między różnymi gatunkami. Wewnętrzne pragnienie przetrwania jednych wydaje się domagać śmierci innych. Dlaczego zamiast tego nie mogą zgodnie współdziałać? Tak wielu wierzy, że stworzenie świata jest dziełem jakiejś boskiej siły – dla mnie jednak dzieło stworzenia to tylko projekt szaleńca, czerpiącego radość ze śmierci,

zniszczenia i rozpaczy.

Zapisał także swe kolejne rozważania na temat Jabłka:

Kim byli Ci, Którzy Byli Przed Nami? Co ich tu sprowadziło? Co skłoniło ich do odejścia? Czym wreszcie są owe artefakty? Rodzajem wiadomości w butelce? Narzędziami pozostawionymi po to, by nam pomóc i nas prowadzić? Czy też może walczymy o kontrolę nad rzeczami, które oni uznali za zwykłe śmieci? Czy doszukujemy się boskiego celu i znaczenia w czymś, co w istocie ma wartość niewiele większą niż porzucona zabawka?

44

Altaïr postanowił podążać śladem Shalima. Teraz obaj polowali na Marię i Altaïr chciał mieć pewność, że będzie w pobliżu, gdyby to Shalim odnalazł ją pierwszy.

Tymczasem Shalim nie przykładał się szczególnie do swojej misji. Markos zapewnił Altaïra, że jedyne, co łączyło Shalima z jego ojcem, to służba templariuszom oraz porywczy charakter. Zamiast religijnego zapału przejawiał zamiłowanie do wina i towarzystwa ladacznic. Śledząc Shalima, Altaïr miał okazję obserwować, jak oddaje się on obu tym pasjom – z bezpiecznej odległości obserwował Shalima i dwóch członków jego obstawy, którzy rozbijali się po ulicach Kyrenii niczym tercet małych despotów, gniewnie łajających i obrażających napotkanych przechodniów i kupców, a w końcu odbierających im towary oraz pieniądze, tak nieodzowne w miejscu, do którego się udawali.

Bo wyglądało na to, że zmierzają do zamtuzu. Altaïr przyglądał się, jak Shalim i jego ludzie podchodzą do drzwi, przy których jakiś moczymorda obłapiał właśnie jedną z miejscowych dziwek. Mężczyzna ten był jednak albo zbyt głupi, albo zbyt upojony winem, by zorientować się, że Shalim jest dziś w podłym nastroju – uniósł bowiem swój skórzany bukłak na powitanie zbliżającego się tyrana, wołając przy tym: „Wzniesź swój kubek, Shalimie!”.

Shalim nawet nie zwolnił kroku. Rąbnął tylko pijaka na odlew w twarz. Jego głowa odbiła się od ściany z głuchym łomotem. Bukłak upadł na ziemię, a jego nieszczęsny właściciel powoli osunął się po ścianie, aż wreszcie

wylądował na tyłku, oparty plecami o mur. Głowa kołysała mu się bezwładnie, we włosach pojawiła się krew. Shalim tym samym ruchem, którym uderzył mężczyznę, zdążył jeszcze złapać prostytutkę za ramię.

– Shalimie, nie – próbowała się opierać kobieta. – Proszę, nie!

Lecz on już ciągnął ją za sobą, oglądając się jeszcze na swych kompanów i wołając do nich:

– Bawcie się dobrze, ludzie. I zgarnijcie dla mnie kilka kobiet, kiedy już skończycie.

Asasyn uznał, że zobaczył już dość. Shalim nie szukał Marii, to pewne. Dalsze śledzenie Shalima nie miało sensu: bez względu na to, czy wybierał się z dziwką do łóżka, czy też do tawerny, Altaïr nie odnajdzie Marii w żadnym z tych miejsc.

Asasyn powrócił więc do dzielnicy handlowej, gdzie Markos, założywszy ręce za plecami, spacerował między straganami, czekając na wieści.

– Muszę się zbliżyć do Shalima – oznajmił Markosowi Altaïr, gdy już schronili się w cieniu, sprawiając wrażenie dwóch najzwyczajniejszych handlarzy, którzy z dala od słonecznego upału zabijają czas pogawędką. – Jeśli jego głupota dorównuje jego arogancji, to może uda mi się wyciągnąć z niego kilka sekretów. Wiesz może, gdzie najlepiej go szukać?

– Porozmawiaj z którymś z mnichów przy katedrze – poradził mu Markos, chichocząc. – Jego burzliwy tryb życia wymaga częstego odpuszczania grzechów.

Altaïr udał się zatem w okolice katedry i znalazł pustą ławę pod trzepoczącym na wietrze baldachimem. Usiadł i beznamiętnym wzrokiem obserwował życie toczące się na ulicach Kyrenii. Po pewnym czasie na ulicy pojawił się samotny zakonnik w białym habicie, który przechodząc obok Altaïra, pozdrowił siedzącego skinieniem głowy. Altaïr odwzajemnił gest, po czym odezwał się cichym głosem, tak by nie usłyszał go nikt poza mnichem:

– Czy nie przeszkadza ci, bracie, że musisz znosić grzechy takiego nikczemnika jak Shalim?

Mnich przystanął. Obejrzał się w jedną, potem w drugą stronę, wreszcie spojrzął na Altaïra.

– Owszem – odparł – ale sprzeciw oznacza śmierć. Templariusze mają tu zbyt wiele do stracenia.

– Masz na myśli archiwum? – zapytał Altaïr. – Możesz mi powiedzieć, gdzie go szukać?

Altaïr wiedział już o archiwum. Być może skrywało ono klucz do wyjaśnienia poczynań templariuszy. Mnich jednak pokręcił przecząco głową i ruszył dalej, gdy nagle wybuchło małe zamieszanie. Był to Shalim – Altaïr mimowolnie drgnął, gdy tylko go zobaczył. Syn Molocha wspinał się właśnie na podwyższenie przeznaczone dla ulicznych mówców. Nie było z nim nierządniczy, a on sam wydawał się znacznie mniej pijany niż uprzednio.

– Mieszkańcy i mieszkanki Cypru! – zawołał do zbierających się przed podwyższeniem słuchaczy. – Armand Bouchart przesyła wam swe błogosławieństwo, ale także surowe napomnienie, że każdy, kto przyczyni się do wzniecania niepokojów, okazując wsparcie buntownikom, zostanie schwytany i ukarany. Tym zaś, którzy pragną żyć w pokoju i harmonii i którzy oddają Bogu cześć pracą swych rąk, mistrz Bouchart nie poskąpi swej łaski. Pracujmy przeto wspólnie jak bracia, by odbudować to, co zostało zburzone przez złość i nienawiść.

Bardzo to dziwne, pomyślał Altaïr. Człowiek, na którego patrzył, sprawiał wrażenie wypoczętego, a jego twarz miała świeży wygląd, zupełnie nieprzystający do tego, czego Altaïr spodziewał się po ostatnich wyczynach Shalima. Kiedy ostatnio go widział, Shalim wydawał się zdecydowany spędzić resztę dnia na pijaństwie i łajdaczeniu się. Tymczasem ten tutaj... Wyglądał, jakby był inną osobą – nie chodziło tylko o jego aparycję, ale też o sposób zachowania, postawę i, sądząc po tym, co mówił, o wyznawane przez niego poglądy. Co więcej, temu Shalimowi nie towarzyszyła osobista straż. Altaïr mógłby poradzić z nim sobie bez trudu, na przykład w zaciszu jednej z bocznych ulic odchodzących od głównej arterii Kyrenii.

Kiedy Shalim zszedł z trybuny i, zostawiając katedrę za plecami, podążył ku malowniczym uliczkom, Altaïr ruszył w ślad za nim.

Nie był pewien, jak długo szli, zanim znaleźli się u podnóży gigantycznego Zamku Świętego Hilariona. Shalim skierował się ku twierdzy i po chwili zniknął w furcie zamkowej bramy. Altaïr zaklął. Jego cel zdołał się mu wymknąć. Wyglądało jednak na to, że w zamku panuje spory ruch: właśnie otwierano na oścież wrota, by wypuścić na zewnątrz palankin niesiony przez czterech mężczyzn. Lektyka była najwyraźniej pusta, ponieważ tragarze poruszali się szybkim truchtem. Altaïr podążył za nimi ku skąpanej w słońcu przystani, gdzie tragarze postawili palankin na ziemi i skrzyżowawszy ręce na piersi, czekali na coś lub na kogoś.

Altaïr czekał wraz z nimi. Przysiadł na niskim murku okalającym nabrzeże i wsparł łokcie na kolanach. Przyjrzał się palankinowi i oczekującym przy nim sługom, po czym obrzucił spojrzeniem okolicznych handlarzy oraz rybaków, a także kołyszące się łagodnie na falach piękne statki, których kadłuby uderzały lekko o nabrzeże. W pewnej chwili zauważył, że grupka rybaków, mocujących się do tej pory z wielką siecią, przerwała nagle pracę i zaczęła przypatrywać się jednemu ze statków. Mężczyźni uśmiechali się przy tym od ucha do ucha. Altaïr podążył wzrokiem za ich spojrzeniami: ujrzał grupkę kobiet odzianych w typowe dla kurtyzan stroje z najczystszych jedwabi i szyfonów, które pewnym, a przy tym pełnym gracji krokiem schodziły właśnie po trapie na przystań. Rybacy łypali na nie pożądliwymi oczyma, a niektóre z pracujących na nabrzeżu praczek cmokały z dezaprobatą, podczas gdy kobiety przemaszerowały przez nabrzeże, zadzierając wysoko głowy, świadome zainteresowania, jakie wzbudzają. Altaïr także je obserwował.

Nagle dostrzegł pośród nich Marię.

Ona również ubrana była jak kurtyzana. Asasyn poczuł, jak jego serce wypełnia radość. Zastanowiło go tylko, co ona wyprawia? Wyrwała się ze szponów Shalima tylko po to, by ponownie znaleźć się w opałach – tak to

przynajmniej wyglądało. Tymczasem Maria wraz ze swymi towarzyszkami wsiadła do palankinu, po czym tragarze podnieśli go i ruszyli w drogę powrotną – tym razem poruszając się już znacznie wolniej i uginając się pod jego ciężarem. Skierowali się ku wyjściu z przystani, zmierzając – jeśli tylko podejrzenia Altaïra były słuszne – do Zamku Świętego Hilariona. Tam zaś Shalim zapewne zacierał już ręce z radości.

Altaïr wspiął się po ścianie pobliskiego budynku i przemieszczając się po dachach domów, podążał za palankinem, który znajdował się niemal dokładnie pod nim. Kiedy tragarze wraz ze swym ładunkiem zaczęli zbliżać się do bram zamku, asasyn zatrzymał się i przykucnął. Następnie, starannie wybrawszy właściwy moment, skoczył i wylądował na dachu lektyki, amortyzując uderzenie przysiadem, najlepiej, jak tylko potrafił.

Palankinem szarpnęło, a niosący go mężczyźni dostosowali się do jego nowej wagi. Altaïr zaryzykował, mając nadzieję, że słudzy okażą się zbyt zastraszeni, by odważyć się podnieść głowy – jak się okazało, miał rację. Tragarze bez mrugnięcia okiem przyjęli na barki dodatkowy ciężar i kontynuowali marsz. Siedzące wewnątrz lektyki kurtyzany, nawet jeśli zauważyły coś niepokojącego, również nie dały niczego po sobie poznać i palankin, przekroczywszy spokojnie bramę, znalazł się na zamkowym dziedzińcu. Asasyn rozejrzał się dookoła i dostrzegł na blankach łuczników. W każdej chwili ktoś mógł go dostrzec. Zeskoczył więc z dachu lektyki i ukrył się za niskim murem, obserwując stamtąd, jak Maria wysiada z lektyki i zostaje odprowadzana na bok, by następnie zniknąć za niewielkimi drzwiami.

Altaïr wdrapał się na dach stojącej obok przybudówki. Jeśli chciał się dostać do wnętrza zamku, czekała go długa, okrężna droga. Jednego był pewien. Teraz, kiedy w końcu odnalazł Marię, nie utraci jej już ponownie.

45

Marię przyprowadzono na rozległy, rozgrzany niczym piec taras. Miała się tu spotkać z właścicielem Zamku Świętego Hilariona, a przynajmniej z jednym z jego włodarzy. Shalim miał bowiem brata bliźniaka, o czym Altaïr nie wiedział. To właśnie Shahara, wygłaszającego na ulicy przemowę na temat łaskawości Boucharta, widział asasyn; wyjaśniałoby to wątpliwości Altaïra, niemogącego wówczas zrozumieć, jak człowiek, który spędził cały poprzedni wieczór na pijatyce i łajdaczeniu się z nierządnicami, mógł następnego dnia wyglądać tak rześko.

W przeciwieństwie do asasyna Maria знаła obu bliźniaków, a nawet, choć wyglądali niemal identycznie, potrafiła ich odróżnić. Shalim miał ciemne oczy i wygląd odpowiedni do trybu życia, jaki prowadził; Shahar natomiast sprawiał wrażenie młodszego od swego brata. To do niego się teraz zbliżała. Syn Molocha odwrócił się i na widok przemierzającej taras Marii jego twarz rozjaśnił uśmiech: w stroju kurtyzany Angielka wyglądała wprost olśniewająco i z pewnością była w stanie przykuć wzrok każdego mężczyzny.

– Nie spodziewałem się, że znów cię zobaczę. – Shahar ogarnął ją pożądlivym wzrokiem. – Cóż mogę dla ciebie zrobić, lisiczko?

Przeszedł obok niej i skierował się do sieni.

– Nie przyszłam tu, by wysłuchiwać pochlebstw – odwarknęła Maria, przecząc temu, co mówił jej wygląd. – Żądam odpowiedzi!

Deptała mu po piętach, a kiedy znaleźli się w środku, Shahar ponownie

zmierzył ją spojrzeniem – tym razem już mniej pewnym, ale wciąż lubieżnym. Maria je zignorowała. Chciała na własne uszy usłyszeć to, o czym mówił jej Altaïr.

– A zatem słucham... – bąknął Shahar.

– Czy prawdą jest – rzekła z wyraźnym naciskiem Maria – że templariusze chcą użyć Jabłka, będącego Fragmentem Edenu, do niegodnych celów? Nie po to, by nieść ludziom oświecenie, ale by ich ujarzmić?

Shahar uśmiechnął się pobłaźliwie, jakby miał do czynienia z uroczym, lecz naiwnym dzieckiem.

– Ludzie są zagubieni, Mario. Są niczym owce błagające o pasterza, który je poprowadzi. My zaś oferujemy im to, czego potrzebują: proste, wolne od zmartwień życie.

– Ale nasz zakon powstał po to, by tych ludzi bronić. – drążyła nieustępliwie Maria. – Nie po to, by odzierać ich z wolności.

Shahar wyduł wargi.

– Templariusze nie dbają o wolność, Mario. Pragniemy porządku, niczego poza tym.

Mówiąc to, postąpił ku niej, ona zaś cofnęła się o krok.

– Porządku? A może raczej zniewolenia? – zapytała zaczepnie.

– Nazwij to, jak ci się żywnie podoba, moja droga... – Głos Shahara zabrzmiał teraz wyjątkowo ponuro.

Wyciągnął rękę, chcąc pochwycić Marię, lecz jego aż nazbyt czytelne zamiary pokrzyżowało niespodziewane wtargnięcie Altaïra. Shahar obrócił się i wrzasnął: „Asasyn!”, po czym złapał Marię za ramiona i pchnął ją brutalnie na ziemię, aż zawyła z bólu. Altaïr postanowił, że za przemoc wobec kobiety musi wymierzyć mu karę.

– Wybacz mi, Shalimie, że pozwoliłem sobie wejść bez zapowiedzi – odezwał się.

– A więc szukasz Shalima? – Shahar uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi.
– Jestem pewien, że mój brat z radością do nas dołączy.

Gdzieś z góry dobiegł hałas i Altaïr podniósł głowę. Na galerii dostrzegł zbliżającego się Shalima, który, podobnie jak jego brat, szeroko się uśmiechał. Chwilę później otworzyły się drzwi i do sieni wpadło dwóch strażników. Zamierzali rzucić się na Marię, która zdołała już powstać z ziemi. Zanim jednak zdążyli to uczynić, kobieta zawirowała i błyskawicznym ruchem wyszarpnęła z pochwy pierwszego strażnika miecz, a następnie ugodziła nim jego właściciela.

Strażnik krzyknął i skulił się, podczas gdy Maria okręciła się ponownie i przyklęknąwszy na jedno kolano, zadała cios, który powalił drugiego z żołnierzy. W tej samej chwili z galerii zeskoczył Shalim, lądując na środku sieni, tuż obok swego brata. Altaïr mógł przez chwilę przyjrzeć się im obu i zdumiało go ich fizyczne podobieństwo. U jego boku wyrosła tymczasem Maria, której świeżo zdobyty miecz ociekał jeszcze krwią. Ich dwoje przeciw bliźniakom. Altaïr poczuł, jak jego piersi wypełnia uczucie, na które składała się zarówno duma, jak i coś jeszcze – coś, czego asasyn wolał nie nazywać po imieniu.

– Ich dwóch – powiedział głośno – i nas dwoje.

Lecz Maria ponownie zrobiła mu niespodziankę. Zamiast walczyć ramie w ramię z Altaïrem, wydała z siebie tylko pogardliwe prychnięcie, po czym wybiegła przez drzwi, które strażnicy nieopatrznie zostawili otwarte. Asasynowi przemknęło jeszcze przez głowę pytanie, czy nie powinien przypadkiem pójść w jej ślady, ale oto bracia znaleźli się już przy nim. Altaïr musiał stanąć do walki na śmierć i życie z dwoma wyśmienitymi szermierzami.

Walka była długa i brutalna. Bliźniacy rzucili się w jej wir z dużym animuszem, przekonani, że uda im się bez trudu pokonać asasyna. Było ich przecież dwóch i obaj po mistrzowsku posługiwali się bronią – oczekiwali więc, że zetrą samotnego przeciwnika na proch. Nie wzięli jednak pod uwagę, że Altaïr wręcz kipiał gniewem i frustracją. Nie wiedział już, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Został zdradzony: ludzie, którzy mieli być

przyjaciółmi, okazywali się przeciwnikami. Ci, po których spodziewał się, że mogą zostać jego przyjaciółmi – a może nawet kimś więcej – odtrącali jego wyciągniętą rękę. Był pewny jedynie tego, że walczy w wojnie, której prawdziwej stawki jeszcze nie zna; w wojnie, w którą zaangażowane są siły i ideologie wciąż jeszcze dla niego niezrozumiałe.

Kiedy u jego stóp legły wreszcie martwe ciała bliźniaków z nienaturalnie ułożonymi kończynami i z szeroko otwartymi, martwymi oczami, asasyn nie poczuł choćby cienia satysfakcji z odniesionego zwycięstwa. Strząsnął tylko krew z klingi swego miecza, po czym schował go do pochwy i wyszedł na taras. Za plecami słyszał głosy nadciągających strażników. Stanął na balustradzie, rozpostarł ramiona i skoczył. Poniżej stał wóz z sianem, na którym wylądował, a chwilę później zniknął w zaułkach miasta.

Kiedy powrócił do kryjówki buntowników, pośród nich zastał Markosa, z niecierpliwością oczekującego wieści o losie synów Molocha. Dowiedziawszy się o ich śmierci, obecni w kryjówce Cypryjczycy zaczęli obejmować się z radości – nareszcie bowiem otwierała się przed nimi szansa na odzyskanie Kyrenii. A ich zwycięstwo w tym mieście oznaczałoby zaś, że jest nadzieja dla całej wyspy.

Markos obdarzył asasyna promiennym uśmiechem.

– To się naprawdę dzieje, Altaïrze. Coraz więcej statków templariuszy ucieka z portów. Kyrenia będzie wkrótce wolna. Może nawet cały Cypr.

Altaïr odwzajemnił uśmiech; udzieliła mu się szczerą radość, jaką dostrzegał w oczach Markosa.

– Mimo wszystko zachowajcie ostrożność – poradził.

Miał przy tym świadomość, że nawet o krok nie zdołał zbliżyć się do miejsca, w którym znajdowało się archiwum templariuszy. Jednak ich ucieczka stanowiła dla niego pewną wskazówkę.

– Templariusze nie zostawiliby archiwum bez dozoru – powiedział – więc na pewno nie ma go tutaj.

Markos zastanowił się przez chwilę.

– Większość statków, które opuszczają Kyrenię, kieruje się do Limassol – odezwał się wreszcie. – Być może archiwum jest właśnie tam?

– Teraz też tak myślę – asasyn skinął głową. – Ruszam tam najszybciej jak to możliwe. Dzięki za pomoc, Markosie. Dobrze się przysłużyłeś swojej ojczyźnie.

– Płyn z Bogiem, Altaïrze.

Nieco później Altaïr wsiadł na statek, który miał zabrać go z powrotem do Limassol. Miał nadzieję, że uda mu się w końcu rozwikłać zamiary templariuszy. Liczył też, że zdoła odkryć prawdę o Aleksandrze.

Rozmyślał nad tym podczas podróży, zapisując w swym dzienniku:

Pamiętam chwile własnej słabości, gdy słowa Al Mualima zachwiały moją wiarą. On, który był dla mnie jak ojciec, okazał się najgorszym z moich wrogów. Wystarczyłaby wówczas jedna ulotna chwila zwątpienia, by za pomocą tego urządzenia wpłynął do mego umysłu. Pokonałem jednak jego upiory, odzyskałem wiarę i posłałem go na tamten świat.

46

Limassol nie zmieniło się od dnia, w którym je opuścił. Mieszkańcy zajmowali się swoimi zwykłymi sprawami, choć z ich twarzy można było wyczytać, że nie są zadowoleni z obecności templariuszy, od których roiło się w całym mieście.

Nie tracąc czasu, asasyn odnalazł nowe schronienie buntowników, które – tak jak poprzednie – mieściło się w starym składzie. Wszedł do środka, zdecydowany rozmówić się z Aleksandrem i skonfrontować przywódcę buntu z tym, czego dowiedział się z podsłuchanej rozmowy Boucharta i Shalima.

Kiedy jednak znalazł się już w spichrzu, to Aleksander przejął inicjatywę.

– Nie zbliżaj się, zdrajco! – zawołał na widok Altaïra. – Zdradziłeś nas i sprzedałeś naszą sprawę. Przez cały czas współpracowałeś z Bouchartem?

Altaïr był przygotowany na konfrontację z Aleksandrem, a w razie potrzeby nawet na walkę, lecz teraz uspokoił się, widząc, w jakim stanie znajduje się przywódca Cypryjczyków. Przyszło mu do głowy, że mógł mylnie zinterpretować zdarzenie, którego był świadkiem w zamku Buffavento. Na wszelki wypadek zachował jednak czujność.

– O to samo zamierzałem zapytać ciebie, Aleksandrze. Słyszałem, jak Bouchart wymienia twoje imię. Podobno otrzymałeś od niego przesyłkę?

Aleksander skinął głową, zmrużywszy oczy. We wnętrzu starego spichlerza nie było wiele mebli; jednym z nielicznych była niska ława i to właśnie na niej Altaïr dostrzegł ten sam worek, który Bouchart wręczył Shalimowi

w Kyrenii.

– Owszem – odparł Aleksander – płócienny worek, a w nim głowę biednego Barnaby.

Asasyn podszedł do ławy. Pociągnął za troki, którymi zawiązany był worek i materiał opadł, odsłaniając głowę mężczyzny. Tyle że...

– To nie jest człowiek, z którym spotkałem się w Kyrenii – oznajmił Altaïr, patrząc smutno na obciętą głowę. Skóra zaczęła już zmieniać kolor i wydzielala silną, nieprzyjemną woń. Martwe oczy były przymknięte; dolna szczeka nieco opadła, odsłaniając w ustach siny język.

– Co takiego? – spytał podejrzliwie Aleksander.

– Prawdziwy Barnaba został zamordowany jeszcze przed moim przybyciem do Kyrenii. Zastąpił go szpieg templariuszy, który zdążył poważnie zaszkodzić naszej sprawie, nim zniknął – wyjaśnił asasyn.

– Boże, miej nas w swojej opiece. W Limassol templariusze postępują równie bezwzględnie. Kapitanowie ich wojsk krążą po targowiskach, portach i po placu katedralnym, aresztując każdego, kto tylko w ten czy inny sposób stanie im na drodze.

– Nie trać nadziei. Kyrenia zrzuciła już jarzmo templariuszy. Pozbędziemy się ich także z Limassol – obiecał.

– Musisz być ostrożny. Templariusze nastawiają część moich ludzi przeciw tobie. Reszta też nie do końca ci ufa.

– Dzięki za ostrzeżenie.

Altaïr rozpoczął poszukiwania Boucharta, które mimo wysiłków okazały się bezowocne. Gdy powrócił do kryjówki, by podzielić się złymi wieściami z Aleksandrem, zastał ją opustoszałą. Na ławie leżał list, w którym przywódca pisał, że chce się spotkać z Altaïrem na zamkowym dziedzińcu.

Asasyn zastanowił się. Czy kiedykolwiek wcześniej miał okazję zobaczyć próbkę pisma Aleksandra? Nie przypominał sobie. Tak czy inaczej, ktoś mógł zmusić go do napisania tej wiadomości.

Podążając na wyznaczone miejsce spotkania, Altaïr przeczuwał, że to może

być pułapka. Gdy znalazł się na dziedzińcu zamku, dostrzegł leżące na ziemi ciało i poczuł ogarniający go żal.

Nie, przemknęło mu przez myśl.

Rozejrzał się szybko, lecz ujrzał tylko puste blanki okalających dziedziniec murów obronnych. Uklęknął przy ciele i obróciwszy je, spojrzął prosto w otwarte, lecz pozbawione życia oczy Aleksandra.

Nagle usłyszał głos dobiegający gdzieś z góry. Zerwał się na równe nogi i obrócił się w tamtym kierunku. Dostrzegł jakąś postać stojącą na blankach i spoglądającą w dół na dziedziniec. Oślepiiony przez słońce, Altaïr osłonił oczy dłonią, lecz wciąż nie mógł dostrzec twarzy tego człowieka. Czy to Bouchart? Kimkolwiek był, z pewnością nosił na piersi czerwony krzyż. Stał w lekkim rozkroku, wzięwszy się pod boki – każdy fragment jego ciała emanował pewnością siebie właściwą zwycięskim bohaterom.

Rycerz wskazał zwłoki Aleksandra.

– Twój przyjaciel? – zapytał kpiącym tonem.

Altaïr miał szczerą nadzieję, że zdoła wkrótce odplacić mu za to szyderstwo. Gdy rycerz na murze nieco się przesunął, Altaïr zdołał wreszcie rozpoznać jego rysy. Szpieg. Ten sam, który w Kyrenii przedstawił się jako Barnaba i który prawdopodobnie odpowiadał za śmierć prawdziwego Barnaby, jeszcze jednego porządnego człowieka. Za to również asasyn planował mu zapłacić. Zacisnął pięści i szczęki. Tymczasem szpieg zdołał go zaskoczyć i był w korzystniejszej sytuacji.

– Ty tam! – zawołał asasyn. – Nie dosłyszałem twojego imienia!

– A co powiedziałem ci w Kyrenii? – Rycerz-szpieg zarechotał. – Że nazywam się Barnaba, czyż nie?

Wtem rozległ się potężny harmider. Altaïr odwrócił się i zobaczył tłum mieszkańców Limassol, który właśnie wlewał się na dziedziniec. Zrozumiał, że wpadł w zasadzkę. Szpieg rozpuścił wcześniej plotki szkalujące Altaïra, a teraz zaaranżował wszystko tak, by to asasyna uznano za zabójcę Aleksandra. Rozwścieczona horda Cypryjczyków nieprzypadkowo pojawiła

się w zamku właśnie teraz. Altaïr wszedł prosto w zastawione przez templariuszy sidła, mimo iż instynkt ostrzegał go, by miał się na baczności.

Kolejny już raz przeklął siebie i swą nieostrożność. Rozejrzał się szybko. Zbudowane z piaskowca ściany piętrzyły się nad dziedzińcem. Na blanki wiodły kamienne schody, jednak na ich szczycie stał uśmiechnięty od ucha do ucha szpieg, który najwyraźniej doskonale się bawił, obserwując wydarzenia na dziedzińcu. Te zresztą dopiero nabierały rozmachu: tłum Cypryjczyków pędził bowiem właśnie w kierunku Altaïra; ich nabiegłe krwią twarze zdradzały wściekłość, oczy zaś wyrażały żądzę zemsty i pragnienie wymierzenia sprawiedliwości.

– Tam jest ten zdrajca!

– Na sznur z nim!

– Zapłacisz za swe zbrodnie!

Altaïr nie ruszał się z miejsca. W pierwszym odruchu chciał sięgnąć po miecz, ale poniechał tego: nie wolno mu było zabić żadnego z mieszkańców. Gdyby to uczynił, zniszczyłby resztki ich zaufania do bojowników o wolność Cypru i do asasynów. Wszystko, co mógł w tej sytuacji zrobić, to zaprzeczyć oskarżeniom i przekonywać o swej niewinności. Zarazem zdawał sobie sprawę, że ludzie, którzy właśnie ku niemu pędzą, nie zamierzają słuchać racjonalnych argumentów. Rozpaczliwie szukał w myśli rozwiązania.

I znalazł je. Jabłko.

Nagle jakby usłyszał jego wezwanie. Przypomniawszy sobie, że przecież artefakt znajduje się w sakiewce na jego plecach – wy dobył go niezwłocznie i skierował ku nadciągającemu tłumowi.

Sam nie miał pojęcia, co właściwie chciał przez to osiągnąć; nie był też pewien, czego powinien oczekiwać. Po prostu wyczuł, że Jabłko samo podporządkuje się jego woli, że właściwie odczyta jego intencje. Było to jednak ledwie przecucie. Instynkt.

I instynkt go nie zawiódł. Artefakt drgnął gwałtownie i rozbłysnął w dłoni asasyna. Zaczął emanować dziwnym, przejrzystym światłem, które spowiło

tłum – ten zaś raptownie się uspokoił i zamarł bez ruchu. Altaïr dostrzegł kątem oka, jak szpieg templariuszy cofa się zaskoczony. Przez krótką chwilę asasyna ogarnęło poczucie wszechmocy – i w tej samej chwili, oprócz uwodzicielskiego uroku Jabłka oraz niemal boskiej siły, jaką obdarzało człowieka, dostrzegł także straszliwe niebezpieczeństwo użycia artefaktu – i to nie tylko przez tych, którzy posłużyliby się nim do złych celów, ale także przez niego samego. Nawet on nie był niewrażliwy na pokusy Jabłka. Użył go teraz, ale przysiągł sobie, że nie uczyni tego nigdy więcej, przynajmniej nie w takim celu.

Następnie zwrócił się do tłumu:

– To Armand Bouchart jest odpowiedzialny za waszą niedolę! – zawołał. – To on wynajął tego człowieka, by nastawił was przeciw sobie. Idźcie i zbierzcie ludzi. Cypr będzie znowu należał do was!

Przez głowę Altaïra przemknęło teraz pytanie, czy zabieg odniósł skutek. Czy kiedy opuści rękę z Jabłkiem, rozwścieczony tłum nie ruszy naprzód, by doprowadzić lincz do końca?

Tak się jednak nie stało. Zgromadzeni na dziedzińcu ludzie nie rzucili się na Altaïra. Najwyraźniej jego słowa przekonały ich. Mieszkańcy Limassol bez zwłoki zawrócili i opuścili dziedziniec równie szybko, jak się na niego dostali. Teraz jednak sprawiali wrażenie przygaszonych, a nawet nieco skruszonych.

Dziedziniec ponownie opustoszał, Altaïr zaś przez krótki czas przyglądał się jeszcze Jabłku, które stopniowo bladło w jego dłoni: podziwiał je, obawiał się go, a zarazem czuł jego siłę. Wreszcie oderwał wzrok i schował artefakt w bezpieczne miejsce.

– Niczego sobie zabaweczka – odezwał się szpieg. – Mógłbym ją pożyczyć?

Altaïr wiedział jedno: templariusz weźmie Jabłko tylko po jego trupie. Wysunął ostrze, gotów do walki, podczas gdy szpieg zaczął schodzić z murów. Uśmiechał się przy tym – najwyraźniej cieszyła go perspektywa

pojedyńku z asasynem.

Nagle zatrzymał się.

Uśmiech spłynął mu z twarzy, niczym ściekający powoli olej.

Z jego piersi sterczał sztych miecza. Plama krwi rozlała się po białej tunice, zlewając się z czerwonym znakiem krzyża. Mężczyzna opuścił głowę zdezorientowany, jakby starał się zrozumieć, skąd wzięło się to ostrze. Stojący na dziedzińcu asasyn zadawał sobie dokładnie to samo pytanie. Tymczasem templariusz zachwiał się i Altaïr dostrzegł postać stojącą tuż za nim. Postacią tą była Maria.

Kobieta uśmiechnęła się i zepchnęła templariusza, który koziółkując, stoczył się na dziedziniec. Maria strzepnęła krew z klingi i uśmiechając się do Altaïra, wsunęła miecz do pochwy.

– A więc przez cały czas miałeś Jabłko przy sobie – stwierdziła.

Altaïr skinął głową.

– Rozumiesz teraz, jaką bronią mogłoby być w niewłaściwych rękach – odrzekł.

– Nie jestem pewna, czy twoje ręce nazwałabym właściwymi.

– Masz rację. Zniszczę Jabłko... albo je ukryję. Ale nie podejmę decyzji, zanim nie znajdę archiwum.

– Nie musisz go dłużej szukać – powiedziała. – Właśnie nad nim stoisz.

47

W tej samej chwili u wejścia na dziedziniec rozległ się gromki okrzyk bojowy i wbiegła tamtędy grupa templariuszy. Ich oczy groźnie błyskały przez szpary w hełmach.

– Tędy, szybko! – zawołała z góry Maria, po czym odwróciła się i pomknęła blankami w kierunku drzwi. Altaïr już miał podążyć jej śladem, gdy obskoczyło go trzech przeciwników. Zaklął pod nosem i stawił im czoła, kolejny już raz tracąc z oczu Marię. Rozległ się szczeł stali.

Przeciwnicy, z którymi przyszło mu się potykać, okazali się wytrawnymi szermierzami, którzy nie szczędzili czasu na ćwiczenia – mięśnie ich karków aż za dobrze o tym świadczyły – lecz nawet trzech takich rycerzy nie mogło się równać z jednym dobrze wyszkolonym asasynem. Altaïr tańczył wokół nich, zwinnie zadając ciosy dopóty, dopóki wszyscy trzej nie padli martwi u jego stóp.

Spojrzał w górę. Blanki murów były puste. Ani śladu Marii. Wbiegł susami po schodach, zatrzymując się tylko na chwilę, by spojrzeć w dół na ciało martwego szpiega. Jeśli zadanie szpiegów polega na wprowadzaniu zamętu w szeregi wroga, to ten spisywał się nader dobrze; niewiele brakowało, a udałoby mu się zwrócić ludność Cypru przeciw bojownikom, a tym samym na dobre wydać wyspę w ręce templariuszy, którzy nie zamierzali nieść oświecenia jej mieszkańcom, lecz chcieli jedynie ujarzmić ich i kontrolować.

Altaïr ruszył biegiem po blankach murów, aż w końcu dotarł do drzwi. To tutaj znajdowało się wejście do budynku skrywającego archiwum. Altaïr

przestąpił próg.

Drzwi z trzaskiem zamknęły się za jego plecami. Znalazł się na prowadzących w dół schodach, biegnących wzdłuż ścian głębokiego szybu. Umieszczone na nich pochodnie dawały liche blask, rzucając cienie na ozdobione krzyżami templariuszy mury. Panowała tu zupełna cisza.

Choć jednak nie...

Gdzieś z oddali, z dołu, dobiegł krzyk. Czyżby to strażnicy, zaalarmowani obecnością... Marii? Jej wolny duch nie pozwolił jej podporządkować się idei wyznawanej przez templariuszy. W oczach dawnych towarzyszy Maria była teraz zdrajczynią. Przeszła na stronę wroga i wkroczyła na ścieżkę asasynów: zabiła templariusza i wskazała asasynowi miejsce, w którym mieściło się archiwum. Po tym wszystkim templariusze bez wahania zabijają ją na miejscu. Altaïr jednak miał już okazję podziwiać ją w walce i był pewien, że jej przeciwnikom łatwiej będzie o tym pomyśleć, niż to zrobić.

Zaczął biec w dół po ciemnych stopniach, od czasu do czasu przeskakując wyrwę w kruszejących kamiennych płytach. Doprowadziły go do komnaty, której podłoga wysypana była piaskiem. Tutaj na powitanie asasyna ruszyło trzech strażników. Pierwszego pozbył się jednym celnym rzutem noża, po czym ciął drugiego mieczem w szyję. Chwilę później trzeci zwał się na ziemię przebity celnym sztychem. Kiedy ranni strażnicy zwijali się na ziemi, asasyn dobił ich, jednego po drugim, po czym ruszył dalej. Zapuściwszy się w głąb podziemi, usłyszał szum wody i jakiś czas później znalazł się na moście, przebiegającym między dwoma wodospadami. Huk spadającej wody wystarczył, by zagłuszyć odgłos kroków – żaden z wartowników na przeciwległym krańcu mostu nie usłyszał zbliżającego się asasyna. Altaïr powalił ich dwoma cięciami ukrytego ostrza.

Zostawiwszy za plecami ich ciała, podążył dalej, aż wreszcie dotarł do biblioteki. Jego oczom ukazały się sale wypełnione regałami, na których stały rozliczne księgi. Znalazł się u celu swej wędrówki. Nie był pewien, czego właściwie spodziewał się po tym miejscu, ale niewątpliwie znajdowało się tu

mniej ksiąg i artefaktów, niż to sobie wyobrażał. Czy to naprawdę było to osławione archiwum, o którym tyle słyszał?

Nie miał jednak czasu, by się zatrzymać i dokładnie zbadać znalezisko. Usłyszał bowiem ludzkie głosy oraz uderzenia mieczy, które przywodziły na myśl dźwięk młota walącego o kowadło. Po dobiegających do niego hałasach, przerywanych z rzadka okrzykami, zorientował się, że pojedynkują się dwie osoby, z których jedna niewątpliwie była kobietą.

Altaïr przeszedł przez łukowo sklepione przejście, u szczytu którego widniał krzyż templariuszy. Znalazł się w obszernej komnacie, na środku której znajdowała się część ceremonialna, otoczona przez misternie rzeźbione kamienne kolumny. Tam też Altaïr dostrzegł Marię walczącą z Bouchartem. Jak dotąd udawało się jej powstrzymać ataki mistrza templariuszy, lecz robiła to z największym trudem; gdy Altaïr wkroczył do komnaty, Bouchart właśnie zadał Marii cios, po którym kobieta z bolesnym krzykiem upadła na kamienną podłogę.

Bouchart posłał jej obojętne spojrzenie, po czym obrócił się ku Altaïrowi, który bezgłośnie pojawił się w sali.

– Bezmyślny cesarz Komnen – oznajmił templariusz, mając na myśli niegdyś władcę Cypru – był głupcem, ale naszym głupcem. Przez prawie dekadę działaliśmy na tej wyspie bez żadnych przeszkód. Nasze archiwum było najlepiej strzeżonym sekretem na całym Cyprze. Niestety, nawet najbardziej misterne plany zawiodły w zderzeniu z głupotą Izaaka.

„Przez prawie dekadę... – powtórzył w myśli Altaïr. – „A potem...”. Zrobił krok do przodu, spoglądając to na Boucharta, to na Marię.

– Komnen rozgniewał króla Ryszarda i w rezultacie ściągnął Anglików niebezpiecznie blisko archiwum. Czy tak?

Korzystając z tego, że Bouchart nie próbował go zatrzymać, Altaïr zbliżył się do leżącej Marii i pochylił się nad nią. Ujął w dłonie jej twarz, szukając na niej oznak życia.

– Na szczęście zdołaliśmy przekonać Ryszarda, by sprzedał nam wyspę –

ciągnął Bouchart, najwyraźniej napawając się brzmieniem własnego głosu. – To był jedyny sposób, by odwrócić jego uwagę.

Powieki Marii drgnęły. Z jej piersi wyrwał się słaby jęk. Żyje. Odetchnawszy z ulgą, Altaïr ułożył ją delikatnie na podłodze i wyprostował się, zwracając się ku Bouchartowi. Mistrz templariuszy obserwował ich z pobłażliwym uśmiechem.

– Kupiliście coś, co już i tak mieliście pod kontrolą... – odpowiedział Altaïr. Teraz rozumiał. Templariusze kupili Cypr od Ryszarda tylko po to, by zapobiec odkryciu ich archiwum. Nic dziwnego, że ścigali go tak zapamiętale, odkąd zjawił się na wyspie.

Bouchart potwierdził jego przypuszczenia.

– Tylko spójrz, dokąd to nas zaprowadziło. Odkąd tu przybyłeś i wetknąłeś nos w zbyt wiele ciemnych zakamarków, archiwum przestało być bezpieczne.

– Chciałbym móc powiedzieć, że żałuję. Ale zwykłem dostawać to, czego chcę – odparł Altaïr. W jego głosie nie brakowało pewności siebie, ale w głębi ducha czuł, że coś jest nie w porządku.

I rzeczywiście, Bouchart uśmiechnął się szeroko.

– Nie tym razem, asasynie. Nie tym razem. Nasza mała wycieczka do Kyrenii, na którą dałeś się namówić, dała nam dość czasu, byśmy mogli spakować archiwum i je wywieźć.

Oczywiście. Biblioteka, którą widział po drodze i wziął za skromne archiwum, w rzeczywistości była jedynie niepotrzebnymi pozostałościami po prawdziwym archiwum. Templariusze odwrócili jego uwagę wydarzeniami w Kyrenii i wykorzystali okazję do przeniesienia swoich najcenniejszych zbiorów.

– Wy nie przewoziliście artefaktów na Cypr. Wy je stąd wywoziliście – stwierdził Altaïr i wszystko nagle stało się oczywiste.

– Właśnie tak – potwierdził Bouchart, kiwnąwszy z uznaniem głową. – Lecz nie wszystko musi stąd zniknąć... Myślę, że ciebie tu zostawimy.

Bouchart skoczył ku asasynowi, wyprowadzając jednocześnie proste pchnięcie – Altaïr jednak zdołał je odbić. Bouchart przygotował się na to i uderzył ponownie, wciąż prąc do przodu i zmuszając asasyna do przejścia do defensywy i parowania serii sztychów i cięć. Bouchart był doskonałym wojownikiem, co do tego nie było wątpliwości. Był szybki, a przy tym poruszał się z gracją i odznaczał się dobrą pracą nóg, co odróżniało go od większości krzyżowców, którzy w walce polegali przede wszystkim na brutalnej sile. Lecz do pojedynku z Altaïrem przystąpił pewny zwycięstwa, i to szybkiego. Jego przemożne pragnienie pokonania przeciwnika sprawiło, że przestał zważać na to, jak wyczerpująca fizycznie może być walka; Altaïr natomiast bronił się konsekwentnie i pozwolił templariuszowi nacierać, odpierając jego ataki i tylko od czasu do czasu atakując samemu. Te krótkie wypady asasyna przynosiły wymierne rezultaty: na ciele Boucharta pojawiały się kolejne draśnięcia i rany. Spod ciężącej na barkach templariusza kolczugi zaczęła wypływać krew.

Walcząc, Altaïr myślał o Marii i o tych, którzy zginęli z rozkazu templariuszy. Nie pozwolił jednak, by te wspomnienia przerodziły się w żądzę zemsty, a jedynie by wyzwoliły w nim determinację. Z twarzy Boucharta zniknął tymczasem pogardliwy uśmiech; podczas gdy Altaïr walczył w ciszy, wielki mistrz templariuszy zaczął postękiwać z wysiłku – a także z narastającą w nim frustracją. Ruchy jego miecza stawały się coraz mniej skoordynowane i coraz częściej chybiały celu. Spływał potem i krwią. Zęby miał kurczowo zaciśnięte.

Altaïr zaś otwierał w ciele Boucharta coraz to nowe rany: ciął go w czoło, przez co krew zaczęła zalewać oczy templariusza, który raz za razem musiał ocierać twarz stalową rękawicą. Z najwyższym trudem unosił teraz miecz, przygarbił się, jego nogi osłabły, a ramiona stały się ociężałe. Oddychał z wysiłkiem, a krwawa maska na twarzy zmuszała go, by mrużyć oczy, usiłując wypatrzeć przeciwnika pośród cieni oraz niewyraźnych kształtów. Bouchart był już pokonany. To z kolei oznaczało, że właściwie był martwy.

Altaïr nie bawił się z nim.

Poczekał tylko, aż minie niebezpieczeństwo. Gdy był już pewny, że słabość Boucharta nie jest udawana, przebił go mieczem na wylot.

Templariusz zwałił się na ziemię, a Altaïr uklęknął obok. Gdy Bouchart podniósł ku niemu wzrok, asasyn dostrzegł szacunek w oczach pokonanego wroga.

– Przynosisz... zaszczyt waszemu Credo... – wydusił z siebie Bouchart.

– Ty zaś odszedłeś od swojego.

– Nie odszedłem... poszerzyłem je. Świat jest bardziej skomplikowany, niż większość ludzi odważy się przyznać. Może byś to zrozumiał, gdyby cała twoja wiedza nie sprowadzała się do tego, jak mordować innych.

– Oszczędź mi wykładów na temat cnoty. – Altaïr zmarszczył brwi. – Umieraj ze świadomością, że nigdy nie dopuszczę, by Jabłko będące Fragmentem Edenu dostało się w ręce kogokolwiek poza mną.

Mówiąc to, poczuł ciepło na swych plecach, zupełnie jakby ukryte tam Jabłko przebudziło się nagle. Bouchart uśmiechnął się ironicznie.

– Nie rozstawaj się z nim, Altaïrze. Dojdiesz do takich samych wniosków jak my... W swoim czasie...

Wielki mistrz zakonu templariuszy skonał. Altaïr wyciągnął dłoń, by zamknąć mu powieki i w tej samej chwili poczuł, że ściany się zatrzęśły, a z sufitu posypały się kawałki gruzu. Rozległ się daleki huk. Templariusze ostrzeliwali budynek archiwum z katapult. Pomyśleli o wszystkim. Nie chcieli zostawić żadnych śladów.

Podbiegł do Marii i pomógł jej stanąć na nogi. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a między nimi narodziło się milczące porozumienie. Następnie Maria pociągnęła go za ramię i poprowadziła ku wyjściu z wielkiej sali, która zatrzęsała się właśnie od kolejnej salwy. Altaïr obejrzał się za siebie i zobaczył, jak dwie pięknie zdobione kolumny złamały się i runęły, a wielkie kamienne fragmenty uderzyły o podłogę. Asasyn ruszył biegiem i dogonił Marię, która wspinała się już po schodach w górę szybu, pokonując po dwa

stopnie naraz. Po drodze minęli zniszczone na skutek ostrzału pomieszczenia archiwum. Wciąż biegli, czasem jedynie uchylając się przed spadającymi kawałkami muru, które roztrzaskiwały się o schody. Wreszcie dotarli do wyjścia.

Schody w tym miejscu zawaliły się, Altaïr wspiął się więc pierwszy, po czym wciągnął Marię na kamienny podest. Pchnęli drzwi i znaleźli się pod gołym niebem. Chwilę później musieli gwałtownie odskoczyć – ostrzał nasilił się bowiem i budynek zaczął się walić. Kiedy wszystko ucichło, oboje stali tam jeszcze przez jakiś czas, wciągając głęboko do płuc świeże powietrze i ciesząc się, że zdołali ujść z życiem.

O zmierzchu, gdy statki templariuszy odpłynęły już z wyspy, zabierając ostatnie fragmenty bezcennego archiwum, Altaïr i Maria udali się do portu w Limassol. Szli obok siebie, każde zatopione we własnych myślach.

– Nie pragnę już niczego, o co walczyłam w Ziemi Świętej. – Przerwała długie milczenie Maria. – A gdy pomyślę o wszystkim, co poświęciłam, by dołączyć do templariuszy...

– Wrócisz do Anglii? – zapytał Altaïr.

– Nie... Zawędrowałam już tak daleko od domu, że wyruszę dalej na wschód. Może do Indii? A może będę podążać przed siebie, dopóki w końcu nie spadnę za krawędź świata... A ty?

Altaïr zastanowił się. Cieszyła go bliskość, jaka między nimi zapanowała.

– Służąc Al Mualimowi, przez długi czas sądziłem, że dotarłem w życiu najdalej, jak to możliwe, i że odtąd moją jedyną powinnością jest wskazywanie innym kresu, do którego sam doszedłem.

– Kiedyś myślałam tak samo – zgodziła się.

Asasyn wyjął Jabłko i przytrzymał je w wyciągniętej dłoni, przyglądając mu się z uwagą.

– Ten artefakt jest czymś straszliwym, ale zarazem skrywa w sobie prawdziwe cuda... Chciałbym go zrozumieć najlepiej, jak tylko potrafię.

– Stąpasz po cienkim lodzie, Altaïrze.

Skinął powoli głową.

– Wiem. Ale pożera mnie ciekawość, Mario. Chcę poznać największe umysły świata, odwiedzić najwspanialsze biblioteki i zgłębić wszystkie tajemnice natury i wszechświata.

– I to wszystko w ciągu jednego życia? Dość ambitny zamiar...

Altair zaśmiał się.

– Kto wie? Może się okazać, że jedno życie to w sam raz.

– Być może. A gdzie chcesz się udać najpierw?

Spojrzał na nią z uśmiechem. Jednego był pewny: pragnął, by ona była przy nim aż do końca jego podróży.

– Na wschód... – odrzekł.

CZEŚĆ CZWARTA

48

15 lipca 1257

Maffeo przygląda mi się czasem w dość osobliwy sposób. Sprawia wtedy wrażenie, jakby sądził, że nie mówię mu wszystkiego. Zdarzyło mu się to już kilka razy w trakcie naszych spotkań, podczas których snuję mą opowieść. Czy to wtedy, gdy siedzimy na gwarnym placu w Masjafie, czy to w katakumbach pod cytadelą, gdy rozkoszujemy się podmuchami chłodnego powietrza, czy też podczas przechadzek po zamkowych blankach, gdy obserwujemy kołujące w powietrzu i nurkujące ku dolinie ptaki – za każdym razem Maffeo spogląda na mnie tak, jakby chciał powiedzieć: „Co chcesz przede mną zataić, Niccolò?”.

Odpowiedź, rzecz jasna, brzmiałaby: nic. Jedyne, co przemilczam, to nurtujące mnie wciąż podejrzenie, że cała ta historia okaże się ostatecznie w jakiś sposób dotyczyć mnie oraz mojego brata, oraz przecucie, że Altaïr opowiedział mi to wszystko nie bez przyczyny. Czy ma to związek z Jabłkiem? A może z dziennikiem Altaïra? Albo też z Kodeksem – księgą, w której zawarł on kwintesencję swych najważniejszych odkryć?

Maffeo tymczasem wciąż świdruje mnie tym swoim spojrzeniem:

- No i?
- No i co, bracie?
- Czy Altaïr i Maria wyruszyli na wschód?
- Maffeo, Maria jest matką Darima, szlachetnego pana, który raczył nas tu

zaprosić.

Mój brat zamknął oczy i obrócił się ku słońcu, pozwalając, by jego promienie ogrzały mu twarz swym ciepłem. Wydawało się, że rozważa usłyszane przed chwilą słowa. Jestem przekonany, że próbował pogodzić obraz Darima takiego, jakim go znaliśmy (mężczyzny sześćdziesięcioletniego, o wieku którego zaświadczała sterna życiem twarz), ze swoim wyobrażeniem kogoś, kto miał matkę – taką zwłaszcza jak Maria.

Uśmiechnąłem się wyrozumiale i pozwoliłem mu podumać nad tym w spokoju. Podobnie jak Maffeo zadręczał pytaniami mnie, tak i ja sam zarzucałem nimi Mistrza, choć oczywiście robiłem to ze znacznie większym taktem, niż zwykł czynić to mój brat.

– Gdzie znajduje się teraz Jabłko? – zapytałem pewnego razu. Jeśli mam być szczery, to w skrytości ducha żywiłem nadzieję, że nadejdzie chwila, w której Altaïr mi je pokaże. Przecież ilekroć o nim mówił, czynił to z taką czcią, czasem nawet z pewnym lękiem. Całkiem naturalne było więc to, że liczyłem, iż w końcu uda mi się zobaczyć je na własne oczy. Być może wtedy pojałbym, na czym polega jego moc.

Niestety, nie było mi to dane. Mistrz zareagował na moje pytanie irytacją. Nie powinienem zawracać sobie głowy myśleniem o Jabłku – przestrzegł mnie, grożąc przy tym palcem. Powinienem raczej skupić się na Kodeksie. Na jego stronicach spisano bowiem tajemnice Jabłka, oczyszczone, jak to określił, ze zgubnych efektów oddziaływania tego artefaktu.

Kodeks. Tak, uznałem, to właśnie on ma odegrać ważną rolę w przyszłości. W mojej przyszłości.

Tak czy inaczej, wróćmy do obecnych wydarzeń: jak już wspomniałem, obserwowałem Maffea dumającego nad tym, że Darim jest synem Marii i Altaïra. Początkowy antagonizm między tą parą przerodził się najpierw w szacunek, a potem we wzajemne upodobanie, przyjaźń, miłość i...

– Doszło do małżeństwa? – spytał Maffeo. – Czy ona i Altaïr pobrali się?

– W istocie. Około dwa lata po wydarzeniach, które ci opisałem, wzięli ślub

w Limassol. To, że ceremonia ślubna odbyła się właśnie tam, było wyrazem szacunku dla Cypryjczyków. Umożliwili oni bowiem asasynom założenie siedziby na wyspie, która szybko stała się dla zakonu kluczową twierdzą. Markos był honorowym gościem na ślubie i wzniósł nawet nieco żartobliwy toast za piratów, którzy niechcący przyczynili się do tego, że poznał Marię i Altaïra. Wkrótce potem asasyn i jego żona wrócili do Masjafu, gdzie przyszedł na świat ich syn, Darim.

– Ich jedyny syn?

– Nie. Dwa lata później Maria urodziła brata Darima, Sefa.

– Co się z nim stało?

– Wszystko w swoim czasie, bracie. Wszystko w swoim czasie. Teraz dość powiedzieć, że był to spokojny i owocny okres w życiu Mistrza. On sam nie mówi o nim wiele, jak gdyby była to rzecz zbyt cenna, by wydobywać ją z pamięci na światło dzienne, ale wiele z tamtego okresu zawarte zostało w Kodeksie. Przez cały czas Altaïr dokonywał kolejnych odkryć i wciąż doznawał nowych objawień.

– Na przykład?

– Opisał je w swym dzienniku. Znajdziesz w nim nie tylko receptury nowych asasyńskich trucizn, ale także leków. Wizje osiągnięć, które zostaną dokonane w przyszłości, oraz przyszłych katastrof, projekty zbroi i nowych ukrytych ostrzy, wśród nich i takiego, które wystrzeliwać będzie pociski. Mistrz prowadził też rozważania dotyczące wiary oraz początków ludzkości, ukształtowanej z chaosu, okiełznanego i przekształconego w porządek, lecz nie przez najwyższą istotę, a przez człowieka.

Maffeo wyglądał na wstrząśniętego. „Ukształtowanej z chaosu, okiełznanego i przekształconego w porządek, lecz nie przez najwyższą istotę...”.

– Asasyni kwestionują każdą wiarę – powiedziałem nieco pompatycznie. – Nawet swą własną.

– Jak to?

– Cóż, Mistrz pisał o sprzecznościach, jakie dostrzegał w Zakonie asasynów. O tym, jak pragną oni zaprowadzić pokój, lecz środkiem do tego celu jest dla nich przemoc i mord. O tym, że chcą otworzyć ludzkie umysły, ale wymagają posłuszeństwa wobec Mistrza. Zakon asasynów naucza też o niebezpieczeństwach, jakie niesie ze sobą ślepa wiara w ustanowione religie, a zarazem domaga się od wszystkich swych członków, by bez cienia wątpliwości przestrzegali Creda. Pisał też o Tych, Którzy Byli Przed Nami: członkach pierwszej cywilizacji, którzy pozostawili po sobie artefakty, poszukiwane teraz zarówno przez asasynów, jak i przez templariuszy.

– Jabłko jest jednym z nich?

– Właśnie. Przedmiot o olbrzymiej mocy, o który zabiegał zakon templariuszy. Doświadczenia cypryjskie nauczyły Mistrza, że templariusze, zamiast walczyć o wpływy tradycyjnymi środkami, obrali drogę podstępny. Altaïr doszedł do wniosku, że podobnie powinni uczynić asasyni.

Uznał, że Zakon asasynów nie powinien budować ogromnych fortec ani odprawiać wystawnych rytuałów. Tym, co czyni człowieka asasynem, jest przestrzeganie Creda. Jak na ironię, to samo twierdził Al Mualim. Oto idea, która rzuca wyzwanie wszelkim ustalonym doktrynom. Taka, która zachęca akolitów, by przekraczali swe ograniczenia i czynili niemożliwe możliwym. To właśnie te zasady Altaïr rozwinął i to one towarzyszyły mu przez całe lata jego wędrówki po Ziemi Świętej, w trakcie której przywrócił Zakonowi równowagę i zaszczepił w nim wartości, jakie sam poznał, krocząc ścieżką asasyna. Jedynie w Konstantynopolu jego wysiłki na rzecz propagowania drogi asasynów zawiodły. W roku 1204 wybuchły tam potężne rozruchy: lud zbuntował się przeciw cesarzowi Bizancjum, Aleksemu, a niedługo potem do Konstantynopola wdarli się krzyżowcy i zaczęli łupić miasto. W takim zamieszaniu Altaïr nie był w stanie zrealizować swych planów i musiał uchodzić ze stolicy Bizancjum. To była jedna z jego niewielu porażek w tamtym okresie. Zabawne: kiedy mi o tym opowiadał, przyglądał mi się dość osobliwie.

- Czy dlatego, że pochodzimy z Konstantynopola?
- Niewykluczone. Będę się musiał kiedyś nad tym zastanowić. Być może fakt, że pochodzimy z Konstantynopola, oraz jego wysiłki na rzecz założenia w tym mieście asasyńskiej gildii, są powiązane...
- Powiadasz, że owe wysiłki to jego jedyna poważna porażka?
- Istotnie. Altaïr uczynił dla Zakonu więcej niż jakikolwiek przywódca przed nim. I jedynie pojawienie się potężnego Czyngis-chana powstrzymało go przed kontynuowaniem jego dzieła.
- Co przez to rozumiesz?
- Przed około czterdziestu laty Altaïr wspominał o nim w swym Kodeksie. O ciemnych chmurach, zbierających się na Wschodzie. O armii tak wielkiej i potężnej, że niepokój ogarnął całą ziemię.
- Miał na myśli imperium Mongołów? – upewnił się Maffeo. – Pojawienie się Czyngis-chana?
- Tak jest – odparłem. – Darim miał wówczas dwadzieścia kilka lat i był utalentowanym łucznikiem. Altaïr opuścił Masjaf, zabrawszy ze sobą Darima oraz Marię.
- Chciał stawić czoła Czyngis-CHANOWI?
- Altaïr podejrzewał, że za postępami władcy Mongołów może stać artefakt podobny do Jabłka. Być może Miecz. Altaïr zamierzał to sprawdzić, a przy tym powstrzymać mongolską nawałnicę.
- I zostawił Masjaf?
- Powierzył zarząd w ręce Malika. Zostawił na miejscu także Sefa, by pomógł zadbać o wszystkie sprawy. Sef miał już wówczas żonę i dwie młode córki, w przeciwieństwie do brata. Altaïr, Maria i Darim opuścili Masjaf na długi czas.
- Jak długi?
- Nie było ich przez dziesięć lat, bracie. A kiedy powrócili do Masjafu, wszystko wyglądało inaczej. Nic już nie miało być takie jak dawniej. Czy chcesz o tym posłuchać?

– Opowiadaj dalej, proszę.

49

Z daleka wydawało się, że w Masjafie wszystko jest w porządku. Żadne z nich – ani Altaïr, ani Maria, ani też Darim – nie spodziewało się, co ich wkrótce czeka.

Altaïr wraz z Marią wysforowali się nieco do przodu. Jechali strzemię w strzemię, tak jak lubili, ciesząc się nawzajem swą obecnością, a także bliskością domu, który był już w zasięgu wzroku. Raz po raz unosili się i opadali w powolnym, stałym rytmie końskich kroków; mimo że mieli za sobą długą i męczącą podróż, trzymali się w siodłach prosto i dumnie. Mogli posunąć się w latach – oboje byli już przecież sześćdziesięciolatkami – lecz ich sylwetki nie były ani trochę przygarbione. Pomimo wyśmienitej kondycji jechali powoli, gdyż ich wierzchowce dobrane zostały pod kątem siły i wytrzymałości, nie zaś szybkości; poza tym do każdego z koni przywiązany był juczny osioł, dźwigający na grzbiecie zapasy.

Za nimi podążał Darim, który po matce odziedziczył jasne, roześmiane oczy, po ojcu posturę oraz karnację, po obojgu zaś rodzicach – temperament. Miał wielką ochotę pogalopować naprzód, przemknąć przez położoną na zboczu wzgórza wioskę i wpaść do cytadeli, zapowiadając powrót rodziców; zamiast tego jednak włókł się z tyłu, jadąc potulnie kłusem i respektując wolę ojca, który pragnął cichego powrotu. Darim od czasu do czasu odpędzał machnięciem pejcza muchy, które lgnęły do jego twarzy. Pomyślał, że znacznie lepszym sposobem na pozbycie się natrętnych owadów byłaby jazda galopem. Zastanawiał się, czy dostrzeżono ich już z wież fortecy.

Minąwszy stajnie, przejechali przez drewnianą bramę i dotarli na majdan. Nic się tu nie zmieniło. Wjechali do wioski, gdzie natychmiast obstały ich podekscytowane, domagające się łakoci dzieci – zbyt małe, by mogły pamiętać Mistrza. Starsi mieszkańcy wioski rozpoznali go, lecz nie witali przybyszów, a jedynie obserwowali ich uważnie i z rezerwą, co nie uszło uwadze Altaïra. Ilekroć próbował podchwycić spojrzenia mieszkańców, ich twarze odwracały się od niego. Asasyn poczuł, jak zaczyna kiełkować w nim niepokój.

Po chwili zauważył zbliżającą się ku nim postać. Spotkali się z nią u podnóża zbocza, na którym wznosiła się cytadela. Był to Swami. Kiedy Altaïr opuszczał Masjaf, Swami był jeszcze uczniem, jednym z tych, którzy zanadto lubili walkę, a za mało przykładali się do nauki. W ciągu minionych dziesięciu lat dorobił się na twarzy blizny, która zmarszczyła się, gdy Swami szeroko się uśmiechnął. W jego oczach nie było jednak śladu po owym uśmiechu. Być może Swami myślał już z niechęcią o naukach, jakie będzie musiał znosić po powrocie Altaïra do Masjafu.

Tak czy inaczej, wysłucha ich, pomyślał Altaïr, spoglądając jednocześnie na widoczny za plecami Swamiego zamek, na szczycie którego łopotała na wietrze ogromna chorągiew ze znakiem asasynów. W przeszłości nakazał jej usunięcie: asasyni mieli porzucić tego rodzaju puste symbole. Malik jednak najwyraźniej wywiesił sztandar na nowo. W stosownym czasie także i jego nie ominie garść pouczeń.

– Altaïrze – odezwał się Swami, skłoniwszy przy tym głowę. Zwracając się do swego Mistrza, nie użył właściwego tytułu, ale Altaïr postanowił przemilczeć to uchybienie. Przynajmniej na razie.

– Jakaż to przyjemność ujrzeć cię ponownie – ciągnął Swami. – Ufam, że twoje podróże okazały się owocne.

– Wysyłałem wiadomości – odrzekł Altaïr, pochylając się nieco do przodu w siodle. Darim podjechał tymczasem do przodu i zatrzymał się u boku Altaïra. Wszyscy troje stali teraz w jednej linii, spoglądając w dół na

Swamiego. – Czyżby Zakon nie był informowany o moich poczynaniach?

Swami uśmiechnął się służalczo.

– Ależ tak, oczywiście. Zapytałem jedynie z kurtuazji.

– Spodziewałem się, że na powitanie wyjdzie mi Rauf – oświadczył Altaïr.

– On wie najlepiej, czego mi potrzeba.

– Tak... Biedny Rauf... – Swami opuścił wzrok, jakby popadł w nagłą zadumę.

– Czy coś się stało?

– Przykro mi, ale Rauf nie żyje. Przed kilkoma laty zmogła go gorączka.

– Dlaczego mnie o tym nie powiadomiono?

W odpowiedzi Swami zdobył się jedynie na wzruszenie ramionami: obraźliwy gest, który oznaczał, że nie znał odpowiedzi i wcale o nią nie dbał.

Altaïr przygryzł wargi i pomyślał, że ktoś będzie musiał się z tego wytłumaczyć, nawet jeśli to nie będzie ten chłystek, który stał przed nim.

– Zatem ruszajmy dalej. Mam nadzieję, że nasze kwatery są gotowe?

Swami ponownie pochylił głowę.

– Obawiam się, że nie, Altaïrze. Dopóki się to nie stanie, czeka na was rezydencja w zachodniej części fortecy. Przykazano mi wskazać wam drogę, byście mogli się tam rozgościć.

Altaïr zerknął na Darima, który ściągnął gniewnie brwi, a następnie na Marię. Jego żona odwzajemniła spojrzenie, a jej oczy mówiły: „uważaj!”. Coś było nie w porządku.

– Bardzo dobrze – odparł powściągliwie Altaïr, po czym wszyscy troje zsiadli z koni.

Swami przywołał gestem kilku młodych służących, którzy zajęli się wierzchowcami, on sam zaś w towarzystwie trójki podróżnych rozpoczął wspinaczkę ku bramie cytadeli. Stojący przy niej wartownicy gorliwie pochyliли głowy – można było odnieść wrażenie, że podobnie jak mieszkańcom wioski zależy im, by uniknąć wzroku Altaïra. Zamiast poprowadzić Altaïra i jego rodzinę przez barbakan, Swami skręcił i ruszył

wzdłuż wewnętrznego pierścienia zamkowych umocnień.

Altaïr spojrział na pnące się wysoko ku niebu mury cytadeli; miał ochotę znaleźć się w ich obrębie, nacieszyć wzrok widokiem skrywającego się za nimi serca Zakonu. Czuł narastającą irytację, ale instynkt podpowiadał mu, by się powstrzymać i poczekać na właściwy moment. Wreszcie dotarli do kwatery: był to niski, częściowo wykuty w skale budynek, do wnętrza którego prowadziło łukowo sklepione wejście, za którym znajdowały się schodki wiodące w dół, do westybulu. Mebli było tu niewiele, a na powitanie gości nie wyszła żadna służba. Altaïr przyzwyczajony był do mieszkania w skromnych warunkach – a nawet sam zazwyczaj na takie nalegał – lecz tutaj, w Masjafie, oczekiwał, że jako głowa Zakonu asasynów kwatrować będzie jeśli nie w wieży Mistrza, to w miejscu mogącym się z nią równać.

Zjeżony odwrócił się, by wyładować gniew na Swamim, który stał w westybulu z przyklejonym do twarzy, wciąż tym samym, służalczym uśmiechem, lecz powstrzymała go Maria, chwytając i ściskając mocno za ramię.

– Gdzie jest Sef? – zapytała Swamiego. Uśmiechała się przy tym uprzejmie, ale Altaïr znał swą żonę i wiedział, że czuje ona do Swamiego odrazę i gardzi nim każdą cząstką swego ciała. – Proszę, żeby natychmiast go tu przysłano.

Swami przybrał zboląłą minę.

– Żałuję, ale Sefa tu nie ma. Musiał wyjechać do Alamutu.

– A jego rodzina?

– Towarzyszą mu w podróży.

Maria rzuciła Altaïrowi zaniepokojone spojrzenie.

– Jakież to interes ma mój brat do załatwienia w Alamucie? – warknął Darim, którego niewielki rozmiar przyznanej im kwatery wyprowadził z równowagi jeszcze bardziej niż jego rodziców.

– Tego niestety nie wiem – wycedził Swami.

Altaïr odetchnął głęboko i zbliżył się do Swamiego. Uniżony uśmiech

ulotnił się z twarzy posłańca i szpecąca ją blizna wygładziła się. Być może Swami przypomniał sobie nagle, że ma przed sobą Altaïra, Mistrza, którego umiejętnościom na polu bitwy dorównywała jedynie gwałtowność, jaką potrafił okazać jako nauczyciel w lekcyjnej sali.

– Natychmiast zawiadom Malika, że chcę się z nim widzieć! – zawarczał groźnie Altaïr. – Powiedz mu, że jest mi winien sporo wyjaśnień.

Swami przełknął głośno ślinę, nieco teatralnie załamując przy tym ręce.

– Malik jest w więzieniu, Mistrzu.

Altaïr drgnął gwałtownie.

– W więzieniu? Z jakiego powodu?

– Nie wolno mi o tym mówić, Mistrzu. Na jutrzejszy poranek zwołano posiedzenie rady.

– Posiedzenie czego?

– Po uwięzieniu Malika, zgodnie z prawami naszego Bractwa, uformowała się rada, która ma nadzorować działalność Zakonu.

Rzeczywiście, powstanie rady zgodne było z zasadami Zakonu, ale mimo to Altaïr spochmurniał.

– Kto przewodniczy radzie?

– Abbas – odparł Swami.

Altaïr spojrzał na Marię. Jej oczy wyrażały teraz głębokie zatroskanie. Ujęła męża pod ramię.

– A kiedy będę miał okazję spotkać się z radą? – spytał Altaïr spokojnym głosem, który maskował buzujące w nim emocje.

– Rada chciałaby jutro wysłuchać twojej relacji z podróży, a także zapoznać cię z wydarzeniami, jakie w tym czasie miały miejsce w Zakonie.

– A kiedy już to zrobi, zostanie rozwiązana – stwierdził stanowczo Altaïr. – Oznajmij owej radzie, że zobaczymy się o świcie. Powiedz im, żeby zapoznali się uważnie z zakonnym prawem. Mistrz powrócił i życzy sobie ponownie objąć przywództwo w Bractwie.

Swami pokłonił się i wyszedł.

Członkowie rodziny odczekali, aż posłaniec zniknie, i dopiero wtedy dali wyraz swym prawdziwym odczuciom. Altaïr zwrócił się do Darima:

– Jedź do Alamutu – polecił nagłym tonem. – Sprowadź Sefa. Potrzebujemy go tu i to jak najszybciej.

50

Nazajutrz, gdy Altaïr i Maria zamierzali właśnie udać się ze swej rezydencji do głównej wieży, dołączył do nich Swami, nalegając, by mógł osobiście przeprowadzić ich przez barbakan. Poprzedniego dnia Altaïr zastanawiał się, dlaczego nie słyszy dobiegających zza murów uderzeń mieczy i innych odgłosów, towarzyszących zwykle ćwiczeniom asasynów. Gdy teraz weszli na dziedziniec, poznał powód owej ciszy.

Na placu nie odbywały się żadne ćwiczenia. O ile kiedyś obszar w obrębie murów cytadeli tętnił życiem, a od kamiennych murów niemal nieustannie odbijał się echem metaliczny szczęk mieczy oraz przekleństwa instruktorów, o tyle obecnie dziedziniec był niemal zupełnie opustoszały. Altaïr rozejrzał się dookoła, omiatając spojrzeniem górujące nad dziedzińcem baszty i ziejące w nich czarne czeluście okien. Strażnicy na blankach przyglądali się im beznamiętnym wzrokiem. Po miejscu, gdzie adepci uzyskiwali oświecenie i nabierali biegłości dzięki ćwiczeniom, po tym prawdziwym tyglu asasyńskiej sztuki i wiedzy, który tu zostawił, wyruszając w swą podróż, teraz niemal nie było śladu. Altaïr popadł w jeszcze bardziej ponury nastrój. Zamierzał skierować się ku wejściu do głównej wieży, lecz Swami poprowadził ich w kierunku schodów, po których wspięli się do lektorium, a następnie przeszli do głównej zamkowej sali.

Tam czekała już na nich rada. Dziesięciu mężów siedziało po dwóch stronach długiego stołu, u szczytu którego zasiadał Abbas. Dwa drewniane krzesła z wysokimi oparciami pozostawały wolne – najwidoczniej

przeznaczono je dla Altaïra i Marii. Gdy oboje zajęli miejsca, Altaïr po raz pierwszy, odkąd znalazł się w komnacie, spojrzął na Abbasa, swego dawnego przeciwnika. Dostrzegł w nim coś więcej niż zwykłą słabość i urazę. Tym razem zobaczył w Abbasie rywala. Od pamiętnej nocy, gdy Ahmed przyszedł do jego izby i odebrał sobie w niej życie, Altaïr przez cały czas litował się nad Abbasem. Teraz jednak ta litość zniknęła.

Przyjrzał się pozostałym zgromadzonym. Tak jak się podziewał, nowa rada składała się z pozbawionych charakteru, a przy tym najprzebieglejszych członków zakonu. Z ludzi, których on sam najchętniej pozbyłby się z szeregów Bractwa. Wyglądało na to, że wszyscy oni postanowili dołączyć do rady, czy też raczej zostali do niej zaproszeni przez Abbasa. Charakterystyczną dla tego grona postacią był Farim, ojciec Swamiego, który teraz łąpał na Altaïra spod swych opadających powiek. Podbródek rozlewał mu się na obfite piersi. Jakże oni się spaśli, pomyślał z pogardą Altaïr.

– Witamy, Altaïrze – zagaił Abbas. – Jestem pewien, że wyrażę zdanie nas wszystkich, kiedy powiem, że nie mogę się wprost doczekać, aż usłyszę o twych wyczynach na Wschodzie.

Maria pochyliła się lekko do przodu.

– Jeśli pozwolisz, Abbasie, zanim powiemy cokolwiek o naszych podróżach, chcielibyśmy sami usłyszeć kilka odpowiedzi. Zostawiliśmy Masjaf w dobrym stanie. Wygląda jednak na to, że standardy nieco się tu obniżyły.

– My? My zostawiliśmy Masjaf w dobrym stanie? – powtórzył Abbas z uśmiechem, nie patrząc na Marię; ani na moment nie odrywał bowiem oczu od Altaïra. Obaj mierzyli się wrogim wzrokiem przez stół. – Jeśli mnie pamięć nie myli, to kiedy opuszczałeś Bractwo, mieliśmy tylko jednego Mistrza. Teraz wygląda na to, że mamy dwóch.

– Miarkuj się, byś nie musiał zapłacić wysokiej ceny za swą bezczelność, Abbasie – ostrzegła go Maria.

– Moją bezczelność? – Abbas roześmiał się. – Altaïrze, powiedz proszę tej

niewiernej, że odtąd nie ma prawa się odzywać, dopóki nie zwróci się do niej członek rady.

Altaïr z gniewnym okrzykiem zerwał się z krzesła, które odchyliło się do tyłu i uderzyło o podłogę. Jego dłoń powędrowała ku rękojeści miecza, lecz w tej samej chwili ruszyło ku niemu dwóch strażników z obnażonymi mieczami.

– Straż, odebrać mu broń! – rozkazał Abbas. – Będzie ci wygodniej bez niej, Altaïrze. Czy nosisz ostrze?

Gdy jeden ze strażników przystąpił do Altaïra, by wziąć jego miecz, Mistrz podniósł ramiona. Rękawy szaty opadły: nie było pod nimi ukrytego ostrza.

– Teraz możemy zaczynać – rzekł Abbas. – Proszę, nie marnuj więcej naszego czasu. Opowiedz nam o swej misji powstrzymania Czyngis-chana.

– Najpierw usłyszę od ciebie, co stało się z Malikiem – warknął Altaïr.

Abbas odchrząknął i podniósł brwi, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że znaleźli się w impasie. I rzeczywiście tak było, ponieważ żaden z nich nie przejawiał ochoty, by ustąpić. Wreszcie jednak Altaïr burknął coś, poirytowany, i uznał, że lepiej rozpocząć opowieść, niż dalej tkwić w martwym punkcie. Zrelacjonował swą podróż do Persji, Indii oraz Mongolii, gdzie on, Maria oraz Darim połączyli siły z asasynem imieniem Qulan Gal. Opowiedział, jak wspólnie wyruszyli do prowincji Xia i dotarli w pobliże miasta Xing-ging, obleganego przez mongolską armię, niestrudzenie poszerzającą granice imperium Czyngis-chana. Tam też Altaïr wraz z Qulan Galem podjęli próbę przeniknięcia do obozu mongolskich wojsk. Doszły ich bowiem słuchy, że przebywał tam sam Czyngis-chan.

– Darim wybrał korzystnie położone miejsce niedaleko obozu i uzbrojony w łuk czuwał stamtąd nade mną i Qulan Galem w czasie, gdy my przemykaliśmy pomiędzy mongolskimi namiotami. Obóz był bardzo dobrze strzeżony, musieliśmy więc polegać na Darimie. Gdyby jacyś strażnicy zwrócili na nas uwagę albo sprawiali wrażenie, że zamierzają wszcząć alarm, zadaniem Darima było jak najszybciej się ich pozbyć. – Altaïr,

powiedziawszy to, powiódł wyzywającym wzrokiem po twarzach siedzących przy stole mężczyzn. – I wywiązał się z tego zadania w sposób godny podziwu.

– Jaki ojciec, taki syn – skomentował Abbas, w którego głosie wyraźnie pobrzmiwało szyderstwo.

– Niekoniecznie – odrzekł spokojnie Altaïr. – Ponieważ tamtej nocy niewiele brakowało, a to ja byłbym odpowiedzialny za zwrócenie uwagi Mongołów na naszą obecność w obozie.

– Ha! – zawołał Abbas. – A więc on nie jest nieomylny!

– Nikt nie jest, Abbasie – odparł Altaïr. – A już na pewno nie ja. Dopuszciliem, by zaskoczył mnie żołnierz wroga. Zdążył mnie zranić, zanim Qulan Gal zdołał go zabić.

– Starzejemy się, Altaïrze? – zadrwił Abbas.

– Wszyscy bez wyjątku, Abbasie. Byłbym już martwy, gdyby nie Qulan Gal, który wydostał mnie z mongolskiego obozu i zabrał w bezpieczne miejsce. Jego czyn ocalił mi życie. – Mówiąc to, Altaïr spojrzał z uwagą na Abbasa. – Qulan Gal powrócił do obozu. Przedtem jednak ustalił z Darimem plan wywabienia Czyngis-chana z jego namiotu. Kiedy wódz Mongołów spostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo, próbował dosiąść konia i uciec. Qulan Galowi udało się jednak ściągnąć go na ziemię, a Darim dokończył dzieła jedną celną strzałą.

– Jego łucznicze umiejętności są poza wszelkimi wątpliwościami. – Abbas uśmiechnął się. – Mniemam, że gdzieś go wysłałeś. Być może do Alamutu?

Altaïr zamrugnął. Wyglądało na to, że Abbas wiedział o wszystkim.

– W istocie, Darim opuścił cytadelę na mój rozkaz. Czy udał się do Alamutu, czy nie, tego już się ode mnie nie dowiesz.

– Być może pojechał do Alamutu, by spotkać się tam z Sefem? – Abbas dążył dalej, po czym, nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Swamiego:

– Ufam, że powiedziałeś mu, iż Sef jest właśnie tam?

– Tak jak kazałeś, Mistrzu – odpowiedział Swami.

Altaïr poczuł, że ogarnia go coś znacznie gorszego niż tylko niepokój. To mógł być strach. Zorientował się, że to samo uczucie towarzyszy Marii: jej twarz ściągnęła się z z troskania.

– Powiedz, co masz do powiedzenia, Abbasie – rzekł.

– Albo co, Altaïrze?

– Albo moim pierwszym rozkazem po odzyskaniu przywództwa będzie wtrącenie cię do lochu.

– Gdzie miałbym zapewne dołączyć do Malika?

– Wątpię, by miejsce Malika było w więzieniu – warknął Altaïr. – O jaką zbrodnię jest oskarżony?

Na twarzy Abbasa ponownie zagościł uśmiezek.

– O morderstwo.

Można było odnieść wrażenie, że rzucone przez niego słowo upadło z głuchym odgłosem na stół.

– Kogo zabił? – spytała Maria.

Odpowiedź zabrzmiała tak, jakby dobiegała z bardzo, bardzo daleka...

– Sefa. Malik zamordował waszego syna.

Maria ukryła twarz w dłoniach.

– Nie! – Altaïr usłyszał czyjś głos i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że należał on do niego.

– Przykro mi, Altaïrze – powiedział Abbas takim tonem, jakby recytował wyuczoną na pamięć przemowę. – Przykro mi, że po powrocie musiałeś usłyszeć te najtragiczniejsze wieści. Myślę, że przekazując wyrazy współczucia tobie i twojej rodzinie, mogę to uczynić w imieniu wszystkich zebranych przy tym stole. Dopóki jednak pewne sprawy nie zostaną wyjaśnione, dopóty nie możesz ponownie stanąć na czele Zakonu.

Altaïr usiłował okiełznać chaos, jaki rozpełtał się w jego głowie, mając jednocześnie świadomość, że u jego boku szlocha Maria.

– Co takiego? – wydusił z siebie, po czym zapytał raz jeszcze, tym razem o wiele głośniej: – Co takiego?!

– Na tę chwilę jesteś uznany za skompromitowanego – odparł Abbas. – Podjąłem więc decyzję, że kontrola nad Zakonem pozostanie na razie w rękach rady.

Altair zatrząsł się z wściekłości.

– To ja jestem Mistrzem tego Bractwa, Abbasie! I żądam, by zgodnie z zakonnym prawem oddano mi władzę! Statut Zakonu nakazuje, by mi ją oddano! – krzyczał.

– Nie nakazuje – odparł uśmiechnięty Abbas. – Już nie.

51

Nieco później Altaïr i Maria siedzieli przytuleni na kamiennej ławie w swej rezydencji, pogrążeni w milczeniu i w niemal zupełnej ciemności. Całymi latami sypali na pustyniach, lecz nigdy wcześniej nie czuli się tak samotni i odizolowani od reszty świata jak w tamtej chwili. Rozpaczali nad sytuacją, w jakiej się znaleźli, i nad tym, co się stało z Masjafem podczas ich nieobecności; niepokoiłi się o rodzinę Sefa oraz o Darima.

Przede wszystkim jednak opłakiwali swego syna, Sefa.

Powiedziano im, że został zasztyletowany we własnym łóżku zaledwie dwa tygodnie wcześniej, i nie było dość czasu, by przesłać tę tragiczną wiadomość Altaïrowi. Nóż znaleziono w komnatach Malika. W dniu zabójstwa pewien asasyn słyszał, jak Malik kłóci się z Sefem. Altaïr nie poznał jeszcze imienia owego świadka, lecz bez względu na to, kim był ów człowiek, wyznał on, że Sef i Malik sprzeczali się o przywództwo w Zakonie, które Malik chciał rzekomo zatrzymać w swym ręku nawet po powrocie Altaïra.

– Wydaje się, że to wieści o twoim zbliżającym się powrocie stały się iskrą zapalną tamtej kłótni – snuł przypuszczenia Abbas, który najwyraźniej czerpał satysfakcję z przyglądania się pobladłej twarzy Altaïra i ze słuchania cichego łkania Marii.

Sef zagroził, że ujawni knowania Malika Altaïrowi, i dlatego Malik go zabił. Tak przynajmniej wyglądało to w teorii.

Maria wtuliła głowę w piersi męża i podkurczyła nogi. W dalszym ciągu

nie mogła powstrzymać łkania. Altaïr gładził jej włosy i kołysał ją, dopóki się nie uspokoiła. Potem przyglądał się tańczącym na żółtej kamiennej ścianie cieniom, rzucanym przez rozedrgane płomienie, i nasłuchiwał dobiegającej z zewnątrz gry świerszczy oraz chrzęstu stóp strażników.

Po krótkiej chwili Maria wzdrygnęła się gwałtownie i zbudziła. Altaïr również się poruszył – przed chwilą sam o mało nie zasnął, kołysany do snu widokiem pełgających płomieni. Maria usiadła, drżąc, i naciągnęła na siebie koc.

– Co teraz zrobimy? – spytała.

– Malik – powiedział tylko. Wbił niewidzące spojrzenie w ścianę, a jego odpowiedź zabrzmiała tak, jakby nie usłyszał pytania.

– Co z nim?

– Gdy byliśmy młodszy... Misja w podziemiach Wzgórza Świątynnego... Moje postęпки sprowadziły wówczas na niego wiele cierpienia.

– Ale też nauczyły cię czegoś – zaoponowała Maria. – A Malik o tym wiedział. Tamtego dnia narodził się nowy Altaïr, ten, który poprowadził Zakon ku wielkości.

Altaïr westchnął z powątpiewaniem.

– Wielkości?

– Nie teraz – odrzekła. – Może nie teraz, ale potrafisz przecież przywrócić Bractwu jego chwałę. Ty jedyny możesz tego dokonać. Nie Abbas. – Wypowiedziała to imię, jak gdyby poczuła w ustach wyjątkowo ohydny smak. – Nie jakaś rada. Ty. Altaïr. Altaïr, który na moich oczach przez trzydzieści lat służył Zakonowi. Altaïr, który narodził się tamtego dnia.

– Malika kosztowało to życie jego brata – przypomniał jej Altaïr. – I utratę ręki.

– Lecz wybaczył ci i od śmierci Al Mualima służył wiernie jako twój zastępca.

– A jeśli to była tylko fasada? – spytał cichym głosem Altaïr. Patrzył teraz na swój własny cień, który wydał mu się ponury i złowróżbny.

Odsunęła się od niego gwałtownie.

– Co ty mówisz?

– Być może Malik przez wszystkie te lata pielęgnował w sobie nienawiść do mnie – odrzekł. – Może w skrytości ducha pragnął władzy nad Zakonem, a Sef to odkrył.

– Tak, a mnie być może wyrosną w nocy skrzydła i wyfrunę z Masjafu – zadrwiła Maria. – Jak sądzisz, kto naprawdę żywi do ciebie nienawiść, Altaïrze? To nie Malik. To Abbas.

– W łóżu Malika znaleziono nóż – przypomniał Altaïr.

– Podłożony tam, by zrobić go w zbrodnię. Mógł to zrobić Abbas albo któryś z jego sługusów. Nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby była to sprawka Swamiego. A asasyn, który rzekomo podsłuchiwał kłótnię Malika i Sefa? Kiedy ujawnią nam jego tożsamość? Jak sądzisz, czy gdy go już poznamy, nie okaże się przypadkiem jednym ze stronników Abbasa? Być może nawet synem innego członka rady? Co wreszcie stało się z biednym Raufem? Zastanawia mnie, czy aby na pewno zmarł na skutek gorączki. Wstydz się, że zwątpiłeś w Malika, podczas gdy nie ma wątpliwości, że wszystko to jest dziełem Abbasa.

– Ja mam się wstydzić?! – Naskoczył na Marię, która cofnęła się, zaskoczona jego wybuchem. Świerszcze za oknem umilkły, zupełnie jakby chciały posłuchać kłótni mieszkańców zamku. – Wstydz się, że zwątpiłem w Malika? Czyż w przeszłości nie zwracano się przeciwko mnie i to z błahszych powodów niż te, które mógłby mieć Malik? Abbasa kochałem jak brata i próbowałem zachować się wobec niego godziwie. Al Mualim zdradził cały Zakon, ale to mnie traktował wcześniej jak własnego syna. Miałbym się teraz wstydzić mojej podejrzliwości? To właśnie moja ufność była źródłem moich największych klęsk. Zaufanie okazywane niewłaściwym ludziom.

Utkwił w Marii twarde spojrzenie zmrużonych oczu.

– Musisz zniszczyć Jabłko, Altaïrze – odpowiedziała Maria. – Ono miesza

ci w głowie. Mieć otwarty umysł to jedno. Lecz otworzyć go tak szeroko, by byle ptak mógł narobić do środka, to drugie.

– Nie jestem przekonany, czy tak bym to ujął – powiedział Altaïr, a na jego ustach pojawił się smutny uśmiech.

– Może i nie, ale taka jest prawda.

– Muszę odkryć, co się stało, Mario – rzekł. – Muszę mieć pewność.

Zdawał sobie sprawę, że są obserwowani, ale był przecież asasynem, a do tego znał Masjaf lepiej niż ktokolwiek inny. Bez trudu wymknął się z rezydencji, wspinał się po ścianie wewnętrznego pierścienia obwarowań, a gdy dotarł na blanki, ukrył się w cieniu i poczekał, aż patrol straży pójdzie dalej swoją drogą. Kontrolował oddech. Wciąż był szybki i zwinny. Wciąż też potrafił wspinać się po murach. A jednak...

Być może nie robił już tego z taką łatwością jak kiedyś. Powinien o tym pamiętać. Rana, którą odniósł w obozie Czyngis-chana, również spowalniała jego ruchy. Głupotą byłoby przecenić teraz swe zdolności i wpaść przez to w tarapaty. Wyobraził sobie, jak leży bezradny na plecach, niczym karaluch w agonii, słysząc zbliżających się strażników – a wszystko przez to, że źle wymierzył skok. Odpoczął chwilę, po czym ruszył w dalszą drogę po blankach, przemieszczając się z zachodniej części cytadeli w kierunku położonego na południu kompleksu wież. Udało mu się dotrzeć do baszty, unikając po drodze strażników. Następnie zszedł po murze na ziemię i skierował się ku magazynom zboża, gdzie znajdowało się wejście prowadzące do ciągu podziemnych tuneli. Zszedł na dół po kamiennych stopniach i znalazł się w sklepionym podziemnym przejściu.

Tam też zatrzymał się i przyłgnąwszy plecami do ściany, wyteżył słuch: dobiegł do niego odgłos wody płynącej przez tunele niewielkimi strumykami. Niedaleko od tego miejsca znajdowały się zamkowe lochy, używane zgodnie ze swym przeznaczeniem na tyle rzadko, że gdyby nie panująca w nich wilgoć, można by je wykorzystywać jako spichrze. Altaïr był przekonany, że Malik będzie ich jedynym lokatorem.

Zaczął skradać się przez tunel. Po pewnym czasie dostrzegł strażnika siedzącego plecami opartymi o ścianę, wzdłuż której mieścił się rząd cel. Mężczyzna drzemał z głową opuszczoną na piersi. Jednak nawet gdyby nie spał, to z miejsca, w którym siedział, nie mógłby dostrzec żadnej celi – trudno więc było powiedzieć, czego właściwie pilnował. Na widok niedbalstwa, jakim wykazał się wartownik, Altaïr poczuł jednocześnie gniew i ulgę. Przekradł się obok śpiącego i nagle zrozumiał, czemu strażnik wybrał sobie tak odległe miejsce.

Przyczyną był smród. Z trzech cel tylko środkowa była zamknięta i to do niej skierował się Altaïr. Nie był pewien, jaki widok ujrzy po drugiej stronie krat, nie miał natomiast wątpliwości co do zapachu i przezornie zakrył nozdrza dłonią.

Malik leżał zwinięty w kłębek na wyściełającej podłogę słomie, która nie wchłaniała uryny. Ubrany był w łachmany, przypominał bardziej żebraka niż asasyna. Był wychudzony i przez dziury w jego szacie Altaïr mógł dostrzec wyraźnie widoczne żebra. Kości policzkowe wystawały z wychudzonej twarzy więźnia, którą pokrywała broda, zbyt długa, podobnie zresztą jak włosy na jego głowie.

Przebywał w tej celi znacznie dłużej niż miesiąc – co do tego Altaïr nie miał wątpliwości.

Kiedy tak patrzył na Malika, jego dłonie mimowolnie zacisnęły się w pięści. Zamierzał się z nim rozmówić, by dociec prawdy, lecz teraz prawda sama stanęła mu przed oczyma. Wykrzykiwały ją wystające żebra i łachmany. Jak długo więziono Malika? Z pewnością na tyle długo, by zdążyć wysłać wiadomość Altaïrowi i Marii. Jak wiele czasu minęło od śmierci Sefa? Altaïr wolał nawet o tym nie myśleć. Teraz liczyło się dla niego tylko to, by jak najszybciej wydostać Malika z tego miejsca.

Kiedy strażnik otworzył oczy, ujrzał stojącego nad nim Altaïra. Chwilę później ogarnęła go ciemność, a gdy się ocknął, leżał zamknięty w cuchnącej moczem celi. Podczas gdy on bezskutecznie wzywał pomocy, po Maliku

i Altaïrze nie było już w lochach śladu.

– Możesz chodzić, przyjacielu? – zapytał z troską Altaïr.

Malik podniósł ku niemu mętny, zbołały wzrok. Gdy wreszcie udało mu się skupić spojrzenie na Altaïrze, na wymizerowanej twarzy pojawił się wyraz wdzięczności i ulgi, tak szczery, że gdyby Altaïr żywił jeszcze wobec Malika najmniejsze podejrzenia, to teraz natychmiast by się one rozwiały.

– Dla ciebie mogę – wychrypiał Malik i spróbował się uśmiechnąć.

Gdy jednak ruszyli tunelem do wyjścia z podziemi, szybko stało się jasne, że Malik nie ma dość siły, by iść samodzielnie. Altaïr zarzucił więc sobie jego ramię na szyję, a następnie, przez cały czas podpierając starego druha, wszedł po drabinie na basztę, przemierzył blanki murów i dotarłszy na zachodni kraniec fortecy, zszedł po zewnętrznej ścianie – tak oto, skutecznie unikając po drodze strażników, dotarli wreszcie do rezydencji. Altaïr rozejrzał się czujnie na wszystkie strony, po czym wszedł do środka.

52

Kiedy już ułożyli Malika na sienniku, Maria usiadła przy jego boku, przytrzymując kubek, z którego Malik popijał niewielkimi łykami.

– Dziękuję – szepnęła. Jego oczy nieco oprzytomniały. Podciągnął się na posłaniu, jakby bliskość Marii sprawiała mu dyskomfort; być może bycie troskliwie pielęgnowanym uważał za swoisty dyshonor.

– Co stało się z Sefem? – zapytał Altaïr.

Izba, w której przebywali we trójkę, wydawała się mała i ciasna; teraz, gdy Altaïr zadał pytanie, stała się jakby jeszcze mniejsza, a jej ściany zdawały się napierać na obecnych w niej ludzi.

– Zamordowano go – odparł Malik. – Dwa lata temu Abbas przeprowadził swój przewrót. Rozkazał zabić Sefa, po czym podrzucił narzędzie zbrodni do mojej komnaty. Jeden z asasynów przysięgł, że słyszał moją kłótnię z Sefem, Abbas zaś przekonał Zakon, że Sef zginął z mojej ręki.

Altaïr i Maria spojrzeli po sobie. Ich syn nie żył od dwóch lat. Altaïr poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość, i musiał wyteńczyć swą wolę, by nad nią zapanować – by zdusić nagły impuls, który kazał mu się odwrócić, wybiec z izby, pognać prosto do fortecy i ciąć Abbasa mieczem raz za razem, patrząc, jak tamten błaga o litość i wykrwawia się na śmierć.

Maria, która współodczuwała z nim ból, położyła mu dłoń na ramieniu.

– Przykro mi – rzekł Malik. – Wtrącony do więzienia, nie mogłem was powiadomić. Poza tym Abbas kontrolował wszelkie wiadomości, czy to otrzymywane, czy to wysyłane z Masjafu. Z pewnością miał pełne ręce

roboty, zmieniając wszystkie dotychczasowe zarządzenia, kiedy siedziałem w celi.

– Tak było – przyznał Altaïr. – Ma teraz poparcie rady.

– Przykro mi, Altaïrze – powiedział raz jeszcze Malik. – Powinienem był przewidzieć zamiary Abbasa. Po twoim wyjeździe przez całe lata starał się podkopywać moją pozycję. Nie miałem jednak pojęcia, że udało mu się zdobyć tak znaczne poparcie. Coś takiego nie przytrafiłoby się silniejszemu przywódcy. Nie przytrafiłoby się tobie.

– Nie kłopotuj się tym. Odpoczywaj, przyjacielu – odrzekł Altaïr i skinął na Marię.

Oboje usiedli w sąsiedniej izbie: Maria na kamiennej ławie, Altaïr na krześle z wysokim oparciem.

– Wiesz, co musisz teraz uczynić? – spytała Maria.

– Zniszczyć Abbasa – odparł.

– Lecz nie dla zemsty – powiedziała z naciskiem, patrząc mu głęboko w oczy. – Dla Zakonu. Dla dobra Bractwa. Po to, by je odzyskać i przywrócić mu wielkość. Jeśli jesteś w stanie tego dokonać i jeśli potrafisz sprawić, by te cele stały się dla ciebie ważniejsze od pragnienia zemsty, Zakon pokocha cię jak ojca, który wskazuje właściwą drogę. Gdybyś zaś dopuścił, by zaślepiły cię emocje i gniew, jak mógłbyś potem oczekiwać od członków Zakonu, by cię słuchali, gdy będziesz nauczał ich czegoś zupełnie innego?

– Masz rację – przyznał po chwili milczenia. – Jak więc powinniśmy to rozegrać?

– Trzeba doprowadzić do konfrontacji z Abbasem. Zakwestionować oskarżenia, jakie wysunął w sprawie zabójstwa naszego syna. Zakon będzie musiał przyznać nam rację, a Abbas będzie zmuszony odpowiedzieć za swe czyny.

– To będzie słowo Malika przeciw słowu Abbasa i jego sługi, kimkolwiek jest ów człowiek.

– Słowo Abbasa, tego podstępного lisa? Mogę się założyć, że jego człowiek okaże się jeszcze mniej godny zaufania. Bractwo uwierzy tobie, mój kochany. Będą chcieli ci uwierzyć. Jesteś wszakże wielkim Altairem. Jeśli zaś zdołasz się oprzeć myślom o zemście, jeśli dasz radę odzyskać Zakon za pomocą uczciwych środków, a nie nikczemnych machinacji, fundamenty, jakie w ten sposób położysz, będą jeszcze silniejsze od tego, co udało ci się dokonać do tej pory.

– Zobaczę się z nim natychmiast – rzekł Altair, wstając.

Upewnili się, że Malik śpi, po czym wyszli na zewnątrz, oświetlając sobie drogę pochodnią. Brodząc w porannej mgle, ścielącej się u ich stóp, szli szybkim krokiem wzdłuż wewnętrznego muru, podążając ku wejściu do twierdzy. Wreszcie stanęli przed główną bramą; za ich plecami rozpościerały się zbocza Masjafu, a u ich podnóża leżała opustoszała i pogrążona w ciszy wioska, która jeszcze nie zdążyła obudzić się do życia. Senny asasyn trzymający wartę przy bramie obrzucił ich spojrzeniem tak obojętnym, że aż obraźliwym – Altair zdołał jednak opanować złość. Minąwszy wartownika, przeszli przez barbakan i znaleźli się na głównym dziedzińcu.

Niespodziewanie odezwał się dzwon.

Altair nie wiedział, co ma znaczyć ten sygnał. Podniósł do góry pochodnię i rozejrzał się, podczas gdy bicie dzwonu wciąż niosło się po zamku. Wyczuł jakieś poruszenie we wnętrzu wież górujących nad dziedzińcem. Ponaglony przez Marię, ruszył wraz z nią w stronę schodów prowadzących ku podium, jakie wznosiło się u wejścia do wieży Mistrza. Nagle Altair odwrócił się i ujrzął odzianych w białe szaty asasynów z pochodniami w rękach, wkraczających na dziedziniec, wezwanych biciem dzwonu, które teraz raptownie się urwało.

– Chcę się widzieć z Abbasem – oznajmił Altair wartownikowi strzegącemu wejścia do wieży; jego głos zabrzmiał spokojnie i donośnie w niesamowitej ciszy, jaka zapanowała na dziedzińcu. Maria obejrzała się za siebie i zaczerpnęła powietrza na tyle gwałtownie, że zaniepokojony Altair

także się odwrócił. Asasyni wciąż się gromadzili. Przez chwilę Altaïr zastanawiał się, czy nie są pogrążeni w jakimś transie, lecz nie. Jabłko miał przecież przy sobie, bezpiecznie ukryte w odzieniu i uśpione. Ci ludzie po prostu czekali.

Na co?

Altaïr był przekonany, że niebawem się tego dowie.

Wrota wieży rozwarły się i ukazał się w nich Abbas. W tej samej chwili Altaïr poczuł Jabłko – jakby jakaś osoba trąciła go w plecy. Być może artefakt chciał przypomnieć mu o swej obecności.

Abbas tymczasem zdecydowanym krokiem wszedł na podium.

– Proszę, wytłumacz, dlaczego włamałeś się do zakonnego więzienia.

Mówiąc to, zwracał się zarówno do zgromadzonego tłumu, jak i do Altaïra oraz Marii. Altaïr obejrzał się szybko przez ramię: dziedziniec był już pełen ludzi. Pochodnie trzymane przez asasynów przypominały kule ognia zawieszane w ciemności.

A zatem Abbas zamierzał zdyskredytować go na oczach Zakonu. Maria miała jednak rację – ten człowiek nie dorósł do tego zadania. Wszystko, co Abbas przez to osiągnie, to przyspieszenie własnego upadku.

– Zamierzałem ustalić prawdę o tym, co się stało z moim synem – odpowiedział Altaïr.

– Doprawdy? – Abbas uśmiechnął się. – Jesteś pewny, że nie chodziło o zemstę?

Po stopniach prowadzących na podium wspiął się Swami. W rękach trzymał jakiś przedmiot owinięty w płócienny worek, który wręczył Abbasowi. Ten kiwnął głową. Altaïr i Maria przyglądali się workowi z niepokojem i przyspieszonym biciem serca.

Abbas zajrzał do worka. Na widok zawartości na jego twarzy pojawił się wyraz nieszczerego zatroskania. Następnie teatralnym gestem sięgnął do środka i znieruchomiał na chwilę, by nacieszyć się dreszczem oczekiwania, jaki przebiegł przez tłum.

– Biedny Malik – rzekł wreszcie i wyciągnął odciętą głowę: skóra na szyi była poszarpana i wciąż spływała krwią, gałki oczu uciekły do góry, a język lekko wystawał z ust.

– Nie! – krzyknął Altaïr i ruszył do przodu. Abbas skinął na strażników, którzy pospiesznie pochwycili Altaïra oraz jego żonę. Rozbrojonemu Altaïrowi wykręcono ręce i przytrzymano je za plecami.

Abbas wrzucił głowę z powrotem do worka, który następnie cisnął w kąt.

– Swami podsłuchał, jak razem z niewierną knujecie zabójstwo Malika. Jaka szkoda, że nie zdążyliśmy dotrzeć do Malika pierwsi, by zapobiec tej zbrodni.

– Nie! – ryknął Altaïr. – To kłamstwa! Nigdy nie zabiłbym Malika!

Próbując się wyrwać trzymającym go strażnikom, wskazał na Swamiego:

– On łże!

– Czy strażnik więzienny również łże? – zapytał Abbas. – Ten sam, który widział, jak wywlekasz Malika z jego celi. Dlaczego nie zabiłeś go na miejscu? Chciałeś, żeby dłużej cierpiał? A może to twoja angielska żona pragnęła mu zadać mściwe ciosy własną ręką?

Altaïr wciąż szarpał się ze strażnikami.

– Nie zabiłem go! – krzyknął. – Dowiedziałem się za to od niego, że to ty nakazałeś zamordować Sefa!

I oto nagle Altaïr zrozumiał. Spojrzał na Swamiego, dostrzegł ten pogardliwy wyraz jego twarzy; od tej chwili wiedział już, że to on zabił Sefa. Ponownie poczuł na plecach drgnięcie Jabłka. Za jego pomocą mógłby obrócić zamkowy dziedziniec w perzynę. Zabić każdego zdradzieckiego psa, jaki krył się między nimi. Wszyscy oni poczuli by jego furję.

Ale nie. Obiecał, że nigdy więcej nie użyje artefaktu w gniewie. Przyrzekł Marii, że nie pozwoli, by zemsta zmąciła jego umysł.

– To ty złamałeś Credo, Altaïrze – oznajmił tymczasem Abbas. – Nie ja. Nie jesteś zdolny przewodzić Zakonowi. Przejmuję zatem dowództwo.

– Nie możesz tego zrobić ot tak – zadrwił Altaïr.

– Ależ mogę. – Abbas, mówiąc to, podszedł do Marii, chwycił ją i przyciągnął ku sobie. Jednocześnie jednym płynnym ruchem wydobył sztylet i przystawił go do gardła kobiety. Maria wykrzywiła twarz w gniewnym grymasie i usiłowała się wyrwać, przeklinając głośno Abbasa, dopóki ten nie wbił czubka sztyletu w jej szyję – po skórze Marii popłynęła krew i kobieta zaniechała oporu. Pochwyciła natomiast spojrzenie Altaïra i wpatrywała się w niego intensywnie, starając się przekazać mu wzrokiem wiadomość – zdawała sobie bowiem sprawę, że Jabłko będzie kusić Altaïra. Ona sama zdążyła się już zorientować, że to Swami zabił Sefa, i tak samo jak Altaïr pragnęła, by mordercę spotkała kara. Jej oczy błagały jednak męża, by zachował spokój.

– Gdzie jest Jabłko, Altaïrze? – zapytał Abbas. – Mów, albo wytnę niewiernej drugie usta.

– Czy to słyszycie?! – krzyknął Altaïr przez ramię, zwracając się do zgromadzonych na dziedzińcu asasynów. – Czy słyszycie, jak próbuje przejąć przywództwo? Pragnie Jabłka nie po to, by otwierać umysły, ale by je kontrolować.

Jabłko paliło go teraz w plecy.

– Mów natychmiast, gdzie jest Jabłko, Altaïrze! – Abbas ponowił swe żądanie i mocniej przycisnął ostrze do szyi Marii. Altaïr nagle rozpoznał tę broń. Należała niegdyś do ojca Abbasa. Był to ten sam sztylet, którym Ahmed całe wieki temu podciął sobie gardło w jego izbie. Teraz zaś ostrze znajdowało się przy gardle Marii.

Walczył, by zachować panowanie nad sobą. Abbas tymczasem przeszedł wzdłuż podium, wlokąc za sobą Marię.

– Czy ufamy Altaïrowi na tyle, by pozostawić Jabłko Edenu w jego rękach? – zapytał zgromadzonych, lecz odpowiedział mu tylko niejednoznaczny pomruk. – Altaïrowi, który pozwala, by rządziły nim emocje zamiast rozumu? Czy nie powinno się go zmusić do oddania Jabłka, byśmy nie musieli uciekać się do takich środków?

Altaïr zerknął na tłum za plecami. Asasyni, najwyraźniej wciąż jeszcze zaskoczeni rozwojem wypadków, przestępowali tylko niepewnie z nogi na nogę. Altaïr przeniósł wzrok na płócienny worek, a następnie na Swamiego. Na jego szacie dostrzegł krew, która, sądząc po śladach, musiała obryzgać go cienkim strumieniem: z pewnością była to krew Malika. Szeroki uśmiech na twarzy młodego asasyna sprawiał, że jego blizna zmarszczyła się paskudnie. Altaïr zastanawiał się, czy z takim samym uśmiechem Swami zasztyletował Sefa.

- Możesz je dostać! – zawołał Altaïr. – Możesz dostać Jabłko!
- Altaïrze, nie! – krzyknęła Maria.
- Gdzie ono jest? – zapytał Abbas. Wciąż stał na drugim krańcu podium.
- Mam je przy sobie – odrzekł Altaïr.

Abbas wyglądał na zaniepokojonego. Przyciągnął Marię bliżej siebie, czyniąc z niej żywą tarczę. Z miejsca, które Abbas zadrasnął sztyletem, ściekała po jej szyi strużka krwi. Abbas kiwnął głową, dając strażnikom znak, by puścili Altaïra, który sięgnął po Jabłko i wy dobył je z fałdów odzienia.

Swami wyciągnął rękę po artefakt. Dotknął go.

I wtedy, bardzo cicho, tak by nie usłyszał go nikt poza Altaïrem, szepnął:

– Powiedziałem Sefowi, że to ty rozkazałeś go zabić. Umierał przekonany, że zdradził go jego rodzony ojciec.

Jabłko rozjarzyło się, Altaïr zaś stracił panowanie nad sobą. Swami, którego dłoń spoczywała na Jabłku, nagle wyprężył się, a oczy wyskoczyły mu z orbit.

Jego głowa przechyliła się w jedną stronę, a ciało zaczęło rzucać się i skręcać, jakby było sterowane przez jakąś wewnętrzną siłę. Szczęki asasyna rozwarły się, lecz nie wy dobył z siebie ani słowa. Wnętrze jego ust lśniło złotawym blaskiem, w którym można było dostrzec obracający się język. Po chwili, przymuszony przez Jabłko, cofnął się i zgromadzeni na dziedzińcu ujrzeni, jak przykłada dłonie do twarzy, po czym zaczyna rozdrapywać skórę,

złobiąc w niej paznokciami głębokie bruzdy. Pokaleczona twarz spływała krwią, Swami zaś w dalszym ciągu szarpał swe ciało, zupełnie jakby wyrabiał makabryczne ciasto. Wbił paznokcie w policzek i szarpiąc nimi w kierunku ucha oderwał pokaźny płat skóry, który zwisał teraz z jego twarzy.

Altaïr tymczasem czuł krążącą w sobie moc – wydawało mu się, że wypłynęła ona z Jabłka i rozlała się po jego żyłach niczym choroba. Posiliwszy się jego nienawiścią i pragnieniem zemsty, wróciła do Jabłka, skąd następnie przelała się do ciała Swamiego. Altaïr czuł, że przepelnia go niezwykła mieszanina rozkoszy i bólu: zdawało mu się, że lada moment oderwie się od ziemi, a jego głowa rozrośnie się i eksploduje. Było to uczucie równie cudowne, co straszliwe.

Do tego stopnia cudowne i straszliwe, że Altaïr nie usłyszał krzyku Marii.

Nie był też świadom, że udało się jej wyrwać Abbasowi i że biegła teraz przez podium do swego męża.

W tym samym czasie Swami wyciągnął z pochwy sztylet i skierował jego ostrze przeciw samemu sobie, zadając brutalne, szerokie cięcia i otwierając kolejne rany na swej twarzy i ciele. Nagle przy Swamim i Altaïrze znalazła się Maria, rozpaczliwie usiłująca powstrzymać swego męża przed dalszym czerpaniem z mocy Jabłka. Altaïr miał zaledwie ułamek chwili, by zorientować się, co się dzieje – nie starczyło mu już jednak czasu na to, by temu zapobiec. Dostrzegł błysk sztyletu Swamiego mknący w kierunku odsłoniętego gardła Marii, która nagle zakręciła się wokół własnej osi i zatoczyła do tyłu. Z jej szyi tryskała krew. Kobieta pochyliła się i opadła na deski podium z rozrzuconymi szeroko rękami. Westchnęła głęboko. Wokół ciała szybko powiększała się kałuża krwi. Ramiona Marii uniosły się jeszcze, gdy usiłowała zaczerpnąć powietrza. Jedna z jej dłoni zadrgała przy tym, uderzając w drewnianą barierkę okalającą podium.

Jednocześnie z Marią runął na ziemię Swami, którego broń z brzękiem uderzyła o podium. Jabłko rozbłysło raz jeszcze jasnym światłem, po czym

przygasło. Altaïr rzucił się na kolana obok Marii, otoczył jej ciało ramieniem i obrócił ją na plecy.

Spojrzała na niego, a jej powieki zatrzepotały.

– Bądź silny – powiedziała, po czym skonała.

Na dziedzińcu zapanowała cisza. Słysząc było jedynie szloch Altaïra, trzymającego w ramionach ciało Marii.

Nagle w uszach Altaïra rozbrzmiał okrzyk Abbasa:

– Brać go!

Altaïr wstał.

Przez łąy zobaczył biegnących ku podium asasynów; dostrzegł też malujący się na ich twarzach strach. Nadal ścisnął w dłoni Jabłko. W tłumie tymczasem zapanował chaos. Większość asasynów dobyła mieczy – zdawali sobie sprawę, że przeciw Jabłku stał na nic im się nie przyda, ale atak, choćby nawet z góry skazany na niepowodzenie, wydawał im się lepszy niż ucieczka. Altaïr poczuł silną, przemożną wręcz pokusę, by użyć Jabłka do unicestwienia wszystkiego, co tylko znajdowało się w zasięgu wzroku. Gotów był unicestwić nawet samego siebie, skoro nie było już przy nim Marii, światła jego życia. W jednej chwili, w jednym oślepiającym przeblysku wściekłości zniszczył to, co było dla niego najdroższe.

Asasyni zatrzymali się. Widział w ich oczach jedno pytanie: czy użyje Jabłka?

– Brać go! – krzyknął ponownie Abbas i asasyni ostrożnie ruszyli naprzód.

Ci, którzy znajdowali się najbliżej Altaïra, sprawiali jednak wrażenie, jakby sami nie wiedzieli, czy zaatakować, czy też nie. Altaïr wykorzystał ich niezdecydowanie i rzucił się do ucieczki.

– Łucznicy! – zawył Abbas i asasyni chwycili za łuki. Wokół biegnącego do wyjścia z dziedzińca Altaïra spadł grad strzał, z których jedna rozcięła mu nogę. Z prawej i z lewej strony nadbiegali coraz to nowi asasyni: ich szaty powiewały w powietrzu, a w rękach pobłyskiwały obnażone miecze. Zapewne uświadomili sobie, że Altaïr nie użyje powtórnie Jabłka, i teraz

zeskakiwali z murów, by dołączyć do pościgu.

Gdy Altaïr dobiegł do podcieni bramy, zorientował się, że przejście jest zatarasowane. Natychmiast zawrócił i rozpędzony wpadł pomiędzy dwóch ścigających go asasynów. Jeden z nich zamachnął się mieczem i zranił uciekiniera w ramię. Altaïr krzyknął z bólu, lecz biegł dalej. Zdawał sobie sprawę, że tamci dwaj mieli okazję go pojmać. Zaskoczył ich, to prawda, ale nie zmieniało to faktu, że bali się poważnie go zaatakować – albo też nie chcieli tego uczynić.

Raz jeszcze zmienił kierunek, tym razem zmierzając w stronę wieży obronnej. Widział na niej łuczników, którzy właśnie brali go na cel. Pamiętał, że byli to najlepsi strzelcy, wyszkoleni przez najlepszych nauczycieli. Nigdy nie chybiałi. Na pewno nie wtedy, gdy mieli tak dużo czasu na wycelowanie i wypuszczenie strzał.

Altaïr wiedział jednak coś jeszcze: wiedział, kiedy wystrzelą. Jedno uderzenie serca zajmowało im wyszukanie celu; drugiego uderzenia serca potrzebowali, by ustabilizować łuk i uspokoić oddech, potem zaś...

Strzelali.

Altaïr gwałtownie odskoczył w bok i potoczył się po ziemi. Grad strzał uderzył dokładnie w to miejsce, które ledwo co opuścił. Wszystkie pociski poza jednym chybiły celu. Jeden z łuczników najwidoczniej poczekał z celowaniem i jego strzała musnęła mu policzek. Gdy Altaïr dopadł drabiny prowadzącej na wieżę, krew obficie ciekła mu już po twarzy. Pospiesznie wdrapał się na pierwszy poziom, gdzie natknął się na zaskoczzonego łucznika, który nie mógł się zdecydować, czy powinien sięgnąć po miecz. Altaïr chwycił go i łucznik, wywinąwszy jeszcze salto w powietrzu, uderzył o ziemię u stóp wieży. Będzie żył, pomyślał Altaïr.

Nie zwlekając, ruszył po drabinie na drugi poziom. Był obolały, a odniesione rany krwawiły obficie. Wreszcie dotarł na szczyt wieży – w to samo miejsce, z którego kiedyś zdarzyło mu się już skoczyć. Było to całe wielki temu, a on sam był wtedy okryty hańbą – tak jak i teraz. Utykając,

zbliżył się do drewnianej platformy. Za jego plecami na szczyt wieży wdrapywali się już ścigający go asasyni. Rozpostarł ramiona.

I rzucił się w dół.

53

10 sierpnia 1257

Altaïr chce, byśmy zajęli się szerzeniem wieści o asasynach – na tym polega jego plan. Ściślej, chodzi o coś więcej niż samo tylko głoszenie wiedzy. Naszym zadaniem będzie założenie Zakonu na Zachodzie.

Doprawdy, wstyd mi, że potrzebowałem aż tyle czasu, by zorientować się w jego zamiarach, ale teraz, gdy już do tego doszedłem, wszystko wydaje się jasne: to nam (a, jak się wydaje, mnie w szczególności) Altaïr chce powierzyć ducha Bractwa. Przekazuje odpowiedzialność za dalszy los Zakonu w nasze ręce.

Dotarły do nas wieści o tym, że do wsi zbliżają się wojowniczy Mongołowie, i Altaïr uważa, iż powinniśmy wyjechać stąd, zanim na dobre zaczną się działania wojenne. Maffeo, rzecz jasna, zdaje się podekscytowany perspektywą ujrzenia na własne oczy nadchodzącej walki i odnoszę wrażenie, że wolałby, byśmy zostali na miejscu. Co z jego wcześniejszą tęsknotą za podróżami? Wyparowała bez śladu. Nasze role odwróciły się i teraz to ja jestem tym, któremu zależy na wyjeździe. Albo jestem bardziej bojaźliwy od mego brata, albo mam po prostu bardziej przyziemne wyobrażenie o tym, jak wygląda ponura wojenna rzeczywistość – tak więc zgadzam się z Altaïrem. Oblężony Masjaf to nie jest odpowiednie miejsce dla naszej dwójki.

Prawdę rzekłszy, gotów jestem wyjechać stąd bez względu na to, czy oddziały mongolskich łupieżców nadciągają, czy też nie. W te upalne noce

tęsknię bardzo za domem. Tęsknię za moją rodziną: żoną i synem Marco. Już za kilka miesięcy skończy trzy latka, a mnie dokucza bolesna świadomość, że byłem świadkiem tak niewielu momentów z najwcześniejszych lat jego życia. Przegapiłem jego pierwsze kroki i pierwsze słowa.

Krótko mówiąc, czuję, że nasz czas w Masjafie dobiegł końca. Co więcej, Mistrz oznajmił, że chce się z nami zobaczyć. Jest bowiem coś, co musi nam przekazać, jak to ujął, podczas ceremonii, którą chciałby przeprowadzić w obecności pozostałych asasynów. Stwierdził, że owa rzecz musi być przechowywana w bezpiecznym miejscu, z dala od rąk wrogów: czy to Mongołów, czy to templariuszy. Zdałem sobie sprawę, że wszystkie jego opowieści prowadziły nas właśnie do tego punktu. Podejrzewam, czym może być ów drogocenny przedmiot. Przekonamy się.

Tymczasem Maffeo czeka z niecierpliwością na dalszy ciąg mej historii, która jest już przecież tak bliska zakończenia. Zrobił dziwną minę, gdy mu powiedziałem, że zamierzam przenieść opowieść w czasie – od chwili, gdy okryty wstydem i załamany Altaïr skoczył z murów cytadeli, do wydarzeń, jakie rozegrały się mniej więcej dwadzieścia lat później, i to nie w Masjafie, ale gdzieś na pustyni, o dwa dni drogi od fortecy...

...gdzieś na bezkresnej równinie, nad którą właśnie zapadał zmrok. Jak okiem sięgnąć nie było widać żywej duszy, z wyjątkiem jadącego konno mężczyzny, wiodącego za sobą drugiego jucznego konia: szkapę obładowaną dzbanami oraz kocami.

Z daleka samotny jeździec wyglądał na kupca wiozącego swe towary – z bliska to wrażenie zamieniało się w pewność. Pocący się pod swym turbanem korpulentny mężczyzna był kupcem imieniem Mukhlis.

Kiedy tylko Mukhlis ujrzał w oddali oazę, postanowił, że musi się położyć i odpocząć. Wcześniej miał nadzieję, że uda mu się dotrzeć do domu bez zatrzymywania się po drodze, teraz jednak nie miał wyboru: był zbyt wyczerpany. Podczas tej podróży kołysany sennym rytmem człapania swego wierzchowca Mukhlis wiele razy czuł, jak broda opada mu na piersi,

a powieki ciężą i zamykają się. Coraz trudniej było mu oprzeć się ogarniającej go senności. Za każdym razem, gdy rytm podróży kołysał go do snu, rozum kupca musiał staczać nową bitwę z podszeptami serca. Gardło miało wyschnięte, a wiszące na nim ubranie stawało się nieznośnie ciężkie. Każda kość i każdy mięsień ciała bolały ze zmęczenia.

Myśl o zwilżeniu ust, owinięciu się galabiją, wyciągnięciu się na ziemi oraz o kilkugodzinnej choćby drzemce, która pozwoliłaby mu odzyskać nieco energii przed dalszą drogą do domu w Masjafie... – cóż, taka myśl była niemal ponad jego siły.

Tym, co go powstrzymywało i sprawiało, że obawiał się zatrzymać przy wodopoju, była rozmowa, jaką wcześniej zdarzyło mu się usłyszeć: dotyczyła ona rabusiów polujących na handlarzy, przejmujących ich towary i podrzynających kupieckie gardła. Czynów tych mieli dopuszczać się członkowie bandy pod przywództwem zbira zwanego Fahadem, którego legendarnemu okrucieństwu był w stanie dorównać jedynie jego własny syn, Bayhas.

Wieść głosiła, że Bayhas miał zwyczaj wieszać swe ofiary za nogi, a następnie rozpruwać ich ciała od gardła aż po sam brzuch, skazując nieszczęśników na powolne konanie, podczas którego ich dyndające wnętrzności były pożywką dla dzikich psów. Powiadano, że Bayhas robi takie rzeczy ze śmiechem na ustach.

Mukhlis lubił, gdy jego wnętrzności pozostawały wewnątrz jego pulchnego ciała. Nie miał też najmniejszej ochoty oddawać zbójom swych doczesnych dóbr. Ostatecznie życie w Masjafie stawało się coraz cięższe. Mieszkańcy wioski zmuszani byli do uiszczania coraz to wyższych danin, które wędrowały do zamku na wzgórzu – koszty ochrony społeczności rosły, tak im przynajmniej tłumaczono. Mistrz bezwzględnie egzekwował podatki i często wysyłał do wioski oddziały asasynów, by zmuszali opornych do płacenia. Ci, którzy odmawiali, ryzykowali pobicie i wyrzucenie za bramy; wypędzeni nieszczęśnicy błakali się po okolicy, żywiąc nadzieję, że zgodzi

się ich przyjąć jakaś inna osada. Często padali przy tym ofiarą bandytów, gnieźdzących się na skalistych równinach wokół Masjafu i coraz zuchwalej atakujących ludzi, którzy tamtędy podróżowali. Niegdyś zakon asasynów – czy też sam strach, jaki jego członkowie wzbudzali w opryszkach – gwarantował bezpieczeństwo na podróżnych szlakach. Wyglądało jednak na to, że te czasy już minęły.

Powrót do domu bez grosza przy duszy oznaczał niemożność zapłacenia dziesięciny, której Abbas domagał się od handlujących w wiosce kupców, oraz uiszczenia podatków, jakie nałożone były na każdego mieszkańca. Dla Mukhlisa i jego rodziny – żony Aalii oraz córki Nady – mogło się to skończyć wypędzeniem z wioski.

Rozmyślając nad tym wszystkim, kupiec zbliżał się do oazy, wciąż niezdecydowany, czy zatrzymać się, czy jechać dalej.

Pod wielkim figowcem, który rozpościerał swe gałęzie nad wodopojem niczym olbrzymi baldachim kuszący perspektywą wytchnienia w chłodnym cieniu, Mukhlis dostrzegł stojącego konia. Zwierzę było rozsiodłane, ale koc narzucony na jego grzbiet oznaczał, że w pobliżu znajduje się jego właściciel – zapewne inny podróżny, który zatrzymał się, by ugasić pragnienie, napełnić wodą bukłaki, a może tak jak Mukhlis wyciągnąć się na ziemi i odpocząć. Mimo to kupiec zbliżał się do oazy wyraźnie podenerwowany. Jego klacz zdążyła już wyczuć bliskość wody i parskła teraz radośnie, a Mukhlis musiał jej ściągać cugle, by nie puściła się kłusem prosto do wodopoju, przy którym kupiec dostrzegł teraz pogrążoną we śnie postać. Mężczyzna leżał na plecach, z tobołkiem pod głową. Owinął się szczelnie swym odzieniem, na głowę naciągnął kaptur, ręce zaś trzymał skrzyżowane na piersi. Widoczny był tylko niewielki fragment jego twarzy o brązowej, ogorzałej skórze, pełnej zmarszczek i blizn. Był to człowiek w sędziwym wieku, który przeżył już z pewnością około osiemdziesięciu lat. Kiedy zafascynowany Mukhlis przyglądał się twarzy śpiącego mężczyzny, ten nagle otworzył oczy.

Kupiec cofnął się o krok, zaskoczony i nieco przestraszony. Oczy starca

były przenikliwe i czujne. Jego ciało pozostało całkowicie nieruchome i Mukhlis zdał sobie sprawę, że choć był znacznie młodszy, to starzec najwyraźniej nie uważał go za jakiegokolwiek zagrożenie.

– Przepraszam, że ci przeszkodziłem, panie – odezwał się Mukhlis, skłaniając przy tym głowę. Nie udało mu się ukryć lekkiego drżenia głosu. Starzec nic na to nie odpowiedział, obserwował tylko w milczeniu, jak kupiec zdejmuje ze swego wierzchowca siodło, a następnie prowadzi go do studni i zabiera się za wyciąganie z niej skórzanego wiadra. Przez chwilę jedynym odgłosem, jaki dał się słyszeć, były miękkie uderzenia wiadra o cembrowinę, a następnie głośnie parskanie, z jakim klacz gasiła pragnienie. Mukhlis pił również: najpierw drobnymi łydkami, a po chwili haustami, mocząc sobie przy tym brodę i ocierając twarz. Potem napełnił bukłaki, zaniósł wodę jucznej chabecie, po czym uwiązał oba konie na postronku. Kiedy ponownie zerknął na starca, ten zdążył już ponownie zapaść w sen. Zmienił jedynie ułożenie rąk: zamiast trzymać je skrzyżowane na piersi, założył je za głowę i oparł o tobołek, który służył mu za poduszkę. Mukhlis wyciągnął z własnych tobołów koc, znalazł wygodne miejsce po drugiej stronie studni, po czym ułożył się tam do snu.

Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim obudził go jakiś ruch. Otworzył opuchnięte oczy i zauważył stojącą nad nim postać, oświetloną przez pierwsze promienie wschodzącego słońca. Był to mężczyzna o czarnych włosach i czarnej brodzie, ze złotym kolczykiem w jednym uchu. Usta miał wykrzywione w szerokim, złym uśmiechu. Mukhlis spróbował się podnieść, ale gdy mężczyzna usiadł obok niego i przystawił mu do szyi lśniący sztylet, kupiec znieruchomiał ze strachu.

– Jestem Bayhas – przedstawił się mężczyzna, nadal się uśmiechając. – Moja twarz będzie ostatnią, jaką zobaczysz w swoim życiu.

– Nie – jęknął Mukhlis, ale Bayhas nie słuchał; poderwał go do góry i postawił na nogi. Kupiec zauważył teraz dwóch kompanów Bayhasa, którzy zajęli się zdejmowaniem towarów z jego koni i ładowaniem ich na swoje

zwierzęta.

Rozejrzał się w poszukiwaniu śpiącego starca, ale dostrzegł tylko jego konia. Czyżby już go zabili? Czy leżał gdzieś w pobliżu z podciętym gardłem?

– Sznur! – zakomenderował Bayhas. Nie odrywając sztyletu od gardła Mukhlisa, chwycił linę, którą rzucił mu jeden z jego ludzi. Właściciel liny, podobnie jak Bayhas, ubrany był na czarno, miał potarganą brodę, a jego głowę okrywała kefija. Przez plecy przewieszony miał łuk. Trzeci z bandytów, długowłosa, gładko ogolony mężczyzna, uzbrojony w zatknięty za pas bułat, zajęty był właśnie plądrowaniem tobołów Mukhlisa; to, co uznał za niepotrzebne, od razu odrzucał na piasek.

– Nie! – krzyknął ponownie Mukhlis, tym razem na widok pomalowanego kamienia, który także wylądował na ziemi. Był to prezent od córki, która podarowała mu go na szczęście w dniu, gdy wyruszał na wyprawę. Gdy zobaczył, jak rabuś ciska kamień na piach, nie zdzierzył. Wyrwał się Bayhasowi i rzucił się w stronę Długowłosego, który z uśmiechem ruszył mu na spotkanie, po czym posłał kupca na ziemię bezwzględnym ciosem w tchawicę. Trzej bandyci ryknęli śmiechem, podczas gdy leżący Mukhlis zwijał się i krztusił.

– Cóż to takiego? – zapytał drwiąco Długowłosa, pochylając się ku ziemi. Wcześniej zdążył zauważyć, na co patrzył Mukhlis, i teraz podniósł kamień, odczytując na głos słowa namalowane ręką Nady. – „Powodzenia, Tatusiu”. Czy to o to chodziło? To ten kamień dodał ci nagle odwagi, tatusiu?

Mukhlis sięgnął po kamień, rozpaczliwe pragnąc go odzyskać, ale Długowłosa zdzielił kupca po wyciągniętej ręce, potarł kamieniem o własny tyłek – śmiejąc się jeszcze głośniejsze, gdy Mukhlis zawył z wściekłości – po czym cisnął go do studni.

– Chlup – dodał żartobliwym tonem.

– Ty... – wyjąkał Mukhlis. – Ty...

– Zwiąż mu nogi – polecił tymczasem Bayhas i rzucił Długowłosemu linę,

sam zaś klapnął na ziemi obok kupca i przybliżył czubek noża do jego oka.

– Dokąd to się wybieralesz, tatusiu? – zapytał.

– Do Damaszku – skłamał Mukhlis i natychmiast zawył z bólu, gdy Bayhas rozciął mu nożem policzek.

– Dokąd się wybieralesz? – spytał ponownie rozbójnik.

– Jego tkaniny pochodzą z Masjafu – odezwał się Długowłosey, który właśnie krępował nogi kupca sznurem.

– Masjaf, co? – rzekł Bayhas. – Kiedyś mógłbyś liczyć na pomoc asasynów, ale te czasy już nie wrócą. Kto wie, może powinniśmy wpaść do Masjafu z wizytą? A nuż znajdziemy tam pogrążoną w żałobie wdowę, którą trzeba będzie pocieszyć. Co o tym sądzisz, Tatusiu? Oczywiście, dopiero gdy już skończymy tu z tobą.

Długowłosey wstał i przerzucił koniec sznura przez gałąź figowca, a następnie zaczął ciągnąć za linę. Nogi kupca poderwały się do góry i po chwili pojękujący Mukhlis wisiał w powietrzu głową w dół. Długowłosey przywiązał tymczasem koniec sznura do zadaszania studni. Do dyndającego kupca podszedł Bayhas i zakręcił nim tak, że zawieszona na sznurze ciało Mukhlisa zaczęło wirować wokół własnej osi. Stojący nieco dalej łucznik wybuchnął śmiechem i aż zachwiał się przez to na nogach. Długowłosey i Bayhas wtórowali mu rozbawieni.

Przed oczami wirującego Mukhlisa przemknęła kamienna studnia. Jeden moment i część obrotu później ponownie patrzył na trzech rozbójników: Bayhasa, Długowłosego oraz stojącego za nimi trzeciego rabusia. Lecz dostrzegł też coś jeszcze...

Parę nóg, które wynurzyły się zza drzewa tuż za plecami trzeciego z bandytów.

Kolejny obrót skierował twarz Mukhlisa ku cembrowinie studni, po czym, teraz już nieco wolniej, kupiec znowu obrócił się ku trzem rabusiom, najwyraźniej wciąż nieświadomym, że za ich plecami znajduje się nieznany im człowiek. Twarz owego mężczyzny ukryta była pod kapturem. Stał

z lekko pochyloną głową, a ramiona miał wyciągnięte, jakby w błagalnym geście. Mukhlis znał tego człowieka: był to starzec.

– Przestańcie – odezwał się zakapturzony mężczyzna. Jego głos, tak jak i twarz, zniszczony był już wiekiem.

Wszyscy trzej rabusie odwrócili się ku niemu, gotowi natychmiast powalić intruza.

W następnej chwili wszyscy trzej zaczęli zgodnie rechotać.

– Co to ma być? – zapytał drwiąco Bayhas. – Dziaduś przyszedł przerwać nam zabawę? Co chcesz zrobić, starcze? Zanudzić nas na śmierć swoimi opowiastkami o dawnych czasach? A może zamierzasz na nas pierdnąć?

Jego kompani wybuchnęli śmiechem.

– Odetnijcie go – odrzekł starzec, wskazując na wiszącego głową w dół Mukhlisa, który kołysał się na linie. – Natychmiast.

– Niby dlaczego mielibyśmy to zrobić? – spytał Bayhas.

– Bo ja tak mówię – odpowiedział chrapliwym głosem starzec.

– A kim ty jesteś, żeby stawiać mi takie żądania?

Starzec poruszył nadgarstkiem.

Rozległ się metaliczny szczęk.

54

Bandyta z łukiem chwycił za broń, lecz Altaïrowi wystarczyły dwa długie kroki, by dopaść łuczника i zamachnąć się ostrzem, które zakreśliło w powietrzu półkole i otworzyło rozległą ranę w szyi mężczyzny, przy okazji przecinając trzymany przez niego łuk i ucinając spory fragment nakrycia głowy. Połówki łuku z cichym stuknięciem upadły na ziemię, a po chwili z głuchym łomotem zważyło się na nie także ciało ich właściciela.

Altaïr – który od dwóch dekad nie toczył żadnej walki – oddychał ciężko, obserwując jednocześnie Bayhasa oraz Długowłosego. Na ich twarzach, z których zniknął kpiący wyraz, malowała się teraz ostrożna nieufność. Leżący u stóp asasyna łucznik miotał się konwulsyjnie i charczał, obficie zraszając piach swą krwią. Nie spuszczając z oczu Bayhasa i Długowłosego, Altaïr przyklęknął na jedno kolano i uciszył łucznika precyzyjnym ciosem. Zdawał sobie sprawę, że jego najgroźniejszą bronią jest strach. Ludzie, którzy stali przed nim, mieli po swej stronie młodość i szybkość. Byli okrutni i bezlitośni, nawykli do obcowania ze śmiercią. Altaïr natomiast posiadał doświadczenie. Miał nadzieję, że to wystarczy.

Długowłosy i Bayhas spojrzeli po sobie. Już się nie uśmiechali. Przez chwilę jedynym odgłosem, jaki rozlegał się przy wodopoju, było ciche skrzypienie liny, trącej o gałąź drzewa figowego. Przywiązany do niej Mukhlis przyglądał się wydarzeniom odwrócony głową w dół. Ręce miał wolne i zastanawiał się, czy nie spróbować się oswobodzić; ostatecznie jednak doszedł do wniosku, że lepiej będzie nie ściągać na siebie uwagi.

Dwóch zbirów rozdzieliło się tymczasem, próbując najwyraźniej oskrzydlić asasyna. W wolnej przestrzeni, jaka między nimi powstała, Altaïr widział wiszącego do góry nogami kupca. Długowłosey skradał się, przerzucając bułat z ręki do ręki, czemu towarzyszyły ciche klaśnięcia. Bayhas przygryzał nerwowo wewnętrzną stronę policzka.

Wreszcie Długowłosey zrobił nagły krok naprzód, zadając jednocześnie proste cięcie bułatem. Powietrze wypełnił wibrujący dźwięk stali uderzającej o stal – Altaïr bowiem jednym płynnym ruchem uderzył ostrzem w klingę broni przeciwnika, po czym odepchnął bułat na bok. Poczuł przy tym, jak mięśnie jego ramienia napinają się boleśnie. Nie był pewien, jak długo uda mu się wytrzymać, jeśli te złodziejaszki zdecydują się przyjąć taktykę krótkich, szybkich ataków. Był już starym człowiekiem. Starzy ludzie pielęgnują ogrody albo spędzają popołudnia na uczonych rozważaniach, lekturze lub rozmyślaniach o tych, których niegdyś kochali i utracili; nie wdają się natomiast w pojedynki na miecze. Zwłaszcza nie wtedy, gdy przeciwnicy są młodszy i mają liczebną przewagę. Altaïr wyprowadził pchnięcie w kierunku Bayhasa, który próbował zająć go od tyłu. Atak asasyna pozwolił powstrzymać tę próbę, ale herszt zdołał doskoczyć na tyle blisko, by przeorać sztyletem pierś Altaïra. Z rany popłynęła pierwsza krew. Asasyn natarł i zwarł się z Bayhasem. Angażując się w wymianę ciosów z jednym przeciwnikiem, Altaïr nie miał jednak możliwości odpędzić i powstrzymać drugiego. Długowłosey wykorzystał nadarżającą się okazję, dopadł do walczących i bez zastanowienia ciął mieczem, otwierając w nodze Altaïra rozległą ranę.

Wielką i głęboką. Tryskała z niej krew i niewiele brakowało, by asasyn upadł. Kulejąc, zaczął przesuwać się w bok: zamierzał zająć bardziej dogodną pozycję przy studni, która zapewniłaby mu bezpieczeństwo z flanki i pozwoliła skoncentrować się tylko na tym, co dziać się będzie przed nim. Wreszcie udało mu się dotrzeć do celu. Z boku miał teraz kamienną cembrowinę, za plecami zaś wciąż wiszącego na linie kupca.

– Bądź silny – usłyszał dobiegający z tyłu cichy głos Mukhlisa – i wiedz, że cokolwiek się stanie, masz moją wdzięczność i miłość, czy w tym, czy w przyszłym życiu.

Altaïr kiwnął głową, ale nie odwrócił się, obserwując czujnie obu znajdujących się przed nim drabów. Widok krwawiącego Altaïra wyraźnie poprawił im samopoczucie i dodał animuszu. Ruszyli naprzód, ponawiając pchnięcia i robiąc szybkie wypady. Odparcie trzech zmasowanych ataków kosztowało Altaïra kolejne rany; krwawił z nich obficie, kulał i zaczynał tracić oddech. Strach przestał już być jego bronią. Paralizujący wrogów lęk nie działał już na korzyść Altaïra. Zostały mu teraz już tylko umiejętności oraz instynkt wojownika, które jednak od wielu lat pozostawały w uśpieniu. Sięgnął pamięcią do swych najwspanialszych zwycięstw: rozgromienia ludzi Talala, pobicia Molocha, pokonania templariuszy na jerozolimskim cmentarzu. Wojownik, który stoczył tamte potyczki, w mgnieniu oka posiekałby tych dwóch rabusiów na kawałki.

Tyle że ów wojownik żył wyłącznie w przeszłości. Altaïr postarzał się. Osłabiła go rozpacz i odosobnienie. Przez dwadzieścia lat opłakiwał Marię i pogrążał się w obsesji, jaką stało się dla niego Jabłko. Dopuszczał do tego, by jego umiejętności bojowe, kiedyś niezrównane, stopniowo gasły. Wyglądało na to, że w końcu zupełnie zniknąły.

Czuł, że w butach ma pełno krwi. Dłonie zrobiły mu się od niej śliskie. Wymachiwał na oślep ostrzem, nie tyle broniąc się, ile raczej usiłując odegnać atakujących go nieprzyjaciół. Pomyślał o swej torbie, ukrytej w konarach drzewa figowego – w środku znajdowało się Jabłko. Gdyby tylko chwycił je do ręki, jego zwycięstwo byłoby przesądzone; lecz artefakt znajdował się zbyt daleko, a poza tym poprzysiągł przecież sobie, że nigdy więcej go nie użyje. Dlatego właśnie zostawił je w kryjówce w drzewie – chciał uniknąć pokusy. Prawda była jednak taka, że gdyby był teraz w stanie po nie sięgnąć, posłużyłby się nim bez wahania, byle tylko nie umierać w taki sposób i nie zostawiać kupca na pastwę złoczyńców. Zdawał sobie sprawę, że

swoimi nieudolnymi poczynaniami skazał tego człowieka na śmierć jeszcze bardziej bolesną i poprzedzoną torturami.

Tak, użyłby Jabłka, ponieważ był przegrany. Nagle uświadomił sobie, że dopuścił, by przeciwnicy zmusili go do ponownej zmiany pozycji. Długowłosey natarł bowiem na niego z boku, pojawiając się nagle na granicy pola widzenia Altaïra. Asasyn odwrócił się ku niemu i krzycząc z wysiłku, parował ciosy, które zadawał nieprzyjaciel. Długowłosey odpowiadał na parady Altaïra kolejnymi uderzeniami – jednym, drugim, trzecim – aż wreszcie znalazł lukę pod gardą asasyna i trafił go w bok. Głęboka cięta rana natychmiast zaczęła intensywnie krwawić. Altaïr zachwiał się i wydał stłumiony okrzyk bólu. Przyszło mu do głowy, że lepiej zginąć w ten sposób, niż potulnie się poddać. Lepiej zginąć w walce.

Długowłosey ponownie ruszył na asasyna i znowu rozdzwoniła się stal. Starcie skończyło się dla Altaïra kolejną raną: tym razem został ugodzony w zdrową jeszcze nogę. Padł na kolana, ramiona zwisały mu bezwładnie wzdłuż ciała, a bezużyteczne ostrze dziurawiło teraz już tylko piach.

Długowłosey postąpił krok do przodu, lecz powstrzymał go Bayhas.
– Zostaw go mnie – rozkazał.

Altaïr jak przez mgłę przypomniał sobie, że kiedyś, tak dawno temu, iż zdawało się, jakby to było tysiące lat wcześniej, jeden z jego przeciwników wypowiedział te same słowa – i on, Altaïr, kazał mu drogo zapłacić za tę arogancję. Teraz jednak nie spotka go podobna satysfakcja, ponieważ Bayhas zbliżał się do Altaïra klęczącego w pyłe ze zwieszoną głową, chwiejącego się i pokonanego. Asasyn usiłował jeszcze zmusić się do powstania, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Próbował podnieść rękę uzbrojoną w ukryte ostrze, ale nie miał już siły. Dostrzegł zbliżający się sztylet i jedyne, co zdołał uczynić, to podnieść głowę na tyle wysoko, by zobaczyć obnażone zęby Bayhasa i jego złoty kolczyk, połyskujący w promieniach porannego słońca...

Nagle jednak wiszący na drzewie kupiec wierzgnął i rozbujał się na

linie, złapał Bayhasa od tyłu i, samemu wciąż wisząc głową w dół, trzymał rozbójnika w mocnym uścisku, osadzając go w miejscu. Tymczasem Altaïr, wydawszy z siebie donośny krzyk, zdobył się na ostatni wysiłek i wykrzesał z siebie dość energii, by poderwać się i wbić ostrze w brzuch Bayhasa, a następnie potężnym szarpnięciem poprowadzić ostrze w górę, otwierając w ciele wroga potężną ranę, która sięgała mu niemal do gardła. W tej samej chwili Mukhlis zdołał złapać szyćlet, zanim ten wypadł z dłoni Bayhasa, po czym nagłym szarpnięciem poderwał tułów do góry i przeciął linę, która krępowała jego nogi. Uwolniony z więzów, runął w dół, objając sobie boleśnie bok o studnię; natychmiast poderwał się jednak z ziemi i stanął ramię w ramię ze swym wybawicielem.

Altaïr niemal zgiął się wpół, słaniając się na nogach. Podniósł jednak ostrze i zmrużywszy oczy, wpatrywał się w Długowłosego, który niespodziewanie stanął w obliczu przewagi liczebnej wroga. To, co wydarzyło się przed chwilą, niewątpliwie wytrąciło go z równowagi. Zamiast zaatakować, zaczął się cofać, dopóki nie dotarł do swego konia. Dosiadł wierzchowca, ani na moment nie odrywając oczu od Altaïra i Mukhlisa. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Długowłosy wymownie przeciągnął palcem po gardle i odjechał.

– Dzięki ci – wydyszał Mukhlis do Altaïra, ale asasyn nie odpowiedział. Leżał nieprzytomny na piasku.

55

Tydzień później w Majsafie pojawił się poseł rozbójników. Mieszkańcy wioski przyglądali się, jak przejeżdża przez ich osadę, po czym kieruje się w stronę wzgórz, przez które przebiegała droga do cytadeli. W wiosce mówiono, że to jeden z ludzi Fahada, a co rozsądniejsi domyślali się powodu jego wizyty w fortecy asasynów. Dwa dni wcześniej do wioski przyjechali członkowie bandy Fahada, przynosząc wiadomość o nagrodzie dla tego, kto wskaże zabójcę syna Fahada, Bayhasa. Rozbójnicy twierdzili, że zabójcy pomogą kupiec z Masjafu, i obiecywali, że jemu samemu włos z głowy nie spadnie, jeśli tylko wyda im tego tchórzliwego psa, który pozbawił życia ukochanego syna przywódcy zbójców. Mieszkańcy wioski pokręcili tylko przecząco głowami i wrócili do swych zajęć. Ludzie Fahada musieli odejść z pustymi rękami, mamrocząc pod nosem ponure obietnice swego rychłego powrotu.

Jak głosiła plotka, przybycie posła oznaczało spełnienie owych gróźb – a przynajmniej stanowiło wstęp do ich spełnienia. Nikt, choćby i sam Fahad, nie odważyłby się bowiem nasłać swych ludzi na wioskę, która cieszyła się opieką zakonu asasynów: najpierw trzeba było poprosić o pozwolenie Mistrza. Nawet Fahad nie ośmieliłby się zwracać z podobną prośbą do Altaïra czy Al Mualima, ale z Abbasem to była już inna historia. Abbas był słaby i przekupny.

W końcu posłaniec powrócił. Gdy jechał do zamku, patrzył na obserwujących go wieśniaków z pogardą, lecz zachowywał przy tym powagę. Teraz, w drodze powrotnej, uśmiechał się znacząco i pokazywał im

gest podcinania gardła.

– Wszystko wskazuje na to, że Mistrz udzielił błogosławieństwa planom Fahada i pozwolił mu przybyć do naszej wsi – rzekł Mukhlis, gdy nocą dopaliły się już świece. Siedział przy łożu, na którym spoczywał nieznajomy. Mówił bardziej do siebie niż do leżącego obok mężczyzny, który od czasu starcia przy wodopoju nie odzyskał jeszcze przytomności. Kiedy było już po wszystkim, Mukhlis podniósł nieprzytomnego starca z ziemi i przewiesiwszy go przez siodło swego jucznego konia, przywiózł do domu w Masjafie, by móc zająć się jego leczeniem. Aalia i Nada doglądały go troskliwie, przy czym przez pierwsze trzy dni nie było pewności, czy mężczyzna w ogóle przeżyje. Stracił tak dużo krwi, że był blady jak kreda. Gdy położono go na pościeli – na małżeńskim łożu, które odstąpili mu Aalia i Mukhlis – jego blada twarz wydała się spokojna i przypominała nieco twarz nieboszczyka, nieprzytomnemu starcowi nieustannie groziło, że lada chwila przeniesie się na tamten świat. Trzeciego dnia jego skóra zaczęła nabierać kolorów. Aalia powiedziała o tym mężowi, który odtąd codziennie, gdy tylko wracał z targu, zajmował miejsce na krześle ustawionym koło łóżka chorego i zaczynał do niego mówić w nadziei, że dźwięk ludzkiego głosu pomoże jego wybawcy odzyskać świadomość. Nabrał nawyku opisywania choremu wszystkich wydarzeń mijającego dnia, od czasu do czasu dorzucając jakieś ważniejsze informacje, licząc na to, że uda się podekscytować nimi jego nieprzytomny umysł i tym samym przywrócić mu przytomność.

– Wygląda na to, że Abbas ma swoją cenę – powiedział kupiec. Zerknął z ukosa na leżącego na plecach nieznajomego; jego rany goiły się ładnie, a on sam wydawał się z każdym dniem silniejszy.

– Mistrz Altaïr prędzej by zginął, niż zgodził się na coś podobnego – dodał Mukhlis, po czym pochylił się, uważnie obserwując postać chorego. – Nasz Mistrz, Altaïr Ibn-La’Ahad.

Nieznajomy po raz pierwszy, odkąd znalazł się pod dachem Mukhlisa, podniósł powieki.

Była to reakcja, na którą kupiec po cichu liczył, niemniej zaskoczyła go ogromnie. Przyglądał się, jak zamglone oczy starca stopniowo nabierają blasku.

– To ty, panie, nieprawdaż? – wyszeptał Mukhlis, gdy starzec zamrugnął, a następnie skierował wzrok na kupca. – Jesteś nim, prawda? Jesteś Altairem.

Altair skinął głową. W oczach Mukhlisa pojawiły się łzy i kupiec uklęknął na kamiennej podłodze, chwyciwszy dłoń Altaïra w swoje ręce.

– Wróciłeś do nas, panie – mówił, szlochając jednocześnie. – Wróciłeś, żeby nas uratować.

Nagle umilkł, po czym zapytał niepewnym głosem:

– Wróciłeś, żeby nas uratować, prawda?

– Czy potrzebujecie ratunku? – odpowiedział pytaniem Altair.

– Potrzebujemy – zapewnił kupiec. – Czy kiedy cię spotkałem, zamierzałeś udać się do Masjafu?

Altair zamyślił się.

– Odkąd opuściłem Alamut, nieuniknione było, że znajdę się tutaj. To była tylko kwestia czasu.

– Byłeś w Alamucie?

– Przez dwadzieścia ostatnich lat.

– Mówili, że nie żyjesz. Że dnia, kiedy zginęła twa żona, panie, rzuciłeś się z zamkowej wieży.

– Rzuciłem się z zamkowej wieży – Altair uśmiechnął się ponuro – ale przeżyłem. Zdołałem dotrzeć do rzeki, która płynie za wioską. Jakiś czas potem spotkałem syna, Darima. Wracał z Alamutu, gdzie odnalazł żonę i dzieci swojego brata, Sefa. Uratował mnie i zabrał do nich.

– Mówili, że nie żyjesz, panie – powtórzył Mukhlis.

– Oni, czyli kto?

Mukhlis machnął ręką, wskazując w kierunku cytadeli.

– Asasyni.

– Wygodnie im było tak twierdzić, ale wiedzieli, że to nieprawda.

Wysunął dłoń z uścisku Mukhlisa i podciągnął się na łóżku, po czym usiadł i opuścił nogi na podłogę. Przyjrzał się swym stopom, pokrywającej je pomarszczonej, starczej skórze. Każda część jego ciała wyła z bólu, lecz mimo to czuł się lepiej. Miał na sobie własne, starannie wyprane szaty. Z przyjemnością naciągnął na głowę kaptur i chłonał nozdrzami zapach czystej tkaniny.

Przyłożywszy ręce do twarzy, zorientował się, że jego broda była starannie pielęgnowana. Niedaleko łóżka stały buty, a na stoliku leżało ostrze. Projekt nowego mechanizmu ukrytego ostrza, który wydawał się niewiarygodnie wręcz zaawansowany, Altaïr zaczerpnął z Jabłka. Przypomniawszy sobie teraz o innych niezrealizowanych jeszcze projektach przedmiotów, do wykonania których potrzebna mu będzie pomoc kowala.

Najpierw jednak...

– Moja torba? – zapytał Mukhlisa, który zerwał się na równe nogi. – Gdzie moja torba?

W odpowiedzi Mukhlis wskazał na miejsce przy wezglowiu łóżka, gdzie leżał tobolek Altaïra. Asasyn rozpoznał znajomy kształt.

– Zaglądałeś do środka? – spytał.

Mukhlis stanowczo pokręcił głową, a Altaïr obrzucił go badawczym spojrzeniem. Uwierzywszy mu, wyraźnie się uspokoił i sięgnął po buty, po czym wciągnął je na nogi, krzywiąc się z bólu.

– Jestem ci winien podziękowania za to, że się mną zająłeś – rzekł. – Bez twojej pomocy umarłbym w oazie.

Kupiec ponownie usiadł na krześle.

– To moja żona i córka opiekowały się tobą, panie; poza tym to ja winny ci jestem podziękowania. Ocaliłeś mnie przed straszliwą śmiercią z rąk zbrojczyków. – Nachylił się z nabożeństwem ku Altaïrowi. – To, czego dokonałeś, panie, godne jest legendy Altaïra Ibn-La’Ahada. Powiedziałem o tym wszystkim.

– Ludzie wiedzą, że tu jestem?

– Ależ oczywiście. – Mukhlis rozłożył ręce. – Cała wioska zna już historię o bohaterze, który wyrwał mnie z objęć śmierci. Wszyscy są przekonani, że jesteś Altaïrem.

– Czemu tak sądzą?

Mukhlis bez słowa wskazał ruchem głowy na blat niskiego stołu, na którym groźnie połyskiwał naoliwiony mechanizm ostrza.

Altaïr zamyślił się.

– Powiedziałeś im o ostrzu? – zapytał wreszcie.

– No tak, oczywiście – odparł kupiec po chwili wahania. – Czemu pytasz, panie?

– Wieści dotrą do cytadeli. Przyjdą i będą mnie szukać.

– Nie tylko oni – powiedział Mukhlis smutnym głosem.

– Co masz na myśli?

– Niedawno do fortecy przybył posłaniec od ojca człowieka, którego zabiłeś.

– A kim był ten, którego zabiłem?

– Nikczemnym zbirem imieniem Bayhas.

– A jego ojciec?

– To Fahad, przywódca bandy rozbójników włóczących się po pustyni. Wieść niesie, że rozbili obóz o dwa lub trzy dni drogi stąd. To stamtąd przyjechał ich posłaniec. Podobno prosił Mistrza o zgodę na to, by mogli przetrząsnąć naszą wioskę i wytropić zabójcę.

– Mistrza? – ostrym tonem powtórzył Altaïr. – Abbasa?

Mukhlis skinął potakująco.

– Za wydanie zabójcy Bayhasa obiecano nagrodę, ale mieszkańcy wsi się na nią nie połakomili. Możliwe jednak, że Abbas nie zdołał się jej oprzeć.

– Zatem mieszkańcy wioski mają dobre serca – skomentował Altaïr. – W przeciwieństwie do swego przywódcy.

– Rzadko słyszy się tak prawdziwe słowa – przyklasnął asasynowi Mukhlis.

– Abbas zabiera nasze pieniądze, nie dając nam nic w zamian. Niegdyś

cytadela była sercem tej społeczności. Była dla nas źródłem siły, zapewniała nam pomoc...

– Oraz ochronę – dodał z półuśmiechem Altaïr.

– Ochronę również – zgodził się Mukhlis. – Wszystko to odeszło wraz z tobą, panie. Nastaly czasy zepsucia i paranoi. Chodziły słuchy, że po twoim zniknięciu Abbas musiał stłumić rebelię asasynów lojalnych wobec ciebie i Malika, że skazał przywódców buntu na śmierć i że obawia się, iż taki bunt może się powtórzyć. Ten obłądny strach nie pozwala mu opuścić wieży. Siedzi w niej dniami i nocami, rojąc o kolejnych spiskach i posyłając na śmierć tych, którzy jego zdaniem są za nie odpowiedzialni. Tymczasem zasady Zakonu upadają; w ruinę popada także sama forteca. Ludzie mówią, że prześladuje go powracający sen; taki, w którym Altaïr Ibn-La’Ahad powraca z wygnania z jakimś... – kupiec urwał i popatrzył niepewnie na Altaïra, po czym rzucił spojrzenie na jego torbę – ...z jakimś artefaktem, który może pokonać Abbasa... Czy taka rzecz istnieje? Czy zamierzasz zaatakować?

– Nawet jeśli artefakt istnieje, to nie on pokona Abbasa. Dokona tego wiara: wiara w siebie i w zakonne Credo.

– Czyja wiara, panie?

Asasyn zatoczył ręką szeroki łuk.

– Wasza. Wiara mieszkańców Masjafu oraz asasynów.

– Jak zamierzasz ją przywrócić? – zapytał Mukhlis.

– Przykładem – odpowiedział Altaïr – krok po kroku.

Następnego dnia Altaïr pojawił się wśród mieszkańców wioski i zamiast nauczać ich o drodze asasynów, zaczął pokazywać im ją w działaniu.

56

Zdarzały się kłótnie wymagające osobistej interwencji Altaïra: nieporozumienia między kupcami, w których musiał pełnić rolę mediatora, albo wybuchające pomiędzy sąsiadami spory o ziemię. Żaden z tych problemów nie był jednak równie drażliwy, jak przypadek dwóch kobiet rywalizujących o jednego mężczyznę. Aaron, bo tak miał na imię przedmiot sporu, siedział teraz skulony na ocienionej ławce, podczas gdy dwie kobiety kłóciły się zawzięcie. W obchodzie wioski, podczas którego Altaïr zajmował się rozmaitymi sprawami lokalnej społeczności, towarzyszył asasynowi Mukhlis; teraz kupiec podszedł do kobiet i próbował interweniować. Altaïr natomiast stanął z boku ze skrzyżowanymi na piersi rękami i spokojnie czekał, aż wzajemne ataki obu kobiet ucichną i wreszcie będzie mógł z nimi porozmawiać. Zdecydował już, co im powie: Aaron, czy to mu się podoba, czy nie, musi zrobić użytek ze swej wolnej woli. Tak naprawdę myśli Altaïra zaprzętała jednak nie kłótnia kobiet, lecz zdrowie pewnego chłopca, któremu trzeba było zbić gorączkę. Asasyn przepisał mu w tym celu miksturę, której recepturę poznał dzięki Jabłku.

Myślał również o wyplataczach koszy, który sporządzał właśnie nowe, przydatne w jego pracy narzędzia – wszelkie instrukcje otrzymał od Altaïra, który uzyskał je również dzięki artefaktowi.

A także o kowalu – ten rzucił okiem na szkice, które wręczył mu Altaïr, obrócił je do góry nogami i wpatrywał się w nie pilnie przymrużonymi oczami, aż w końcu rozłożył je na stole, aby Altaïr mógł mu dokładnie

objaśnić, co właściwie ma wykuć. Niedługo asasyn miał dysponować nowym ryszunkiem – bronią, jakiej nikt dotąd nie widział.

Wreszcie z pewnym niepokojem myślał o mężczyźnie, który od kilku dni nieustannie go obserwował i podążał za nim niczym cień, łudząc się, że Altaïr go nie zauważa. W rzeczywistości spostrzegł go od razu i po jego zachowaniu zorientował się też, że mężczyzna sam jest asasynem.

Altaïr zdawał sobie sprawę, że w końcu musiało do tego dojść. Wiedział, że Abbas wyśle do wioski swych szpiegów, by wybadali, kim jest ów tajemniczy nieznajomy, który walczył w oazie, posługując się asasyńskim ostrzem. Abbas zapewne już podejrzewał, że Altaïr powrócił, by odzyskać kontrolę nad Zakonem. W tej sytuacji mógł albo liczyć na to, że rozbójnicy wyręcą go w zabiciu prawowitego Mistrza, albo też musiał samemu wysłać do wioski zabójcę. Być może mężczyzna podążający za Altaïrem niczym cień był właśnie nasłanym skrytobójcą.

Kobiety tymczasem sprzeczały się nadal.

– Mistrzu, wygląda na to, że się pomyliłem – odezwał się półgębkiem Mukhlis. – One nie kłócą się o to, która powinna być z tym nieszczęśnikiem, tylko o to, która go sobie weźmie.

Altaïr zaśmiał się cicho.

– Nie zmienia to mojego werdyktu – odparł, spoglądając z rozbawieniem na Aarona, obgryzającego ze zdenerwowania paznokcie. – Ten młody człowiek powinien sam zdecydować o swym losie.

Następnie rzucił ukradkowe spojrzenie na śledzącego go mężczyznę. Ten przysiadł właśnie w cieniu drzew; w odzieniu o ziemistym kolorze sprawiał wrażenie zwykłego mieszkańca wioski, który właśnie uciął sobie krótką drzemkę.

– Wróć niebawem – poinformował Mukhlisa. – Od tej ich gadaniny zachciało mi się pić.

Odwrócił się i opuścił grupkę gapiów, z których część chciała za nim podążyć, dopóki Mukhlis dyskretnym gestem nie przywołał ich z powrotem.

Altaïr instynktownie wyczuł, że śledzący go mężczyzna podnosi się z ziemi i podąża za nim. Dotarł do placu i podszedł do stojącej na jego środku fontanny. Następnie pochylił się, ugasił pragnienie i wyprostował, udając, że przygląda się tej części wioski, która leżała w dole. Wtem...

– W porządku – powiedział do stojącego za jego plecami mężczyzny. – Gdybyś miał zamiar mnie zabić, już byś to uczynił.

– Zamierzałeś mi na to pozwolić?

Altaïr zachichotał.

– Nie po to spędziłem całe życie, krocząc ścieżką wojownika, by dać się zabić przy fontannie byle gołowąsowi.

– Słyszałeś, jak się zbliżam?

– Oczywiście. Słyszałem, że skradasz się niczym słoń, podobnie jak usłyszałem, że twoją mocniejszą stroną jest lewa. Gdybyś zaatakował, przesunąłbym się w prawo, żeby mieć przed sobą twoją słabszą stronę.

– A czy ja nie spodziewałbym się właśnie czegoś takiego?

– Cóż, to zależy od tego, kim byłby twój cel. Ty, rzecz jasna, poznałbyś go dobrze i wiedziałbyś, jakimi dysponuje umiejętnościami.

– Jeśli o ten akurat cel chodzi, to wiem, że jego umiejętności są wprost niezrównane, Altaïrze Ibn-La’Ahadzie.

– Doprawdy? W czasach gdy nazywałem Masjaf moim domem, ty musiałeś być jeszcze dzieckiem.

Altaïr odwrócił się wreszcie w stronę nieznanego, który opuścił kaptur, ukazując twarz młodego, co najwyżej dwudziestoletniego mężczyzny. Nosił ciemną brodę, a w kształcie jego szczęki i w oczach było coś, co wydało się Altaïrowi znajome.

– Byłem nim – potwierdził młodzieniec. – Załedwie co przyszedłem wówczas na świat.

– Czy zatem nie nastawiono cię tam przeciwko mnie? – zapytał Altaïr.

Wskazał podbródkiem cytadelę, która wznosiła się na wzgórzu, jakby przyczajona, sprawiając wrażenie, jakby czujnie ich stamtąd obserwowała.

– Nie wszyscy są tak samo podatni na indoktrynację – odparł młodzieniec.
– Wielu przez cały czas dochowywało wierności starym zasadom. Jeszcze więcej zaś jest takich, którzy przekonali się do dawnych porządków wtedy, gdy widoczne stały się zgubne owoce nowych. Ale ja mam nawet więcej powodów niż inni, by dochować wierności temu, co było.

Dwaj asasyni stali naprzeciw siebie tuż przy fontannie i nagle Altaïrowi zdało się, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Mało brakowało, a zemdlałby.

– Jak się zwiesz? – spytał młodzieńca, a jego własny głos zabrzmiał tak, jakby dobiegał z bardzo daleka.

– Mam dwa imiona – rzekł chłopak. – Pod jednym jestem znany członkom Zakonu; to imię to Tazim. Ale mam i drugie imię, to, które nadała mi matka, by tak uczcić pamięć mojego ojca. Zginął, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Stracono go z rozkazu Abbasa. Nazywał się...

– Malik.

Altaïr gwałtownie zaczerpnął powietrza i postąpił do przodu. Złapał młodzieńca za ramiona, z oczu pociekły mu łzy.

– Moje dziecko! – wykrzyknął. – Powinienem się domyślić. Masz oczy swego ojca.

Roześmiał się nagle.

– Nie jestem przekonany, czy odziedzyczyłeś po nim talent do skradania się, ale... na pewno masz jego ducha. Nie wiedziałem... Nie miałem pojęcia, że Malik miał syna.

– Moją matkę odesłano stąd wkrótce po uwięzieniu ojca. Ja zaś powróciłem do Masjafu jako młody mężczyzna, aby wstąpić do Zakonu.

– Chciałeś się zemścić?

– Może i tak, ostatecznie. Chciałem po prostu dokonać czegoś, co byłoby godne pamięci mego ojca. Teraz, gdy ty się zjawisz, wiem już, co mam robić.

Altaïr otoczył młodego Malika ramieniem i obaj ruszyli powoli przez plac, pogrążeni w rozmowie.

– Jak radzisz sobie z walką?

– Pod rządami Abbasa zaniedbano wprawianie się w walce. Ale ja ćwiczyłem. Trzeba jednak przyznać, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat asasyńska wiedza nie poczyniła wielkich postępów.

Altaïr zaśmiał się cicho.

– Być może nie w tym miejscu. Lecz tutaj – popukał palcem w swą skroń – tutaj asasyńska wiedza powiększyła się dziesięciokrotnie. Tyle rzeczy chciałbym przekazać naszemu Zakonowi. Plany. Fortele. Projekty nowego oręza. Kowal w wiosce wykuwa je dla mnie pewnie nawet w tej chwili...

Po chwili milczenia Altaïr zapytał:

– Powiadasz, że w zamku są jeszcze jacyś lojalni wobec mnie asasyni?

– Tych, którzy nienawidzą Abbasa, jest tyle samo, co tych, którzy mu służą. A nawet więcej, zwłaszcza po tym, jak zdałem im relację z tego, co zobaczyłem w wiosce. Wieści o powrocie wielkiego Altaïra rozchodzą się powoli, ale nieubłaganie.

– To dobrze – powiedział Altaïr. – Czy możemy zgromadzić moich stronników, żebyśmy wspólnie pomaszerowali na zamek?

Młody Malik przystanął i zmrużywszy oczy, popatrzył uważnie na Altaïra, jakby chciał się upewnić, że starzec nie żartuje. Po chwili na jego twarzy rozkwitł szeroki uśmiech.

– Ty chcesz to zrobić, panie. Naprawdę chcesz to zrobić! Kiedy?

– Fahad wkrótce wejdzie ze swymi ludźmi do wsi – powiedział. – Musimy przejąć kontrolę, zanim się to wydarzy.

Następnego dnia rano, o pierwszym brzasku, Aalia i Nada ruszyły od domu do domu, przekazując mieszkańcom Masjafu wiadomość, że oto Mistrz zamierza wyruszyć na wzgórze. Pełni oczekiwania ludzie wylegli na plac, gdzie porozsiadali się na murkach lub stali zbici w grupki. Po pewnym czasie pojawił się wśród nich Altaïr. Miał na sobie białe szaty przepasane wstęgą. Ci, którzy przyjrzeni mu się dokładniej, mogli dostrzec na jego palcu pierścień mechanizmu zwalniającego przypięte do przedramienia ostrze. Altaïr stanął na środku placu i czekał, przy jego boku trwał zaś, niczym wierny giermek, kupiec Mukhlis.

Czekając, Altaïr zastanawiał się, co w takiej chwili powiedziałyby mu Maria. Ten chłopiec, Malik: Altaïr od pierwszej chwili obdarzył go zaufaniem. Zaufał mu tak dalece, a gdyby Malik okazał się zdrajcą, już dawno byłby martwy, a jego plan odzyskania władzy w Zakonie okazałyby się niczym więcej, jak tylko naiwnymi rojeniami starego człowieka. Pomyślał o tych, którym kiedyś zaufał i którzy go zdradzili. Czy Maria doradzałaby mu teraz ostrożność? Czy usłyszałby od niej, że popełnił głupstwo – bezwarunkowo zawierając Malikowi, gdy właściwie nie miał ku temu solidnych przesłanek? A może Maria powtórzyłaby to, co kiedyś od niej usłyszał: „Zaufaj swoim przecuciom, Altaïrze. Nauki Al Mualima pozwoliły ci zdobyć mądrość; jego zdrada pozwoliła ci dojrzeć”.

Teraz jestem już o wiele mądrzejszy, moja najdroższa, zapewnił w myślach wspomnienie Marii, które przechowywał w swej pamięci.

Wiedział, że pochwaliby to, czego dokonał z Jabłkiem na przestrzeni minionych lat, spędzonych na wyciskaniu z niego soków: na poznawaniu i uczeniu się tego, co skrywał w sobie artefakt. Nie spodobałoby się jej natomiast to, że przez cały ten czas dźwigał na swych barkach poczucie winy za jej śmierć; że wciąż czuł wstyd, że pozwolił, by jego czynami pokierował gniew. Nie, Maria by tego nie pochwałała. Co by od niej usłyszał? Miała takie angielskie powiedzenie: „Weź się w garść”.

Na myśl o tym niemal się roześmiał. Weź się w garść. W końcu mu się to udało, ale potrzebował na to wielu lat – długich lat, podczas których nienawidził Jabłka, nienawidził jego widoku, a nawet samej myśli o nim, o owej przewrotnej mocy, która trwała w uśpieniu pod pokrywającą go lśniąca, obojętną na upływ czasu mozaiką. A jednak mógł godzinami się w nie wpatrywać, pogrążony w myślach, wciąż od nowa przeżywając ból, który wywoływał w nim ten przedmiot.

Żona oraz dwie córki Sefa, zaniechane przez Altaïra i niezdolne do dalszego znoszenia ciężaru jego cierpienia, opuściły go. Otrzymał wiadomość, że osiedliły się w Aleksandrii. Rok później odszedł także Darim, który, zmęczony nękającymi ojca wyrzutami sumienia oraz jego obsesją na punkcie Jabłka, wyruszył do Francji i Anglii, by ostrzec tamtejszych władców o marszu Mongołów na Zachód. Udręka pozostawionego samemu sobie Altaïra jeszcze się pogłębiła. Potrafił całe noce wpatrywać się w Jabłko, zupełnie jakby artefakt i on byli przeciwnikami szykującymi się do walki – czuł, że jeśli tylko pozwoli sobie na sen lub choć na moment spuści Jabłko z oczu, ono natychmiast rzuci się na niego.

W końcu przypomniał sobie ową noc w zamkowym ogrodzie w Masjafie, gdy jego mentor Al Mualim leżał zabity na marmurowym tarasie, a gdzieś w tle rozlegał się szmer wody w fontannie. Przypomniał sobie moment, kiedy pierwszy raz trzymał Jabłko w dłoni – wyczuwał w nim wówczas coś dobrego, a nie złowrogiego. Przypomniał sobie obrazy, które Jabłko przed nim roztoczyło... Dziwne, futurystyczne obrazy cywilizacji tak bardzo

nieprzystających do jego czasu i przestrzeni, pozostających poza sferą jego poznania. Wówczas w ogrodzie Altaïr instynktownie pojął, że artefakt może służyć dobru. Co prawda od tamtego czasu Jabłko pokazywało jedynie zgubne aspekty swej mocy, lecz Altaïr wiedział, że ta wielka mądrość, której doświadczył owej pierwszej nocy, tkwi gdzieś w artefakcie. Trzeba było ją tylko odnaleźć i skłonić do ujawnienia się. Aby Jabłko uwolniło to, co drzemie w jego wnętrzu, potrzebny był pośrednik – a Altaïrowi udało się przecież już raz okiełznać moc artefaktu.

Kiedy tego dokonał, trawił go żal z powodu Al Mualima. Teraz zaś zżerała go rozpacz ze względu na rodzinę. Przyszło mu do głowy, że być może Jabłko musi najpierw coś zabrać, zanim da cokolwiek w zamian.

Bez względu na to, czy rzeczywiście tak było, od tej chwili rozpoczęły się badania Altaïra nad Jabłkiem. Kolejne dzienniki zapełniały się notatkami: strona po stronie opisywał w nich myśli filozoficzne, teorie i wspomnienia, rysował projekty, szkice i schematy. Niezliczone świece wypaliły się do cna, a Altaïr wciąż gorączkowo zapełniał karty swych dzienników. Najpierw przez wiele dni bez przerwy pisał, by następnie oderwać się od stołu i wypuszczać na długie, samotne wyprawy, podczas których, zgodnie ze wskazówkami płynącymi z Jabłka, zbierał niezbędne do doświadczeń składniki i zapasy. Pewnego razu Jabłko doprowadziło go nawet do wielu artefaktów, które Altaïr zebrał i schował, nie zdradzając nikomu ani ich natury, ani miejsca ukrycia.

Oczywiście, nie porzucił przy tym żałoby. Wciąż obwinał się o śmierć Marii, lecz wyciągnął z niej także naukę. Czuł teraz czysty żal. Bolesna tęsknota za Marią i Sefem nigdy go nie opuszczała – jednego dnia była ostra i głęboka niczym tysiąc cięć nożem kaleczących jego serce, by już nazajutrz zmienić się w przyprawiające o mdłości uczucie pustki.

Czasem Altaïr uśmiechał się, ponieważ przychodziło mu do głowy, że Maria z aprobatą patrzyłaby na to, że mąż wciąż oplakuje jej śmierć. Taka żałoba po ukochanej kobiecie spodobałaby się Marii, której część pozostała

przecież rozpieszczoną angielską szlachcianką: potrafiła nie tylko pokonać mężczyznę w walce, ale też przygwoździć go wyniosłym spojrzeniem, zaś jej słowne riposty były równie celne jak ciosy jej miecza. Na pewno spodobałoby się jej to, że Altaïr w końcu wziął się w garść, ale przede wszystkim pochwaliłaby męża za powrót na łono Zakonu wraz z całą wiedzą, jaką udało mu się zgromadzić. Czy kiedy postanowił zakończyć wygnanie i wrócić do Masjafu, uczynił to właśnie po to, by odzyskać Zakon i podzielić się z nim nabytym doświadczeniem? Sam nie był tego pewien. Wiedział tylko tyle, że kiedy już się tu znalazł, okazało się nagle, że po prostu nie może zrobić niczego innego. Odwiedził miejsce pochówku Marii; nieopodal znajdował się grób Malika, doglądany przez jego syna. Altaïr zdał sobie sprawę, że o ile utracił bezpowrotnie Marię, Sefa i Malika, swych rodziców, a nawet Al Mualima, to Bractwo wciąż jeszcze może odzyskać.

Pod jednym wszakże warunkiem: że intencje młodego Malika były zgodne z jego słowami. Stojąc na placu, czuł na swoich barkach ciężar oczekiwań oraz radosnego podniecenia, które przepełniały zgromadzony tłum. Mukhlis kręcił się w pobliżu, Altaïr utkwiał zaś wzrok w cytadeli, czekając, aż otworzy się jej brama i pojawią się w niej ludzie. Malik zapewnił, że będzie ich co najmniej dwudziestu – oraz że każdy z nich popiera Altaïra tak samo żarliwie jak Malik.

Altaïr pomyślał, że jeśli do tych dwudziestu wojowników przyłączą się ludzie z wioski, to razem stworzą siłę zdolną pokonać trzydziestu lub czterdziestu asasynów wciąż wiernych Abbasowi.

Zastanawiał się, czy Abbas przebywa teraz w wieży Mistrza, wyżejając wzrok i próbując dostrzec, co dzieje się w dole. Miał nadzieję, że tak właśnie jest.

Przez całe swoje życie nigdy nie czerpał zadowolenia ze śmierci innych ludzi. A w przypadku Abbasa? Pomimo całego współczucia, jakie miał dla tego człowieka, nie mógł zapomnieć o śmierci Sefa, Malika oraz Marii, a także o zniszczeniu Zakonu – za to wszystko odpowiadał Abbas. Mimo to

Altaïr obiecał sobie, że śmierć Abbasa nie będzie dla niego źródłem przyjemności ani satysfakcji.

Mógł jednak czerpać satysfakcję i przyjemność z myśli o tym, że Abbasa już nie będzie, kiedy go zabije. Uznał, że na tyle może sobie pozwolić.

To wszystko nastąpi jednak tylko wtedy, gdy wrota fortecy otworzą się i rzeczywiście ujrzy w nich swych sojuszników. A tłum wokół stawał się niespokojny. Altaïr czuł, jak pewność i zaufanie, które udało mu się obudzić w tych ludziach, zaczynają się powoli ulatniać.

Nagle usłyszał wśród nich szmer ekscytacji i oderwał wzrok od – wciąż zamkniętej na głucho – bramy zamku i spojrzał na plac. Z tłumy wyłonił się mężczyzna w bieli. Podszedł do Altaïra z pochyloną głową, po czym ściągnął z niej kaptur i uśmiechnął się szeroko. Był to młody Malik. Za nim pojawiali się inni. Patrząc, jak wynurzają się z tłumy, można było odnieść wrażenie, że dopiero przed chwilą zmaterializowali się wśród wieśniaków. Mukhlis westchnął, natomiast Altaïr zaczął się śmiać. W tym śmiechu pobrzmiwało jednocześnie zaskoczenie, poczucie ulgi oraz radość. Tymczasem każdy z asasynów podchodził kolejno do Altaïra, pochylając z szacunkiem głowę i prezentując swe ostrze, łuk albo nóż do rzucania. Tak oto demonstrowali mu swą lojalność.

Altaïr chwycił młodego Malika za ramiona.

– Odwołuję to, co powiedziałem – rzekł, a jego oczy lśniły. – Ty i twoi ludzie... Wasza umiejętność skradania się jest niezrównana.

Malik, wciąż uśmiechnięty, pochylił głowę.

– Mistrzu, powinniśmy wyruszyć natychmiast. Abbas wkrótce spostrzeże naszą nieobecność.

– Niech tak będzie – odrzekł Altaïr, po czym wspiął się na niski murek okalający fontannę, odprawiając machnięciem ręki Mukhlisa, który już był gotów pospieszyć staremu Mistrzowi z pomocą. Następnie zaś zwrócił się do zgromadzonych na placu ludzi:

– Zamek na wzgórzu zbyt długo pozostaje miejscem mrocznym

i złowrogim. Dziś mam nadzieję z waszą pomocą sprawić, że stanie się on latarnią wskazującą drogę. – Na te słowa rozległ się pomruk aprobaty, uciszony jednak przez Altaïra, który ciągnął: – Nie powitamy jednak nowego dnia, przelewając krew asasynów. Ci, którzy pozostają lojalni Abbasowi, dziś są wrogami, lecz jutro będą naszymi towarzyszami. Ich przyjaźń możemy zaskarbić sobie jedynie wtedy, gdy naszemu zwycięstwu towarzyszyć będzie miłosierdzie. Zabijajcie tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne. Naszym celem jest przynieść Masjafowi pokój, a nie śmierć.

Powiedziawszy to, zeskoczył z muru i ruszył przez plac, za nim zaś uformował się pochód złożony z asasynów oraz mieszkańców wsi. Asasyni naciągnęli na głowy kaptury. Byli zacięci i zdeterminowani. Mieszkańcy Masjafu trzymali się z tyłu pochodu; widać było ich ekscytację, zdenerwowanie i strach. Tak wiele zależało od wyniku zbliżającego się starcia.

Altaïr wspinał się na zbocze, po którym jako dziecko tyle razy ścigał się z Abbasem. Także jako asasyn po wielokroć pokonywał ten stok biegiem – albo trenując, albo wyjeżdżając bądź powracając z misji, które zlecał mu Mistrz. Tym razem podchodząc pod górę, czuł w kościach i w mięśniach wszystkie przeżyte lata; mimo to nie zatrzymywał się i parł coraz wyżej.

Nim dotarli do bram zamku, niewielki oddział asasynów wiernych Abbasowi wyszedł im na spotkanie. Byli to zwiadowcy, których zadaniem było sprawdzenie ich ducha walki. Początkowo asasyni podążający za Altaïrem wydawali się niechętni angażowaniu się w walkę ze zwiadowcami: w końcu byli to ich towarzysze, z którymi żyli pod jednym dachem i wspólnie ćwiczyli. Przyjaciel stał tu naprzeciw przyjaciela; nie ulegało wątpliwości, że jeśli konflikt rozgorzeje, to przeciwko sobie mogą stanąć nawet członkowie tych samych rodzin. Przez kilka długich chwil zwolennicy Altaïra oraz znacznie mniej liczni członkowie oddziału harcowników mierzyli się nawzajem wzrokiem. Obrońcy twierdzy stali wyżej, co dawało im pewną przewagę, lecz poza tym nie mieli znacząco większych szans.

Altaïr podniósł oczy i spojrział na szczyt wieży Mistrza. Abbas z pewnością mógł go już stamtąd dostrzec. Na pewno widział ludzi ciągnących ku niemu w górę zbocza. Altaïr spojrział teraz na zwiadowców, wysłanych do walki w imię zdeprawowanego mistrza.

– Żadnego zabijania – ponownie poinstruował swych ludzi, a Malik skinął głową.

Jeden ze zwiadowców uśmiechnął się złośliwie.

– W takim razie daleko nie zajdziesz, starcze – rzekł, po czym rzucił się naprzód, wymachując mieczem. Zmierzał ku Altaïrowi, mając może nadzieję, że uda mu się uderzyć w samo serce rebelii: zabije Altaïra i tym samym położy kres buntowi.

Stary asasyn zawirował i odskoczył do tyłu, unikając ataku i jednocześnie wyciągając z pochwy miecz. Następnie dopadł od tyłu do rozpędzonego przeciwnika i pochwycił go za szaty. Wszystko razem trwało mniej więcej tyle, co jedno uderzenie skrzydeł kolibra.

Gdy tylko zwiadowca poczuł na gardle klingę Altaïra, z jękiem upuścił swój miecz.

– Nie będzie żadnego zabijania w imię tego starca – wyszeptał Altaïr do ucha przeciwnika, po czym pchnął go w rękę Malika, który złapał go i obalił na ziemię. Pozostali zwiadowcy ruszyli do ataku, choć już z mniejszym entuzjazmem. Wyraźnie brakowało im serca do walki. Nie osiągnęli też nic poza tym, że pozwolili się pojmać; w ciągu kilku chwil wszyscy byli albo skrępowani, albo leżeli nieprzytomni na ziemi.

Altaïr przyglądał się krótkiej potyczce. Zerknął na rękę, w którą drasnął go miecz harcownika, i ukradkiem otarł krew. Był zbytnie wolny, pomyślał. Następnym razem zostaw walkę młodszemu.

Miał nadzieję, że Abbas obserwował wydarzenia na zboczu, podobnie zresztą jak ludzie, którzy zaczęli gromadzić się na blankach cytadeli. Altaïr chciał, aby zauważyli, jak łagodnie potraktowani zostali zwiadowcy.

Tymczasem stronnicy Altaïra ruszyli ponownie w górę zbocza. Gdy tylko

dotarli na płaskowyż, wrota fortecy wreszcie rozwarły się i wyległa z nich kolejna grupa asasynów, okrzykami demonstrująca swoją gotowość do walki.

Altaïr usłyszał za plecami nawoływania – to mieszkańcy wioski rozpierzchli się, pomimo wysiłków Mukhlisa, który usiłował namówić ich do pozostania. Altaïr odwrócił się i zobaczył, jak kupiec na próżno wymachuje rękami. Stary Mistrz nie miał do wieśniaków żalu o brak odwagi. Wszyscy oni zdążyli już na pewno usłyszeć opowieści o przerażającym okrucieństwie asasynów. Nigdy przedtem nie widzieli na własne oczy starcia dwóch asasyńskich armii, i teraz nie mieli najmniejszej ochoty w nim uczestniczyć. Zobaczyli wybiegającą z bramy watahę błyskających mieczami asasynów, usłyszeli ich groźne okrzyki oraz dudnienie butów. Zauważyli też, że asasyni sprzyjający Altaïrowi w napięciu gotują się do walki. To wystarczyło, by rzucili się do ucieczki: niektórzy szukali schronienia za basztą, inni pobiegli w dół zbocza.

Starciu obu asasyńskich oddziałów towarzyszył potężny wrzask oraz szczęk stali. Altaïr, nad bezpieczeństwem którego czuwał Malik, pełniący rolę jego przybocznego, spoglądał czujnie na blanki – tam bowiem stali łucznicy. Było ich około dziesięciu i gdyby rozpoczęli ostrzał, potyczkę jego oddział niechybnie by przegrał.

Nagle zauważył Abbasa.

Abbas zaś spostrzegł jego.

Przez moment obaj dowódcy mierzyli się wzrokiem: Abbas na blankach, Altaïr pod murami twierdzy – emanujący siłą i nieruchomy niczym głaz, podczas gdy wokół niego trwała walka. Dwaj najlepsi przyjaciele z czasów dzieciństwa, którzy stali się najbardziej zażartymi wrogami. Po chwili Abbas przerwał tę wymianę spojrzeń, krzykiem wzywając łuczników, by zaczęli strzelać. Mężczyźni unieśli łuki, lecz Altaïr dostrzegł na ich twarzach niepewność.

– Nikt nie musi umierać – zawołał Altaïr, apelując do swych ludzi. Zdawał sobie sprawę, że jedynie przykładem mogą przekonać łuczników do

zaniechania rozlewu krwi. W przeciwieństwie do Abbasa, Altaïr nie był gotowy poświęcać życia asasynów; mógł tylko żywić nadzieję, że serca łuczników okażą się prawe. Modlił się w duchu, by jego zwolennicy wykazali powściągliwość i nie dali łucznikom pretekstu do zasypania ich strzałami. Nagle dostrzegł, jak jeden z jego ludzi pada z okrzykiem na ustach i z rozciętym gardłem, powalony przez wiernego Abbasowi asasyna, który natychmiast zaatakował kolejnego przeciwnika.

– Ten – poinstruował Malika, wskazując mu agresora. – Zajmij się nim, Maliku, ale zaklinam, okaż mu litość.

Malik rzucił się w wir walki. Podciął wrogowi nogi i stronnik Abbasa asasyn runął do tyłu. Gdy upadł, Malik błyskawicznie usiadł na nim okrakiem i zadał cios – nie śmiertelne pchnięcie, lecz uderzenie rękojeścią miecza, które pozbawiło leżącego przytomności.

Altaïr ponownie spojrzął na blanki. Dwóch łuczników opuściło łuki, kręcąc przy tym głowami. Altaïr dostrzegł, jak Abbas dobywa sztyletu – sztyletu swego ojca – i grozi nim łucznikom, lecz ci tylko ponownie pokręcili głowami i zamiast unieść łuki, znacząco położyli dłonie na rękojeściach mieczy. Abbas odwrócił się i wrzasnął na pozostałych łuczników, rozkazując im rozprawić się z dwoma buntownikami. Kiedy jednak reszta zbrojnych także opuściła swoje łuki, Altaïrowi spadł kamień z serca. Wezwał swych ludzi, by parli naprzód, ku bramie twierdzy. Walka jeszcze trwała, lecz do obrońców Abbasa powoli zaczynało docierać, co przed chwilą zdarzyło się na blankach. Wciąż jeszcze niby stawiali opór, ale zarazem zerkali po sobie, i w końcu jeden po drugim zaczęli wycofywać się z walki, rzucając miecze na ziemię i podnosząc ręce – poddawali się. Droga do zamku stała otworem.

Altaïr poprowadził swych ludzi ku bramie i załomotał pięścią w furte. Za jego plecami zgromadzili się asasyni, a ponieważ niektórzy z wieśniaków zaczęli wracać pod mury, równina u stóp cytadeli zarośla się teraz od ludzi. Za zamkniętą bramą panował dziwny spokój. Ludzie Altaïra także ucichli, a w powietrzu unosiła się aura pełnego napięcia wyczekiwania. Wreszcie

rozległ się dźwięk otwierania zasuw i olbrzymie wrota cytadeli rozwarły się. Strażnicy, którzy je otworzyli, rzucili miecze na ziemię i pochyłili głowy, oddając cześć Altaïrowi.

Starzec odpowiedział skinieniem głowy, po czym przestąpił próg forticy i podcieniami bramy dotarł na dziedziniec rozciągający się przed wieżą Mistrza. Za nim wkroczyli do zamku jego ludzie i rozproszyli się po dziedzińcu. Z murów spuszczone zostały drabiny, po których zeszli łucznicy, dołączając do tłumu. W strzelnicach wież pojawiły się zaciekawione twarze służących oraz członków rodzin załogi zamku. Wszyscy pragnęli być świadkami powrotu Altaïra i jego konfrontacji z Abbasem.

Altaïr tymczasem wszedł na taras i skierował się w stronę westybul w wieży Mistrza. Na schodach stał Abbas. Twarz miał pochmurną i wymizerowaną; rozpacz i porażka odcisnęły na nim swe piętno, trawiąc go niczym gorączka.

– To koniec, Abbasie! – zawołał Altaïr. – Każ się poddać tym, którzy wciąż stoją u twego boku.

– Nigdy – prychnął Abbas.

Z wieży wylegli ostatni z ludzi Abbasa: około tuzina asasynów oraz sług stanęło u jego boku. Niektórzy mieli rozbiegane, wystraszone spojrzenia. Twarze innych były zacięte i pełne determinacji. Bitwa się jeszcze nie skończyła.

– Powiedz swym ludziom, by ustąpili – rozkazał Altaïr. Obrócił się lekko, by jego słowa dotarły także do tłumu zgromadzonego na dziedzińcu. – Nie masz szans na zwycięstwo.

– Bronię cytadeli, Altaïrze – odpowiedział Abbas – do ostatniego człowieka. Czy ty nie postąpiłbyś tak samo?

– Ja broniłbym Zakonu, Abbasie! – odparł ostro Altaïr. – Ty natomiast poświęciłeś wszystko, co dla nas święte. Poświęciłeś też życie mojej żony i syna, złożyłeś ich na ołtarzu twojej mściwości, ołtarzu twojego ślepego oporu wobec prawdy.

– Masz na myśli mego ojca? I kłamstwa, które o nim rozpowiadałeś?
– Czy to nie dlatego tu stoimy? Czyż właśnie nie to było źródłem nienawiści, którą przez tyle lat zatruwałeś nas wszystkich?

Abbas drżał. Jego dłoń ścisnęła poręcz z taką siłą, że pobiełały mu kłykcie.

– Mój ojciec opuścił Zakon – powiedział dobitnie i powoli. – Nigdy nie odebrałby sobie życia.

– Twój ojciec się zabił, Abbasie. Zabił się tym samym sztyletem, który nosisz ukryty w swej szacie. Zrobił to, ponieważ miał więcej honoru niż możesz pojąć, i ponieważ nie chciał, by się nad nim litowano. Nie chciał, by litowano się nad nim tak, jak ludzie będą litować się nad tobą, kiedy będziesz gnił w lochach cytadeli.

– Nigdy! – ryknął Abbas, wymierzając drżący palec w Altaïra. – Twierdzisz, że możesz odzyskać Zakon, nie poświęcając życia asasynów. Przekonajmy się, czy ci się to uda. Zabić go!

Mężczyźni w westybulu rzucili się naprzód, gdy nagle...

Odgłos eksplozji odbił się echem od ścian i sprawił, że wszyscy ucichli: tłum na dziedzińcu, asasyni, stronnicy Abbasa. Wszyscy wpatrywali się z przerażeniem w Altaïra, który stał z wyciągniętą ręką, wskazując na Abbasa – jakby mierzył swym ukrytym ostrzem w kierunku schodów. Zamiast klingi u jego nadgarstka widoczny był tylko obłoczek dymu.

Od strony schodów dobiegł tymczasem krótki, zdławiony krzyk i wszyscy ujrzeni, jak Abbas przygląda się szacie na swej piersi, gdzie pojawiła się mała plamka krwi, która stopniowo zaczęła się powiększać. Oczy miał szeroko otwarte ze zdumienia; poruszał szczęką, jakby próbował coś powiedzieć, lecz słowa nie mogły przejść mu przez gardło.

Wierni Abbasowi asasyni zatrzymali się. Wpatrywali się z otwartymi ustami w Altaïra, który przesunął wyciągnięte ramię w ich kierunku – teraz mogli dostrzec mechanizm, który starzec miał przytwierdzony do nadgarstka.

Mechanizm pozwalał na oddanie tylko jednego strzału, lecz oni o tym nie wiedzieli. Nikt nie widział wcześniej podobnej broni. O jej istnieniu wiedzieli

nieliczni. Widząc ją zwróconą w ich stronę, stchórzyli. Odłożyli miecze. Trzymając ręce w górze na znak kapitulacji, przeszli obok Altaïra, wyszli z wieży i dołączyli do ludzi na dziedzińcu. Abbas tymczasem przechylił się do przodu, po czym stoczył ze schodów i z głuchym uderzeniem legł na ziemi.

Altaïr uklęknął obok niego. Abbas ciężko dyszał; jedną rękę miał wykręconą pod dziwnym kątem, jakby złamał ją podczas upadku. Przód szaty przesiąknięty był krwią. Zostało mu zaledwie kilka chwil życia.

– Chciałbyś, żebym błagał cię o wybaczenie? – zapytał z wysiłkiem Altaïra; grymas uśmiechu sprawiał, że wyglądał niczym szkielet. – Za to, że odebrałem ci żonę i syna?

– Abbasie, proszę, niech twoje ostatnie słowa będą wolne od jadu.

Abbas prychnął drwiąco.

– Wciąż próbuje być szlachetny! – rzucił i podniósł nieco głowę. – To ty zadałeś pierwszy cios, Altaïrze. Odebrałem ci żonę i syna, ale zrobiłem to po tym, jak twoje kłamstwa odebrały mi znacznie więcej.

– To nie były kłamstwa – odrzekł Altaïr. – Czy przez te wszystkie lata nie miałeś nigdy nawet cienia wątpliwości?

Ciałem leżącego wstrząsnął dreszcz i Abbas zacisnął z bólu oczy.

– Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, czy czeka na nas jakiś inny świat? – zapytał po chwili milczenia. – Niebawem będę to wiedział na pewno. I jeśli ten świat istnieje, to spotkam tam mojego ojca. Będziemy tam razem czekać, aż nadejdzie twój czas. A wtedy... Wtedy nie będzie wątpliwości.

Kaszlnął i na jego ustach pojawiły się bąbelki śliny zmieszanej z krwią. Altaïr spojrzał Abbasowi w oczy, ale nie znalazł w nich ani śladu osieroconego chłopca, którego kiedyś znał; ani śladu najlepszego przyjaciela z dzieciństwa. Widział tylko nędznika, za sprawą którego tak wiele w życiu utracił.

Gdy Abbas skonał, Altaïr zdał sobie sprawę, że nie czuje wobec niego ani nienawiści, ani współczucia. Nie czuł zupełnie nic – z wyjątkiem ulgi, że

Abbasa nie ma już na tym świecie.

Dwa dni później zjawił się rozbójnik Fahad w towarzystwie siedmiu jeźdźców. U bram wsi powitał go oddział asasynów pod komendą Altaïra.

Rozbójnicy zatrzymali się na skraju placu targowego; naprzeciw nich stał rząd mężczyzn w białych szatach. Niektórzy mieli ramiona skrzyżowane na piersiach, inni trzymali w rękach łuki albo opierali dłonie na rękojeściach mieczy.

– A zatem to prawda. Wielki Altaïr Ibn-La’Ahad odzyskał kontrolę nad Masjafem – stwierdził Fahad. Wyglądał na znużonego.

Altaïr na potwierdzenie tych słów skinął lekko głową.

Fahad zamyślił się, zapewne rozważając całą sytuację.

– Zawarłem porozumienie z twoim poprzednikiem – odezwał się w końcu.
– Zapłaciłem mu sowicie za to, że będę mógł wjechać do Masjafu.

– Coś niniejszym uczynił – zauważył uprzejmie Altaïr.

– Ha, to prawda, lecz obawiam się, że przyjechałem tu z konkretnego powodu – odparł Fahad z pochmurnym uśmiechem, po czym lekko poprawił się w siodle. – Jestem tu po to, by znaleźć mordercę mego syna.

– Coś niniejszym uczynił – poinformował go Altaïr równie uprzejmie jak poprzednio.

Pochmurny uśmiech powoli spłynął z twarzy Fahada.

– Rozumiem – rzekł, pochylając się do przodu. – Zatem który to z was?

Oczy rozbójnika przesunęły się wzdłuż szeregu asasynów.

– Czy nie masz świadka, który mógłby zidentyfikować zabójcę? – spytał Altaïr. – Czy ów świadek nie może wskazać, kto spośród nas jest sprawcą?

– Miałem świadka – odparł z żalem Fahad. – Niestety, matka mego syna kazała wyłupić mu oczy.

– Coś podobnego! – rzekł Altaïr. – No cóż, był z niego kawał łotra. Być może pocieszy cię fakt, że uczynił niewiele, by ochronić twego syna, albo zgoła pomścić jego śmierć. Kiedy tylko stanęło przeciw niemu dwóch starców, zamiast jednego, twój człowiek podwinął ogon i czmychnął.

Fahad spochmurniał.

– To ty?

Altaïr skinął głową.

– Twój syn zginął tak, jak żył, Fahadzie. Lubił zadawać ból.

– Cecha, którą odziedziczył po matce.

– Sam zatem widzisz.

– Tak się składa, że jego matka nalega, by nasz syn został pomszczony.

– Zatem nie zostało nic więcej do dodania – zauważył Altaïr. – O ile nie zamierzasz podjąć stosownej próby właśnie teraz, to będę oczekiwał twojego rychłego powrotu na czele armii zbójców.

Fahad przyjrzał się asasynowi nieufnie.

– Pozwalasz mi odejść? Łucznicy nie będą próbowali mnie zatrzymać? Robisz to, choć wiesz, że wrócę tu z siłami, które was zgniotą?

– Gdybym cię zabił, ściągnąłbym na siebie gniew twej żony – powiedział z uśmiechem Altaïr. – Poza tym mam przecucie, że zanim wrócisz do swego obozu, zmienisz zdanie w sprawie ataku na Masjaf.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

Altaïr ponownie się uśmiechnął.

– Fahadzie, gdyby doszło między nami do bitwy, żaden z nas by nie ustąpił. Obaj musielibyśmy zaryzykować znacznie więcej, niż zasługuje na to strata, jaka cię dotknęła. Moja społeczność zostałaby zniszczona, być może nawet nieodwracalnie. Lecz to samo stałoby się z twoją.

Fahad zamyślił się.

– To do mnie należy oszacowanie wartości mojej straty.

– Nie tak dawno także i ja utraciłem syna – odrzekł Altaïr – i z tego powodu omal nie zgubiłem mych ludzi. Zrozumiałem jednak, że byłaby to zbyt wysoka cena, nawet za własne dziecko. Chwytając przeciw nam za broń, ryzykujesz, że zaprzepaścisz właśnie tak wiele. Jestem pewien, że wartości, jakimi kieruje się twoja społeczność, poważnie różnią się od naszych, ale wiem też, że są dla was równie cenne i że równie trudno wam z nich

rezygnować.

Fahad pokiwał głową.

– Masz głowę znacznie tęższą od poprzednika, Altaïrze. Wiele z tego, co powiedziałeś, ma sens, i na pewno przemyślę to w drodze powrotnej. Postaram się wytłumaczyć to mej żonie. – Ściągnął lejce i zawrócił konia. – Powodzenia, asasynie.

– Sądząc po tym, co powiedziałeś, to tobie przyda się ono bardziej.

Rozbójnik posłał Altaïrowi jeszcze jeden krzywy, pochmurny uśmiech, po czym odjechał. Altaïr zaśmiał się pod nosem i spojrział na cytadelę na wzgórzu.

Było jeszcze wiele do zrobienia.

12 sierpnia 1257

A więc tak. Nie zdążyliśmy uciec z Masjafu przed nadejściem Mongołów. Tymczasem oni już tu są. Wyruszymy zatem do Konstantynopola w ciągu najbliższych godzin, ja zaś gryzmołę te słowa w czasie, gdy nasze rzeczy są wynoszone przez służbę i ładowane na wózki. Jeśli Maffeo sądzi, że wszystkie te przenikliwe spojrzenia, jakie z uporem rzuca w moją stronę, skłonią mnie do odłożenia pióra i zabrania się do noszenia bagaży, to bardzo się myli. Jestem przekonany, że niniejsze słowa będą miały żywotne znaczenie dla przyszłych pokoleń asasynów. Dlatego też muszą zostać zapisane, i to niezwłocznie.

Pod Masjaf dotarł na razie tylko mały mongolski podjazd, przynajmniej tak nam powiedziano. Ich główne siły znajdują się jednak niedaleko. Wygląda na to, że mongolscy harcownicy postanowili wykorzystać czas przed nadejściem głównej armii na zdobycie sławy. Przypuszczają bowiem wściekłe, choć przeprowadzane niewielkimi siłami, ataki: raz po raz wdzierają się na mury chroniące wioskę, walczą przez chwilę na blankach, po czym wykonują odwrót. Nie znam się zbyt dobrze na sztuce wojennej, za co zresztą dziękuję Bogu, ale takie krótkie ataki wyglądają mi na próbę rozpoznania naszych sił, albo raczej stwierdzenia, że ich brak. Zastanawiam się, czy Mistrz nie żałuje teraz swej decyzji o odesłaniu asasynów z Masjafu i osłabieniu cytadeli. Jeszcze dwa lata temu każdy taki podjazd padłby pod strzałami i mieczami

obrońców, nim zbliżyłby się na mniej niż dziesięć kroków do murów cytadeli.

Kiedy Altaïr wydarł Zakon z rąk Abbasa, pierwszym rozkazem wysłał ludzi po jego dzienniki: dzieła Mistrza miały stać się kamieniem węgielnym w procesie odbudowy Zakonu, niezbędnym elementem fundamentów, który miał zatrzymać wcześniejszy rozkład Masjafu. Za czasów uzurpatorskich rządów Abbasa umiejętności asasynów oraz ich wyszkolenie były ledwie cieniem przeszłości. Bractwo pozostawało bractwem asasynów jedynie z nazwy. Najpilniejsze zadanie Altaïra polegało więc na przywróceniu utraconej dyscypliny: plac ćwiczeń ponownie rozbrzmiał szczękami stali, okrzykami i przekleństwami instruktorów. Żaden Mongoł nie odważyłby się wówczas najechać na Masjaf.

Ledwo jednak Bractwo odzyskało dawną reputację, Altaïr zdecydował, że zakonna siedziba w Masjafie powinna zostać zlikwidowana i nakazał ściągnąć sztandary z herbem asasynów z zamkowych wież. Zgodnie z jego wizją Zakonu, asasyni powinni wyruszyć w świat. Powinni działać pośród ludzi, a nie ponad nimi. Kiedy syn Altaïra, Darim, przybył do Masjafu, spotkał tu zaledwie garstkę asasynów; większość z nich zajęta była budową biblioteki Mistrza. Kiedy biblioteka była już gotowa, Darim wyruszył do Konstantynopola, by odszukać tam mego brata i mnie.

I tak oto nasza dwójka wkracza na scenę tej historii – po około osiemdziesięciu latach od jej rozpoczęcia.

– Mam przeczucie, że to jeszcze nie koniec – rzekł Maffeo. Stał obok, czekając na mnie; mieliśmy bowiem spotkać się z Mistrzem na głównym dziedzińcu zamku. Wyruszyliśmy więc, po raz ostatni już przemierzając fortecę, prowadzeni przez wiernego Mukhlisa, który pełnił w Masjafie funkcję rządcy.

Jak wiele widział ten dziedziniec, przeszło mi przez myśl, kiedy już dotarliśmy na miejsce. To tutaj Altaïr po raz pierwszy zobaczył Abbasa, stojącego samotnie w środku nocy, ogarniętego tęsknotą za złożonym

chorobą ojcem. To tutaj Abbas i Altaïr stoczyli walkę i stali się wrogami; tutaj Al Mualim zawstydził Altaïra na oczach całego Zakonu; tutaj wreszcie zginęła Maria, a także Abbas.

Żadne z tych wydarzeń nie pozostało bez wpływu na Altaïra, który teraz zwołał większość spośród obecnych jeszcze w zamku asasynów, by wysłuchali, co ma im do powiedzenia. Był wśród nich Darim, młody Malik oraz Mukhlis, który stał tuż obok Altaïra, na podium przed wieżą Mistrza.

Byłem tak przejęty, że czułem, jak coś ściska mnie w żołądku; próbowałem zapanować nad emocjami, biorąc płytkie, krótkie oddechy. Dobiegające zza murów odgłosy bitwy wydawały mi się nader przerażające. Wyglądało na to, że Mongołowie wybrali ten właśnie moment na przeprowadzenie kolejnego ze swych szturmów na zamek, być może zorientowali się, że liczba obrońców została chwilowo uszczuplona.

– Bracia – rzekł Altaïr, stojąc naprzeciw nas. – Wiem, że czas, który razem spędziliśmy, był krótki. Wierzę jednak, że w tym Kodeksie znajdziecie odpowiedzi na wszelkie pytania, jakie będą was nurtować.

Wziąłem podaną mi księgę i pełen podziwu obróciłem ją w dłoniach. Zawierała najważniejsze myśli Mistrza, esencję wiedzy zdobywanej przez dziesięciolecia, które spędził na studiowaniu Jabłka.

– Altaïrze – odezwałem się, z trudem wydobywając z siebie słowa – twój dar jest bezcenny. *Grazie*.

Na znak dany mu przez Altaïra, Mukhlis podszedł i wręczył Mistrzowi niewielką torbę.

– Gdzie się teraz udacie? – zapytał Altaïr.

– Do Konstantynopola, na pewien czas. Możemy założyć tam gildię, zanim wrócimy do Wenecji.

Altaïr zaśmiał się cicho.

– Twój syn Marco z pewnością chętnie posłucha nieprawdopodobnych historii swego ojca.

– Jest jeszcze trochę za mały na takie opowieści. Ale pewnego dnia, *si*. –

Uśmiechnąłem się szeroko.

Mistrz przekazał mi torbę, ja zaś wyczułem w jej wnętrzu kilka ciężkich przedmiotów.

– Ostatnia przysługa, Niccolò. Weź je ze sobą i strzeż ich dobrze. Ukryj je, jeśli będziesz musiał.

Uniosłem brwi, pytając o pozwolenie na otwarcie torby. Altaïr skinął głową. Zajrzałem do środka, po czym zanurzyłem rękę i wyjąłem z torby kamień, jeden z pięciu, jakie się w niej znajdowały.

– Artefakty? – spytałem.

Zastanawiałem się, czy to je właśnie odnalazł podczas swego dobrowolnego wygnania w Alamucie.

– Pewnego rodzaju – odparł Mistrz. – To klucze, z których każdy jest nośnikiem wiadomości.

– Wiadomość od kogo?

– Sam chciałbym to wiedzieć – rzekł Altaïr.

Nagle na dziedziniec wpadł pospiesznie jeden z asasynów i zamienił kilka słów z Darimem. Syn Altaïra wysunął się do przodu.

– Ojcie. Przednia straż Mongołów zdołała się przebić. Wioska padła.

Altaïr pokiwał głową.

– Niccolò, Maffeo. Mój syn pomoże się wam przedrzeć przez obszar najgorętszych walk. Gdy znajdziecie się już w dolinie, posuwajcie się nią naprzód, dopóki nie dotrzecie do niewielkiej osady. Konie i zapasy już tam na was czekają. Jedźcie bezpiecznie i bądźcie czujni.

– Ty również, Mistrzu. Uważaj na siebie.

Uśmiechnął się.

– Zastanowię się nad tym.

To powiedziawszy, Mistrz ruszył w swoją stronę, wykrzykując rozkazy do asasynów. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczę. Zarzuciłem torbę na ramię i mocno ścisnąłem w ramionach bezcenny Kodeks.

To, co zapamiętałem z następnych chwil, kiedy pospiesznie podążaliśmy w stronę naszej kwatery, to niewyraźnie wspomnienia martwych ciał, bitewnych okrzyków i szczęku stali. Przycupnąłem w bezpiecznym miejscu, by skreślić tych kilka słów, gdy na zewnątrz wrzała bitwa. Teraz jednak muszę już ruszać. Mogę się tylko modlić, abyśmy zdołali ująć z życiem.

Mam jednak przecucie, że się nam uda. Wierzę w asasynów. Mogę mieć tylko nadzieję, że także okaże się godny wiary, jaką pokłada we mnie Altaïr. Czas pokaże.

1 stycznia 1258

Mamy pierwszy dzień nowego roku. Z mieszanymi uczuciami starłem kurz z okładki mego dziennika i rozpocząłem kolejną stronę, niepewny, czy wpis ten będzie wyznaczał nowy początek, czy też raczej będzie postscriptum do opowieści, która go poprzedziła. Być może to ty, czytelniku, o tym zdecydujesz.

Pierwsze wieści, jakie mam do przekazania, oznajmiam z ciężkim sercem.

Straciliśmy Kodeks. Księga, którą Altaïr ofiarował nam w dniu wyjazdu, powierzając ją naszej opiece, znajduje się w rękach wroga. Zawsze już będzie mnie prześladować chwila, gdy krwawiąc i szlochając, leżałem na piasku i patrzyłem na kurz wzniesany przez oddalających się jeźdźców z mongolskiego oddziału, z których jeden wymachiwał skórzaną torbą z przeciętym paskiem: tą samą, w której przechowywałem drogocenne pismo. Mongołowie zaatakowali dwa dni po tym, jak opuściliśmy Masjaf, w miejscu, gdzie byliśmy już bezpieczni – tak nam się przynajmniej zdawało.

Maffeo i ja ledwo ocaliliśmy głowy. Choć straciliśmy Kodeks i nie będziemy mogli czerpać wiedzy z jego kart, to pewną pociechą jest dla nas fakt, że czas, jaki spędziliśmy z Mistrzem, pozwolił nam nabyć umiejętności samodzielnego poszukiwania oraz interpretowania wiedzy. Ustaliliśmy, że wkrótce wyruszymy na wschód, aby odzyskać utraconą księgę (tym samym,

niestety, oddała się moment mojego powrotu do Wenecji i spotkania z Marco), najpierw jednak powinniśmy zająć się sprawami w Konstantynopolu, gdzie mamy wiele do zrobienia. Czekają nas co najmniej dwa lata pracy, która będzie tym cięższa, że nie będziemy mogli kierować się mądrością zawartą w Kodeksie. Uznaliśmy, że pomimo utraty księgi w naszych głowach i sercach wciąż jesteśmy asasynami, i dlatego zamierzamy wykorzystać w dobrej sprawie nasze świeżo nabyte doświadczenia oraz wiedzę. Tak oto wybraliśmy miejsce pod naszą przyszłą placówkę handlową – rzut kamieniem na północny zachód od Hagii Sophii – gdzie zamierzamy oferować towary wyłącznie najwyższej jakości (to oczywiste!). Zanim to nastąpi, zaczniemy szerzyć i propagować Credo asasynów, tak jak poprzysięgliśmy to czynić.

Jednocześnie z procesem powoływania do życia nowej gildii przystąpiliśmy do ukrywania pięciu kamieni, które powierzył nam Altaïr. Pięciu kluczy. „Strzeż ich dobrze – powiedział – albo je ukryj”. Pomni naszych doświadczeń z Mongołami, postanowiliśmy, że klucze powinny zniknąć. Zabraliśmy się więc do dzieła i ukryliśmy kamienie w samym Konstantynopolu oraz w pobliżu miasta. Dziś zamierzamy ukryć ostatni; kiedy zatem czytasz te słowa, wszystkie pięć kluczy jest już bezpieczne przed zakusami templariuszy. Będą czekać, aż w przyszłości odnajdzie je jakiś asasyn.

Kimkolwiek on będzie.

Epilog

Z góry dobiegły do asasyna odgłosy zamieszania: usłyszał znajome bębnienie stóp o deski pokładu, które zwykle towarzyszy zbliżaniu się statku do lądu, kiedy to członkowie załogi opuszczają swe stanowiska i spieszą na dziób, gdzie kołysząc się na takielunku i osłaniając dłońmi oczy, wpatrują się długo i intensywnie w połyskliwe wody przystani, ku której płyną, wyczekując przygód, jakie staną się tam ich udziałem.

Na asasyna również czekały przygody... Różniące się zapewne od eskapad, jakie z lubością wyobrażali sobie teraz marynarze, marząc o wizytach w tawernach i o ladacznicach. Asasyn niemal zazdrościł tym ludziom prostoty ich potrzeb i działań.

Jego zadania miały być bardziej... skomplikowane.

Zamknął dziennik Niccola i odsunął go od siebie, gładząc opuszkami palców starzejącą się okładkę i rozważając to, czego właśnie się dowiedział.

Zdawał sobie sprawę, że pełne znaczenie nabytej wiedzy ujawni się dopiero z czasem.

Wziął głęboki oddech, po czym wstał od stołu, ubrał szatę, zamocował mechanizm ostrza do nadgarstka i naciągnął na głowę kaptur. Otworzył drzwiczki do kajuty i wyszedł na pokład. Tam, wzorem marynarzy, osłonił ręką oczy i przyglądał się nabrzeżu, gdzie już zaczęli gromadzić się ludzie, którzy przyszli ich powitać. Statek wchodził do portu, rażno przecinając spienione fale.

Ezio dotarł do wielkiego miasta.

Był w Konstantynopolu.

Dramatis personae

Niccolò Polo, narrator

Maffeo Polo

Asasyni

Altaïr Ibn-La'Ahad

Maria, jego żona (z domu Thorpe)

Darim i Sef, ich synowie

Al Mualim, Mistrz

Fahim al-Sayf

Omar Ibn-La'Ahad, ojciec Altaïra

Abbas Sofian

Ahmed Sofian, ojciec Abbasa

Malik al-Sayf

Tazim, syn Malika, znany także jako Malik

Kadar, brat Malika

Rauf

Jabal

Labib

Swami

Farim

Mieszkańcy wioski Masjaf

Mukhlis, jego żona Aalia oraz córka Nada

Uczestnicy wojen krzyżowych

Ryszard Lwie Serce, król Anglii

Saladyn, sułtan Saracenów
Shihab Al'din, jego wuj

Dziewięć celów Altaïra

Tamir, pokątny handlarz
Abu'l Nuqoud, Król Kupców Damaszku
Garnier de Naplouse, wielki mistrz zakonu szpitalników
Talal, handlarz niewolników
Majd Addin, regent Jerozolimy
Wilhelm z Montferratu, pan Akki
Sibrand, wielki mistrz zakonu krzyżackiego
Jubair al-Hakim, główny uczoney Damaszku
Robert de Sablé, wielki mistrz zakonu templariuszy

Na Cyprze

Osman, kapitan cytadeli w Limassol
Fryderyk zwany Czerwonym, wysoki rangą templariusz z Limassol
Armand Bouchart, następca Roberta de Sablé
Markos, buntownik
Barnaba, buntownik
Barnaba, oszust
Jonasz, kupiec
Moloch, zwany Bykiem
Shalim i Shahr, synowie Molocha

Bandydzi

Fahad
Bayhas
Długowłosa

Podziękowania

Podziękowania specjalne

Yves Guillemot

Jean Guesdon

Corey May

Darby McDevitt

Jeffrey Yohalem

Matt Turner

A także

Alain Corre

Laurent Detoc

Sébastien Puel

Geoffroy Sardin

Xavier Guilbert

Tommy François

Cecile Russeil

Christele Jalady

The Ubisoft Legal Department

Charlie Patterson

Chris Marcus

Etienne Allonier

Maria Loreto

Alex Clarke

Alice Shepherd

Andrew Holmes

Clémence Deleuze
Guillaume Carmona